



Jeśli spodobał się wam *Hotel słodko-gorzkich wspomnień*, pokochacie *Wyśnij i mnie*.  
Poruszająca, przesycona wrażliwością powieść,  
której lektura przynosi wielką satysfakcję.

LISA GENOVA

WYŚNIJ  
I MNIE

JAMIE FORD

Świat Książki

JAMIE FORD

WYŚNIJ  
—  
I MNIE

Z angielskiego przełożył  
**Krzysztof Bednarek**

  
Świat Książki  
wydawnictwo

Matce, do której telefonowałem  
każdego niedzielnego wieczoru

Odszedł mój anioł, przy którym  
czułem się zimą jak w niebie  
smutek zastąpił mą radość  
kiedy straciłem Ciebie

Irving Berlin, 1912

## Najświętsze serca

1934

Odgłos uderzenia skórzanego paska i skrzywienie zardzewiałych sprężyn wojskowej pryczy pod wytartym materacem obudziły Williama Enga. Leżał, nie otwierając oczu, i słuchał dźwięków bosych dziecięcych stóp drepzczących nerwowo po zimnej drewnianej podłodze. Słysząc było strzelanie poszew energicznie ściąganych kołder, przypominające łopot żagli na wietrze. William jak zwykle uciekał myślami gdzie indziej, wyobrażał sobie, że wcale nie znajduje się w sierocińcu pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa, podczas gdy zakonnice sprawdzały stan pościeli i zaczynały bić pasem tych, którzy zmoczyli się w nocy.

Gdyby mógł, podniósłby się z pryczy i stanąłby przed nimi na bacność, tak jak pozostali, jednak jego dłonie były przywiązane – dosłownie – do ramy łóżka.

– Mówiłam wam, że to zaradzi problemowi – rzuciła siostra Briganti, zwracając się do dwóch salowych, których ciemna skóra wydawała się jeszcze ciemniejsza, kontrastując z bielą ich nakrochmalonych fartuchów.

Siostra Briganti ukuła teorię, że powodem nocnego moczenia się chłopców było nieprzyzwoite dotykanie się, w związku z czym zaczęła przywiązywać kładącym się spać podopiecznym buty do nadgarstków. Nic to nie dało, więc teraz przywiązywała im ręce do łóżek.

– To cud – oświadczyła, poklepując dłonią suche prześcieradło między nogami Williama. Patrzył, jak się przeżegnała, a potem jeszcze powąchała uważnie palce, chyba po to, aby wyczuć nosem to, czego nie zobaczyła ani nie wyczuła dotykiem. Amen, pomyślał William, rozumiejąc, że jego pościel jest sucha. Doświadczenie nauczyło siostrę Briganti – zupełnie tak samo jak sieroty – zawsze spodziewać się najgorszego. Rzadko, jeśli w ogóle kiedykolwiek, bywała rozczarowana.

Porozwizywano chłopców, zbito ostatniego winowajcę, krzyki i płacze ucichły. Teraz William miał wreszcie prawo umyć się przed śniadaniem. Popatrzył na długi szereg identycznych szczoteczek do zębów i wiszących na haczykach myjek. Wieczorem było ich po czterdzieści, ale teraz brakowało jednego zestawu. Chłopcy natychmiast zaczęli się zastanawiać, który z kolegów uciekł.

Tommy Yuen, stwierdził William, rozglądając się po łazience. Nie było Tommy'ego, musiał zniknąć w nocy. W takim razie zostałem jedynym Chińczykiem w sierocińcu, pomyślał.

Ogarnąłby go smutek i poczucie osamotnienia, ale czuł ulgę, ponieważ nie dostał lania, a poza tym myjący buzie chłopcy się uśmiechali.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, Willie – odezwał się piegowaty chłopak przechodzący obok. Inni śpiewali albo gwizdali melodię urodzinowej piosenki. Był dwudziesty ósmy września 1934 roku, dwunaste urodziny Williama. Wszyscy obchodzili tego dnia urodziny, zapewne najłatwiej było ustalić taką samą datę.

Lepiej pasowałyby już jedenasty listopada, myślał William. Skoro część starszych chłopców straciła ojców podczas wielkiej wojny... Albo dwudziesty dziewiąty października,

rocznica „czarnego wtorku”, kiedy to w całym kraju nastąpiły ciężkie czasy. Od wybuchu kryzysu gospodarczego liczba sierot się potroiła. Siostra Briganti wybrała jednak na dzień urodzin wszystkich pensjonariuszy rocznicę koronacji sługi bożego, papieża Leona XII. Chłopcy wspólnie obchodzili ten dzień, co oznaczało jazdę tramwajem z Laurelhurst do centrum miasta. Tam dostawali pięciocentówki z bizonem, które mogli wydać w sklepie ze słodyczami, a potem oglądali razem film dźwiękowy w Moore Theatre.

A najlepsze jest to, że w dniu urodzin, tylko w dniu urodzin, wolno nam pytać o nasze matki, myślał William.

\*

Urodzinowa msza była zawsze najdłuższa w całym roku, dłuższa nawet od wigilijnej. William bardzo się starał nie wiercić, tylko siedzieć i słuchać księdza Bartholomew, który opowiadał i opowiadał, i jeszcze raz opowiadał, i w kółko, o Maryi. Zupełnie jakby jej postać mogła odwrócić uwagę chłopców od ich wielkiego święta. Po drugiej stronie kościoła siedziały dziewczęta. Było im obojętne, że chłopcy mieli wkrótce jedyny raz w roku opuścić sierociniec, a może strasznie im zazdrościły. W każdym razie opowieści o Matce Bożej rozpraszały tylko najmłodszych, którzy przebywali w zakładzie od niedawna i w większości nie byli prawdziwymi sierotami; przynajmniej nie w takim sensie jak sierotka Annie ze słuchowisk radiowych czy oglądanych w niedziele komiksów. W przeciwieństwie do owej rozczochranej dziewczynki, która w obliczu każdego nieszczęścia wykrzykiwała „O rany!”, większość chłopców i dziewcząt przebywających stale w sierocińcu pod wezwaniem serca Jezusa miała rodziców. Gdzieś, ale jeśli nawet wiadomo było gdzie, nie byli oni w stanie wyżywić i obuć swoich dzieci. Z takiego powodu trafił do nas Dante Grimaldi, pomyślał William, rozglądając się po kaplicy. Ojciec Dantego zginął w wypadku podczas wyrębu lasu, a wtedy matka chłopca zostawiła go bawiącego się zabawkami w sklepie Wonder Store, tym wielkim domu handlowym Woolwortha na Third Avenue. Zniknęła i więcej się nie pokazała. Sunny Sixkiller widział swoją mamę po raz ostatni w dziale dziecięcym nowej biblioteki Carnegie w Snohomish. Charlotte Rigg znaleziono podczas deszczu; siedziała na marmurowych stopniach u stóp katedry św. Jakuba. Plotka głosiła, że babcia dziewczynki zapaliła w jej intencji świecę, a nawet poszła do spowiedzi, po czym wymknęła się z kościoła bocznymi drzwiami. Byli też inni, szczęśliwcy: ci, których matki same przyjechały i podpisały stosiki wystukanych na maszynie przez kalkę dokumentów, powierzając swoje dzieci siostram misjonarkom Najświętszego Serca Pana Jezusa albo stojącemu po sąsiedzku domowi małego dziecka pod wezwaniem św. Pawła. Matki te zawsze obiecywały, że po tygodniu przyjadą w odwiedziny. Czasami rzeczywiście to robiły, ale częściej ów tydzień przeciągał się do miesiąca, w niektórych przypadkach – do roku albo nawet matka nie pojawiała się już nigdy. Niezależnie od tego zawsze obiecywała wcześniej, biorąc na świadków siostrę Briganti i Pana Boga, że wróci.

Po komunii William stanął wraz z innymi w kolejce przed sekretariatem szkoły; pozbawiony smaku opłatek nie chciał mu się odkleić od podniebienia. Co roku matka Angelini, przeorysza, oceniała chłopców pod względem fizycznym i duchowym. Jeśli zdali egzamin, wolno im się było pokazać publicznie. William starał się nie krzywić ani nie okazywać zbyt wielkiego podniecenia. Przybrał radosny wyraz twarzy i próbował wyglądać godnie, naśladował pozytywne, pełne nadziei uśmiechy innych. Nagle przypomniało mu się, jak on sam zobaczył swoją matkę po raz ostatni. Znajdowała się w wannie, w wynajętym przez nią apartamencie w starym hotelu Bush. William obudził się i poszedł wziąć sobie szklankę wody. Nagle zorientował się, że jego mama od kilku godzin tkwi w łazience. Odczekał parę minut, ale kiedy zobaczył, że właśnie minęła północ, zajrzał w końcu przez zardzewiałą dziurkę od klucza.

Wydawało się, że jego matka śpi w wyposażonej w szponiaste nogi wannie: jej twarz skierowana była ku drzwiom, pasmo mokrych czarnych włosów przykleiło się do policzka, przybierając kształt znaku zapytania. Jedna ręka zwieszała się poza wannę, z palca kapąły powoli na podłogę krople wody. Scenę tę oświetlała pojedyncza żarówka pod sufitem, migotała w rytm podmuchów wiatru. William zaczął wołać do matki, potem uderzać pięściami w drzwi, ale się nie poruszyła. Przebiegł więc na drugą stronę ulicy, gdzie nad swoim gabinetem mieszkał lekarz. Doktor Luke wyważył drzwi łazienki i owinąwszy matkę Williama ręcznikami, zniósł ją z pietra na parter, a potem przeniósł do taksówki. Pojechali do szpitala Opatrzności Bożej.

Zostawił mnie samego, pomyślał William, przypominając sobie wirującą różową wodę, która z gulgotem wypływała z wanny. Na jej dnie leżało białe mydło i pojedyncza lakierowana paleczka do jedzenia o błyszczącym szerszym końcu, wyłożonym masą perłową. Cieńszy koniec paleczki wyglądał na ostry; William zastanawiał się, co ta paleczka robi w wannie...

– Możesz już wchodzić, Willie – odezwała się siostra Briganti, strzelając palcami.

William przytrzymał drzwi wychodzącemu Sunny'emu, którego policzki były czerwone jak piwonie, a rękawy koszuli – mokre i zasmarkane.

– Teraz ty, Will – na w pół chlipnął, na w pół mruknął cicho. Ścisnął w ręku list; zgniótł nagle kopertę, jakby miał go wyrzucić, zreflektował się jednak i schował list do tylnej kieszeni spodni.

– Co tam jest napisane? – spytał jeden z kolegów, ale Sunny pokręcił tylko głową i odszedł, wbijając wzrok w podłogę. Rzadko otrzymywali listy od rodziców, i nie dlatego, że nie przychodziły. Przychodziły, jednak zakonnice nie przekazywały ich chłopcom. Przetrzywały je i wydawały jako nagrody za dobre sprawowanie lub jako drogocenne prezenty urodzinowe. Jedne z tych listów były lepsze, inne gorsze: niektóre dodawały otuchy, budząc myśli o rodzinie, która wciąż czuła łączność ze swoim synem, inne jak gdyby stanowiły pisemne pokwitowanie kolejnego roku przeżytego w samotności.

Matka Angelini uśmiechała się, ale witrażowe okno za jej dębowym biurkiem było otwarte i do pomieszczenia wpadał zimny wiatr. William wszedł do środka i usiadł; jedyne ciepło, jakie w tej chwili czuł, pochodziło z siedzenia obitego skórą krzesła, na którym chwilę wcześniej siedział jego poprzednik, do niedawna pełen nadziei.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – odezwała się matka Angelini, podczas gdy jej pomarszczone, cienkie jak nogi pająka palce przewracały kartki opasłej książki. – Jak się dzisiaj miewasz... Williamie? – Stara zakonnica podniosła wzrok znad brudnych okularów. – To twoje piąte urodziny u nas, prawda? Do której książki Pisma Świętego w takim razie doszedłeś?

Matka Angelini zawsze pytała o nazwę książki Pisma odpowiadającej wiekowi wychowanka. William zaczął jak najszybciej wymieniać głośno kolejne książki Septuaginty:

– Rodzaju, Wyjścia, Kapłańska... – do Drugiej Księgi Królewskiej. William zapamiętał ich kolejność tylko do Księgi Judyty, ponieważ oznaczała ona wiek osiemnastu lat, w którym zostanie wypuszczony z sierocińca. Dla niego była to księga jego własnego wyjścia, uwolnienia, czytał ją więc wielokrotnie. Z czasem zaczął wyobrażać sobie Judytę jako swoją przodkinię. Była bohaterską wdową, której życie miało tragiczny przebieg. Zalecało się do niej wielu, lecz ona nie wyszła za mąż po raz drugi. William czytał tę księgę również dlatego, że była ona półoficjalna, tylko na w pół kanoniczna, stanowiła jakby bardziej przypowieść niż prawdziwy opis – kojarzyła mu się z zasłyszczanymi historiami o jego matce, która od tak dawna nie dawała znaku życia.

– Pięknie, pięknie, panie Williamie – pochwaliła matka Angelini. – Dobrze wyrecytowałeś. Dwanaście lat to wspaniały wiek, przedsmak dorosłości, odpowiedzialności. Nie myśl o sobie jako o nastolatku. Myśl, że jesteś młodym mężczyzną. To stosowniejsze, nie sądzisz?

William przytaknął, wdychając woń przesiąkniętej deszczem wełny i rozgrzewającej maści mentolowej. Starał się zdusić w sobie nadzieję na choćby nędzną pocztówkę. Nie udało mu się.

– No cóż, wiem, że większość was niecierpliwie wygląda słów ze świata, wieści, że niezbadane wyroki Pana pobłogosławiły waszych rodziców pracą – zaczęła łagodnym głosem zakonnica, potrząsając głową. Skóra poniżej jej brody trzęsa się jak korale indyka. – Dachem nad głową, chlebem i ciepłym piecem – kontynuowała. – Zapowiedzi, że ktoś może po was przyjechać. Ale... – Stara matka Angelini wpatrywała się w trzymaną księgę. – Wiemy, że w twojej sytuacji to niemożliwe, kochany. Prawda?

Z tego, co mi wiadomo, to chyba nie, myślał William. Skinął głową, przełykając z trudem.

– Tak, matko przeoryszo. Jednak skoro dzisiaj są moje urodziny, chciałbym dowiedzieć się czegoś więcej. Mam mnóstwo wspomnień z okresu, kiedy byłem mały. Nikt mi do tej pory nie powiedział, co się z nią stało.

Kiedy ostatni raz widział mamę, miał siedem lat. „Niedługo wrócę” – wyszeptala niewyraźnie, gdy doktor wynosił ją przez drzwi. A przynajmniej tak się Williamowi wydawało. Za to z całą pewnością następnego dnia pojawił się olbrzymi jak góra policjant. Zjadł całą garść upieczonych przez mamę Williama ciasteczek maślanych z migdałami i cierpliwie czekał, aż William się spakuje. Potem William wdrapał się do bocznego wózka motocykla, którym przyjechał policjant, a ten zawiózł go do specjalnego przejściowego domu dla sierot. William pomachał z kosza motocykla dawnym kolegom, jak gdyby płynął hydroplanem podczas parady z okazji odbywającego się co roku w Seattle festiwalu Golden Potlatch. Nie wiedział, że macha im na pożegnanie. Tydzień później przyjechały zakonnice i zabrały go do sierocińca. Gdybym wiedział, że już nigdy nie zobaczę swojego mieszkania, zabrałbym ze sobą niektóre zabawki, a przynajmniej jedną z fotografii, myślał.

Starał się nie wpatrywać w matkę Angelini, która dotknęła nagle językiem kącika ust. Przeczytała w księdze jakiś zapisek i jeszcze przyklejona do kartki mniejszą karteczkę opatrzoną poważnie wyglądającą pieczęcią.

– Williamie, osiągnąłeś już dostateczny wiek, więc powiem ci to, co mogę ci powiedzieć, choć z bólem serca – oznajmiła zakonnica.

Powie, że moja matka nie żyje, pomyślał beznamiętnie William. Już przed laty pogodził się z faktem, że tak zapewne jest. Po tym, kiedy mu oznajmili, że jej stan się pogorszył i że nigdy nie wróci ze szpitala. Akceptował także to, że jego ojciec na zawsze pozostanie nieznany. Williamowi już wcześniej nie wolno było o nim wspominać.

– Z tego, co wiemy, twoja matka była tancerką w klubie Wah Mee, całkiem popularną tancerką. Pewnego dnia próbowała się otruć zupą z przepękli i nasion marchwi. Nie podziałało, więc zamknęła się w łazience i dokonała próby...

Próby? Mama była piosenkarką i tancerką, ale jakiej próby dokonała?

– Nie rozumiem – szepnął William, nie mając pewności, czy chce się dowiedzieć więcej.

– Williamie, twoja biedna matka została szybko przewieziona do szpitala, jednak tam musiała czekać przez kilka godzin. Kiedy się nią w końcu zajęli, lekarz dyżurny miał wątpliwości, czy przyjąć Azjatkę, w dodatku o reputacji twojej matki. Przekazał ją więc do dawnego hotelu Perry.

William zamrugał powiekami, mniej więcej domyślając się, o co chodzi. Wiedział, gdzie znajduje się budynek hotelu Perry. Bawił się nawet w berka na rogu Boren Avenue i Madison Street. Bał się złowieszczego wyglądającego gmaszyska, jeszcze zanim powprawiano w jego okna kraty i przemianowano je na zakład psychiatryczny Cabrini.



– Obawiam się, że twoja matka nigdy stamtąd nie wyszła – zakończyła przeorysza, zatrzaszkując księgę.

\*

Kiedy William dotarł wreszcie do Moore Theatre przy Second Avenue, młodsi chłopcy zdążyli już zapomnieć o matkach i ojcach. Podekscytowani, powydawali swoje pięciocentówki na batony albo garście cukierków. Parę minut później byli umorusani i zlizywali roztopioną czekoladę z kolejnych palców.

W tym czasie William z wielkim wysiłkiem starał się otrząsnąć z myśli o swojej mamie, spędzającej ostatnie lata życia w zamkniętym zakładzie dla obłąkanych, w domu wariatów. Pewnego razu siostra Briganti powiedziała, że sam skończy w takim miejscu, jeśli będzie za dużo dumał. Może właśnie to przydarzyło się mamie? Tęsknił za nią, chodząc po holu kina i oglądając filmowe plakaty. Pamiętał, że kiedyś mama zabierała go do fotoplastykonów i małych starych kin, gdzie nowi, niezamożni właściciele wyświetlali nieme filmy. Pamiętał dotyk jej ramienia, kiedy obejmowała go i raczyła cichymi opowieściami o jego dziadku i babci, gwiazdach chińskich oper.

William się nie spieszył. Rozglądał się wśród marmurowych kolumn holu i starał się cieszyć chwilą, chciwie ściskając otrzymaną srebrzystą monetę. Nauczył się z minionych lat, żeby zachować ją nieco dłużej i wdychać aromat topiącego się masła, słuchać, jak pękają ziarna kukurydzy. Odnalazł Sunny'ego i wspólnie złożyli się na wiaderko prażonej kukurydzy i pomarańczowy napój gazowany. Czekał, aż zostanie skierowany do swojego rzędu i fotela, zwrócił uwagę na całe setki innych chłopców z najrozmaitszych zakonnych ochronek, domów dziecka i zakładów poprawczych. Odziani w postrzępione, spłowiałe mundurki wydawali się skurczeni. Stali nieruchomo w kolejce, szmaciarze o poszarzałych twarzach, jakby ktoś ich namalował. Mundurki innych chłopców przywodziły na myśl więzienne drelichy. William czuł się przy nich przesadnie wystrojony, choć miał na sobie źle dobraną marynarkę i używane pumpki zwieszające się całe dwadzieścia centymetrów poniżej kolan. Popijał z butelki napój, czując, że jego gardło ściska czarny jedwabny węzełek, który z trudem można było uznać za muszkę. Mimo wszelkich różnic, wszyscy tłoczący się przed wejściem do sali chłopcy patrzyli przed siebie z takim samym podnieceniem. Jak większość chłopców z jego sierocińca, William miał nadzieję zobaczyć *Sucharki w kształcie zwierząt* albo jakiś przerażający film w rodzaju *Białego zombie* – szczególnie że podobno w przypadku tego ostatniego Broadway Theatre ofiarowywał dziesięć dolarów każdej kobiecie, która przesiadzi cały seans o północy i ani razu nie krzyknie. Zakonnice zdecydowały jednak niestety, że lepszą pożywką dla chłonnych młodych umysłów będzie *Cimarron*.

O rany, pomyślał William. I tak z radością zapomnę o wszystkim i obejrzę cokolwiek, nawet krótki film niemy. Sunny nie okazywał jednak entuzjazmu.

Jaskrawoczerwone drzwi wreszcie się otworzyły, a wtedy siostra Briganti oparła dłoń na ramieniu Williama i pospiesznie skierowała go wraz z Sunnym ku wykupionym miejscom.

– Bądźcie grzeczni, i cokolwiek będziecie robić, nie hałasujcie. Nie rozmawiajcie i nie patrzcie na pracowników kina – przykazała szeptem.

William skinął głową, chociaż nie rozumiał, o co jej chodzi – aż do chwili, kiedy spojrzał w górę i zobaczył, że balkon wypełniają ciemnoskórzy chłopcy; było też paru Indian, jak Sunny. Czy ja jestem kolorowy? – zastanawiał się. A jeśli tak, to jakiego jestem koloru? Pojadał na przemian z Sunnym kukurydzę, zagłębiwszy się w purpurowym aksamitnym fotelu.

Światelka przy podłodze pociemniały, odsłonięto pluszową kurtynę i odezwały się dźwięki pianoli. Akompaniowała czarno-białym kreskówkom o Betty Boop i Barnacle'u Billu.

William wiedział, że dla najmłodszych chłopców była to najlepsza część seansu. Niektórzy z nich ledwie zdołają dotrzeć do końca musicalu *Movietone Follies*. Prześpią większą część pełnometrażowego filmu, śniąc kolorowe sny.

Wreszcie puścili taśmę z musicalem. William i reszta chłopców wtórowali gromadnie śpiewowi Jackiego Coopera oraz sióstr Lane. Śmiali się z wygłupów Stepina Fetchita, który rozbawiał wszystkich do łez. William chichotał jeszcze głośniejsze niż chłopcy z balkonu. Nagle na widowni zapadła cisza, kiedy kolejna piosenkarka zaczęła nucić *Dream a Little Dream of Me*, spoglądając tęsknie z ekranu. Jest podobna do Myrny Loy z *The Black Watch*, pomyślał William z początku. Nie miała jednak makijażu, była prawdziwą Chinką, tak jak Anna May Wong, jedyna azjatycka aktorka, jaką William kiedykolwiek widział. Jej egzotyczna uroda i aksamitny głos wywołały pochwalne gwizdy starszych chłopców, co z kolei sprawiło, że zaczęła ich karcieć siostra Briganti, przeklinając po włosku i łacinie. Tymczasem William, oszołomiony, wpatrywał się w migający ekran. Rozdziawił szeroko usta, rozsypał popcorn... Przedstawiono tę piosenkarkę jako Willow Frost, ale musiał to być jej pseudonim sceniczny. William o mało nie powiedział tego na głos. Nie miał wątpliwości. Najlepsze ze wszystkiego było to, że Willow, Stepin i cała plejada gwiazd z oglądanego musicalu miała wystąpić NA ŻYWO W TEATRZE BLISKO MIEJSCA, GDZIE MIESZKASZ, czyli w VANCOUVER, PORTLAND, SPOKANE – i w SEATTLE. Bilety są dostępne JUŻ! KUP JE, ZANIM ZOSTANĄ WYPRZEDANE!

– Ty, nie wiem, co bym zrobił, żeby to zobaczyć – skomentował Sunny, trącając Williama łokciem.

– A ja... ja muszę to zobaczyć! – wyszeptał z wysiłkiem William, wpatrując się w powidok na ciemnym ekranie. Odezwała się melodia, od której rozpoczął się western *Cimarron*, ale wydawała się Williamowi odległa niczym Oklahoma.

– Nie przestawaj marzyć, Willie.

Może to była tylko gra jego wyobraźni albo znowu pogrążył się w zadumie. Jednak koniecznie musiał stanąć twarzą w twarz z ową piosenkarką, ponieważ niegdyś znał ją pod innym imieniem i nazwiskiem. Z całą pewnością. Sąsiedzi z Chinatown nazywali ją Liu Song, ale on wołał na nią po prostu *ah-ma*. Musiał jeszcze raz wypowiedzieć te słowa i sprawdzić, czy ona usłyszy jego głos. Czy rozpozna Williama po pięciu latach.

Willow Frost to nie tylko piosenkarka, tancerka i aktorka, myślał William. Przede wszystkim to jest moja mama!

## Czuć to wierzyć

1934

Po zakończeniu filmu William klaskał grzecznie wraz z innymi. Nie bili brawa tylko najmłodszy chłopcy, którzy budzili się teraz z przerażeniem. Zapalono światło i malcy przecierali oczy, mrugając powiekami. Do sali wpadły jaskrawe promienie słońca, to pracownicy kina otworzyli dwuskrzydłowe drzwi. William i Sunny ruszyli za pozostałymi. Chłopcy wychodzili z kina parami i tłoczyli się na przystanku tramwajowym, pod błękitnym niebem, które nad Seattle było rzadkością. Ochłodziło się, nad widniejącymi na horyzoncie Górą Olimpijską unosiły się chmury. William roześmiał się, kiedy Sunny podniósł niedopałek i udawał, że pali, starając się wypuszczać z ust pierścienie pary. Starsi chłopcy skupili się w środku grupy, żeby osłonić się w ten sposób przed wiatrem, który podrywał z ziemi porzucone ulotki reklamowe, niczym toczące się pustyńne rośliny.

Czuć było woń wodorostów wysychających na błotnistych brzegach zatoki Puget, a także zapachy owoców morza i rosołu. Williamowi pociekła ślinka. Rozejrzał się i zobaczył, że siostra Briganti klóci się po drugiej stronie ulicy z pucybutem, który rozdawał gazety mężczyznom stojącym w kolejce po darmowy chleb i zupę. William naliczył ich ponad osiemdziesięciu, kolejka zakręcała i ciągnęła się dalej za rogiem. Milczący mężczyźni byli poubierani jak do kościoła: mieli na sobie wełniane garnitury i krawaty z dzianiny, kapelusze i szaliki. Widać było jednak, że większość nie goliła się od paru dni lub nawet tygodni. Ciekawe, czy stoją tu ojcowie kilku z nas, pomyślał William.

– To był najlepszy film pod słońcem – odezwał się Sunny, spoglądając w górę, na rozświetlony daszek. William oderwał wzrok od siostry Briganti.

Dla niego film był okropnie nudny, jeśli nie liczyć ujęć pokazujących tysiące jeźdźców na prerii. William myślał głównie o Willow, swojej *ah-ma*. Próbował przypomnieć sobie jej twarz, kiedy spała w wannie i kiedy śpiewała na srebrnym ekranie; bał się, że zapomni jedną albo drugą. Wydawała mu się kimś na podobieństwo ducha, który może się rozwiać niczym para wodna, niby-dym wypuszczany przez Sunny'ego. William wyraźnie widział matkę, jednak nie dało się jej dotknąć.

– Może i nie był taki zły – mruknął i nagle przypomniał sobie, że Sunny jest półkrwi Irokezem, tak jak niektóre postaci z filmu. Jak mógł mu się podobać obraz, w którym Irene Dunne nazywała Indian brudnymi dzikusami? Zaraz, główny bohater, Yancey, bronił Indian i ziemi, którą im wydarto. – Cieszę się, że było w nim coś, co ci się spodobało – dodał na wpół nieobecny tonem. Właśnie przykleiła mu się do buta żółta ulotka reklamująca *Movietone Follies*. Były na niej zdjęcia Stepina, Willow i jeszcze jakiegoś Asy Bergera, komika. Oraz daty ich występów na północnym zachodzie Stanów Zjednoczonych. Za dwa tygodnie mieli być w Seattle. Obie kieszenie płaszcza Williama były dziurawe, więc schował złożoną ulotkę pod rozdartą podszewką. Pamiętał wesoły głos mamy, stukanie jej obcasów na drewnianej podłodze, słodki zapach perfum. Nagle ożyły wspomnienia. Jeśli to tylko sen, nie chcę się obudzić, pomyślał.

Dźwięk dzwonka jadącego pod górę tramwaju wyrwał go z marzeń. Zobaczył, że siostra Briganti wraca ciężkim krokiem przez ulicę, z gazetą w dłoni. Zabrała niedopałek z ust

Sunny'ego, zakłęła, kręcąc głową, i popatrzyła na gazetę z taką złością, jakby była właśnie świadkiem jakiegoś grzechu śmiertelnego. Nagle przedarła ją na pół, a potem znowu i znowu, i cisnęła strzepy do przepelnionego kosza na śmieci.

– A niech ich piorun strzeli! – rzuciła. – Najpierw związki zawodowe, teraz komuniści, przez myśl by mi nie przeszło, że sprawy przybiorą tak zły...

William odwrócił się, żeby sprawdzić, co zakonnica zobaczyła za jego plecami. Był tam robotnik w podniszczonym kombinezonie; smarował klajstrem ogromny plakat przedstawiający Willow i Stepina, rozprostowawszy go na ceglanej ścianie budynku z oknami zabitymi deskami. Chłopiec i zakonnica przyglądali się pracującemu mężczyźnie i wielkiej reklamie, na której widnieli Murzyn i Chinka. William obrócił się i popatrzył na siostrę Briganti, a ta umknęła wzrokiem, zawstydzona. Zaraz potem klasnęła, strzeliła palcami i rozkazała wszystkim ustawić się w kolejce, żeby wsiedli do tramwaju, zachowując porządek.

Jadąc z powrotem w stronę sierocińca, William oglądał Seattle, mijane domy i przecznice. Nie zwracał uwagi na opuszczone budynki i bezdomnych w parku. Tęsknił za mamą, za Willow. Liczył wszystkie większe i mniejsze kina, koło których przejeżdżał tramwaj. Jeszcze zanim wyjechali ze ścisłego centrum, minęli ich szesnaście. Wspaniałe, oszałamiająco kolorowe neony, żarówki i napisy na daszkach zapraszały do znajdujących się pod nimi wejść. Do magicznych światów, gdzie migoczący projektor filmowy wskrzesił ducha jego matki. William wpatrywał się jak urzeczony w feerię barw, tak że ledwie zauważał skupiska skleconych z byle czego domów, plakaty nawołujące do strajków i protestów oraz garkuchnie, gdzie rozdawano chleb zarośniętym, chudym jak szkielety ludziom.

\*

– Tutaj mieszkanie, chłopcy – odezwał się motorniczy, dojechawszy prawie do samego końca trasy North Seattle Interurban Line. Uderzył w mosiężny dzwonek, zagłuszając wycie silnika elektrycznego i trzask niebieskich iskier, które spadły ze słupa; zwolnił i zatrzymał tramwaj. Chłopcy gromadnie jęknęli.

William zszedł po zabłoconych stopniach na chodnik, stanął koło Sunny'ego i wraz z pozostałymi przeszedł z ponurą miną koło klasztoru i świętej grotty. Przed nim wznosił się czteropiętrowy ceglany budynek mieszczący sierociniec pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa. Postępował naprzód bez entuzjazmu, zdając sobie sprawę, że z tą chwilą oficjalnie kończy się najlepsza część dnia jego urodzin. Zaczynało się jednak coś innego, całkiem nowego.

– Znowu nasz pagórek i znajomy murek – odezwał się Sunny.

William nie roześmiał się, był zatopiony w myślach. Zdawał sobie sprawę, że elegancki budynek sierocińca, w którym mieszka, stanowi rodzaj bardziej przyjaznego, ozdobionego kwiatami więzienia, choć nie ma wokół wieżyczek strażniczych, drutu kolczastego ani szczekających psów. Niektórzy najstarsi chłopcy mieszkali nawet pojedynczo we własnych domkach, staroświeckich szeregowcach z werandami wyposażonymi w huśtawki i karmniki dla kolibrów. Dom stał na wzgórzach Scottish Heights. Od południa dolatywała tu woń dymu z palonego węgla, odgłosy syren stateczków i gwizdy pociągów. Miasto wylaniało się z porannej mgły i znikало w przesyconym wilgocią zmroku. Lecz dzień po dniu William miał prawo tylko do panoramicznych widoków Seattle, zatoki Puget i Jeziora Waszyngtona. Jeśli siostra Briganti się uprze, nie wyjdziemy spośród tych drzew przez kolejny rok, myślał.

Minął żywopłot i płot z białych sztachet, które oddzielały sierociniec od świata zewnętrznego, od Willow. Trudno nie zauważyć, że łatwo byłoby wspiąć się na ten płotek nawet najbardziej niezdarnym chłopcom. Tylko że brama i tak przez cały czas pozostawała otwarta. Chłopcy rzadko uciekali, związani z sierocińcem obietnicą matki czy ojca: „Przyjadę na Boże

Narodzenie, jeżeli będziesz grzeczny”. Te niemal mityczne obietnice, którym towarzyszyła nadzieja na szczęśliwe lata w przyszłości, już w styczniu, kiedy szyby okien pokrywał lód, ciążyły chłopcom niczym kamienie młyńskie. Najnowsi podopieczni przestawali liczyć dni i wieczorami płakali tak długo, aż zasypiali. Po pięciu zimach przeżytych w sierocińcu Najświętszego Serca William nie ludził się już nadzieją na bożonarodzeniowe cuda. Przynajmniej na nic większego niż para używanych butów, katechizm i skarpeta z orzeszkami ziemnymi i dojrzałą mandarynką.

Kiedy chłopcy zbliżyli się jeszcze bardziej do swojej siedziby, z domków i baraków wyspały się dziewczynki, żeby ich przywitać. Przez całe popołudnie dekorowały wspólne pomieszczenia krepiną i ręcznie malowanymi obrazkami. W powietrzu unosił się aromat stygnących na parapetach świeżutkich anielskich ciast – lekkich biszkoptów na samych białkach. Chłopcy przygotowywali podobne rzeczy piętnastego lipca, wtedy przypadały zbiorowe urodziny dziewcząt: wspomnienie matki Franceski Cabrini, założycielki sierocińca. Ta dzielna zakonnica pragnęła otworzyć misję w Azji, umarła jednak gdzieś na środkowym zachodzie Stanów Zjednoczonych, kilka lat przed narodzinami Williama.

Za dziewczynkami wyłonił się z budynku chłopiec na wózku inwalidzkim, jedyny, który nie pojechał do kina. Nazywał się Mark jakiś tam, ale wszyscy mówili na niego Marco Polio, choć jego chude jak patyki nogi zdeformowała krzywica.

Marco i dziewczynki byli ciekawi filmu, który obejrzeli chłopcy, większość ich jeszcze nigdy nie była w kinie. Chcieli się dowiedzieć wszystkiego na temat wycieczki do zewnętrznego świata.

– Czy byliście w sklepie z osobliwościami w Colman Dock, gdzie jest ta szczeka wieloryba? – zapytała dziewczynka z długimi warkoczami.

– Widzieliście wystawy u Fredericka i Nelsona? – zawtórował Marco. – Próbowaliście koktajlu mlecznego frango? – To ostatnie pytanie wywołało tęskne westchnienia dziewcząt, które poprzedniego roku dostały po koktajlu frango od pewnego życzliwego docenta, który zawsze przywoził czekoladę i kwiaty.

– A ten totem stojący na Pioneer’s Place? – dopytywała się dziewczynka stojąca z tyłu, machając ręką. Sunny zmarszczył brwi i jeszcze raz opowiedział historię zrabowanego symbolu Indian; nikt go jednak nie słuchał.

William zwrócił uwagę, że jedyną dziewczynką, która nie zasypywała chłopców pytaniami, była Charlotte. Stała na werandzie swojego domku, trzymając się poręczy. W drugiej ręce ścisnęła białą laskę, którą dostała od członków miejscowego Lions Club. Przekrzywiła głowę w stronę zachodzącego słońca i jednym uchem słuchała nakładających się na siebie rozmów chłopców i dziewcząt, którzy znajdowali się na wilgotnym, porośniętym trawą dziedzińcu.

– Szkoda, że nie mogłam tam pojechać – odezwała się, słysząc zbliżającego się Williama. Jej piegowate policzki zaróżowiły się od chłodnego wiatru, wciąż zwracała twarz ku słońcu. – Zrobiłabym wszystko, żeby tylko się stąd wydostać, poczuć miasto z bliska.

William wpatrywał się w jej mleczne, jak gdyby wypłowiałe niebieskie oczy. Włosy dziewczyny rozwiewał wiatr.

– Była tam świetna pianola i jeszcze ogromne organy, wurlitzer. Muzyka była naprawdę na najwyższym poziomie – odpowiedział. – Podobałaby ci się.

Charlotte uśmiechnęła się i przytaknęła żywo. William nie mógł się nadziwić, jakim sposobem zawsze go rozpoznawała. Miał przecież takie same buty jak wszyscy chłopcy, mył się tym samym mydłem... Pewnie zdradzał go jakiś charakterystyczny sposób chodzenia. Raz, w grocie, próbował się do niej podkraść, ale zawołała jego imię, zanim się zbliżył. A może

chodziło o to, że jego koledzy się peszyli, bali się jej niewidzących oczu? Rzadko któryś się do niej odezwał.

– Coś ci przyniosłem.

Charlotte obróciła się w kierunku jego głosu i wyciągnęła dłoń. William podał jej torebkę świeżych słonych ciągutek, delikatnie zaginając jej palce, żeby nie wypuściła prezentu. Dziewczynka ścisnęła lekko wierzch torebki i powąchała ją.

– Miętowe – stwierdziła.

– Twoje ulubione – przytaknął z uśmiechem. W poprzednim tygodniu grał z kolegami w monety i wygrał tyle drobnych, że wystarczyło na kupienie Charlotte posmaku świata zewnętrznego.

– Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin – powiedziała i zaraz wzruszyła ramionami. – Rozumiesz, o co mi chodzi...

– Już nawet nie wiem, kiedy są moje prawdziwe urodziny – wyznał William. Pamiętał, jak dawno, dawno temu świętowali je z mamą. – Siostra Briganti nie chce mi powiedzieć. Mówi, że kiedy zostanę adoptowany, właśnie ten dzień będę chciał obchodzić jako moje nowe urodziny.

– Mówisz takim tonem, jakbyś jej nie wierzył. Jest taka świątobliwa, nie wolno jej kłamać. – Charlotte odwinęła cukierek z papierka i podała Williamowi.

Podziękował i włożył ciągutkę do ust, delektując się jej słodko-słonym, miętowym smakiem. Miał wyrzuty sumienia, ponieważ z nerwów w czasie powrotnej jazdy tramwajem z Second Avenue zjadł już trzy cukierki z torebki. Ostatnich kilka lat przeżył, godząc się ze smutnym faktem, że nigdy nie zostanie adoptowany. Żadna biała rodzina by mnie nie zechciała, pomyślał, omal nie wypowiadając tych słów na głos. I bardzo wątpię, żeby chińska rodzina zdecydowała się adoptować tak nieszczęśliwe dziecko. Nie mam na kogo czekać.

– Jak było u matki Angelini? – zapytała Charlotte, mrugając powiekami.

William podniósł wzrok. Niebieskie niebo przesłoniły gęste, szare deszczowe chmury.

– Nie dostałem żadnego listu – odpowiedział z westchnieniem, choć Charlotte wiedziała, że nie spodziewał się korespondencji. – Ale dowiedziałem się czegoś o mojej mamie.

Umilkli. Powietrze przeszył odgłos parowego gwizdka w pobliskiej elektrowni. William rozumiał, że Charlotte specjalnie nic nie mówi, żeby mógł zmienić temat na przyjemniejszy.

– Matka Angelini chce naszego dobra – skomentował. Charlotte zmarszczyła brwi z taką miną, jakby poczuła się nagle zmęczona.

– Mnie powiedziała w tym roku, w jaki sposób straciłam wzrok – oznajmiła, kręcąc głową. Odgarnęła włosy za uszy i kontynuowała: – Zawsze myślałam, że jestem niewidoma od urodzenia, ale matka Angelini wyjaśniła mi, że to pielęgniarki przez pomyłkę przemyły mi oczy pięćdziesięcioprocentowym roztworem azotanu srebra, zamiast jednoprocetowym. Zaraz kiedy mama mnie urodziła. Chodziło chyba o to, żebym nie zachorowała na jakąś chorobę, ale niechący wypaliły mi oczy. Rozumiem teraz przynajmniej, dlaczego marzę o kolorach i świetle, i o łzach. Dziwnie jest wiedzieć, że kiedyś widziałam świat, może tylko przez kilka minut. Później, przez ileś lat, cienie. A potem zrobiło się zupełnie ciemno. No i wiem, dlaczego nie mogę płakać, nawet kiedy mi okropnie smutno. Wypaliły mi ujścia gruczołów łzowych, zamknęły je.

Charlotte tak samo jak William mieszkała w sierocińcu Najświętszego Serca od ponad pięciu lat, i oboje niczego nie oczekiwali. Prawda nie pozwalała im czegokolwiek się spodziewać. Woleli już monotonię i melancholię niż to rosnącą, to słabnącą nadzieję i kolejne rozczarowania, od których można było dostać mdłości.

– Matka Angelini powiedziała mi, że moja mama została zamknięta w szpitalu psychiatrycznym. Zdaje się, że tam umarła, chociaż matka Angelini nie powiedziała tego wprost.

Charlotte na chwilę przestała żuć cukierek.

– Nie wierzysz jej, prawda? – Jak na niewidomą dziewczynkę była zadziwiająco spostrzegawcza.

Jakże mógłby jej wierzyć? William podrapał się w głowę, zmarszczył brwi i odpowiedział:

– Widziałem ją dzisiaj. To znaczy nie żywą, ale w filmie. Grała w nim aktorka, która wygląda dokładnie jak moja mama. Wiem, że to brzmi tak, jakbym zwariował. Chciałem powiedzieć o tym Sunny’emu, komukolwiek, nawet siostrze Briganti. Ale i tak nikt by mi nie uwierzył.

– Ja ci wierzę, Williamie.

– Naprawdę?

– Nie trzeba zobaczyć, żeby uwierzyć. Wystarczy poczuć. – Charlotte wyciągnęła dłoń i przesunęła ją po płaszczu Williama do miejsca nad jego sercem, tam, gdzie schował ulotkę. – Czuję cię.

## *One Man's Family*

1934

Dzień urodzin chłopców jeszcze się nie skończył. Z okazji święta zwolniono ich ze sprzątanania i wszystkich innych prac. Przez cały wieczór mieli czas wolny. Spędzali go w salonie; towarzyszyło im radio firmy Philco nastawione na stację KGW z Portland. Nadawano właśnie słuchowisko *Amos 'n' Andy*. Całkiem co innego niż ulubiona audycja siostry Briganti, czyli program księdza Coughlina emitowany przez CBS. Williamowi podobało się, jak siostra dyrektorka parska śmiechem, słuchając komediowej audycji, choć odrobinę go to niepokoiło. Zwykle marszczyła brwi i stroiła ponure miny, przytakuując księdzu Coughlinowi wściekle atakującemu komunistów i socjalistów, którzy jego zdaniem rujnowali kraj oraz byli winni przedłużania się trudności gospodarczych. Teraz się uśmiechała, siedząc wygodnie oparta, z zamkniętymi oczami – choć na kolanach trzymała złożoną gazetę księdza Coughlina „Social Justice”. Obok siostry Briganti stały na stole dwie puste butelki po piwie Rainier. Koniec z prohibicją, pomyślał William. Wszyscy wiedzieli, że nawet w okresie tak zwanego Szlachetnego Eksperymentu z prohibicją w Stanach Zjednoczonych siostra Briganti przechowywała tajny zapas alkoholu, po który z przyjemnością sięgała przy specjalnych okazjach. Klimat Seattle jest deszczowy i mglisty, a opary napojów wysokokowych nie zniknęły z tego miasta nawet w czasach panowania ruchu antyalkoholowego.

William siedział na podłodze obok Charlotte. Wiatr i deszcz smagały okna, a oni układali razem prostą układankę z obrazkiem Świętej Rodziny. Słysząc było jeszcze przyjemne, kojące trzaski płonącego drewna w kominku i cichy grzechot rzucanych kostek – to inne dzieci grały w parcheesi. Charlotte poznajdowała wszystkie kawałki tworzące brzegi obrazka i ułożyła je, podczas gdy William uzupełniał środek układanki. Porównywał ją z widniejącą na pudełku fotografią witraża i już widział, że brakuje kilku ważnych części. Mimo to układał dalej obrazek, który musiał pozostać niekompletny. Spoglądając na puste miejsca, zadawał sobie w duchu pytania. Dlaczego mnie opuściłaś? Czemu nie pisałaś? Łatwiej mu było przetrwać lata samotności, kiedy wyobrażał sobie, że jego *ah-ma* umarła. Odczuwał smutek i ból, lecz teraz złamała mu serce gorsza myśl. Że jego matka żyje i jest zdrowa, ale porzuciła go jak bezpańskiego psa.

– Jak wyglądała? – zapytała Charlotte, prostując plecy i siadając po turecku. Zasłoniła kolana sukienką i otrzepała dłonie. – Ta kobieta, którą widziałeś w filmie. Chodzi mi o to, skąd wiedziałeś, że to ona? Czy była równie oszalamiająco piękna jak ty?

William wzruszył ramionami, puszczając mimo uszu żart flirtującej z nim koleżanki.

– Wyglądała... jak Chinka – mruknął, przesuwając dłonią po jeszcze niedopasowanych fragmentach obrazka. I nagle zdał sobie sprawę, że Charlotte nie ma pojęcia, jak wyglądają Chińczycy, Murzyni, Indianie, Włosi... Nie знаła nawet koloru swojej skóry. – Miała błyszczące oczy, długie rzęsy i włosy do ramion, zakręcone na końcach – dodał. Zawsze byliśmy biedni, jeszcze przed kryzysem, kiedy wszyscy potracili pracę, wspominał równocześnie w myśli. – Moja mama miała... długie palce, pomarszczone na kostkach, przez co jej dłonie wyglądały na dużo starsze niż reszta ciała. – Popatrzył na własne palce rąk, były takie same jak matki. – Kiedy zasypiała na kanapie, siadałem i przyglądałem się, jak oddycha, jak unosi się i opada jej pierś.



Chciałem mieć pewność, że żyje. Wyglądała na bardzo spokojną, ale zawsze się bałem, że ją stracę, bo poza nią nie miałem żadnej rodziny. Nie chciałem myśleć o tym, że mógłbym zostać sam... U tej kobiety, którą widziałem dzisiaj, najbardziej rozpoznałem głos. Jej śpiew.

– Mama ci śpiewała?

– Czasami. – William pokiwał powoli głową. – Kiedy kładłem się spać, śpiewała mi chińskie kołysanki, które ledwie rozumiałem, albo taką angielską: „Isn't this precious darling of ours sweeter than dates and cinnamon flowers”. Mogę zanucić całą, ale nie pamiętam słów. To było bardzo dawno temu.

– Masz szczęście, ja prawie nie pamiętam matki. Kiedyś próbowałam przypomnieć sobie jej głos. Chyba był podobny do mojego, tylko mądrzejszy.

William wiedział, że matka Charlotte umarła kilka lat po jej urodzeniu, o ojcu zaś jego niewidoma koleżanka nigdy nie wspominała, tak samo jak on o swoim. Miał ochotę zapytać ją o więcej, ale nauczył się, że w sierocińcu lepiej nie wypytywać o rzeczy, o których ktoś nie mówi sam z siebie.

Słuchowisko się skończyło i William spojrzał na siostrę Briganti, spodziewając się, że pośle wszystkich do łóżek. Lecząc zakonnicą zasnęła. Głowę miała odchylną do tyłu, a brązowy franciszkański habit zwisał niedbale z krzesła, jak rzucony do prania. Wzrok Williama spotkał się ze spojrzeniem Sunny'ego, który grał w kąciku w pchleki z Dantem Grimaldim. Dziewczęta i chłopcy patrzyli po sobie, myśląc z zadowoleniem: bawimy się dalej.

William dopasowywał kolejne fragmenty układanki, słysząc, jak spiker wymienia w radiu sponsorów kolejnego odcinka *One Man's Family*. Siostra Briganti zachrapała raz i drugi, ale się nie obudziła, nawet kiedy w oddali rozległ się grzmot, a światło przygasło i rozbłysło z powrotem. Kilkoro dzieci jęknęło ze strachu, a Sunny zawył złowieszczo.

„Zanim zaczniemy – mówił spiker o śmiesznym, monotonnym głosie, który chwilami zanikał z powodu nadciągającej burzy – chciałbym państwu przedstawić dzisiejszego gościa specjalnego, który siedzi tu z nami w studiu. Ta świetnie zapowiadająca się gwiazda powróciła na nasz wspólny Północny Zachód prosto z Hollywood. Nikt z naszej części kraju nie zasłyszał takim talentem, od kiedy Bing Crosby i jego Rhythm Boys wyprowadzili się z Tacomy”.

William zamarł i wpatrywał się w radio, trzymając bezwiednie w palcach kawałek układanki.

„Gwiazda ta wystąpi u nas w kilku miastach, a wszystko to dzięki *Fox Movietone Follies*. Panie i panowie, oto chińska lalka, jakiej świat nie widział i nie słyszał, skośnooka sensacja z Seattle, Płacząca Willow Frost!”.

Nie wierzę, pomyślał William. Siedział jak urzeczony, podczas gdy Willow i spiker wymieniali uprzejmości.

„Pani Willow...”.

„Wystarczy Willow”.

„Zatem Willow, ciekawi mnie twój przydomek Płacząca. Czy mogłabyś podzielić się z nami historią, która doprowadziła do tego, że ci go nadano?”.

„Ach, prawda jest taka, że trochę mnie niepokoi – zaczęła grzecznym, skromnym tonem artystka, najwyraźniej już zmęczona usłyszonym pytaniem. – Sprawia, że wydaję się smutną osobą. A historia jest taka, że mój przyjaciel... – Zawahała się. – Pewien stary znajomy nadał mi ten przydomek po bardzo szczególnym występie. Grałam epizodyczną rolę i chwilę przed wyjściem na scenę otrzymałam nieprzyjemną wiadomość. Na moment zapomniałam tekstu. Łzy stanęły mi w oczach i zanim przypominałam sobie tekst, rozplakałam się. Mówiłam swoje kwestie, łkając, ale na szczęście scena, w której grałam, była smutna. W rezultacie zostałam odkryta, to znaczy po raz pierwszy zaangażowano mnie do filmu”.

„Niektórzy mogliby to nazwać przeznaczeniem – skomentował spiker. – A może tylko świetnym aktorstwem?”

Nastała chwila milczenia. William nie był pewien, czy to tylko burza zakłóciła fale radiowe, czy też bohaterka rozmowy czuła się niezręcznie, opowiadając o przełomie w swoim życiu.

„Po prostu miałam szczęście, nic więcej – odpowiedziała cicho Willow. – Rok później byłam już na planie w Studio City, grając z Ronaldem Colmanem i Tetsu Komai, to był film *Bulldog Drummond*. A teraz jestem tutaj”

„Jesteś tutaj, a my zachwycamy się tobą!” – Spiker ożywił się, jeszcze raz przedstawił Willow i wymówił nazwę swojej stacji.

– To ona... – szepnęła William do Charlotte. Znow spojrzał w stronę Sunny’ego, a ten odpowiedział mu spojrzeniem i pokazał uniesione kciuki, podczas gdy z radia dobiegły dźwięki fortepianu i Willow zaczęła śpiewać *Dream a Little Dream of Me*.

– Ale nuuda! – poskarżył się jeden z chłopców w przeciwległym końcu salonu. – Niech ktoś wstanie i zmieni stację na KJR.

– Tak, posłuchajmy *The Shadow* – zawtórował ktoś.

– Shadow wie, że to nudziarstwo – zażartował inny chłopak, nawiązując do pseudonimu tytułowego bohatera upragnionego słuchowiska.

– Nie dotykajcie radia! – zaprotestował William. – Proszę.

– Daj spokój, już raz słyszałeś dzisiaj tę piosenkę.

– Ja też chciałabym jej posłuchać – wtrąciła Charlotte, machając białą laską.

Dante podszedł do radioodbiornika, ale William zerwał się i odepchnął kolegę od aparatu, tak mocno, że Dante potknął się o podnózek i z hałasem upadł na podłogę. Kilkoro dzieci zachichotało.

– Ej, co mnie tak popchnąłeś...?! – poskarżył się ze łzami w oczach Dante.

William stanął naprzeciw głośnika i z mocno bijącym sercem słuchał uważnie głosu aktorki.

– Williamie Eng!

Nie musiał się odwracać. Hałas obudził siostrę Briganti. William zerknął przez ramię i zobaczył, że zakonnica spogląda na zegarek, a potem na wszystkich, którzy jeszcze nie poszli spać.

– Williamie, chodź no tutaj! – zawołała. – A reszta marsz na górę.

Chwyciła go boleśnie za łokieć i odciągnęła od Charlotte i od radia. Znalazł się w holu. Siostra Briganti otworzyła drzwi magazynu ubrań, uderzyła podopiecznego otwartą dłonią w głowę i popchnęła go do wnętrza pomieszczenia.

– Jak nie potrafisz się porządnie zachowywać, trzeba cię oddzielić od pozostałych – stwierdziła.

– Przepraszam, to było niechcący – tłumaczył się. – Chciałem tylko jeszcze trochę posłuchać radia. Musi mi siostra pozwolić go posłuchać... – Muszę posłuchać Willow Frost, myślał.

Siostra Briganti pomasaowała sobie czoło, zastanawiając się chwilę, po czym raptownie zatrzasnęła drzwi magazynu. William spojrzał na słabe światło wpadające przez szparę pod drzwiami, potem na jaśniejącą dziurkę od klucza. I ta zniknęła, kiedy zakonnica włożyła do niej klucz i zamknęła Williama na noc. Wyciągnął przed siebie ręce, odnalazł po omacku tylną ścianę pomieszczenia i usiadł na podłodze, a potem osunął się na stos starych butów i kaloszy. Mały magazyn pachniał wełnianymi płaszczami, wilgotną skórą i naftaliną. William uderzył głową w ścianę raz i drugi, ale potem usłyszał, że dobiegają do niego dźwięki radia; spiker wznowił

wywiad z Willow Frost.

„Dorastałaś niedaleko stąd”, zagaił.

„Zgadza się, w stanie Waszyngton, w chińskiej dzielnicy Seattle. Ale wyjechałam stamtąd dawno temu. I nie myślałam, że kiedykolwiek wrócę, choćby i za sto lat”.

„Dlaczego?”.

William wytrzymał słuch. Willow znowu zrobiła pauzę, a on czekał w ciemności, z szeroko otwartymi oczami, przykładając ucho do drzwi. Słyszał bębnienie ulewy.

„Po prostu... chyba nie miałam powodu wracać. Nic mnie tam nie trzymało”.

Radio ścichło i rozległ się pstryk – niestety, siostra Briganti wyłączyła odbiornik. Zaraz potem zgasiła światło. W całkowitej ciemności rozległy się jej kroki, z wysiłkiem wchodziła po schodach.

## Sami we dwoje

1934

William nocował już wcześniej w magazynie ubrań, podobnie jak większość chłopców. Czasami zasłużenie, tak jak wtedy, kiedy siostra Briganti przyłapała go na rzucaniu monetami w kaplicy. Innym razem po prostu znalazł się w niewłaściwym miejscu w nieodpowiednim czasie. Noc w magazynie nie była zresztą tak dotkliwą karą jak noc w kotłowni. Nawet w zimie było w niej gorąco i przywodziła na myśl ogniste, pełne siarki piekło, przed którym przestrzegali wszystkich zakonnice. W kotłowni panował też taki hałas, że nikt z zewnątrz nie słyszał płaczu ani krzyków zamkniętej osoby. William pamiętał, jak siostry przyłapały raz Sunny'ego na bójce i za karę zamknęły go w kotłowni na trzy doby. Sunny nigdy więcej nikogo nie uderzył, nawet w sytuacji, kiedy we dwóch z Williamem starali się uruchomić stare radio kryształkowe do składania podarowane przez skautów i nagle podszedł Danny i przewrócił pudełko, mówiąc: „Sunny bałaganiarz”. Po czym roześmiał się na widok rozsypanych przewodów i gałek, a także złamanego delikatnego drucika detektora. Bez tego cieniutkiego drucika radyjko nie mogło działać. Jedna z dziewcząt od razu spodziewała się bójki i pobiegła po którąś z zakonnice, ale Sunny nie powiedział nawet obelżywego słowa, tylko zaczął wyglądać przez okno i wpatrywać się w unoszący się w niebo czarny dym z komina.

Jak wiele innych sierot, William najbardziej bał się przebywać sam. To będzie tylko jedna noc, pocieszał się w myśli. Po pięciu latach spania w sali z dwudziestoma paroma kolegami czuł się nieswojo, nie słysząc ich chrapania, chichotów, szeptów czy choćby skrzypienia sprężyn starych prycz, nie wspominając już o pojedynczych trzaskach drewnianych belek, odgłosach w rurach, wreszcie gwałtownych uderzeniach wiatru o szyby. Nieprzyjemna cisza, kojarząca się Williamowi z pustką i samotnością, powodowała narastanie w nim uczucia paniki, szczególnie gdy usłyszał przytłumione bicie starego zegara dwa piętra wyżej. Uświadomiło mu, jak długa czeka go noc.

„Nic mnie tam nie trzymało”. William przypominał sobie raz po raz słowa Willow.

W ciemności odsunął na bok buty i zdjął z wieszaków dwa wełniane płaszcze, żeby zrobić sobie z nich prowizoryczne legowisko, niczym jakieś dzikie stworzenie. Metalowe wieszaki wciąż pobrzękiwały, ciemne kształty nad nim kołysały się w mroku. Nie mógł zasnąć. Poza tym chyba słyszał kroki czy może lekkie stukanie. Nie, to tylko trzeszczą deski podłogi, myślał. Budynek jest nowy i jeszcze osiada. Zdawał sobie sprawę, że siostra Briganti raczej się nie rozmyśli i go nie wypuści. Już prędzej o nim zapomni aż do chwili, kiedy komuś będzie potrzebny płaszcz. Albo aż William zmoczy podłogę. Jedno lub drugie powinno nastąpić dopiero następnego rana.

Zdjął z wieszaka trzeci płaszcz i akurat kiedy przykrył się nim jak kołdrą, usłyszał wyraźny szcęk klucza w zamku. Podniósł rękę i poczuł, jak ktoś naciska klamkę. Odskokzył.

– William... – szepnął zza uchylonych drzwi dziewczęcy głos.

– Charlotte? – upewnił się, kierując słowa do widocznej ciemnej sylwetki. Charlotte podpełzła do Williama, a potem oparła się plecami o ścianę koło niego, podciągając kolana i kładąc przed sobą białą laskę. Wyjrzała do ciemnego holu. W głębi korytarza widać było słaby poblask. Nocne światelko zgasło na chwilę, kiedy za oknami zajaśniała błyskawica. Ulewa tłukła

w szyby. William zamknął z powrotem drzwi, słysząc potężny odległy grzmot. – Co ty tutaj robisz? – spytał. – Skąd wzięłaś...?

– Siostra B zostawia klucz na korytarzu, w tej szafie ze świecami. Zawsze słyszę, jak go odkłada – wyjaśniła drżącym głosem Charlotte. – Ja... Nie lubię takich nocy, zwłaszcza kiedy jestem w moim domku. Nieraz przychodzę i chowam się tutaj w czasie bardzo złej pogody. – Dziewczynka pociągnęła nosem i wytarła go rękawem długiej flanelowej koszuli nocnej.

– To tylko burza – odpowiedział William. – Siedzimy w dużym budynku, zupełnie nic nam tu nie grozi. Nawet gdyby piorun uszkodził instalację elektryczną...

W tej samej chwili światło błyskawicy wpadło przez szparę pod drzwiami, tak że William zobaczył Charlotte, przyciskającą mocno kolana do piersi. Równocześnie budynkiem wstrząsnął grzmot. Dziewczynka się skrzywiła, a William okrył ją płaszczem.

– Czy powinienem sobie stąd pójść? – zapytał. Nie był pewien, co zrobić.

– Zostań, proszę – odpowiedziała Charlotte, kręcąc głową.

– Boisz się ciemności? To normalne... – Nagle William uświadomił sobie, że zadał całkiem bezsensowne pytanie.

– Nie boję się ciemności – odpowiedziała Charlotte, zanim zdążył ją przeprosić.

– Ta burza przejdzie. Masz moje słowo.

– Burzy też się nie boję.

William siedział lekko skonsternowany. W każdym razie towarzystwo Charlotte przyniosło mu ulgę. Była jego najlepszą przyjaciółką. Nie miał zresztą innych przyjaciół, dopóki nie przyjęto do sierocińca Sunny'ego. Przysunął się do Charlotte, a ona nachyliła się ku niemu i oparła głowę na jego ramieniu. Potem uniosła rękę i zawiesiła laskę pomiędzy ubraniami. Następnie podzieliła się z Williamem okrywającym ją płaszczem. Otulił nim ich oboje. Ramiona Charlotte drżały. Dygotała.

– Czego się tak boisz? – spytał. Czego oprócz burzy, nauczycielek, chłosty, myślał.

Nastąpiła chwila milczenia. Dziewczynka pokręciła głową i westchnęła głęboko, jak ktoś zupełnie wyczerpany.

– Kiedy nie było światła, moja mama zapalała świece i śpiewała mi – odezwał się znowu William. – Mówiła, że grzmoty to takie brawa, a błyskawice to niebiańskie reflektory. Wchodziłem do jej łóżka, a mama obejmowała mnie, aż zasypiałem.

– Miałeś wielkie szczęście, Williamie.

Przez krótki czas tak czuł, wtedy i teraz, bo nie był tak całkiem samotny.

– Po śmierci mojej mamy został tylko ojciec – wyszeptła Charlotte. – Przychodził zawsze w czasie burzy do mojego pokoju, „tylko żeby sprawdzić, co ze mną”, jak mi tłumaczył. Przeważnie nic nie mówił. Nie widziałam go oczywiście, ale wiedziałam, że to on.

William nadstawił uszu. Nie do końca rozumiał słowa przyjaciółki. Zawsze się zastanawiał, co się stało z jej ojcem. Charlotte zmieniła temat, zanim zdążył o to zapytać.

– Niedługo będę musiała opuścić ten sierociniec – oznajmiła.

– Dlaczego? Jesteś tu dłużej niż ja. – A poza tym, kto by cię zechciał...?

– Odeślą mnie stąd. Mówią, że już tu nie pasuję. Wyślą mnie do szkoły specjalnej, dla takich jak ja. Siostra B mówi, że już czas, żebym znalazła się w towarzystwie osób podobnych do mnie.

William przełknął z wysiłkiem ślinę i zagryzł wargi. Przypomniał sobie, jak latem przyjeżdżali nieraz do sierocińca rolnicy z doliny Yakima i adoptowali najsilniejszych chłopców – albo, czasami, najładniejsze dziewczynki. Nikt nie adoptowałby niewidomej, choćby była najpiękniejsza.

– Ale dokąd pojedziesz? – spytał. – Może w tej szkole specjalnej nie jest tak źle? Nauczają

cię czytać palcami...

Charlotte pokręciła głową.

– Dobrze wiem, jak tam jest – odpowiedziała. – Ojciec groził mi, że mnie tam pošle, jeżeli nie będę robiła tego, co mi każe, albo jeżeli powiem o nim cokolwiek złego. W tej szkole sadzają uczniów w sali i przez cały dzień trzeba robić miotły. Nic więcej się tam nie dzieje, aż w końcu człowiek jest za stary, żeby uczyć się czegokolwiek innego. Kiedy ktoś odmawia robienia mioteł albo narzeka, zamykają go.

Trzeba przyznać, że dobrą stroną sierocińca pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa było to, że bardzo rzadko kogoś z niego wyrzucano. Siostra Briganti nie robiła tego nawet najgorzej zachowującym się podopiecznym. Krążyły plotki, że państwo płaci siostronom stałą sumę za każde dziecko, więc przepelniony sierociniec nie stanowił dla zakonnicy wielkiej tragedii.

William nie znajdował słów na pocieszenie Charlotte. Jeżeli siostry uważały, że lepsza będzie dla niej szkoła specjalna, nic nie mogło odmienić ich decyzji. Zresztą dokąd indziej mogła pójść Charlotte? Nie miała żadnego wyboru.

Jego przyjaciółka znowu westchnęła przeciągle.

– Chcę wyjść stąd razem z tobą – oświadczyła.

– A ja dokąd pójdę? – odpowiedział pytaniem William, choć miał na to niejasny pomysł, czy może raczej powodowane tęsknotą marzenie, nadzieję, jeszcze nienakreślony plan.

– Razem z tobą chcę ją odszukać.

– Willow? – upewnił się William, zwracając uwagę na kwiatowy zapach szamponu Charlotte. Nieporównanie przyjemniejszy niż zatęchła woń wielkiej szafy. W sypialni chłopców czuć było pot; William spędził w niej tak wiele czasu, że w jednej chwili zdał sobie sprawę, jak bardzo mu brakuje uspokajającego zapachu perfum, aromatów domu.

– Twoją matkę.

– Nawet nie wiem, czy ta kobieta rzeczywiście nią jest. Siostra Briganti może mieć rację. Niewykluczone, że to tylko gra mojej wyobraźni. – Pewnie każdemu jawi się w pewnym momencie taki miraż, pomyślał William. Smutnemu, samotnemu dziecku trudno się zbudzić z radosnego snu.

Charlotte ściągnęła z wieszaka kolejny płaszcz, którym przykryła ich oboje. Wtuliła się w Williama, a on słuchał padającego deszczu i jej oddechu, aż w końcu wydało mu się, że zasnęła. Poruszyła się jednak jeszcze i wyszeptwała:

– Pomyśl, Willie. Oboje nie mamy nic i nikt nas nie chce. To znaczy, że nie mamy nic do stracenia.

William spoglądał w ciemność, zastanawiając się, czy świat wydaje się Charlotte właśnie taki. Ale doszedł do wniosku, że skoro w ogóle nic nie widzi, to pewnie postrzega świat przez pryzmat swojej wyobraźni. Czyli z pewnością wydaje jej się lepszy niż w rzeczywistości.

Słuchał jej oddechu, aż wreszcie zapadła w niespokojny sen. To drżała, to krzyczała stłumionym głosem.

## Karmienie świń

1934

Kiedy William się obudził, zobaczył, że Charlotte zniknęła – podobnie jak niegdyś jego matka. Pozostawiła go sam na sam z wątpliwościami, czy rzeczywiście z nim była. Ze schowka wypuścił go dozorca. William rozprostował obolałe nogi i utykając, poszedł do sali sypialnej. Przez cały dzień bolały go plecy.

Wieczorem z ulgą położył się spać znowu na własnej pryczy. Przez cały tydzień śnił o filmie *Movietone Follies* i każdego ranka budził się, sennie szukając w pamięci smutnych melodii piosenek, których słów już dawno zapomniał. Liczył deszczowe dni i poranki w suchej pościeli, zbliżając się coraz bardziej do chwili, w której miała wystąpić Willow Frost – nie mógł z całą pewnością myśleć o niej jako o swojej matce. Rozmyślał o pragnieniu ucieczki wyrażonym przez Charlotte. „Tu nic nie ma. I nikt po nas nie przyjedzie, nikt”. Wiedział, że jego przyjaciółka ma rację, lecz wciąż się wahał.

Przewrócił się na bok i przez chwilę wpatrywał się w zdjęcie Willow, aż w końcu usiadł na łóżku i podrapał się w głowę. Koledzy już myli zęby i ubierali się. Na stolikach niektórych chłopców stały dumnie fotografie w sepii przedstawiające ich z rodzicami, w królewskich pozach. William dysponował jedynie zdjęciem z ulotki o pozaginanych rogach. Ustawił je w ramce, którą zrobił z patyków od lodów i kauczukowego kleju. Patrząc na podobiznę Willow, nie wątpił, że mają takie same oczy i podbródki. Pamiętał, że nos jego mamy był odrobinę skrzywiony w lewo. Nie dało się stwierdzić na podstawie zdjęcia, czy tak samo wygląda nos Willow, ponieważ fotograf ukazał ją z lepszej strony, podświetlając także od tyłu; w każdym razie William pamiętał o tym charakterystycznym skrzywieniu nosa. Zastanawiał się, co matka mogła o nim zapamiętać. Kilka lat wcześniej był mały, więc to on mniej pamiętał. Jak mogłaby o nim zapomnieć jego własna matka? Jak matka mogłaby porzucić własne dziecko?

\*

Po śniadaniu William szybko złapał książki i wbiegł na piętro, do sali lekcyjnej, w której tłoczyło się w schludnych rzędach trzydzieścioro pięcioro dzieci, chłopcy po lewej, a dziewczynki po prawej, po dwie osoby w ławce. Tylko Marco miał swoją prywatną przestrzeń i chyba bardzo mu to odpowiadało, choć po prostu siedział na wózku inwalidzkim w kącie z przodu sali.

William wcisnął się na miejsce w ostatniej ławce obok Dantego, który był dwa razy większy od niego, ale niezdamy. Stawiał zamaszyste kroki, poruszając się jak jakiś wielki pies, który nie zdaje sobie sprawy ze swoich rozmiarów.

– Przepraszam, że cię wtedy popchnąłem – szepnął William. – Jak chcesz mi oddać, możesz uderzyć mnie w ramię.

– Nie muszę. – Dante pokręcił głową. – Spędzenie nocy w schowku na ubrania to wystarczająca kara. Moim zdaniem za surowa.

Dante miał już dość tego, że zakonnice mówiły na niego „Danny”. Powiedział kiedyś, że to brzmi zbyt irlandzko; a ostatnio zapragnął być nazywany Sawyerem, na cześć nieżyjącego ojca. Jak na potężnego syna drwala, Sawyer wyjątkowo dużo płakał.

Siostra Seeley uczyła arytmetyki, ale William jej nie słuchał, tylko wyglądał przez okno. Wokół sierocińca pod wezwaniem Najświętszego Serca widać już było jesień, z charakterystycznym dywanem mokrych liści magnolii. William szacował swoje szanse na ucieczkę i dostanie się z Charlotte do 5th Avenue Theatre, Pantages lub Palace Hippodrome – miejsc, w których mogła wkrótce wystąpić Willow. Nigdy nie był w żadnym z tych teatrów, jednak od zawsze podziwiał plakaty na ulicach. Ekscytowały go nawet te stare, spłowiałe i ponaddzierane afisze, ukazujące pary tańczące na lodzie, zwierzęta robiące rozmaite sztuczki, magików w roziskrzonych od cekinów kamizelkach, wreszcie dziecięcych artystów w stylu Dainty June Hovick – ukochanego dziecka wodewilu. Wstęp kosztuje przeważnie dwadzieścia pięć centów, myślał William. Ale bilety na występ Willow mogą być trochę droższe. Miał całego dolara w drobnych monetach. Schował go pod kamieniem w grocie. Noclegi w tanich przytuliskach kosztowały po cztery centy, trzeba było kupić bilety na tramwaj i jeszcze przesiadkę – nie starczyłoby mu z Charlotte pieniędzy na przeżycie tygodnia w mieście. A zima czaiła się tuż za rogiem.

– Ciągłe myślisz o tym występie, prawda? – zagadnął szeptem Sunny z ławki obok. William pokręcił głową. – Złapią cię i z całą pewnością stąd wyrzucą. Wyślą cię na farmę dla biednych, a w porównaniu z nią mamy tutaj jak w niebie.

„Jak w niebie”, powtórzył w myśli William. Niektórym naprawdę się tu podoba. Ależ okropne musiało być ich życie, zanim trafili pod opiekę zakonnic.

Był małym Chińczykiem; zawsze próbował dopasować się jakoś do reszty, ale wiedział, że sierociniec Najświętszego Serca Pana Jezusa nie jest miejscem, gdzie mógłby się czuć jak u siebie. Koledzy patrzyli na niego dziwnie i nazywali go żółtkiem, a kiedy pytali go, co najbardziej lubi jeść, i odpowiadał im, że pieczone kurze łapki, byli przerażeni. Tommy’ego Yuena traktowali tak samo. To nie był ich raj. Choć z drugiej strony Sunny miał rację. W poprzednim miesiącu chłopcy dowiedzieli się, że rada sprawująca pieczę nad sierocińcem przegłosowała, żeby usunąć z niego wszystkie kolorowe dzieci, posłać je na farmę dla biednych okręgu King położoną w dolinie rzeki Duwamish. Tam miały pracować, związane umową do dwudziestego pierwszego roku życia, bez możliwości przeniesienia dokądkolwiek ani adopcji.

William obawiał się tego gospodarstwa rolnego, choć widział je tylko w teatrze własnej wyobraźni. Obrazy były tym żywsze, im więcej historii o farmie opowiadała siostra Briganti. „Gospodarstwo rolne dla ubogich to nie jest instytucja charytatywna, to jaskinia nieprawości – mówiła. – Gazeta publikuje nazwiska posyłanych tam osób, żeby cały świat mógł je przeczytać. Modląc się przed snem, dziękujcie, że obok waszej pryczy nie śpią dorośli mężczyźni, pijacy, wałkonie, bezdomni, którzy przeklinają, wdają się w bójkę i sprawiają mnóstwo kłopotów. Albo jakiś nienasycony stary zalotnik, prawdopodobnie chory na umyśle. Kradną tam buty, kiedy człowiek śpi, tylko po to, żeby ugotować sobie zupę na skórze”.

William zamrugał powiekami. Siostra Seeley przyłapała go na rozmyślaniach.

– Willie, może podejdiesz do tablicy i rozwiążesz dla nas to równanie? – odezwała się i podała mu kredę, opierając drugą dłoń na biodrze.

William przeszedł na przód sali i popatrzył tępo na tablicę. Wciąż się zastanawiał, jak mógłby poradzić sobie poza sierocińcem, razem z Charlotte lub bez niej. Czy warto zaryzykować? Obracał w dłoni kawałek kredy, myśląc o tym, jak niegdyś mama pomagała mu w odrabianiu lekcji, był wtedy w drugiej klasie. Jego matka była wesoła, zawsze zadowolona i niesłychanie dumna. On także odczuwał w tamtym czasie coś w tym rodzaju, choć słabo owe uczucia pamiętał. Nie był pewien, czy obecnie w ogóle rozpoznałby ten rodzaj miłości i podziwu. Wszystko stało się takie zagmatwane. Jeszcze raz spojrzął na tablicę. Życie mu się poplątało – a poza tym nie był dobry z matematyki.



\*

– Powinniśmy to zrobić – na wpół przekonywała, na wpół błagała Williama Charlotte, szepcząc do niego przy obiedzie. – Powinniśmy uciec. We dwoje radzilibyśmy sobie lepiej. – Mówiła z wielkim entuzjazmem, ze śmieszną, dziecinną pewnością siebie, jak gdyby była kilkulatką, która zobaczyła z odległości stu kilometrów wystający ponad chmury szczyt Mount Rainier i zawołała: „Musimy wejść na tę górę!”.

William nie był pewien, czy Charlotte ma rację. W sierocińcu nie mógł spędzać z przyjaciółmi tyle czasu, ile chciał, jednak w prawdziwym świecie byłby oczami, opiekunem i obrońcą Charlotte. Owszem, była jego najlepszą przyjaciółką, lecz nie wiedział, czy poradziłby sobie z tak wielką odpowiedzialnością. Nie wiem, jak bym zarabiał na własne utrzymanie, martwił się. Szkoda, że nie miał się do kogo zwrócić. Większość krewnych jego matki umarła na hiszpankę, a jedyni kuzyni, których imiona i nazwiska pamiętał, wyjechali przed laty.

– Czy znasz kogokolwiek, kto mógłby nam pomóc? – zapytał. Charlotte odnalazła palcami brzeg talerza i obróciła go w prawo. Jadła, wycierając brodę serwetką.

– Mam rodzinę – odpowiedziała. – Ale jestem w niej białą owcą.

Nie rozumiał, co to znaczy, popatrzył tylko na jasną skórę i włosy Charlotte.

– Ja jedna jestem normalna. Mój ojciec i wszyscy jego bracia siedzą za kratkami, na wyspie McNeil. – Uśmiechnęła się i wbiła łyżkę w górę puddingu jabłkowego. William nie był pewien, czy Charlotte tak się cieszy, że jej ojciec siedzi w więzieniu, czy też smakuje jej deser. – A babcia ma pełne ręce roboty przy dziadku, który stracił rozum na wojnie z Hiszpanią. Nie wiem, czyby nam pomogła. Na pewno dałaby nam jeść, ale pewnie zaraz potem znowu by nas tu przyprowadziła.

Siostra Briganti stale przypominała, że w otaczającym świecie są głodujące dzieci, i to mające zdrowych rodziców. Tak ciężkie czasy nastały. William spojrzał na leżącą przed nim kanapkę i się skrzywił. Kanapka z pomidorem. Codziennie od sierpnia jadał kanapki z pomidorem. Niedługo miały je zastąpić kanapki z cukinią; będą je jedli zimą, a on będzie tęsknił za pomidorami. Drugie śniadanie i tak wydawało się kolorowe i zróżnicowane w porównaniu z pierwszym, które zawsze stanowiła owsianka. Nie znosił tej ciepłej papki, bo był przedostatni w kolejce i musiał wybierać osiadłe na dnie gara wołki zbożowe. Ostatni dostawał owsiankę Sunny; pewnego ranka odmówił i patrząc hardo, oznajmił siostrze, że nie jest głodny. Dostał za to lanie i podwójną porcję następnego dnia. Zjadł ją, nawet nie wybierając robaków, a później zwymiotował całość na jedną z zakonnice. Williamowi nie chciało się pytać, czy jego przyjaciel zrobił to specjalnie.

– Nie wiem, nie podoba mi się tutaj tak samo jak innym – odpowiedział Charlotte, kręcąc głową – ale zdaje się, że na świecie jest okropnie. – I kto wie, co by się stało, gdybyśmy zostali złapani? – myślał. Siostra Briganti kazałaby nam chyba odmówić tysiąc zdrowasiek, a potem odesłałaby nas do przytułku.

– W każdym razie ja stąd odchodzę, z tobą czy bez ciebie. I nigdy nie wrócę – oznajmiła Charlotte. Zrobiła pauzę, jak gdyby czekała na jego reakcję. – Nigdy.

William odgryzł kęs czerstwego chleba i zaczął go przeżuwać.

– Z czego będziesz żyć? – spytał. – Będziesz kradła z kominów stalowe osłony czy jak? Sprzedawała owoce na ulicy? – Ucieczka niewidomej dziewczyny z sierocińca? To był skrajnie niemądry pomysł. Mimo jego negatywnej oceny William czuł wielki podziw dla Charlotte, jej odwagi, jej, dosłownie, ślepej ambicji. Nie zamierzała pogodzić się z tym, że przez resztę życia będzie robiła miotły czy przyszywała guziki do płaszczy. Hm, skoro niewidoma dziewczynka nie boi się...

– Coś sobie znajdziemy – odpowiedziała, spoglądając w nieokreślonym kierunku. Patrzyła w nicość, ale uśmiechała się do wszystkiego... albo do kogoś.

Jeżeli Willow jest moją mamą, to chyba musi wziąć mnie z powrotem do siebie? – zastanawiał się William. Pewnie pomyślała, że adoptowała mnie jakaś rodzina, więc już nie da się mnie odzyskać. Bo gdyby było inaczej, dlaczego godziłaby się z moim pobytem tutaj, porzucając mnie całkowicie? Kiedy się zorientuje, że jestem jej utraconym przed laty synkiem, wkrótce potem wyślemy matce Angelini widokówkę – naszą fotografię, jak stoimy we dwoje przed napisem HOLLYWOOD. William wyobraził sobie, jak przeorysza pada na ten widok w swoim gabinecie, umierając na zawał lub udar.

Nie dawała mu jednak spokoju inna myśl. Miał nadzieję, że tak nie jest, ale zupełnie nie mógł mieć w tej sprawie pewności: obawiał się, że matka rzeczywiście wcale go nie chce. Mogło się tak okazać.

Zanim Charlotte zdążyła dodać coś na poparcie swoich słów, w jadalni zapanowała nagle cisza, po czym przez środek przeszła siostra Briganti z linijką w dłoni.

– *Porci pinguescunt porcis adepto mactatos* – zacytowała wesołym, śpiewnym tonem łacińskie przysłowie, oznaczające dosłownie, że świnie się tuczy, a tuczniaki są zarzynane. Chodziło jednak o ciężką pracę i unikanie lenistwa. Powtarzała to tylko w jadalni, i zawsze bardzo ją to bawiło. To miał być taki żart, dobrze zrozumiały tylko dla niej i Ducha Świętego. – Mam dla was wyjątkową niespodziankę po obiedzie, więc jedzcie, małe prosiaczki – zapowiedziała. – Nie guzdrajcie się, nie ociągajcie, bo przegapicie.

Dzieci jadły szybko, szepcząc pomiędzy sobą. W tej samej chwili pod wejście do szkoły zajechała z hałasem ciężarówka. Zaraz potem rozległ się donośny dźwięk klaksonu.

– Pewnie rzeźnia na kółkach – odgadł Sunny. – Widziałem już taką ciężarówkę, u nas w rezerwacie. Pędzą świnie pod górę, na rampę, a potem nagle wielka gilotyna ścina im łby.

Dziewczynka siedząca przy najbliższym stoliku jęknęła.

William nigdy nie wiedział, kiedy Sunny żartuje, ponieważ zawsze mówił beznamiętnym tonem. Przyjaciel trącił Williama lekko w ramię, lecz wciąż się nie uśmiechał.

– Kiedy na waszych talerzach już nic nie zostanie, możecie wychodzić na dwór – ogłosiła siostra Briganti, strzeliwszy palcami. Schowała linijkę do rękawa i sama wyszła. William szybko skończył kanapkę, popijając z blaszanego kubka ciepłe mleko z proszku, żeby łatwiej przełknąć chleb. Wstał i poczuł dłoń na ramieniu – to Charlotte złapała go za rękę. Wyprowadził ją z jadalni i sprowadził po schodach na parter. Wychodzące na dwór dzieci były tak podekscytowane, że nie traciły nawet czasu na wkładanie płaszczy lub czapek.

Na dziedzińcu stała olbrzymia ciężarówka z wymalowanym na drzwiach napisem OKRĘG KING. Pudło ciężarówki było zamknięte; przypominało autobus, ale bez okien, choć z drugiej strony były w nim panele, które wyglądały na otwierane. William patrzył, jak na wilgotną trawę opada tajemnicza rampa z tyłu. Kojarzyło mu się to z trapem parowca.

Opowiadał Charlotte, co widzi, a ona przytakiwała, wymachując lekko laską. Wtem ktoś postukał go w wolną rękę. To był Sunny.

– Mówiłem – powiedział, po czym zaczął kwiczeć i chrząkać, jak świnia.

William wiedział, że Sunny żartuje, mimo to ciężarówka budziła w nim niepokój. A może to była wędrowną trupą artystów? Na przykład teatr lalkowy albo orkiestra dęta. Dobrze by było.

Siostra Briganti skinęła na kierowcę, który wyłączył silnik. Ku wielkiemu zdziwieniu Williama z kabiny wysiadła młoda szatynka o krótkich włosach i z uśmiechem zamachała do dzieci, spoglądając na nie znad okularów. Ściągnęła rękawiczki, w których prowadziła ciężarówkę, i poprawiła kapelusz.

– Nie możemy pojechać do biblioteki, więc biblioteka zgodziła się przyjechać do nas –

oznajmiła siostra Briganti. – Oto tak zwana biblioteka objazdowa, a to jest panna Fredericks.

William wciąż nie rozumiał, o co chodzi, aż bibliotekarka podniosła osłony z obu boków ciężarówki i oczom dzieci ukazały się setki książek. Były nawet składane schodki-stołeczki dla niższych czytelników. Część podopiecznych sierocińca zaczęła bić brawo i piszczeć z radości tak głośno, że aż z koron drzew nad nimi zerwały się do lotu wystraszone ptaki. Panna Fredericks weszła po rampie do środka i po chwili wytoczyła skrzypiący metalowy wózek pełen ilustrowanych książek. Jedna z zakonnice zaczęła go pchać ku domowi małego dziecka. Starsze dzieci ustawiły się w kolejce i co chwila stawały na palcach, żeby ponad ramionami koleżanek i kolegów lepiej przyjrzeć się objazdowej bibliotece. William na chwilę zapomniał o matce. Odnajdywał kolejne dzieła Defoe, Dickensa, Hawthorne’a i Longfellowa oraz dziesiątek innych pisarzy, których nazwisk nie znał. Były całe półki książek Olivera Optica, Horatio Algera, a nawet powieści detektywistycznych z serii *The Hardy Boys*. Były także broszury traktujące o współczesnych plagach. Siostra Briganti przejrzała na przykład dzieło pod tytułem *Orgie konsumentów konopi*, a także książeczkę o abstynencji. Do ubiegłego roku obowiązywała prohibicja – alkohol był zakazany, odkąd William sięgał pamięcią. Pierwsza komunia święta, w której ramach poznał smak wina, wprawiła go więc niegdyś w zakłopotanie. Chyba Bóg wyznaczył wyjątki od abstynencji, pomyślał.

Kolejka stawała się coraz krótsza, a radosne podniecenie Williama rosło. Uśmiechnięte, uszczęśliwione dzieci odchodziły z książkami w dłoniach. Znajdowały sobie miejsca do siedzenia i zagłębiały się w lekturze. Dotąd William tylko raz w życiu był w bibliotece publicznej, podczas wycieczki edukacyjnej. Nie wolno im wtedy było zdejmować książek z półek, ale na zawsze zapamiętał tamto miejsce: książki poustawiane rzędami aż pod sufit, na regałach, pomiędzy którymi można się przechadzać. Biblioteka to jak sklep ze słodyczami, w którym wszystko jest za darmo, myślał.

Sunny, Charlotte i William postąpili kolejny krok naprzód.

– Williamie, wybierz, proszę, coś dla mnie – odezwała się Charlotte, stukając laską. – Tak bardzo bym chciała, żebyś mi poczytał.

– Dobrze. Obiecuję ci – zgodził się William, lekko trącając ją w ramię. Nagle ktoś złapał go z tyłu za kołnierzyk, omal nie urywając jednego z guzików. To siostra Briganti odciągnęła na bok Williama i Sunny’ego.

– Nie poczytacie, dopóki nie sprzątniecie w kuchni – oznajmiła surowo, unosząc brwi. Poprowadziła ich z powrotem do jadalni.

– Dobrze, proszę siostry – odpowiedzieli jednocześnie. William odwrócił głowę. Smutna Charlotte zwracała twarz w stronę ciężarówki z książkami, oparta na lasce. Bibliotekarka uśmiechała się nerwowo. Nie odzywała się do stojącej przed nią niewidomej dziewczynki.

Wszyscy podopieczni sierocińca sprząтали, zmywali i prali. Zamieniali się kolejno zadaniami. Raz myło się podłogi, kiedy indziej szorowało toalety. William zapomniał, że tego dnia miał sprzątać w kuchni. Sunny założył fartuch i zaczął zmywać, William wyniósł śmieci. Spieszyli się obaj w obawie, że wspaniała biblioteka na kołach odjedzie, zanim skończą pracę.

William ciągnął pojemniki na tył głównego budynku, gdzie segregował śmieci, wrzucając je do większych kontenerów. Stały dwa: jeden był przeznaczony na obierki, ogryzki i inne resztki jedzenia. Zabierali je pobliscy hodowcy świń i wykorzystywali odpadki do ich karmienia. Do drugiego kontenera trafiały pozostałe śmieci. William tak się cieszył z pojawienia się objazdowej biblioteki, że aż zaczął myśleć, iż w sierocińcu nie jest tak źle. Może bezpieczniej będzie po prostu do niej napisać, zastanawiał się. Kiedy się dowie, że tu jestem, przyjedzie po mnie. „Szanowna Willow Frost...”.

Wtem w jednym z pojemników dostrzegł znajomą twarz na pogniecionej kartce. To było

jego zdjęcie Willow, pokryte skorupkami jajek i fusami od kawy! Wydobył je patykiem i wytarł fotografię skrajem koszuli. Próbował ją osuszyć, rozprostować. Pewnie siostrze Briganti nie spodobało się zdjęcie piosenkarki. Na pewno to ona zgmiotła je rano i wyrzuciła do śmieci. William ostrożnie złożył wilgotne zdjęcie i schował je do kieszeni. Potem wślizgnął się niepostrzeżenie do sali sypialnej i popatrzył na pusty stolik – ramki z patyków od lodów już nie było. Usiadł w nogach swojej pryczy i wyjął z kieszeni zdjęcie woniejące nadgniętymi owocami.

– Mamo, dlaczego...? – szepnął, wpatrując się w samotności w podobiznę nieznanego mu, tajemniczej kobiety. Duch jego matki odpowiedział mu niemym spojrzeniem.

## Wymeldowanie

1934

William spędził większą część tego zimnego, mokrego niedzielnego popołudnia uwięziony w budynku sierocińca: stał na drabinie i mył okna na drugim piętrze. Delikatna skóra jego palców pomarszczyła się, gdy raz za razem zanurzał gąbkę w drewnianym kubku z wodą z octem. Wycierał okna do sucha starymi gazetami i przy okazji wyglądał przez czyste jak lza szyby. Widok był imponujący, rozległy. William patrzył przez mgłę w stronę chińskiej dzielnicy, próbując przypomnieć sobie zapachy z restauracji Tai Tung, smak sezamu z tłustym od oleju makaronem ryżowym, brzmienie głosu matki. Muszę opuścić to miejsce, postanowił sobie mocno. Rozproszyły go myśli o rychłym przybyciu Willow do miasta. Obawiał się, że piosenkarka i aktorka wyjedzie z powrotem i zniknie, zanim będzie miał możliwość spojrzeć jej w oczy i poszukać odpowiedzi na pytania, jakie zadawało jego złamane serce. Podziwiał wysokie budynki pośród mgły i nagle zwrócił uwagę na własne odbicie w szybie, na zarys swojej twarzy, brody. Były takie same jak u tajemniczej kobiety, którą widział w filmie. Światło igrało na wypolerowanej szybie, a on próbował przewidzieć swoją przyszłość, niczym Cyganka spoglądająca w kryształową kulę. Starał się ubrać odbicie w treść. W pewnej chwili krzyknęła na niego przechodząca siostra Briganti. Zganiła go za dumanie, ociąganie się i wycieranie rąk w pumpy. I tak poplamił je poprzedniego dnia palcami ubrudzonymi atramentem.

Dokończył mycie i po kolacji spotkał się z Charlotte w sali do odrabiania lekcji. Jego przyjaciółka prosiła, żeby ktoś przeczytał jej zadanie z historii, więc William zgłosił się na ochotnika, jak zawsze, mimo że nadal miał kłopoty z odczytywaniem długich, trudnych słów i nazwisk. Czytając na głos, rozejrzał się i pomyślał, że Charlotte mogła polegać tylko na jego pomocy, ponieważ inni zachowywali się w jej obecności dziwnie. Czytywali jej, ale albo robili to tak głośno, jak gdyby była głucha, albo upraszczali tekst, jakby była mało inteligentna. William siedział przy niej i przypominał sobie, jak reagowali wszyscy po kolei nowi przyjmowani do sierocińca chłopcy: najpierw oglądali się, zwracając uwagę na jaskraworude włosy jego przyjaciółki, a potem szybko tracili zainteresowanie, zauważając białą laskę i szeroko otwarte, zamglone oczy, które nigdy nie skupiały się na tym, co chciały zobaczyć.

– Kiedy zamierzasz to zrobić? – zapytała Charlotte.

– Czy nie powinniśmy raczej dalej uczyć się historii?

– Cały ten sierociniec przejdzie do historii, kiedy go opuścimy.

William zawahał się, po czym wzruszył ramionami i zamknął książkę.

– Czytałem w gazecie – zaczął, rozglądając się, żeby sprawdzić, czy nikt nie podsłuchuje ich rozmowy – że Movietone Players rozpoczynają swoją trasę od występu w 5th Avenue Theatre w najbliższy piątek. Myślę, że powinniśmy wykorzystać najlepszą możliwą okazję i pogodę, ale poza tym im bliżej końca tygodnia, tym lepiej.

Charlotte przytaknęła.

Im bliżej spektaklu, tym krócej będziemy musieli radzić sobie w mieście, myślał William. Poza tym będziemy mieli więcej czasu na oszczędzanie herbatników i kawałków chleba ze wszystkich posiłków. Miał ich już dużo; trzymał je zawinięte w pochodzące z kuchni płótno do wyrobu sera. Wystarczy im tych resztek, żeby wyżywić się przez cały tydzień. Wprawdzie będą

nie dojadać, ale przynajmniej nie będą głodować. To znaczy nie od razu.

– Nadal nie wiem, jak sobie poradzimy – przyznał. Potrzebowali pieniędzy. Inaczej nie przetrwają w mieście dłużej niż tydzień.

– Mogę zebrać, jeśli będę musiała – zaofiarowała się Charlotte. – Nie jestem przesadnie dumna.

William obawiał się, że właśnie do tego dojdzie. Pamiętał powrót tramwajem do sierocińca i dziesiątki mijanych mężczyzn trzymających tablice z napisami, że proszą o jedzenie, szukają pracy albo schronienia. Sunny opowiadał kiedyś, że zatrudnił go w centrum miasta zarządca nieruchomości. Praca polegała na bieganiu od mieszkania do mieszkania i sprawdzaniu węchem, czy spod drzwi nie wydobywa się zapach gazu. Ludzie nie mieli pracy, głodowali. Żałosne warunki życia stały się tak złe, że w całym Seattle setki osób popełniały samobójstwa. William przypomniał sobie znowu blade, bezwładne ciało swojej mamy. Zadrżał. Nie, nie mógłby wykonywać takiej pracy. Jeśli dopisze im szczęście, będą sprzedawali gazety, chyba właśnie tym parała się większość dzieci w jego wieku. Ale Dante, który już to robił, odradzał. Mówił, że to okropna praca i że stale musiał walczyć z innymi chłopcami o terytorium. Sam zrezygnował po tym, jak raz się spóźnił i zobaczył pozostałych gazeciarzy stojących w półkolu i siusiących na jego stos gazet.

– Zaoszczędziłem około dolara – powiedział William. – A ile ty masz?

– Cztery dolary i pięćdziesiąt centów.

– Skąd tyle wzięłaś? – William aż się wyprostował.

– Babcia przysłała mi na każde urodziny po dolarze. Większą część tych pieniędzy oszczędziłam. Na co miałabym je wydać?

William opadł na oparcie krzesła i patrzył zdumiony. Sam nie wiedział, co dziwiło go bardziej: czy fakt, iż Charlotte ma tak znaczną sumę pieniędzy, czy też to, że siostra Briganti pozwoliła jej ją trzymać.

\*

Przez cały tydzień William czekał na odpowiednią chwilę, okazję do ucieczki. W końcu w czwartek rano, idąc do klasy, zwrócił uwagę, że koleżanki i koledzy niosą książki wypożyczone z biblioteki. Aż się uśmiechnął na myśl, że tego popołudnia objazdowa biblioteka ma przyjechać po raz drugi. Siedział niecierpliwie na lekcji religii, podczas gdy siostra Briganti opowiadała monotonnym głosem o Mojżeszu i Księdze Wyjścia. Kiedy odwróciła się wreszcie do tablicy, podał sąsiadowi liścik. Złożona karteczka zawędrowała do dziewczynki, która siedziała w ławce z Charlotte. William poprosił ją, żeby przeczytała jej szeptem wiadomość: „Wyjdźmy, kiedy przyjedzie biblioteka. Spotkamy się w grocie”.

William widział, jak dziewczynka czyta liścik jego przyjaciółce, po czym patrzy na niego i zdezorientowana wzrusza ramionami. Charlotte tylko obróciła głowę w stronę ławek chłopców, i powoli pokiwała głową. Starła się nie uśmiechać, bo siostra Briganti mruknęła, żeby wszyscy uczniowie uważali.

Podczas obiadu William wymknął się na chwilę, żeby przygotować plecak i kilka innych rzeczy – czapkę, szalik, rękawiczki oraz zapasowe skarpetki. To, czego nie mógł wziąć ze sobą, schował w skrytce Sunny’ego. Zostawił mu także kartkę z krótkim pożegnaniem i obietnicą, że napisze do niego, kiedy tylko będzie mógł. Później poszedł po kryjomu do groty i odszukał schowane tam monety. Na zardzewiałym ruszcie tliło się pojedyncze kadzidelko. William pomyślał o utraconej przed laty matce, o Willow i o Charlotte. Potem przyszło mu do głowy, żeby może uklęknąć i się pomodlić, ale nie miał do tego przekonania, więc pomachał tylko ręką, by rozwiać dym. Państwo wymagało, żeby został ochrzczony, więc tak się stało, kiedy był mały;

nigdy jednak nie uwierzył w Boga, choć być może owa dziwna ceremonia miała to spowodować.

Usłyszał ciche stukanie laski Charlotte. Odwrócił się i zobaczył nadchodzącą przyjaciółkę. Po pięciu latach spędzonych w sierocińcu bez większego trudu odnajdywała drogę na jego terenie, o ile trzymała się ceglanych ścieżek. Wszyscy wiedzieli, że Charlotte często spędza czas w grocie, więc jej widok nie powinien wzbudzić niczyich podejrzeń.

– Jestem tu – szepnął William, czyszcząc kamienną ławkę z sosnowych igieł. Usiedli razem, ciesząc się, że nie jest zbyt zimno ani nie pada.

– Czy czujesz się gotów? – zapytała.

Pokręcił głową, ciesząc się, że przyjaciółka tego nie widzi.

– Tak, jeżeli ty jesteś gotowa – odpowiedział.

Przytaknęła żywo i uśmiechnęła się rozpromieniona, jak gdyby to był najlepszy dzień jej życia.

– Poczekamy, aż wszyscy będą zajęci biblioteką – zarządził William. – Wtedy pójdziemy do bramy i dalej, na przystanek tramwajowy. Nie jestem pewien, o której przyjeżdża tramwaj, ale chyba możemy po prostu iść na południe, w stronę centrum, i wsiąść do tramwaju po drodze. Musimy się oddalić na wypadek...

– Gdyby siostra B zaczęła nas szukać. Myślisz, że zauważy nasze zniknięcie?

William nie miał pewności. Wydawało się, że nikt się nie przejął zniknięciem Tommy'ego Yuena, w ogóle o nim nie wspominało. Może w tej owczarni jest za dużo owiec, zastanawiał się William. Kto martwiłby się jedną czy dwiema zagubionymi?

Oboje unieśli głowy ku niebu. W górze krążyły ptaki. Stado dużych petreli skierowało się na południe. Zaraz potem z drzew zerwała się cała chmara mniejszych ptaków. Biły skrzydłami, wystraszone głośnym warkotem i łoskotem dieslowskiego silnika. Na podjeździe zapiszczały hamulce. Doskonale!

– Przyjechała biblioteka, chodźmy – rzucił.

Ciężarówka zajechała z hałasem na tylny dziedziniec, William widział ponad krzewami dziesiątki radosnych dzieci zbiegających ze schodów przed wejściem do szkoły. Siostra Briganti zaczęła wołać, żeby przestały zachowywać się jak zwierzęta; strzelała palcami i rozkazywała ustawić się jak przystało, w kolejce.

– To odpowiedni moment – dodał William. Wstał i spojrzał nad żywopłotem w stronę drzwi szkoły oraz otwartej bramy. Trzeba było ją minąć, za nią rozciągało się wszystko, co na nich czekało. Niestety, zobaczył, że w pobliżu bramy kręcą się dwie zakonnice i dozorca. Jedna z siostr stanęła przy samej bramie, a dwoje pozostałych ruszyło wzdłuż płotu, jakby czegoś lub kogoś szukali.

– Na co czekamy? – spytała Charlotte.

To niemożliwe, niesprawiedliwe! William zawahał się, starając się zrozumieć, co się dzieje.

– Są przy bramie – wyjaśnił z niedowierzaniem. – Czy mówiłaś komuś, że stąd uciekamy? Może niechący powiedziałaś coś...

– Nic nikomu nie mówiłam, przysięgam. Komu miałabym powiedzieć?

William potarł skroń. To na pewno moja wina, zmartwił się, przypominając sobie o przesłanej karteczce. Dziewczynka, która ją podała, musiała opowiedzieć o niej komuś, ta osoba – komuś innemu, aż wiadomość dotarła do zakonnicy.

– Williamie Eng! – rozległ się między drzewami kobiecy głos od strony szkoły.

– Siostra B! – szepnęła bliska paniki Charlotte.

Serce Williama zakolało. W pierwszym odruchu chciał pobiec przez zieleń do płotu, wspiąć się nań i zeskoczyć po drugiej stronie. Żadna z siostr nie biega tak szybko jak ja, dozorca

pewnie też mnie nie dogoni, myślał. Ale co z Charlotte? Nie mogę jej tu zostawić.

– Nie szkodzi – uspokoiła go przyjaciółka.

– Jak to nie szkodzi? To rujnuje cały plan.

Charlotte wyciągnęła rękę i ujęła dłoń przyjaciela.

– Możemy jej po prostu powiedzieć, że przyszedliśmy do groty, żeby pobyć tu sobie razem – oznajmiła.

– I co niby mielibyśmy robić? – spytał William, marszcząc brwi.

Charlotte zwróciła się w jego stronę, podpierając się pod bok wolną ręką.

– To, po co wymykają się w zaciszne miejsca chłopcy i dziewczyny – wyjaśniła.

William oblał się czerwienią. Cieszył się, że Charlotte tego nie widzi.

Już chciał powiedzieć, że się z nią zgadza, ale popatrzył na pannę Fredericks, bibliotekarkę, pchającą wózek z ilustrowanymi książkami w stronę domu małego dziecka, i na maszerującą energicznie ceglana ścieżką siostrę Briganti. Damy radę, pomyślał.

– Mimo wszystko mamy szansę – oznajmił. – Ufasz mi?

– Oczywiście.

– Mam nowy pomysł. Przedrzemy się pod żywopłotem.

Złapał Charlotte za rękę i opadli na czworaki. William polecił przyjaciółce trzymać go za kostkę i pełznąć za nim. Przebijali się przez gęste krzaki niczym króliki. Chwilę później pokonali w taki sam sposób drugi żywopłot, aż znaleźli się koło podjazdu, między budynkiem szkoły a bramą.

– Będziemy teraz biegli? – zapytała Charlotte, otrzepując sweter z liści i igieł. Chwyła mocno laskę i ruszyła w dół, ku bramie.

– Nie, pojedziemy – odpowiedział William. Ujął dłoń przyjaciółki i szybko poprowadził ją z powrotem w stronę szkoły i biblioteki objazdowej.

– Williamie Eng, wiem, że gdzieś tutaj jesteś! – wołała siostra Briganti od strony groty. – Panno Rigg, zdajesz sobie sprawę, że i ciebie znajdę, a kiedy znajdę... – Charlotte zasłoniła usta i zachichotała, podczas gdy zakonnica zaczęła krzyczeć ze złością po włosku: – *Ho il mio occhio su di te e Malocchio troppo!*

Jedyne zrozumiane przez Williama słowo wskazywało, że siostra Briganti wołała coś na temat złego oka. Wyobraził sobie, jak ogrodowe posągi świętych krzywią się na te słowa i zatykają sobie uszy.

Panna Fredericks odeszła z wózkiem, większość dzieci znajdowała się po przeciwnej stronie ciężarówki. William pomógł Charlotte wsiąść do kabiny od strony kierowcy. Bibliotekarka podniosła rolety w przeciwległym boku, a dzieci skupiały uwagę na rządach książek albo już czytały o piratach czy zbiegłych niewolnikach. Tylko Sunny niecierpliwie czekał na końcu kolejki. Otworzył szeroko oczy z przerażenia, zobaczywszy Williama w kabinie. Ich spojrzenia spotkały się na moment. Na razie, Sunny, pomyślał William, przykładając palec do ust. Poprowadził Charlotte na tył pojazdu, za regały, gdzie stały pudła i skrzynie z książkami. Znalazł także duży pojemnik na kółkach, do połowy wypełniony książkami w twardych oprawkach. Wspięli się do niego i zaczęli zakopywać się w książkach. Splątały się przy tym ich nogi; przykrywali się, jak tylko mogli, egzemplarzami takich pozycji, jak *Wartogłowy Wilson*, *Księż i żebrak* czy *Przygody Hucka Finna*. Nie było im wygodnie. Czekali; serce Williama biło jak oszalałe, czuł pulsowanie w skroniach, strach i podniecenie.

– Warto by opisać tę przygodę – szepnęła Charlotte.

William nie zdążył odpowiedzieć; usłyszał, że bibliotekarka wróciła i z hałasem wtacza wózek po rampie. Ścisnął dłoń przyjaciółki i starali się zachowywać cicho. Wózek uderzył w pojemnik, w którym się znajdowali, szczerknął zablokowany przez pannę Fredericks hamulec,



unieruchamiając go. Bibliotekarka mruknęła, że potrzebuje kawy, po czym podniosła rampę i zatrasnęła drzwi samochodu. Dwoje uciekinierów znalazło się w półmroku. William poodsuwał książki na boki, tak żeby mogli oddychać i mieli nieco więcej miejsca. Cofnął także nogi, choć Charlotte najwyraźniej nie przeszkadzało, że są splecione z jej nogami.

Wystawił głowę ponad krawędź wielkiego pojemnika i zobaczył, jak bibliotekarka siada za kierownicą, uruchamia głośny silnik, zapala papierosa, wyrzuca zapałkę przez okno i podnosi szybę. Zmiana biegów spowodowała taki łoskot, że William aż zacisnął zęby. Ciężarówka szarpnęła, a do przestrzeni bibliotecznej zaczął się sączyć dym z papierosa. Samochód okrążył podjazd, a potem ruszył w stronę bramy i ulic miasta. Już po chwili oddalał się od sierocińca pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.

William zwrócił uwagę na plakat na ścianie. KSIĄŻKI TO OKNA NA ŚWIAT, głosił napis. Okna? Raczej drzwi, przez które można wyjść, a właściwie wyjechać. William poczuł, że ciężarówka znalazła się na miejskiej ulicy i zaczyna nabierać prędkości. Charlotte ścisnęła jego dłoń.

– Siostra Briganti powiedziała kiedyś, że wszystkie wielkie historie mówiące o miłości i poświęceniu mają morał – szepnęła. – Poznamy i morał.

William wcale nie wiedział, czy historia jego życia ma morał, i za bardzo się tym nie przejmował. Wiedział, że zamierza odnaleźć Willow Frost. Pragnął po prostu szczęśliwego zakończenia swoich przygód.

## Blizny na First Avenue

1934

William wydostał się z zakurzonego pojemnika i usiadł na podłodze z tyłu ciężarówki. Powstrzymywał odruch kichania. Oddychał powoli, próbując się uspokoić; wdychał zapachy papieru, kleju i farby drukarskiej. Wyrzwał przez tylne okno. Biblioteka objazdowa mijała powoli masywne ceglane budynki Uniwersytetu Stanu Waszyngton, potem wzgórze dzielnicy Broadway, następnie skręciła w Pike Street i zbliżała się do centrum biznesowego Seattle. Ku zaskoczeniu Williama na ulicach było tłoczniej niż w dniu urodzin – więcej było zarówno pojazdów, jak i ludzi. Ulice wypełniały całe zastępy mężczyzn, niektórzy mieli na sobie wojskowe mundury. Ogromnie spowalniało to ruch. Charlotte odnalazła dłonią rękę przyjaciela i poklepała go po ramieniu, a potem pokazała w stronę panny Fredericks, która przystanąwszy na skrzyżowaniu, pytała właśnie policjanta, czy jest jakaś łatwiejsza droga na Boeing Field. William dotąd nie widział nowego lotniska, pamiętał natomiast, jak jeździli z mamą przez miasto na tor wyścigów konnych Meadows Race Track. Bywali tam często, jeszcze kiedy William raczkował. Słuchając rozmowy, przypominał sobie niewyraźne kręgi dymu z cygar i woń spoconych koni w gorący letni dzień. Mama pokazała mu wtedy olbrzymią czerwoną halę po drugiej stronie rzeki.

– Tam produkują samoloty – powiedziała. Mały William był oszołomiony. – Niektóre potrafią nawet lądować na wodzie. O, leci...

Wydała odgłos mający naśladować warkot samolotu i pokazała na niebo. Siostra Briganti opowiadała kiedyś, że parę lat wcześniej lądował na tym lotnisku Charles Lindbergh. William nie był o tym do końca przekonany. Sam już nie wiem, w co wierzyć, myślał.

Ciężarówka szarpnęła i panna Fredericks skręciła w boczną ulicę. I tu było pełno ludzi i samochodów. Wyrzawszy ponownie przez tylną szybę, William zobaczył, że galopuje ku nim policjant na koniu i usłyszał gwizdek. Zobaczył nas, pomyślał, próbując się opanować. Rozejrzał się na wszystkie strony, szukając innego wyjścia z pojazdu albo jakiejś lepszej kryjówki. Policjant mijał już jednak bibliotekę na kołach; musiał jechać truchtem, tak było tłoczno. Wtem dał się słyszeć ryk tłumu. William zerknął na Charlotte, wyglądała na równie zaniepokojoną jak on.

– Co się dzieje? – zapytała cichutko.

– Nie wiem, ale możemy tu wysiąść. – Póki się da, myślał. – Zdaje się, że ta landara prędko stąd nie odjedzie.

Panna Fredericks wjechała prawymi kołami na chodnik, zatrzymała pojazd, nacisnęła klakson, po czym wyszła na stopień z boku ciężarówki, żeby się lepiej czemuś przyjrzeć.

– Teraz mamy szansę – rzucił William i otworzył drzwi z tyłu biblioteki. Ulicą płynęła istna rzeka ludzi, tysiące mężczyzn. Olbrzymia kolumna mijała stojącą ciężarówkę, kierując się ku Pike Street. Słychać było tupot mnóstwa zniszczonych skórzanych obcasów. Mężczyźni na czele marszu nieśli ogromne transparenty z napisami: **ŻĄDAMY GOTÓWKI, WIĘCEJ KALORII I MNIEJ ROBAKÓW W RACJACH ŻYWNOŚCIOWYCH** oraz **BUDUJMY METRO – BĘDZIE PRACA**. Zwyczajni przechodnie – biznesmeni w garniturach i kobiety w plisowanych spódnicach – szybko usuwali im się z drogi.

William pomógł Charlotte wysiąść z ciężarówki, założył plecak i ujął dłoń przyjaciółki.

Drugą ręką Charlotte trzymała przed sobą laskę. Na szczęście nawet najbardziej wzburzeni demonstranci zwracali uwagę na niewidomą dziewczynkę i przepuszczali ją albo przykładali palce do czapek w geście grzecznego pozdrowienia, choć nie mogła tego zobaczyć. William i Charlotte próbowali iść w przeciwną stronę niż tłum, ale szło im tak, jakby byli rybami usiłującymi płynąć w górę rzeki. To marsz protestacyjny, zrozumiał William. Dobrze, że nie zaczęły się zamieszki. Chwycił Charlotte za ramię i zawrócił ją, tak że po chwili tłum popychał ich ku głównej ulicy. Tam zdołali się powoli przedrzeć na pełen ludzi chodnik. William wprowadził przyjaciółkę na schody wiodące do dużego budynku mieszkalnego. Było tam bezpieczniej, a poza tym było lepiej widać. W tłumie wyróżniało się dużo umundurowanych weteranów wojennych, niektórzy nie mieli rąk albo nóg, poruszali się chwiejnie o kulach i domagali się obiecanych im rekompensat. Wtem ktoś dmuchnął w gwizdek i burzliwy marsz stał się bardziej uporządkowany. Demonstranci zaczęli śpiewać chórem:

„Nie płaszczmy się przed szefami, nie słuchajmy ich kłamstw! My, biedni, nie mamy szans, dopóki się nie zorganizujemy!”.

– To jakiś wiec albo parada wściekłych ludzi – wyjaśnił William. – Żołnierze, którzy żądają zaległych pieniędzy, tłum mężczyzn domagających się pracy. Są i kobiety.

William rozglądał się wzdłuż szerokiej alei, szukając wzrokiem jakiegoś pensjonatu, ale widział tylko banki, sklepy z butami, apteki oraz restauracje i niepasujące do nich wózki z kielbaskami i przyczepy z prażoną kukurydzą. Zwrócił uwagę na duży stojak reklamowy ze znanym mu plakatem, takim samym jak ten, który widział w dniu urodzin.

– Chodźmy tam – odezwał się i poprowadził Charlotte przez tłum w stronę wymalowanych podobizn Stepina Fetchita, Willow Frost, Asy Bergera oraz złożonej z samych młodych kobiet orkiestry o nazwie Ingénues. William zapisał sobie miejsca i daty ich występów. Charlotte podeszła w tym czasie w stronę wahadłowych drzwi, zza których dochodziły dźwięki pianoli.

– Le Petit – odczytał nazwę lokalu William, zadzierając głowę. – To salon rozrywki.

– Pachnie jabłkami w cukrze – zauważyła z uśmiechem Charlotte.

I dymem papierosowym, pomyślał William. Jego oczy powoli przyzwyczajały się do półmroku panującego w salonie. Ściany pokrywała czerwona aksamitna tapeta. Stały pod nimi rzędy projektorów wyświetlających filmy przygodowe, komedie i filmy dla dorosłych, typu „co widział lokaj”. Była nawet specjalna salka poświęcona rozgrywkom sportowym: za pomocą mosiężnych mutoskopów można było oglądać walkę Jacka Dempseya z Genem Tunneyem; obejrzenie jednej rundy kosztowało centa. William przypomniał sobie wizytę w podobnym miejscu przed laty. Tamten salon był jednak nowiutki, roiło się w nim od dzieci oraz dorosłych obojga płci, niemal stłoczonych w kolejkach, w których niecierpliwie czekali na swoją kolej przy projektorze. Teraz William patrzył na nowsze urządzenia, ale w lokalu nie było ani jednego gościa.

– Co dzień jakiś wiec – mruknął mężczyzna zza lady pełnej równo poustawianych słojów ze słodyczami, wiaderka z prażoną kukurydzą oraz pudeł wypełnionych paczkami orzeszków i kukurydzy w cukrze. – Dobrze, że nie ma Srebrnych Koszul i przemocy. Tego tylko nam brakuje: zakrwawionych zwykłych ludzi na ulicy... Minęło ponad dziesięć lat od strajku generalnego, tymczasem sytuacja jest gorsza niż wtedy. – Potrząsnął fartuchem, w którego kieszeni zabrzęczały monety. – Mam drobne do projektorów, rozmienić wam, dzieciaki? – zapytał, zmieniając temat.

– Ja i tak nie skorzystam, ale ty możesz, Williamie – odezwała się Charlotte.

– Chyba nie powinniśmy wydawać nawet centa na rozrywki – ocenił William, rozglądając się po lokalu.

– Pociesz się trochę życiem. Ty widzisz. Ja nie widzę. Zrób to za mnie.

William zgodził się, choć niechętnie, i wyciągnął z kieszeni garść jednocentówek. Kupił Charlotte wate cukrową i zaczął się przechadzać między rzędami projektorów wyświetlających filmy fabularne oraz kroniki. Odczytywał na głos nieznane tytuły.

– Przykro mi, chłopcze, ale jedyne nowości to filmy o pracy – poinformował właściciel salonu. – Dostajemy je za darmo od Wuja Sama. – Usiadł wygodnie i zanurzył palec w puszcze pomady, którą modelował końcówki okazałych wąsów. William minął tymczasem projektor z filmem zatytułowanym *Daj człowiekowi pracę*. Występował w nim Jimmy Durante.

– A czy ma pan jakieś filmy z tą panią z plakatu? – zapytał.

– Z Willow? – upewnił się gospodarz. – Przypuszczałem, że będziesz chciał zobaczyć coś takiego.

Naprawdę? Czy to dlatego, że jestem Chińczykiem? – zastanowił się William.

– Zwłaszcza po tym, jak dzisiaj rano gazety wydrukowały jej zdjęcia. – Wąsaty mężczyzna pokazał mu pierwszą stronę bulwarowego dziennika „The Seattle Star”, prezentującą fotografię Willow w wielkim futrze witanej na stacji przez miejscowego krytyka teatralnego Willisa Sayre’a i miejskich dygnitarzy. Po bokach było widać dwóch policjantów na motocyklach. Za jednym z funkcjonariuszy siedział Stepin Fetchit robiący zabawną minę prosto do obiektywu. Wszyscy sprawiali wrażenie oczarowanych. William także był zachwycony. Wpatrywał się w gazetę, stwierdzając, że Willow Frost jest ogromnie podobna do jego matki. I podobna do mnie, ocenił z tęsknotą w sercu. A ja jestem podobny do niej.

– Nie mam żadnego z jej nowych filmów, ale obejrzyj ten z maszyny na samym końcu – odezwał się znowu właściciel salonu rozrywki. – Płacząca Willow nie jest wymieniona w napisach, ale zdaje się, że w nim występuje. Chyba jako statystka. Pokręć sobie korbą.

Charlotte ścisnęła rękę przyjaciela. William przeczytał tabliczkę na wskazanym projektorze.

– Ten film trwa tylko trzy minuty – poinformował, po czym stanął na stopniu, wrzucił do otworu jednocentówkę i powoli zakręcił korbą. Zapaliła się lampa, przed oczami Williama mignął tytuł. – *Żółty pirat*.

– Widzisz ją? – spytała Charlotte.

Nie odpowiadał; Willow jeszcze się nie pojawiła. William oglądał z ciekawością prostą historyjkę: chiński kupiec sprzedał ładunek ze statku, po czym pojawił się znowu jako przestępca w komicznym stroju i próbował ukraść sprzedane przez siebie rzeczy. Nie udało mu się. Zaraz zginął, a jego córka związała się z amerykańskim kapitanem. Aktorka grająca córkę była Azjatką, jednak niepodobną do Willow. W filmie grało tylko troje aktorów i garstka statystów; niektórzy chyba się powtarzali, tylko w kolejnych scenach pojawiali się w innych kostiumach. Kobiet było zaledwie kilka. William patrzył uważnie, starając się nie mrugać, aż łzawiły mu oczy. Przyglądał się pojawiającym się i znikającym w tle kobietom, aż nagle film się skończył.

– Widziałeś ją?

– Nie wiem – mruknął, trąc powieki. – Wszyscy ruszali się bardzo szybko, w niektórych miejscach film był niewyraźny. Nie wiem, czy ją widziałem.

– To obejrzyj po raz drugi – poradził mężczyzna z wąsami.

William zastanowił się, czy nie chodziło mu o to, żeby wydali wszystkie pieniądze – ale nawet jeśli tak, to za zgodą Charlotte obejrzał filmik jeszcze pięć razy. Za każdym razem dostrzegał przez moment z tyłu kadru kobietę, która przypominała znaną mu niegdyś osobę. Nie miał jednak pewności, czy to jego mama. Im bardziej pragnął, żeby któraś z aktorek nią była, tym bardziej zaczynały ją przypominać. Za każdym razem jego wyobraźnia nadawała pamiętane przez niego rysy szybko wkraczającym przed kamerę i niknącym postaciom. Dał za wygraną,

zanim statystki zaczęły dawać mu znaki rękami i wołać go po imieniu.

\*

William i Charlotte musieli znaleźć nocleg. Właściciel salonu gier dał im na odchodnym wizytówkę z napisem: „Wszyscy uciśnieni, telefonujcie do Misji Siostry Marii, pod numer 354 w Rockwell”.

– Nie mam zamiaru oceniać waszego charakteru, ale myślę, że dom prowadzony przez zakonnice to najbezpieczniejsze miejsce, w jakim będziecie się mogli przespać – powiedział. William wpatrywał się w wizytówkę.

– Myślę, że to zły pomysł, Williamie – odezwała się Charlotte, kiedy wyszli na ulicę. – Siostry prowadzące ten dom mogą odesłać nas z powrotem do sierocińca Najświętszego Serca.

William wątpił, żeby zakonnice z sierocińca zechciały przyjąć ich z powrotem, ale stwierdził, że nie warto ryzykować kontaktu z instytucją zakonną. Ruszyli więc przez Skid Row. Znajdowali się w miejscu, gdzie First Avenue zakręca wzdłuż skraju Pioneer’s Square. W powietrzu wisiała mieszanina pyłu i dymu z węglowych pieców. Ulica ciągnęła się na południe, niczym rzeka, docierając aż do błotnistej nadbrzeżnej równiny na południe od miasta, gdzie stały setki rozpadających się domów i chat skleconych z nieobrobionych desek, starych drewnianych belek oraz papy. Ktoś zawiesił nad ulicą transparent z ręcznie wymalowanym napisem: WITAMY W HOOVERVILLE, GDZIE ŻYCIE TO WALKA. Wiał południowy wiatr, niosąc ze sobą wonie trocin, moczu i smutku.

Tam nie chciałym wylądować, myślał z niepokojem William. Okolice Pioneer’s Square są dostatecznie złe. Wokół wędrującej pary dzieci nie było już energicznie kroczących handlowców w trzyczęściowych garniturach i pięknych kapeluszach. Zastąpili ich bezrobotni dawniej pracujący w tartaku oraz zbankrutowani rolnicy. Pili teraz na chodnikach i przeklinając, wymiotowali do rynsztoków.

Charlotte zatkała nos z powodu smrodu, ale się nie skarżyła.

Pośród zniechęcających widoków, dźwięków i woni William dostrzegł coś, co całkiem tu nie pasowało: błyszczący elegancki samochód, który wyróżniał się w tej okolicy niczym perła w gnijącej ostrydze. Za kierownicą siedział stary szofer w uniformie i ze stoickim spokojem prowadził wspaniałą maszynę w stronę centrum miasta. Tylną kanapę zajmowały bogate dzieci w gustownych strojach. Krzywiły się i pokazywały palcami na Charlotte i Williama, jak gdyby byli małpami w menażerii w Phinney Ridge. William popatrzył za oddalającym się samochodem, a potem rozejrzał się uważnie. Nikt nie przyglądał mu się takim wzrokiem, jak gdyby widział w nim zagubionego Azjatę. Na otaczających go ulicach i w zaułkach żyli i umierali ludzie, którzy dostrzegali tylko własne desperackie położenie albo zastanawiali się, skąd wziąć najbliższy posiłek.

Nadpłynęły chmury. William i Charlotte przeszli przez skrzyżowanie z King Street. William zastanawiał się, czy nie znaleźć pokoju w chińskiej dzielnicy, w jakimś znanym mu miejscu. Może nawet w hotelu Bush? Tylko że okolice dworca kolejowego były zbyt drogie. Szedł więc dalej, starając się unikać sąsiedztwa lokali z burleską, takich jak Rialto, oraz salonów tatuażu. Marszczył brwi na widok licznych napisów: INDIANOM WSTĘP WZBRONIONY. Wzięto go kiedyś za Indianina; obawiał się, że ktoś mógłby się poskarżyć na jego obecność i zostałby wyrzucony na bruk. Większość noclegowni, na przykład Misja Ojca Niebieskiego, hotel Boatman czy Dom Pracujących Mężczyzn w Ragdale nie wpuszczała kobiet ani dzieci. Za to przytuliska dla kobiet nie wpuszczały mężczyzn. William zdecydował się w końcu na schronisko na rogu First Avenue i Yesler Way, gdzie mógł się zatrzymać każdy. Decyzję podjął bardziej z desperacji niż z powodu ceny albo położenia obiektu: trzeba było wybrać jakiejś

miejsce na nocleg, bo słońce już zachodziło.

– Ile będziemy musieli zapłacić? – zapytała Charlotte.

– Dwadzieścia pięć centów za pokój, piętnaście za łóżko i pięć za hamak – odczytał William. – Co wybierasz?

Charlotte ujęła go pod rękę, dając do zrozumienia, że zgadza się z jego niewypowiedzianą myślą: żadne z nich nie chciało się rozdzielić z drugim.

– Wzięłabym z tobą pokój.

William sprowadził ją po betonowych schodkach do maleńkiej wnęki poniżej poziomu ulicy. Za brudną szybą siedział starszy człowiek o napuchniętych oczach i pomarszczonej, zniszczonej od wiatru twarzy. Sączył kawę, stawiając pasjansa sfatygowanymi kartami. William wsunął przez szparę pod szybą błyszczącą dwudziestopięciocentówkę.

– Prosimy o pokój. Na jedną noc.

Mężczyzna podniósł wzrok i uważnie zlustrował parę przybyszów. Najwyraźniej uznał, że ten mały Chińczyk i ślepa dziewczynka jeszcze u niego nie nocowali, bo przytaknął, przyjrzał się z kolei monecie i podał im klucz.

– Zwykle nie pozwalamy chłopcom i dziewczętom brać pokoju we dwoje, ale widzę, że ona jest... – odezwał się i umilkł na chwilę, pokazując na oczy Charlotte. Zamachał jeszcze przed nimi dłonią, żeby się upewnić. – Pokój numer siedemnaście. – To powiedziawszy, powrócił do pasjansa.

– To niewiele, ale zawsze dom – skomentowała Charlotte, uśmiechając się do Williama.

Tylko do jutra, myślał. A co dalej? Przez cały dzień byli podekscytowani chwilą, nie planowali wiele. I tak chyba oboje zdawali sobie sprawę z ponurego faktu, że jeśli nie zdołają nawiązać kontaktu z Willow lub jeśli nie okaże się ona matką Williama, albo co jeszcze gorsze – odrzuci go całkiem, to wtedy naprawdę znajdą się z Charlotte na ulicy. Będą skazani na walkę o każdy posiłek z innymi bezdomnymi dziećmi. Będą sypiali w przedsionkach budynków czy pod ich drzwiami, nie zdejmując na noc butów, żeby nikt im ich nie ukradł.

Zeszli nieoświetloną, zaśmieconą klatką schodową jeszcze niżej, do gęsto zamieszkaney piwnicy. Miejsce okazało się niewiele lepsze niż ulica. Każde pomieszczenie podzielono na małe pokoiki, ledwie mieszczące łóżko i szafkę. Ściany nie dotykały sufitu, rozciągnięto nad nimi gęstą metalową siatkę. Wszyscy oddychali więc tym samym powietrzem; słychać było kaszel gruźlików i gruźliczek oraz płacz niemowlęcia. W powietrzu unosiła się nieprzyjemna woń dymu papierosowego i niedomytych ciał. Mijając wspólną łazienkę, William zobaczył przypięty do jej drzwi pinezkami kalendarz oraz polecenie, aby raczej nie spuszczać wody w toalecie podczas przyływu, ponieważ wtedy woda z nieczystościami wypływa z sedesu.

Mamy szczęście, przyływ akurat się skończył, pomyślał William.

– Nie jest tak źle – pocieszała go Charlotte. – Przez jedną noc wytrzymamy wszystko. – William wcale nie był tego pewien. – Poza tym, jak wiadomo, czarnoskórzy i Indianie mają gorzej – dodała.

– Zaczynasz mówić jak siostra Briganti – mruknął William, przypominając sobie liczne opowieści zakonnicy o „najmniejszych pośród nas”. O całych rodzinach sypiających w nieogrzewanych pomieszczeniach bez okien, nawet bez koców. O mężczyznach z nabrzmiałymi wrzodami na nogach, po których ciałach chodzą wszy i którzy piją pędzony nielegalnie gin, żeby nie zamarznąć.

William aż zadrzał, myśląc o tym. Odnalazłszy pokój numer siedemnaście, zadrzał znowu. Z sufitu zwieszała się pojedyncza, byle jak umocowana żarówka; ściany pokrywały wulgarne napisy i rysunki. Niektóre wykonano ołówkiem albo atramentem, inne wydrapano. Usłyszeli prychnięcie jakiegoś kota, pewnie zobaczył myszy – lub szczury.

– Na pewno myślisz teraz, jak tu okropnie, i chyba tak jest – odezwała się Charlotte – ale wszystko będzie dobrze, zatrzymujemy się tu tylko tymczasowo.

Po raz pierwszy, odkąd William poznał Charlotte, pomyślał, że to on jest upośledzony, bo widzi obraz tego podłego schroniska. Zamknął drzwi na zasuwkę, a Charlotte ujęła jego dłoń i odnalazła laskę pryczę. Za całą pościel służył brudny koc zszyty z pociętych przez mole szmat, tak cienki i cuchnący, że Charlotte zwinęła go i cisnęła w ką. William połamał chleb i wyjął herbatniki, oboje zjedli trochę jednego i drugiego. Potem skulili się na skrzypiącej pryczy, policzek przy policzku, nie zdejmując ubrań ani nawet czapek. Zamiast przykrywać się ohydny kocem, woleli spać w paltach.

– Nadal się cieszysz, że ze mną uciekłaś? – spytał przepaszającym tonem William.

Charlotte ściągnęła lewą rękawiczkę z jednym palcem i ujęła dłoń Williama. Tak było ciepłej i przyjemnej.

– Od dawna nie byłam taka szczęśliwa – oznajmiła. – Nie chciałabym teraz być nigdzie indziej.

William wciąż nie wiedział, co sprawiało jej tak wielką radość. Leżeli w maleńkiej norze, słysząc chrapanie, oddechy i kaszel innych, i jeszcze dobiegające skądś rytmiczne skrzypienie sprężyn materaca.

– Znajdziemy ją, Williamie. Musisz to czuć.

Rzeczywiście przypuszczał, że uda mu się dotrzeć do Willow. Ale co będzie, jeżeli ona mnie nie zechce? – zastanawiał się z obawą. Nie dzielił się nią z Charlotte, raczej szykował się wewnętrznie na ostateczne odrzucenie. Projektor z salonu rozrywki stawał się już tylko wspomnieniem, teraz William znów usiłował przypomnieć sobie film, który oglądał w kinie Moore. Obraz Willow stał się już niewyraźny, zniekształcony, także przez poczucie, że matka go opuściła. A jeżeli jej na mnie nie zależy? – myślał z bólem.

– Moja mama umarła, kiedy byłam mała – odezwała się Charlotte. – Ale pamiętam, jak mnie przytulała, a ja czułam się bezpieczna i szczęśliwa, zadowolona. Nawet nie wiedziałam, że jestem niewidoma, cały mój świat sprowadzał się do tego tulenia, radości i spokoju. – Ścisnęła dłoń Williama. – Jakie jest twoje pierwsze wspomnienie dotyczące matki? – zapytała. – Najpierwsze ze wszystkich? – Przynęła się jeszcze bardziej do niego, teraz stykały się ich kolana. William zamknął oczy i próbował sobie przypomnieć. Najpierw pojawiły się dźwięki, a potem zapachy.

– Pierwsza rzecz, jaką naprawdę pamiętam, to to, jak leżałem na plecach i patrzyłem w blaszany sufit, to musiał być sufit naszego apartamentu w hotelu Bush. Byłem mokry i było mi bardzo ciepło, bo dopiero co zostałem wykąpany w kuchennym zlewie. Ręczniki były za to zimne i mnie kłuły. Pamiętam, że krzywiłem nos od zapachu amoniaku i detergentu. Chichotałem i kopałem, bo mama wycierała mi pępek patyczkiem kosmetycznym.

– Urocze wspomnienie.

– Mama powiedziała do mnie po chińsku: „Nie wij się jak dżdżownica” – dodał z uśmiechem William. – Nie wiem, co jeszcze mówiła, zapomniałem, tak jak w większości zapomniałem już język kantoński. Pamiętam też, że w radiu grała muzyka, i widziałem okno. Było ciemno na dworze, tylko księżyc świecił, więc chyba mama kładła mnie spać. Posadziła mnie i zaczęła wkładać mi przez głowę koszulkę nocną, a ja się wierciłem; ta koszulka musiała być na mnie za mała, bo potem bolały mnie uszy. Nie wiem, czy to wszystko zdarzyło się naprawdę. Byłem bardzo mały, minęło dużo czasu, prawie nic nie pamiętam. Może tylko sobie to wszystko wyobraziłem... – William umilkł na chwilę. Chrząknął i opowiadał dalej, ale już wolniej: – Pamiętam za to na pewno inny moment, to było parę lat później. Miałem może z pięć lat, nie jestem pewien. Mama pomagała mi się ubrać i nagle ktoś zapukał do drzwi. Odwróciła się

i odeszła, a wtedy jakiś mężczyzna zaczął krzyczeć coś po chińsku. Odkrzyknęła mu jeszcze głośniejsze, usłyszałam odgłos tłukącego się szkła, a później pokój obrócił mi się przed oczami, sufit zamienił się w ścianę, a ściana w podłogę, uderzyłem w coś głową i straciłem przytomność. Chciałem krzyknąć, ale nie mogłem nabrać ani wypuścić powietrza.

– Kim był ten mężczyzna? – zapytała Charlotte.

– Nie wiem... – odparł z wahaniem William, zastanawiając się, czy wspomnienie dotyczyło jego ojca. Zagryzł wargi. – Ale łapię się za skroń za każdym razem, kiedy przypominam sobie tamtą chwilę, nawet teraz. – Wyciągnął dłoń przyjaciółki z rękawiczki i uniósł ją tak, żeby wyczuła palcami bliznę tuż poniżej linii włosów. – Właśnie dlatego wiem, że to prawdziwe wspomnienie – dodał. – Została mi blizna.

Zacisnął powieki, podczas gdy Charlotte przesunęła delikatnie miękkimi palcami po jego zabliznionej ranie, o której nigdy dotąd nie wspominał.

– Wszyscy mamy blizny, Williamie – skomentowała. – Ty, ja. I na pewno Willow, więcej niż przeciętny człowiek.

To powiedziawszy, lekko pocałowała go w skroń i życzyła mu dobrej nocy.



## Aksamitny sznur

1934

Następnego ranka William i Charlotte obudzili się i zapalili światło, żeby zebrać swój mizerny dobytek. Z sąsiedniej klitki dobiegły ich donośne głosy protestu, więc William szybko zgasił żarówkę. Ledwie zdołał zawiązać swoją muchę, choć na dworze było już jasno, tymczasem niewidoma Charlotte wyczarowała zadziwiająco zręcznymi palcami idealną kokardę. Oboje chcieli jak najszybciej opuścić schronisko i zrobili to jeszcze rankiem, przeganiając stado gołębi, które dziobały skorki pełzające po zimnych schodkach prowadzących na ulicę. Na chodnikach było mniej tłoczno niż poprzedniego wieczoru, choć widać było mężczyzn w najrozmaitszym wieku śpiących w bramach albo chrapiących niespokojnie pod krzakami. Powpychali sobie pod płaszcze stare gazety, żeby chronić się w ten sposób przed zimnym, wilgotnym powietrzem znad zatoki Puget. Dziwiło Williama, jakim sposobem jeszcze się nie pobudzili, szczególnie że właśnie obok maszerował oddział Armii Zbawienia, donośnie bijąc w wielkie bębny. Członkowie religijnego ruchu utworzyli półkole na placu, po czym zagrali na instrumentach dętych przeraźliwie głośny hymn. William przypominał sobie, że owa pieśń nosiła chyba tytuł *Uświęć serce każdego z nas*. Charlotte uśmiechnęła się od ucha do ucha, kiedy przysiedli we dwoje na wolnej ławce, żeby posłuchać, jak osoby obojga płci odziane w dziwne jaskrawe mundury grają na trąbkach, puzonach i talerzach. Jeszcze zanim hymn dobiegł końca, krzepka kobieta puściła wśród zebranych wokół słuchaczy tamburyn, prosząc o datki na biednych i uciśnionych. William popatrzył na śpiących w rynsztokach bezdomnych i wrzucił do tamburynu pięciocentówkę.

Charlotte powinna coś zjeść, pomyślał, kiedy ruszyli w stronę centrum miasta. Wstąpili do baru i zamówili solone płatki pszeniczne ze śmietaną i jeden kubek gorącej czekolady na ich dwoje. William zostawił przyjaciółce większość rozgrzewającego napoju i zaledwie tknął płatki. Z podniecenia i niepokoju miał ściśnięty żołądek. Rozglądał się po lokalu, obawiając się, że dorośli mogą zacząć ich pytać, dlaczego nie są o tej porze w szkole. Za oknami znajdowało się jednak w polu jego widzenia chyba kilkudziesięcioro dzieci w ich wieku i młodszych. Czyściły przechodniom buty, roznosiły gazety, zamiatały chodniki przed sklepami. Szkoły publiczne są za darmo, myślał William, ale i one stały się luksusem, na który nie wszystkich stać.

Spytał kogoś w barze o drogę, a potem powiódł Charlotte w stronę Skinner Building, w którym mieścił się 5th Avenue Theatre. Reklamował go ogromny, czerwono-żółty neon, wysoki chyba na cztery piętra. William zobaczył go już z odległości trzech przecznic i mocno ścisnął dłoń przyjaciółki. Dach budowli zdobiły z kolei migające neony KOMO oraz KJR, a także wysokie maszty radiowe, nadające kanały NBC Red i NBC Blue. Serce Williama zabiło jeszcze szybciej, kiedy zobaczył wejście do teatru i zdobiący je chiński motyw w kolorach złota i jadeitu, a także masywne, nabijane guzami dwuskrzydłowe drzwi o odcieniu burgunda. Progu strzegła para olbrzymich, złocistych chińskich lwów. Były przynajmniej o trzydzieści centymetrów wyższe od niego czy Charlotte.

– To tutaj? – upewniła się jego towarzyszka.

William podniósł głowę i ogarnął wzrokiem wspaniałą rozświetloną markizę, na której widniał napis: PŁACZĄCA WILLOW FROST Z NASZEGO SEATTLE. ORAZ STEPIN

FETCHIT – NAJBARDZIEJ LENIWY CZŁOWIEK ŚWIATA. A TAKŻE ASA BERGER, ORKIESTRA THE INGÉNUES I INNI Z *THE FOX MOVIE TONE PLAYERS*. Stepin był większą gwiazdą niż Willow, zagrał już w parudziesięciu filmach, jednak Willow pochodziła z Seattle, więc umieszczono jej nazwisko jako pierwsze.

– Z całą pewnością tutaj – odparł William. Zapomniał, że 5th Avenue Theatre został wykończony w chińskim stylu, przynajmniej z zewnątrz. Wypadało, żeby występowała w nim Willow Frost. To jej publiczność będzie się wydawała nie na miejscu.

Ujął dłoń Charlotte i pokazał jej, jak dotyka się piłki w paszczy chińskiego lwa przypominającego psa.

– Pociera się ją, na szczęście.

– Czy wypowiada się przy tym w myśli życzenie?

– Można, jeśli się chce.

Charlotte zamknęła oczy, zmarszczyła brwi, po czym się uśmiechnęła.

– Powinniśmy stanąć w kolejce – zauważył William. Zbierał się już tłum czekający na otwarcie kasy. William zdziwił się, że teatr jest również kinem, bo wyświetlane są w nim filmy z Willow, a najwięcej ze Stepinem – na przykład *Statek komediantów* czy *Galopujący duch*. Pokazywano także antologię prezentującą część innych wykonawców, którzy tego dnia mieli wystąpić na żywo dwukrotnie – po południu i wieczorem. William bardzo chciał zobaczyć wszystkie filmy, wiedział jednak, że muszą z Charlotte oszczędzać pieniądze. Nie wspominał jej więc o żadnych filmach, tylko odczekał w kolejce i kupił u jasnowłosej kasjerki bilety na wcześniejszy spektakl. Kosztowały po trzydzieści centów, czyli połowę ceny biletów na finałowy spektakl wieczoru.

Wpatrując się w plakaty i portrety prezentujące Willow w wymyślnej sukni i scenicznym makijażu, William zastanawiał się, co jej powie. Czy będzie mnie pamiętała? A jeżeli nie, czy będę musiał błagać o wyjaśnienia? Willow Frost była znaną osobą, a on – nikim. Naszły go nagle wątpliwości, jego nadzieja przygasła i zaczął się zastanawiać, co zrobi, jeżeli okaże się, że Willow nie jest jego matką. Co wtedy? Będzie musiał radzić sobie sam. Choć przynajmniej nie czułby się wtedy tak bardzo porzucony. Uspokajało go to w dziwny sposób.

\*

Przez całe popołudnie William i Charlotte chodzili od sklepu do sklepu, zachwycając się wolnością, której byli tak mocno spragnieni w sierocińcu. Wałęsali się po mieście jak ciekawskie psy zerwane ze smyczy. Na dłuższą chwilę przykuł ich uwagę asortyment salonu o nazwie Cygara Mozarta, aż w końcu zostali zeń wyrzuceni. Bawili się też na najniższym poziomie domu handlowego Bon Marché, w ogromnym dziale z zabawkami. Charlotte z rozkoszą głaskała i ścisnęła pluszowe misie. Mierzylili nawet kapelusze w Best Apparel, do czasu aż jeden z klientów omyłkowo uznał Williama za Indianina i wezwał strażnika, żeby go przegonił. William i Charlotte nie protestowali. Centrum Seattle było głośnie i pełne najrozmaitszych zapachów, żyło pełnią życia, choć całe dzielnice miasta opanowały ubóstwo i bezrobocie, a miejsca po sklepach straszyły oknami zabitymi deskami. Co krok William zauważał kolejne małe kino; nieraz były po dwa albo i trzy obok siebie. Wyświetlano w nich stare filmy dźwiękowe, kroniki, kreskówki, wreszcie rozmaite krótkie filmy nieme. Kino było chyba jedynym kwitującym interesem.

Kiedy wrócili do 5th Avenue Theatre, Williama bolały nogi, zwłaszcza że miał o numer za małe buty. Myśli o uciskających go butach stawały się jednak coraz mniej ważne z każdą minutą, która przybliżała ich do chwili rozpoczęcia spektaklu. Niektórzy spośród czekających z nimi w kolejce ludzi spoglądali na nich podejrzliwie albo wygłaszali pod ich adresem ciche

komentarze, szczególnie kiedy zwracali uwagę na azjatyckie rysy Williama lub białą łaskę Charlotte. William to ignorował.

W końcu zdobione wrota teatru się otworzyły i w jednej chwili zapadło zbiorowe milczenie.

– Co się stało? – spytała szeptem Charlotte.

– To... – William mrugał powiekami, otworzywszy usta z podziwu. – To po prostu... – Brakowało mu słów. Ujął dłoń przyjaciółki i wraz z resztą zachwyconego tłumu wkroczył do innego świata. Hol wyściełał niezwykle miękki, puszysty dywan, wchodzących witały bileterki w mandaryńskich, czerwono-niebiesko-zielono-złoty kostiumach. Na ścianach udrapowano połyskującą materię w barwach karmazynu i jadeitu. Teatr był ogromny. William czuł się, jak gdyby wchodził do Pałacu Cesarskiego w Pekinie, skąd rozpościerał się w jego wyobraźni widok na wszystkie, nawet najniezwyklejsze opowieści i bajki jego matki. Znowu podniósł wzrok i wpatrywał się z nieopisanym zachwytem w gigantycznego, wspaniale wyrzeźbionego chińskiego pięciopalczastego smoka zdobiącego środek wysokiego, bogato zdobionego sklepienia. Z otwartego pyska stwora zwisał wystawny perłowy żyrandol.

– Słyszę, jak ludzie wokół sapią z wrażenia – odezwała się znowu Charlotte. – Ten teatr musi być imponujący. – Ścisnęła dłoń Williama. – Czuję jego atmosferę, ten zapach, sposób, w jaki porusza się tu powietrze i niesie ludzkie głosy. Na pewno jest ogromny.

Czekając w kolejce, William słyszał, jak ktoś mówi, że sala teatru ma prawie trzy tysiące miejsc, nie wyobrażał sobie jednak, że jest aż tak olbrzymia. Jej wnętrze przywodziło mu na myśl Świątynię Nieba, której zdjęcia oglądał kiedyś w „National Geographic”. Wspaniały wystrój zdawał się wołać, że Willow naprawdę została zesłana z niebios, był jakby tego znakiem.

To najcudowniejsze miejsce, jakie w życiu widziałem, myślał William.

– Jest fantastyczny, bardzo bogato zdobiony – odpowiedział. Prowadził Charlotte na miejsce, zastanawiając się, jak opisać niewidomej dziewczynce otaczające go wyjątkowo soczyste kolory. – Kurtyna jest aksamitna, granatowa jak nocne niebo, złociste piszczalki organów sięgają wysoko ponad scenę. Sala jest rzeczywiście gigantyczna, a przy tym aż kipi od pięknych ozdób, wszędzie ich pełno. I wszystkie są chińskie.

– Pasuje do twojej matki, jest Chinką.

Do Willow, uściślił w myśli William. Nigdy, nawet w chińskiej dzielnicy, nie widział tak egzotycznego wnętrza ani, oczywiście, porównywalnie majestatycznego.

– Za to ludzie, którzy przyszedli obejrzeć spektakl... Wszyscy tutaj są biali – zauważył. Owa rzucająca się w oczy sprzeczność powodowała w nim poczucie swoistej dumy.

Charlotte zamknęła oczy i rozpromieniła się na dźwięk organów, które wypełniły muzyką całą ogromną salę.

– Teraz ją widzę – szepnęła z uśmiechem dziewczynka.

William przyglądał się, jak publiczność siada w fotelach, zapełniła niemal całą salę. Myślał na przemian o dwóch światach: surowej rzeczywistości swojego dzieciństwa, sierocińca, ubóstwie Pioneer's Square – i o magicznej atmosferze sali, w której się znajdował, i sceny, z całą jej dekadencją, oszalamiającym bogactwem. Większość widzów miała na sobie garnitury i suknie, jednak nikt nie połyskiwał z daleka cekinami ani brylantami. Niektórzy byli ubrani podobnie jak on, mieli stare marynarki i krawaty czy muszki. Wszyscy siedzieli jak urzeczeni, pełni podniecenia. Teatr był dla nich pożądaną, uroczystą rozrywką, ucieczką od niepomyślnych sytuacji i zimna panujących na zewnątrz.

Oświetlenie przygasło i publiczność zaczęła klaskać. William wyobrażał sobie, że wszyscy pogrążyli się wraz z Charlotte w świecie dźwięku, muzyki i nieokreślonej, nieskończonej przestrzeni. Wtem pojedynczy reflektor wydobyl z półmroku żwawego mężczyznę w ciemnym smokingu.

– Paanieee i panooweee, dzieci w każdym wieku, rozmiarze, kształcie, smaku i o różnym stopniu trzeźwości...

William znał tego człowieka z plakatów, rozpoznał go, jeszcze zanim Asa Berger się przedstawił. Pożartował trochę, po czym zaśpiewał i zaczął tańczyć, podczas gdy kurtyna rozsuwała się na boki, odsłaniając żeński zespół Ingénues. Młode kobiety zaczęły grać. William nie wiedział, co o nich sądzić. Były świetne, a z drugiej strony w szczególnie komiczne. Na przykład, kiedy jedna z artystek przechadzała się po scenie w iskrzących się cekinami butach na wysokich obcasach, równocześnie grając na akordeonie w kolorze kości słoniowej.

Po dziewczętach z Ingénues wystąpił duet magików pod nazwą Straight and Crooked Magic – Magia Uczciwa i Naciągana. Jeden z mężczyzn o nazwisku Blackstone sprawił, że znikła klatka kanarka, i skrzeczący ptak został w rękach Pete’a, wesołego asystenta Blackstone’a. Na zakończenie pokazów sprawili, że żarówka ze stołowej lampy zaczęła lewitować. Świecąca kula przeleciała nad głowami publiczności, podczas gdy schowana w kanale orkiestra grała *I Know That You Know*. William opisywał iluzję Charlotte, słysząc, jak mężczyzna za jego plecami komentuje:

– Podobno sam Thomas Edison zastanawia się, jak on to robi.

Magia budziła niepokój Williama. Miał nadzieję, że to tylko jakiś trik.

Po iluzjonistach pojawił się na scenie duet, który wykonał piosenkę *Indian Love Call* z popularnego musicalu *Rose-Marie*. Krzepki mężczyzna w mundurze funkcjonariusza kanadyjskiej policji konnej jechał na drewnianym koniu, śpiewając do blondynki przebranej za młodą Indiankę. William natychmiast pomyślał o Sunnym, który pewnie zmieniłby imię na Sunny-Któremu-Się-To-Nie-Podoba.

Następnie szesnaście wysokich kobiet w olbrzymich kapeluszach z piórami i niemal całkowicie przezroczystych spódnicach sięgających do podłogi zatańczyło do utworu *Hot Cotton*, wymachując wysoko nogami. Zebrani na widowni mężczyźni gwizdali i głośno wiwatowali.

Każdy kolejny występ zapowiadał Asa Berger, którego dowcipy wywoływały salwy śmiechu. W większości wypadków William nie rozumiał jednak, co jest w nich zabawnego.

– Dobrze, moi drodzy – powiedział w końcu konferansjer. – Nadszedł czas! Czas przedstawić państwu miejscową laleczkę, która dokonała rzeczy niezwyklej, niemal niemożliwej: wytrzymała ze mną całe dwa miesiące w trasie!

– To będzie ona – przewidziała Charlotte.

Ona, zgodził się w myślach William i siedział jak zaczarowany, podczas gdy Asa droczył się z chichoczącą publicznością do wtóru coraz głośniejszych grających kotłów.

– Oto i ona, ta, na którą czekacie, zeszła ze srebrnego ekranu i przyplęnęła do nas na falach radia, aż wreszcie zstępuje na najwspanialszą scenę Zachodniego Wybrzeża; panie i panowie, przedstawiam wam jedyną, niepowtarzalną, pannę... Willow... Frost!

Charlotte wydała okrzyk radości i energicznie zaczęła bić brawo, okazując znacznie większy entuzjazm niż reszta publiczności, która wydawała się, owszem, zainteresowana, ale nie szalejąca ze szczęścia. William zamarł z miną gargulca i wpatrywał się w szczupłą postać w sukni w kolorze lawendy. We włosach Willow miała kwiaty. I zaśpiewała, łagodnie, niemal szeptem, znakomicie operując głosem. Na widowni zapadła cisza, słychać było tylko śpiew Willow i grę akompaniującej jej orkiestry.

– Ściągaj sukienkę, cukiereczku!

– Ile za prywatny taniec?!

To krzyczeli dwaj marynarze. Podeszedł do nich bileter i kazał im się uspokoić.

Powinienem być wypożyczyć lornetkę, pomyślał William. Nie widział bowiem twarzy artystki, nie był w stanie rozpoznać jej rysów, siedząc mniej więcej na środku widowni. Lecz jej

postawa, jej sposób chodzenia wydawały mu się znajome. Sprawiała wrażenie niezwykle wytwornej osoby. Wyróżniała się jako jedyna Chinka na scenie chińskiego teatru, a równocześnie jej suknia była nowoczesna, tak samo jak publiczność. Willow śpiewała swoją interpretację *Dream a Little Dream*, stopniowo zwiększając natężenie głosu, aż wreszcie jego donośne brzmienie wypełniło wszystkie zakątki teatru, a zebrani zaczęli bić brawo i wydawać okrzyki podziwu. William wstrzymał oddech.

– Czy to ona? – szepnęła Charlotte.

To ona! Poczuł, jak jeżą mu się włosy na karku. Rozpoznał głos swojej mamy! Piosenka dobiegła końca. Wpatrywał się w matkę, która machała do podekscytowanej publiczności i posyłała jej pocałunki. Asa szybko odprowadził piosenkarke za kulisy.

To musiała być ona! Bez wątplenia!

Na scenie ponownie pojawił się Asa, potykając się o jakąś słabo widoczną postać, śpiącą tuż poniżej zasięgu reflektora. Publiczność zaryczała radośnie na widok siadającego na deskach Stepina Fetchita. Ziewnął, podniósł się niezdarnie, otrzepał... Miał na sobie słomkowy kapelusz i futro z szopów, w których wyglądał elegancko, a zarazem komicznie.

– Jak to, już się zaczęło...? – zapytał i podrapał się w głowę. – Zatrzymałem się w hotelu naprzeciwko, po drugiej stronie ulicy, więc wezwałem taksówkę i mówię, że chcę jechać do 5th Avenue Theatre. „Przecież to jest tutaj, o”, odpowiada kierowca. „Wiem”, mówię, „lepiej niech się pan pospieszy, bo się spóźnię!”.

Publiczność śmiała się i klaskała, podczas gdy komik ściągał futro. Zagrał puzon i okazało się, że Fetchit ma na sobie smoking, cały w purpurowych cekinach. Poły smokingu sięgały mu aż do butów.

– Jak wam się podoba moje ubranie? – odezwał się znowu Stepin do gwizdzącej z zadowolenia gawiedzi. – Kupiłem je od Rudy’ego Valentino. – Mężczyźni stękali ze śmiechu, kobiety wiwatowały. – Miał je na sobie w dniu ślubu. Oboje z panną młodą wystąpili w lawendowych strojach! – Publiczność ryknęła z zadowolenia, ale i tego dowcipu William nie zrozumiał. – Rety, fajnie się tu znaleźć; właśnie zajechaliśmy pociągiem. Wiecie, lubię jeździć pociągami, to dużo przyjemniejsze niż podróżowanie na południu. Wiecie, jak podróżujemy u nas na południu?

– Nie! – zawołał zza kulis Asa Berger. – Jak podróżujecie na południu?!

William słuchał jak odrętwiały, podczas gdy Fetchit zrobił pauzę, przykuwając uwagę publiczności.

– Szybko. Nocą. I przez lasy. Właśnie tak kolorowy człowiek pokonuje przestrzeń na południu...

Publiczność chłonęła żarty czarnoskórego komika, śmiała się z jego udawanych porażek, podziwiała jego taniec, zdumiewała się możliwościami wokalnymi i prosiła o więcej. W pewnej chwili Stepin przejął nawet od dyrygenta pałeczkę i poprowadził orkiestrę w utworze przechodzącym od Mozarta w ragtime.

William nawet się nie uśmiechnął, ledwie to wszystko zauważał. Siedział wciąż jak zaczarowany, wpatrując się w kulisy w nadziei, że dostrzeże za nimi znowu Willow Frost, kimkolwiek była.

Pojawiła się ponownie na scenie w wielkim finale, wraz ze wszystkimi innymi artystami. William znow się w nią wpatrywał, jak w jakieś nadnaturalne zjawisko. W Willow i wszystkie inne gwiazdy kina oglądane przez niego na żywo. Rzeczywiście zeszły ze srebrnego ekranu i teraz przesuwają się po scenie przed oczami Williama niczym zjawy z jego częstych, niewyraźnych marzeń.

W końcu światła w sali zapaliły się, znow wkroczyły bileterki. William wciąż siedział

i wpatrywał się w scenę. Musisz jeszcze wyjść! – myślał. Charlotte ujęła go pod rękę. Niechętnie wyprowadził ją z rzędu i dalej, na dwór, gdzie zobaczył mężczyznę sprzedającego z wózka bukiety kwiatów. Pokazywał łowcom autografów drzwi dla artystów, ukryte w bocznej uliczce. William zastanowił się, ile mogą kosztować kwiaty, po czym wzruszył ramionami i kupił mały niebiesko-purpurowy bukietek.

– Pięknie pachną – skomentowała Charlotte. – To dla twojej matki?

– Dla Willow.

Skręcili w boczną uliczkę, gdzie przy drzwiach dla artystów tłoczyli się reporterzy i podekscytowani wielbicieli. Niektórzy trzymali kwiaty albo elegancko zapakowane prezenty. Czekali wszyscy razem, oddzieleni od aktorów i muzyków aksamitnym sznurem, przy którym czuwał ochroniarz. Słychać było, jak szykująca się do wieczornego spektaklu orkiestra stroi i przedmuchiwa instrumenty dęte. Równocześnie hałasował przelatujący akurat samolot. Poczta lotnicza. W końcu rozległy się oklaski i okrzyki, i artyści zaczęli wychodzić na dwór. Muzycy, dziewczęta z Ingénues, tancerki. Wszyscy się uśmiechali i machali do zebranych widzów, obejmowali się ze znajomymi, grzecznie przyjmowali prezenty. Potem zaprowadzono ich do czekających w kolejce taksówek. Wtem rozległ się odgłos jakby rozbijanego szkła i z teatru wypadł Asa Berger. Nigdy nie przestawał grać, pozował fotografom i ścisnął dłonie wyciągnięte ku niemu nad aksamitnym sznurem. William dotknął rękawem komika, nawet z odległości metra wyczuwając od niego woń alkoholu. Zerknął na Charlotte, która zmarszczyła nos. Nikomu innemu chyba jednak nie przeszkadzał stan aktora. William uśmiechnął się, patrząc, jak Berger, potykając się, wraca do budynku. Czy jego niezdarny chód był tylko grą? Trudno było to ocenić. Konferansjer przytrzymał drzwi Willow i Stepinowi. Serce Williama zabiło mocniej. Przecierał oczy, podczas gdy panujący w uliczce półmrok raz po raz ustępował miejsca niebieskim błyskom fleszy. Reporterzy zasypali parę gwiazd pytaniami.

Jest tu, tak blisko, że prawie mogę jej dotknąć! – myślał William. Trzymał się mocno Charlotte, oboje musieli się wysilać, żeby nie zostali odepchnięci od sznura przez blade kobiety o intensywnie czerwonych ustach, które opadły czarnoskórego aktora, i przez licznych białych dzentelmenów ofiarowujących kwiaty skromnej chińskiej piosenkarce. Willow przyjęła kilka bukietów, uśmiechając się z wdziękiem, jak gdyby każdy podarek miał wyjątkową wartość. Podawała kwiaty Bergerowi, który wkrótce dźwigał ich całe naręcze. Udał, że przewraca się pod ich ciężarem.

– Chwileczkę! – krzyknął William, kiedy Willow odwróciła się, żeby odejść. Stał na palcach i zamachał energicznie bukietkiem nad aksamitnym sznurem. Za wszelką cenę pragnął nawiązać z nią kontakt wzrokowy. Willow Frost popatrzyła i uśmiechnęła się z zadowoleniem, pewnie ucieszyła się, że ma młodego chińskiego wielbiciela, który przyniósł jej kwiaty.

– Och, uwielbiam powoje, skąd wiedziałeś?

Znalazła się teraz bezpośrednio naprzeciw niego, ale on nie był w stanie mówić. Od początku miałem pewność! – myślał. Nie wiesz, kim jestem?! Słowa więzły mu w gardle, ledwie mógł myśleć. To był wyjątkowy moment, lecz William stał sparaliżowany myślą, że matka go odrzuci. Czy nie lepiej było wciąż się łudzić? Marzyć, zamiast rozczarować się już na zawsze? Podniósł wzrok i popatrzył na nią z desperacją. Zobaczył, jak jej szeroki hollywoodzki uśmiech znika z pokrytej idealnym makijażem twarzy, ustępując miejsca wyrazowi oszołomienia i niewysłowionego smutku. Podał Willow kwiaty, a ona odebrała je powoli i zbliżyła do nosa, wpatrując się w Williama nad niebieskawymi płatkami.

– Czy mogę zadać pani jeszcze jedno pytanie? – przerwał dziennikarz. – Jak się pani czuje, powróciwszy do Seattle? – Zaczął pisać w małym notatniku, ale artystka nie odpowiadała.

Nie poruszała się, tylko zacisnęła powieki, a potem otworzyła je z powrotem i spojrzała

w niebo, podczas gdy po jej gładkich policzkach spłynęły łzy. Starła je i pociągnęła nosem, kryjąc się częściowo za bukietem.

Wszyscy wokół umilkli, nawet rozmawiający ze sobą dziennikarze. Każdy nadstawił uszu, żeby usłyszeć odpowiedź, jak gdyby owa dramatyczna pauza była tylko ciszą przed burzą, przed tajfunem pieśni i rozdzierających serce emocji. Jakby całe życie Willow Frost było grą.

– To... – odezwała się, być może szukając odpowiednich słów. – Wszystko to razem jest po prostu niewiarygodne!

– Dlaczego? – chciał się dowiedzieć inny reporter.

William spoglądał jej w oczy, a ona patrzyła na niego. Z tak bliska, że widział odbicie swojej pełnej nadziei twarzy w jej ciemnych, migdałowych tęczówkach. Światy ich dwojga rozdzielał w tej chwili tylko aksamitny sznur.

– Chodzi o ludzi – odpowiedziała dziennikarzowi. – Nie tylko o wielbicieli, ale o znajome... – Urwała.

– Jak dawno wyjechała pani z Seattle?

– Przed pięciu laty.

– Nadal ma pani tu gdzieś rodzinę?

Tak, mam! Ja nigdy nie wyjechałem, żyłem tu przez cały czas!

William patrzył, jak Willow powoli, niemal bezwiednie kręci głową i szepcze cichutko, tak że ledwie ją usłyszał:

– Jak mogłam...

– Słucham? – odezwał się znowu reporter.

– Czy mógłby pan powtórzyć pytanie? – Aktorka znowu otarła łzy.

– Zapytałem panią o rodzinę. Wiadomo że dorastała pani w Seattle. Ciekaw jestem, czy pani bliscy wybierają się na któryś z pani występów, co czują. Najbliżsi, znajomi, dalsi krewni. Z pewnością są niesłychanie dumni z pani sukcesów, z tego, jak daleko pani zaszła. Panno Frost...?

– Weź od niej autograf – szepnęła Williamowi do ucha Charlotte.

William zamrugał powiekami, jak gdyby budził się ze snu, a potem wyciągnął złożoną, wygniecioną fotografię Willow i podał ją gwiazdzie. Patrzył, zafascynowany, jak aktorka odbiera od niego kawałek papieru, spogląda nań chwilę, a potem szybko podpisuje się ozdobnym wiecznym piórem. Oddała fotografię i znieruchomiała na chwilę, podczas gdy fotoreporter robił zdjęcie. Ujął w obiektywie hollywoodzką gwiazdę i nieduzego chłopca, wpatrujących się w siebie nad czerwonym aksamitnym sznurem. William chwycił obiema dłońmi swoją ulotkę i znów podniósł wzrok na kobietę, która nadal stała i nie przestawała na niego patrzeć. Nie ruszała się z miejsca, aż taksówkarz zatrąbił i wcisnął na moment pedał gazu. Asa wymownie mignął Willow przed nosem zegarkiem i zaczął ją ciągnąć do samochodu. William zgarbił się, niemal chowając głowę w kołnierz płaszcza.

– To był najwspanialszy spektakl mojego życia – powiedziała szybko Willow. – Nie zapomnę go do końca moich dni. Jeżeli na widowni byli jacyś moi znajomi czy dawni wielbiele, to mam nadzieję, że mi wybaczą... tak długą nieobecność.

William nagle znowu był w stanie mówić.

– *Ah-ma?* – zapytał, kiedy aktorka ponownie odwróciła ku niemu głowę. Zamarła, nie zważając na Stepina i Asę, którzy wsiedli do taksówki. – Byłaś wspaniała! – zawołał jeszcze po chińsku William.

Willow zwiesiła głowę. W tej samej chwili zaczęło padać i pelerynę oraz kapelusik gwiazdy upstrzyły grube, ciężkie krople deszczu. Jeszcze raz rzuciła Williamowi spojrzenie przez ramię, po czym zajęła miejsce w samochodzie. Kiedy tylko zatrzaśnięto drzwi, otarła kolejną łzę.

Taksówka odjechała.

William stał nieruchomo jak posąg na błotnistym wybrzeżu. Czuł się, jakby zapadał się coraz głębiej w podłoże, podczas gdy fale wymywały piasek spod jego stóp. Dziennikarze, osoby składające życzenia i gapie powoli się rozchodzili. William wciąż nie ruszał się z miejsca, tylko trzymał Charlotte za rękę i próbował zrozumieć, co się właściwie chwilę wcześniej stało.

– Czy to naprawdę była ona? – spytała w końcu jego przyjaciółka. – Czy Willow okazała się... wiesz...

William westchnął głęboko. Odtworzył w pamięci przebieg krótkiego spotkania i popatrzył na autograf Willow Frost, przesuwając po nim palcami. Podpisała się po chińsku. Rozpoznał znaki. Napisała: „Liu Song”!



## Pokój dla aktorów

1934

William i Charlotte siedzieli w uliczce za teatrem, choć tłum już się rozszedł. Wszyscy inni mają dokąd i do kogo pójść, mają jakieś obowiązki do wypełnienia, myślał William. On sam po prostu nie był w stanie się ruszyć, nie mógł odejść z tego miejsca. Siedział na brudnym, popękanym chodniku oparty plecami o drzwi dla artystów i czekał. Nie miał dokąd pójść.

– Ona wróci – przekonywała Charlotte. – Wieczorem odbędzie się drugi spektakl. I jeszcze jeden jutro, i kolejny pojutrze. Będziemy mieli mnóstwo czasu...

– Nigdzie nie idę – oznajmił William, zakładając ręce na piersi. Zmęczyło go już dobijanie się do drzwi w nadziei, że jakiś obcy człowiek usłyszy i ich wpuści. Miał nadzieję, że zdoła zakraść się do garderoby mamy i tam zaczeka na jej przyjazd. Zwrócił jednak tylko uwagę starego dozorca, który ze złością kazał im się wynosić, przeganiając Williama i Charlotte miotłą. W końcu pomruki niezadowolenia za drzwiami ustały i w budynku zapanowała taka sama cisza jak w pustej uliczce.

– Nie możemy tu czekać wiecznie – przekonywała go spokojnie Charlotte. – Co będzie, jeżeli aresztują nas za wagarowanie albo, co gorsza, za włóczęgostwo? Z całą pewnością by nas rozdzielili.

William nasłuchiwał, wpatrując się w podłużne pęknięcia w betonie wypełnione mchem i kępkami dawno wyschniętej trawy. Przesunął wzrokiem wzdłuż szpar w chodniku aż do zaśmieconego wylotu uliczki, gdzie przechodziła powoli grupka starszych mężczyzn, dzwigając ręcznie malowane tablice używane podczas demonstracji. William nie był najlepszy z angielskiego, jednak nawet on zauważył błędy ortograficzne w napisach. Przechodzący ludzie wyglądali, jakby od tygodni nie zmieniali ubrań, byli nieogoleni, a twarze mieli wysuszone od wiatru. I niesłychanie smutne, jak smutne było ich życie, dzień po dniu. Nikt nas nawet nie zauważa, zrozumiał William. Staliśmy się niewidzialni: ani nie jesteśmy dla nikogo ważni, ani nie sprawiamy kłopotu.

Minuty zmieniły się w godziny. William i Charlotte skulili się razem i spędzali czas na rozmowach o jedzeniu i piosenkach, o rodzinie i niespełnionych życzeniach. Charlotte ujęła go nawet za rękę i odgarnęwszy włosy za ucho, oparła głowę na jego ramieniu, podczas gdy William obserwował długie popołudniowe cienie ogarniające powolutku mury z czerwonych cegieł i pomalowane na żółto schody przeciwpożarowe z kutego żelaza. W końcu uliczka pogrążyła się w cieniu, kolory przygasły, jak ciemnieje plama na gnijącym jabłku. Od czasu do czasu zapadali w drzemkę, jedno z nich lub oboje, pośród nieprzyjemnych zapachów pozostawionych przez wałęsające się zwierzęta i bezdomnych ludzi. Sen przerywało im to wycie syreny, to łoskot ręcznego wózka – a na końcu odgłos zatrząskiwanych drzwi samochodu.

William zmrużył oczy, spoglądając w stronę oświetlonej promieniami słońca ulicy, i dostrzegł odjeżdżającą taksówkę. Trącił Charlotte, ale zobaczył, że ta już nie śpi.

Zbliżał się ku nim mężczyzna w płaszczu, jego twarz kryła się częściowo pod rondem czarnego kapelusza. Stanął przed nimi i uklonił się, unosząc lekko kapelusz. Oczy Williama nie zdążyły dobrze się przyzwyczaić do słabszego światła w uliczce, wciąż nie widział zbyt wyraźnie oblicza przybysza.

– Co my tu mamy? – odezwał się mężczyzna i zamachał dłonią przed niewidzącymi oczami Charlotte. – Niech zgadnę, jesteście parą nowych komedianów: Skośne Oczko i Ślepe Oczko.

To był ten komik! William poznał jego głos. Asa... jakiś tam.

– Pan Asa Berger? – upewniła się nieśmiało Charlotte.

– Spokojnie, kochana. Pan Berger to mój ojciec, a ja jestem po prostu Asa. Dla znajomych. Ty możesz do mnie mówić: Przystojny Lordzie Krwawy Trzeci, Władco Śmietnika, Sułtanie Lenistwa, Święty Patronie Niewidomych Uciekinierek i Zagubionych Bogów. Nie przejmuj się, mała.

Artysta mówił tak szybko, że William musiał się wysilać, żeby zrozumieć jego słowa. Pomógł Charlotte się podnieść, otrzepali ubrania, William zapiął marynarkę i poprawił muchę.

– Czy już niedługo zaczyna się spektakl? – spytał. – Która godzi...

– A co, szukacie pracy, dzieciaki? – przerwał Asa. – Czy tylko jesteście na wyjątkowej wycieczce pod hasłem: „Spanie w najpiękniejszych zaułkach Seattle?”. – Przerwał i rozłożył ręce z taką miną, jakby czekał na śmiech albo brawa, ale odezwał się tylko gruby kocur, który zamiauczał do nich z wysokości przepełnionego pojemnika ze śmieciami. Komik pokręcił głową i wymamrotał coś w stronę nieba, w niezrozumiałym dla Williama języku.

– Czekamy na Willow – oznajmiła prosto z mostu Charlotte, trzymając mocno Williama pod rękę.

– To moja matka. Dlatego rozplakała się na mój widok – wyjaśnił z nagłym ożywieniem William, czując, jak opada nagromadzone w nim napięcie. Przynajmniej wydaje mi się, że to dlatego się rozplakała, dodał w myśli. Odszukał autograf i pokazał go Bergerowi.

– Ach. To mi dopiero dowód. Tylko że moim zdaniem tu jest napisane: „W niedzielę kurczak z makaronem za darmo!” – prychnął Asa. – Masz coś jeszcze? Wiesz, chłopcze, Willow jest aktorką, lży to część jej sztuki. Płacze z byle powodu i na czyjkolwiek widok.

William nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Co chwila zdarzają się takie sytuacje, mój drogi. Wiesz, Stepin przyciąga damy, a ja, wasz ukochany Asa, nie ociągam się na widok... to znaczy chodzi o sprawy... aj, nieważne, romansiki. W każdym razie my dwaj ciągle oglądamy się przez ramię, czy nie czai się tam wściekły ojciec albo mężuś rogacz. No a nasza Willow Frost mięknie na widok dzieci, czujesz? Dobra, spytam was teraz z całą powagą: czy wy jesteście ze sobą spokrewnieni? Chodzi mi o to, czy mała Sierotka Ślepotka wie, że nie pochodzi z Dalekiego Wschodu? I mówiąc „Daleki Wschód”, nie mam na myśli Long Island.

William wzruszył tylko ramionami. Znów zapadła niezręczna cisza.

– Oboje jesteśmy stąd – odpowiedziała Charlotte. – Z sierocińca pod wezwaniem Najświętszego Serca...

– Jestem z Chinatown, moja matka nazywała się Liu Song Eng, jej imię znaczy Wierzba, Willow. Mieszkaliśmy w hotelu Bush, przy ulicy South Jackson. Pięć lat temu moją matkę zabrano do szpitala, a mnie posłano do sierocińca...

Asa teatralnie przeciągnął się i ziewnął.

– Dobra, dobra, jestem frajerem i daję się nabierać na łzawe historyjki. Jak chcecie wejść za darmo, to wskakujcie. Ale bajki opowiadajcie wiejskim głupkom. Możecie połączyć sobie za sceną do czasu rozpoczęcia spektaklu, a potem stamtąd zjeżdżajcie, moje słodkie bliźnięta prosto z Irlandii. Tylko nikomu nic nie mówcie, bo inaczej zaczną opowiadać niestworzone historie, że niby jestem fajnym typem... – To powiedziawszy, komik wyciągnął z portfela dwa bilety i podał po jednym każdemu z nich. Zaraz potem uderzył pięścią w drzwi, a później jeszcze kilkakrotnie w nie kopnął.

Drzwi się uchyliły i pojawił się w nich rostry mężczyzna w zniszczonym czarnym swetrze. Spojrzał na zegarek i burknął w stronę Bergera: „Dobry wieczór”. Następnie otworzył drzwi szerzej, zastawił krzesłem, na którym zaraz usiadł, i zaczął lustrować wzrokiem przybyszów od stóp do głów.

– To pan dozorca Śmieszek – skomentował Asa. – Wielka osobowość. – Wprowadził młodych towarzyszy do wnętrza budynku i powiódł ich korytarzem. – Te schody prowadzą na widownię, do wyjścia spod amfiteatru. Znajdźcie swoje miejsca. Trzymajcie się z dala od facetów ubranych na czarno, to pracownicy techniczni obiektu. A to jest pokój dla aktorów. Najlepiej zaczekajcie sobie tutaj, ale nie kradnijcie sreber. Ja pójdę do swojego gabinetu i zażyję moje lekarstwo.

„Lekarstwo”, pomyślał drwiąco William, spoglądając za wchodzącym do prywatnej garderoby Bergerem. Postać komika nie pasowała do tapety w złote plamki i kryształowego żyrandola. Asa wyciągnął z szafki butelkę whisky o ozdobionej wstążką szyjce, wylał do kubeczka na śmieci zimną kawę, po czym otworzył butelkę i drżącą dłonią nalał sobie alkoholu do kubka. Widać było, jak grdyka mężczyzny podnosi się i opada przy każdym łyku. W końcu Berger odstawił kubek, popatrzył w lustro, a potem obrócił głowę i spojrzał smutnymi, przekrwionymi oczami na wpatrującego się w niego Williama. Z hukiem zatrzęsął drzwiami.

William i Charlotte usiedli w pokoju dla aktorów, pośród bukietów kwiatów oraz koszy pełnych owoców i bułeczek; był też srebrny serwis do herbaty i parująca kawa. Bali się czegokolwiek dotykać, pewni, że ktoś by to zobaczył i natychmiast wyrzucił ich z powrotem na ulicę. W pewnej chwili do pomieszczenia zajrzał jeden z pracowników teatru z notatnikiem w ręku. Spytał, kim są. W odpowiedzi pokazali mu z daleka bilety podarowane im przez Bergera. Mężczyzna popatrzył na nich podejrzliwie, ale zobaczywszy białą laskę Charlotte, wzruszył ramionami i poszedł. Dziękuję ci, Charlotte, pomyślał William. Nikt nie wątpi w dobre zamiary niewidomej dziewczynki. Charlotte poprosiła, żeby jej coś poczytał, ale znalazł jedynie starą gazetę. Artykuł na pierwszej stronie mówił o tym, że niejaka Frances Farmer, uczennica szkoły średniej, wygrała wycieczkę do Związku Radzieckiego w nagrodę za wypracowanie zatytułowane *Bóg umiera*. William oszczędził przyjaciółce treści artykułu, ale przytaknął, zgadzając się z tytułem nagrodzonego tekstu.

Oparł się wygodnie i przyglądał się wchodzącym na chwilę do pokoju i zaraz wychodzącym pracownikom technicznym oraz artystom. Rozpoznawał niektórych, widział ich na scenie parę godzin wcześniej. Inni mieli się pojawić dopiero podczas wieczornego spektaklu, na przykład bruchomówca z lalką grającą na dudach czy starszy pan z szympansem ubranym w smoking. Za każdym razem, kiedy William słyszał jakiś ruch na korytarzu, myślał, że za chwilę zobaczy swoją matkę – i doznawał rozczarowania za rozczarowaniem. W końcu usłyszał, że orkiestra stroi już instrumenty. Pomyślał z niepokojem, że jego *ah-ma* może wcale się nie pojawić. Wtem usłyszał dobiegające z uliczki na tyłach budynku odgłosy lamp błyskowych, a potem śmiech. Wyjrzał na korytarz, spodziewając się Willow; tym razem zobaczył jednak czarnoskórego mężczyznę w pięknym garniturze.

Zawahał się, sądząc początkowo, że to jeden z bileterów, ale zaraz potem go rozpoznał.

– Pan Stepin Fetchit, prawda? – upewnił się. Fetchit ścisnął pod pachą kupon z zakładami wyścigów konnych na torze Longacres i egzemplarz *Uliksesa*.

– Mów mi Lincoln – oznajmił Fetchit i uściśnął dłoń Williama. – Nazywam się Lincoln Perry. Wiesz, że w tym mieście jest lokal o nazwie Coon Chicken Inn? „Kurczaki pod Czarnuchem”? Myślałem, że na pięknym Północnym Zachodzie nikt nie wymyśliłby czegoś takiego... – Komik odwrócił głowę i zaklął. – Powiedz no, jesteś akrobatą albo kimś podobnym? Mam nadzieję, że nie występujecie w tym przedstawieniu, bo dzieciaki zawsze ściągają na siebie

całą uwagę widzów. Wystarczy, że będę musiał dzielić scenę z tą cholerną małpą...

– Przyszliśmy tu z powodu Willow – wyjaśniła Charlotte, machając laską.

– Poważnie? – Stepin przyjrzał im się ze zdziwieniem. – Willow jest, ale wątpię, żeby przesiadywała tutaj, bo znowu dopadła ją melancholia. Kiedy jest w takim stanie, dajemy jej po prostu spokój. Poszła do swojej garderoby. Ale jeśli myślicie, żeby tam wejść, to na własne ryzyko.

– Jest tutaj?! – upewnił się z ożywieniem William.

– Od pół godziny. W piwnicy, wszystkie damskie garderoby są tam, jeśli cię to interesuje.

– Asa powiedział nam, żebyśmy poczekał tutaj...

– Ten człowiek przez połowę czasu nawet nie wie, jak się nazywa – mruknął Stepin, machając tylko ręką. – Wrócił z wojny w takim stanie psychicznym, że spędził kilka lat w wariatkowie, chociaż wcześniej dostał Croix de Guerre za bohaterstwo w okopach. Teraz słynie jako mistrz ciętej riposty i tak dalej. Może to w sumie nic dziwnego...?

– Idź do niej, Williamie – rzuciła Charlotte. – Po prostu idź.

William podziękował Stepinowi i obiecał Charlotte, że zaraz wróci. Zbiegł po schodach, zastanawiając się, co powiedzieć matce. Mijał zdążające w przeciwnym kierunku tancerki w połyskujących strojach, artystki w gorsetach. Nie zwróciły na niego uwagi. W piwnicy nie było żadnych wykładzin, tylko zimna betonowa podłoga. Na korytarzu stało pełno wieszaków ze strojami, rekwizyty, elementy dekoracji. Na jego końcu William zobaczył drzwi z wymalowaną gwiazdą. Na drzwiach wypisano kredą: WILLOW. William poprawił marynarkę, wziął głęboki oddech, wciągając w nozdrza wonie talku oraz papierosów, i lekko zapukał. Nikt nie odpowiadał, więc zapukał mocniej. Cisza. Rozejrzał się, po czym otworzył drzwi, których zardzewiałe zawiasy skrzypnęły, dając znać o jego wejściu. William zajrzał do środka i zobaczył, że Willow siedzi w pozbawionym okien pomieszczeniu, na wysokim stołku naprzeciw toaletki pełnej luster. Wpatrywała się w swoje odbicie przez chmurę dymu, trzymając papierosa, który niemal w całości zamienił się w popiół. William spojrział na popielniczkę, była przepelniona.

– Przepraszam cię, Asa, kochanie, nie dam już dzisiaj rady wyjść na scenę – odezwała się jego matka. – Nieważne, ile mi za to płacą. Proszę cię, powiedz im, żeby rozwiązali ten problem za pośrednictwem Związku Aktorów Filmowych. Nie jestem w stanie występować w tym mieście; deszcz szkodzi mi na głos.

Ale twój głos świetnie brzmi, pomyślał William, wciąż stojąc w drzwiach. Wpatrywał się w swoją mamę; zwrócił uwagę, że ma na sobie inną sukienkę niż wcześniej i że jest boso. Z bliska jej odbijająca światło biżuteria wyglądała na barwione szkło, a etola wcale nie była uszyta z soboli, sprawiała wrażenie pozbawionego życia kawałka brunatnego dywanu. Podświetlone lustro, w które spoglądała aktorka, było pęknięte. Jej pełna elegancji postawa znikła. W tej chwili Willow Frost zdawała się wymięta i wyblakła, odrzucona i splamiona, jak jej podobizna, którą William nosił w kieszeni płaszcza.

– Kim jesteś? – spytała stanowczo, kierując słowa do odbicia sylwetki Williama w lustrze.

„Nic mnie tam nie trzymało”, rozbrzmiewały wciąż na nowo w jego głowie słowa Willow z radiowego wywiadu.

– Je... – zająknął się William. Bał się usłyszeć powód, dla którego matka go porzuciła.

Z góry słyhać było stąpanie mnóstwa ludzi po zniszczonej drewnianej podłodze. Stukot wysokich obcasów i butów do stepowania. Willow zgasiła papierosa i powoli się odwróciła. Spojrzała Williamowi w oczy i oboje popatrzyli na siebie wzrokiem pełnym zawodu. Cała gracia hollywoodzkiej aktorki znikła. Umalowane oczy wyglądały jak ciemne kółka, ostro kontrastowały z bladą skórą. Ta kobieta... matka Williama była zaledwie trzydziestolatką,

a wydawała się stara i zmęczona tak, że trudno było ją poznać. Nie mrugała powiekami, tylko wpatrywała się w syna, a po jej zapadniętym policzku spłynęła czarna łza. Spoczęła na jej drżących ustach.

– To rzeczywiście ty, prawda? – upewniła się Willow. Oddychała głęboko, próbując się uspokoić. – Ogromnie wyrosłeś...

– Tak, to ja, William – odpowiedział, przytakując. – William Eng.

– Proszę cię, nie wypowiadaj tego słowa. – Willow zrobiła taką minę, jak gdyby wymierzono jej policzek.

– William?

Matka powoli zaprzeczyła ruchem głowy.

– Eng.

– Ale ty jesteś Liu Song Eng, prawda?

– Mnie też tak nie nazywaj. – Willow zagryzła wargi.

– A jak mam do ciebie mówić? Willow? Powiedzieli mi, że nie żyjesz, ale przecież cię widzę. Jesteś moją matką, prawda? Moją *ah-ma*.

Usłyszawszy ostatnie słowa, Willow jak gdyby skurczyła się jeszcze bardziej, zsunęła się na podłogę, opadła na jedno kolano i wyciągnęła ramiona, jakby pragnęła sięgnąć po coś, czego nie śmiała dotknąć. Jakby jej nadzieje były nasączone trucizną.

William wtulił się w jej objęcia. Czuł znajomy z dawnych lat zapach, uścisk matki, jej wywołane szlochaniem drżenie, ciepło jej łez na policzku i szyi. Zdawał sobie sprawę z jej wielkiego cierpienia, znał je, niestety.

Matka przesunęła dłonią po jego włosach i starała się powstrzymać płacz.

– Tak ogromnie cię przepraszam, Williamie...! Tak ogromnie... Tak bardzo... – Kołysała nim w tył i w przód, tak jak w czasach, kiedy dopiero raczkował.

Pocałowała go w policzek, potem w ucho.

– Strasznie cię przepraszam... Myślałam o tobie codziennie, zastanawiałam się, z kim mieszkasz i co o mnie pamiętasz...

– Jak mógłbym cię zapomnieć? – spytał William.

Puściła go, delikatnym ruchem poprawiła mu kołnierzyk, musnęła palcami guziki jego koszuli, jak gdyby sama go ubrała i właśnie zamierzała odesłać z powrotem w świat.

– Osoba, którą wtedy byłam, nie żyje, Williamie – oznajmiła, dotykając jego policzka. – Kobieta, którą znałeś, została pogrzebana w smutku i wstydzie. Matka, jaką byłam, Liu Song, nie miała szans. Nie miała nawet wyboru. Dlatego pozwoliłam jej umrzeć. Pozostała tylko osobowość sceniczna, postać z ekranu i desek teatrów, Willow, która po prostu funkcjonowała dalej.

Przecież jesteś równocześnie Liu Song i Willow Frost!

– Willow to tylko pseudonim aktorski – odpowiedział William.

– Właśnie dzięki temu przeżyłam: uratowała mnie Willow.

Przed kim?

– Dlaczego w takim razie po mnie nie przyjechałaś?

Willow zrobiła pauzę, po czym pokazała Williamowi, żeby zamknął drzwi. Potem poprosiła, żeby przekręcił klucz. Wyciągnęła kolejnego papierosa, włożyła go do ust, zawahała się i schowała z powrotem.

– Bardzo wielu rzeczy nie wiesz – zaczęła. – Byłeś wtedy małym chłopczykiem.

W myślach Williama przesuwwały się wspomnienia lat przeżytych w sierocińcu, lat samotności i tęsknoty. Później mignął mu przed oczami jej obraz na ekranie kinowym, plakaty z jej postacią, wyobrażenia na temat jej stylu życia jako gwiazdy. Ty masz wszystko, pomyślał.

Pozwalając sobie na nadzieję, że Willow Frost naprawdę jest jego mamą, wyobrażał sobie, że w chwili ich spotkania przytulą się ze łzami radości w oczach i że odtąd znowu będą razem. Rzeczywistość okazała się jednak inna: matka płakała, ogarnięta wielkim smutkiem.

– Czego nie mogłaś mi wytłumaczyć?

– Wiedziałam tylko tyle, że nie mogę dzielić z tobą mojego ówczesnego życia, które było potworne. Nie życzyłam tego nikomu. Nie mogłam ci także pozwolić uczestniczyć w moim obecnym życiu – dlatego, żeby cię przed nim chronić. Nie byłam ci nawet w stanie dać przyzwoitego nazwiska. Niczego ważnego.

– Ależ masz wszystko. – William ogarnął szerokim gestem garderobę, cały wielki teatr. – Jesteś bogata i sławna! Ludzie cię uwielbiają. Czego ci brakuje?

– Brak mi najważniejszego.

Syna, pomyślał William. Właśnie przed tobą stoję!

– Przebaczenia... – dokończyła Willow, ledwie słyszalnym szeptem.

– Co jeszcze trzeba ci wybaczyć? – zapytał. I nagle zrozumiał, że być może jego matka nie umie wybaczyć sama sobie. Przeraziła go ta myśl.

Willow skinęła na niego, żeby podszedł bliżej i ujęła jego dłonie. Lata przepracowane w pralni czy przy myciu podłogi w sierocińcu sprawiły, że długie palce Williama stały się pomarszczone. Mieli takie same dłonie – tym bardziej że jej dłonie także wyglądały staro. Różnica była taka, że ręce jej syna były ciepłe, a Willow – zimne jak lód. Puściła go i patrzyła, jak William wpatruje się w jej puste dłonie, jak gdyby czytał z jej linii papilarnych, szukał wskazówek niczym na mapie.

I nagle na górze odezwała się odległa melodia, a matka zaczęła opowiadać synowi o rodzinie i przodkach.

## Piosenki

1921

Liu Song Eng wracała piechotą z salonu Butterfielda, gdzie pracowała po szkole. Reklamowała nuty, śpiewając przed sklepem. Samo to zajęcie nie było nieprzyjemne. Obdarzona kontraltem o potężnej sile Liu Song dostawała średnio pięć centów za każdą stronę sprzedanych nut. Niestety, jej wygląd w niemiły dla niej sposób przykuwał uwagę przechodniów, szczególnie kiedy miała na sobie zwiewną sukienkę matki. Mijające Liu Song matrony mrużyły oczy i wydymały wargi. Dorośli mężczyźni stawali jak wryci, widząc, że łzawa ballada Mamie Smith dobywa się z ust siedemnastoletniej Chinki. Obrzucali ją od stóp do głów długimi pożądanymi spojrzeniami. Nawet pruderyjni policjanci patrolujący ulice Seattle zwalniali kroku w jej obecności i opierając dłonie na uchwytych pałek, żartowali na temat zimnego wiatru, który podwiewał jej halkę. Stary Butterfield siedział tymczasem w ciepłym salonie i palił fajkę, a jego długie palce śmigały po pokrytych pooblupywaną kością słoniową klawiszach starego pianina. W przeciwieństwie do pianoli, nie było ono do sprzedania. Właściciel sklepu mógł po prostu uruchomić jedną z automatycznych pianoli, ale Liu Song przypuszczała, że lubi grać, tak samo jak ona uwielbia śpiewać. Samotny starszy pan wydawał jej się nierozzerwalnie związany z ukochaną muzyką. Nigdy się nie ożenił, a co więcej, rzadko odzywał się na temat kobiet; najwyżej komentował ich buty.

„Nie popełnij takich samych błędów, Liu Song. Nie przebywaj sama z mężczyzną, z żadnym mężczyzną, dopóki nie wyjdiesz za mąż”. Właśnie te słowa były ostatnimi, jakie wypowiedziała do niej matka.

Przypomniawszy je sobie, Liu Song wzruszyła ramionami. Nie obawiała się przebywać sama ze swoim pracodawcą. Przerazała ją za to myśl o osamotnieniu, o braku prawdziwej rodziny. Przeszła przez ulicę i zapięła kołnierz płaszcza. Owinęła szyję ulubionym szalikiem i zmarszczyła nos: wełna pachniała wiśniowo-waniliowym aromatyzowanym tytoniem. Liu Song tęskniła za kojącym brzmieniem głosu matki, która kiedyś występowała na scenie, ale Liu Song nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek słyszała jej śpiew, choćby smutną kołysankę.

Liu Song skręciła na rogu i weszła do chińskiej dzielnicy. Zobaczyła ojczyma, stał przed siedzibą Quong Tuck Company, palił i rozmawiał z dwoma innymi przedsiębiorcami. Rozpoznała go z odległości dwóch przecznic po drogich szerokich spodniach w stylu oksfordzkim. Przechodząc przez ulicę, pomyślała, że krzepki, otyły ojczym wygląda w tych workowatych angielskich spodniach po prostu śmiesznie, szczególnie że towarzyszący mu mężczyźni nosili trzyczęściowe garnitury.

– Dzień dobry wujku Leo – rzuciła serdecznym tonem, mijając go i idąc dalej.

Ojczym nie cieszył się z tego, że ma córkę; nalegał, żeby Liu Song nazywała go wujkiem. Rzucił niedopałek do rynsztoka, splunął na chodnik, po czym odwrócił się do niej plecami i rozmawiał dalej.

Nie jesteś moim wujkiem, pomyślała Liu Song. Ani ojcem. Jesteś tylko właścicielem pralni.

Jej prawdziwy ojciec był reżyserem teatralnym i gwiazdorem kantońskiej opery. Potem nadeszła epidemia hiszpanki, która zdziesiątkowała jego zespół w Seattle. Ojciec był zmuszony

przejsć na jakiś czas na emeryturę; lecz pomimo kwarantanny i on padł ofiarą grypy. Tak samo bracia Liu Song. Jej matka wprawdzie zwalczyła chorobę, ale została inwalidką.

Liu Song żałowała, że nigdy nie miała możliwości zobaczyć ojca na scenie. Niestety, w tamtych czasach dziewczętom nie wolno było chadzać do teatru. Przynajmniej grzecznym dziewczętom. Liu Song uwielbiała ojcowskie opowieści.

„Pewnego razu, w siódmym miesiącu, kiedy byłem jeszcze chłopcem i terminowałem, nasza trupa zawędrowała do odległej wioski i dała tam wspaniałe przedstawienie. Rano, kiedy się obudziliśmy, okazało się, że wioska całkiem zniknęła! Staliśmy na pustej łące. Zrozumieliśmy, że graliśmy dla duchów!”

Opowieść o wiosce duchów była jej ulubioną, często ją powtarzał. Śpiewając, czy to w domu, czy w szkole, czy przed sklepem Butterfielda, Liu Song wyobrażała sobie, że patrzy na nią duch ojca, a to z aprobatą potakując, a to udzielając jej nauk.

Szła Canton Alley aż do budynku East Kong Yick, w którym znajdowało się jej mieszkanie. Na miejscu owionął ją intensywny zapach kamfory. Przypominał, że jedynym prawdziwym duchem w jej życiu jest przykuta do łóżka matka. Piękna kobieta, którą ojciec Liu Song nazywał Moją Radosną Boginią, straciła słuch z powodu grypy. Choroba zniszczyła jej bębenki. Nie mogła już więcej śpiewać, z trudem mówiła i rzadko nawiązywała kontakt z otoczeniem. To dziwne, że wujek Leo zdecydował się z nią ożenić, istny cud. Z drugiej strony matka pozostała piękna, a niewiele było Chinek w Seattle, więc wziął je obie do siebie. Matka Liu Song gotowała, sprzątała i robiła wszystko, czego wujek Leo oczekiwał od posłusznej żony, z wyjątkiem jednego: nie dała mu syna. Podupała także na zdrowiu. Wujek Leo poddawał żonę najrozmaitszym kuracjom, ale jedynym ich skutkiem były wyniszczające ją gwałtowne skurcze. Za każdym razem traciła część umysłu – znikały jej wspomnienia. Była jak przesadzony do piasku polny kwiat, tracący kolor i zapach. Uszła z niej życiowa energia, nienaturalnie szybko się starzała.

– Jak się dzisiaj czujesz, *ah-ma*? – spytała Liu Song, zdejmując płaszcz i zaglądając do sypialni, którą matka dzieliła z wujkiem Leo. Pytanie było retoryczne, miało uspokoić mamę, zabrzmieć tak, jakby wszystko było normalne. Liu Song nalala wody do czajnika i postawiła go na piecu, a potem podeszła do matki, która nie spała, tylko próbowała usiąść w łóżku. Kiedy jej się to udało, rozejrzała się z taką miną, jak gdyby przez chwilę nie wiedziała, gdzie się znajduje. Potem popatrzyła na Liu Song i uśmiechnęła się. Zamknęła oczy i teatralnie wysunęła naprzód usta do pocałunku.

Liu Song ucałowała matkę w oba policzki, po czym oblizła kciuki i roztarła resztki szminki na policzkach matki, żeby choć trochę ożywić jej ziemistą cerę.

– Jadłaś? – zapytała, wykonując taki gest, jak gdyby brała pałeczkami ryż z miski.

Matka powoli zaprzeczyła ruchem głowy, a później przytaknęła, otwierając szeroko oczy.

Liu Song poszła do kuchni i wróciła z miską zimnego ryżu i łyżką. Z całych sił starała się uśmiechać, patrząc na gwałtownie dygoczące dłonie, które matka wyciągnęła po miskę. Była jeszcze dość młodą kobietą i bardzo się starała, ale już w żaden sposób nie była w stanie samodzielnie jeść.

– Nakarmię cię, mamo. Wszystko dobrze, nakarmię cię.

Matka założyła ręce i przycisnęła je mocno do nocnej koszuli, żeby opanować skurcze, i wtedy Liu Song zobaczyła czerwone otarcia i sińce na jej nadgarstkach. Były to świeże ślady po sznurze. Liu Song podniosła poplamioną kołdrę w nogach łóżka i stwierdziła, że matka musiała być niedawno przywiązana także za kostki. Widać było wypolerowane miejsca na mosiężnych nogach łóżka.

– Kto ci to zrobił?



Liu Song proponowała już – a raczej nalegała – że rzuci szkołę i zostanie opiekunką matki w pełnym wymiarze godzin. Wujek Leo się na to nie zgodził. Odparł, że to on będzie się opiekował jej matką. Że zaaplikuje jej – za każdym razem tak robił – mieszankę leczniczych ziół. Nie podzialała. Kiedy wreszcie wezwali doktora Luke'a, zdiagnozował u matki Liu Song płasawicę. Nietypowe schorzenie u kobiety w jej wieku. Lecz jej dziwaczne konwulsje, szarpanie kończynami, skręcanie ciała, nie chciały przejść. Zdrowie matki Liu Song stale się pogarszało i już nikt nie był w stanie jej pomóc. Przez jakiś czas przychodziła pielęgniarka, która oceniała jej stan, ale w końcu przestała się pojawiać.

– Czy to wujek Leo ci to zrobił? – Liu Song leciutko dotknęła nadgarstków matki, ale ta gwałtownie szarpnęła rękami. – Czy to on? – Pytanie Liu Song nie docierało do niesłyszących uszu wystraszonej kobiety. Sięgnęła więc po słoiczek kremu firmy Pond's i zaczęła delikatnie wcierać pachnący oczarem balsam w miejsca, gdzie skóra była uszkodzona. Jeszcze raz zapytała o to samo, pokazując na wiszącą na ścianie oprawioną fotografię ojczyma. Parę lat wcześniej wisiał w tym miejscu portret jej ojca. Matka popatrzyła bez wyrazu na zdjęcie, a później spojrzała w stronę drzwi, zamrugnęła powiekami i uśmiechnęła się drżącymi, spękanymi ustami. Wydała z siebie nieokreślony odgłos, coś pośredniego między śmiechem a płaczem.

– Wyjdź – odezwał się wujek Leo, który stanął w drzwiach z butelką olejku kamforowego. – Muszę podać twojej matce lekarstwo.

– Nie jadła – odpowiedziała Liu Song, wskazując wymownie na wychudłe ciało matki, która musiała ważyć najwyżej czterdzieści kilogramów. – Czy nie widzisz, że jest zagłodzona?

– Odstaw jedzenie, ja się tym zajmę.

Liu Song wpatrywała się w wujka Leo, człowieka, który wcześniej stał się jednym ze sponsorów miejscowego festiwalu Go Hing, ulicznej zabawy, której celem była zbiórka pieniędzy dla głodujących mieszkańców Chin.

– Zrób mi herbaty – polecił, patrząc Liu Song prosto w oczy. Z kuchni zaczął dolatywać gwizd czajnika. – Rób, co ci mówię, Liu Song Eng. – Podkreślił swoje nazwisko, które teraz obciążało i ją. Czuli się z nim jak zwierzę z wypalonym już na zawsze piętnem.

Liu Song popatrzyła na matkę, która powoli przytakując, wyciągnęła posiniaczone, drżące ręce i objęła córkę.

– Bardz... o prze... praszam – wymówiła z trudem, przytulając ją.

Czajnik gwizdał zawzięcie.

Mama puściła Liu Song i westchnęła z trudem, a potem opadła na poduszkę i zacisnęła powieki, jak gdyby chciała odciąć się od świata. Liu Song wstała, żeby wyjść z pokoju i zobaczyła, że ojczym wciąż się w nią wpatruje. Patrzył na jej ciało, oceniając je w odsłaniającej częściowo sukience jej matki. Mruknął coś pod nosem i odsunął się na bok, a kiedy Liu Song wyszła, zamknął za nią drzwi.

## Dziewczęta kwiaty

1921

Liu Song wracała tramwajem z liceum Franklina. Jechała do sklepu Butterfielda. Tam stanęła przed wejściem, pod dziurawym parasolem, i próbowała śpiewać *Blue Skies* Irvinga Berlina.

– „Poszły precz smutne dni...” – Aż zapomniała słów, zwróciwszy uwagę na swoje odbicie w mokrej od deszczu witrynie sklepu. Była bardzo podobna do matki, zwłaszcza w jej sukience. Nie pamiętała już, kiedy matka miała ją na sobie po raz ostatni. Teraz była już tylko strzępem dawnej siebie: przykuta do łóżka, nie mówiła, majaczyła, stopniowo była coraz bardziej zagłodzona.

Pan Butterfield grał dalej refren wesołej piosenki. Liu Song starała się śpiewać o tym, że słońce jeszcze nigdy tak jasno nie świeciło... W końcu złożyła parasol i poczuła na twarzy krople deszczu.

– Przepraszam pana – powiedziała.

Starszy pan wstał zza pianina ustawionego przy wejściu do sklepu, za czerwoną, aksamitną zasłoną wystawy. Liu Song pomagała ją zaaranżować. Umieściła na niej bębny firmy Leedy, wypolerowane instrumenty dęte, a także naturalnych rozmiarów Nipperera, maskotkę Victor Talking Machine Company. Ów ceramiczny pies spoglądał z przekrzywionym łbem i podniesionym uchem w stronę nowego patefonu Victrola, w kosztownej drewnianej obudowie w stylu chippendale. Pan Butterfield strzelił knykciami i wymacał w kieszeni pojemnik mieszczący trzy cygara.

– Odpocznij, kochana – odpowiedział. – I tak marny dziś ruch.

Liu Song stanęła w drzwiach sklepu, żeby wciąż oddychać świeżym powietrzem, i patrzyła na toczące się powoli stare gruchoty oraz fordy T. Liczyła samochody. Ich głośnie, terkoczące silniki i piskliwe trąbki spłoszyły konie ciągnące wysłużony powóz, który prosił się o odmalowanie. Woźnica pokierował konie w stronę chodnika, żeby samochody mogły go wyprzedzić.

Liu Song niemal zakręciło się w głowie od smutku. Jej ojciec miał niegdyś zielony jak liście drzew landaulet, stary model wyposażony w karbidowe reflektory. Przypominała sobie szalone jazdy trzęsącym ojcowskim samochodem nad jezioro Green i do Ballard w niedzielne popołudnia. Siadywała wtedy na błotniku i popijała napój gazowany o smaku lodów. Teraz samochód jej ojca był własnością wujka Leo. Ten rzadko nim jeździł, a kiedy to robił, nigdy nie składał otwieranego dachu, nawet przy pięknej słonecznej pogodzie. Liu Song nie chciała się oderwać od wspomnień, choć z drugiej strony były jak ruchome piaski: wciągały ją coraz głębiej i głębiej.

– Dopiero zaparzyłem kawę – zawołał z głębi sklepu pan Butterfield. – Mam też butelkę koniaku, jeśli chcesz się trochę rozgrzać.

Liu Song pokręciła głową. Rodzice nie pozwalali jej pić alkoholu ani nawet go próbować jeszcze przed wprowadzeniem w kraju prohibicji. A już na pewno nie zamierzała próbować jakiegoś pędzonego w domu trunku, który zapewne powstał z zacieru sporządzanego przez kogoś w piwnicy. Zignorowała propozycję, udając, że jej nie usłyszała.

Rozejrzała się, czy nie nadchodzi jakiś potencjalny klient, i zobaczyła znajomą twarz. Mildred Chew, jej najlepsza przyjaciółka, szła z mamą, omijając kałuże.

Liu Song uśmiechnęła się i pomachała do Mildred. Wiele je łączyło; obie urodziły się już w Stanach, ich rodzicom nadano wcześniej obywatelstwo amerykańskie. Jedna i druga musiała po lekcjach pracować, podczas gdy ich koleżanki chodziły do gmachu Chong Wa na lekcje miejskiego kantońskiego. Obie zazdrościły zamożnym rówieśnikom, którzy po zajęciach jeździli zawsze na stadion Dugdale Field i oglądali, jak Seattle Indians grają dwumecze; zjadali przy tym prażoną kukurydzę i solone orzeszki ziemne, podczas gdy biedne dzieci oglądały te same rozgrywki z położonego wyżej zagonu kapusty.

Mildred nie odpowiedziała. A jej mama wyglądała na niezadowoloną.

– *Neih hou ma?* – zapytała Liu Song, kiedy przystanęły przed sklepem.

Matka Mildred była o trzydzieści centymetrów niższa od Liu Song. Obrzuciła ją spojrzeniem z góry na dół i pokręciła głową, nie odpowiadając na grzeczne pozdrowienie koleżanki córki.

– Przepraszam cię, Liu – powiedziała po angielsku Mildred.

Jej matka uciszyła ją, po czym odezwała się w dialekcie taishańskim:

– Przypominam ci, że jesteś córką tej śpiewaczki operowej! – Wypluwała słowa takim tonem, jakby myśl o matce Liu Song budziła w niej niesmak. – W rejonie, z którego pochodzę, wszystkie kobiety kręcące się koło teatru to kurtyzany! I ty sama wystajesz tutaj bezwstydnie i pracujesz na ulicy.

Liu Song nie rozumiała, o co chodzi. Większość mieszkańców chińskiej dzielnicy uwielbiała Yuet Kahk. Przypomniała sobie jednak te bardziej ponure spośród opowieści ojca, o czasach jego dzieciństwa i o tym, że opera kantońska została niegdyś zakazana przez dynastię Qing, a aktorów wymordowano. Liu Song o to nie wypytywała, ale i tak wiedziała, że właśnie z tego powodu jej rodzice, adepci sztuki operowej, wyjechali na występy do Ameryki i już nie wrócili do Chin. Wiedziała też, że ludzka nienawiść trwa nieraz długo, całe dziesięciolecia, i nie znika nawet po przeniesieniu się przez kogoś na odległość wielu tysięcy kilometrów. Tak było i w tym przypadku, mimo że Mandżurowie od jakiegoś czasu zezwalali na działalność operze pekińskiej.

Liu Song starała się zachować grzecznie, nie zamierzała się kłócić, skłoniła więc z szacunkiem głowę i odparła po angielsku, a później chińsku:

– Sprzedaję tylko nuty, zarabiam procent od liczby stron...

– Powinnaś pomagać najbliższym, a nie czaić się tutaj jak te „dziewczęta kwiaty” z Paradise Alley. – Matka Mildred pokazała kciukiem w stronę ulicy South Washington, gdzie wcześniej działał dom publiczny Lou Graham, zanim wygnano ją z miasta. Obecnie dziewczęta – niektóre w wieku Liu Song – skrapiały się obficie perfumami, owijały ciała chińskim materiałem i sprzedawały kwiaty na rogu ulic. Wszyscy jednak wiedzieli, że oferują one różne rzeczy.

– *Dui m'ji* – odpowiedziała Liu Song. – Przepraszam, jeśli panią uraziłam...

– Trzymaj się z dala od mojej Mildred, to dobra dziewczyna!

Liu Song odjęło mowę. Tymczasem kierowca przejeżdżającego samochodu zagwizdał na jej widok.

Matka Mildred uniosła brwi, przekrzywiła głowę, podparła się pod boki, opierając piąstki na kościstych biodrach, i wypaliła:

– Mildred nie potrzebuje koleżanek takich jak ty, w tej twojej... sukience chłopczycy! – Wykonała w powietrzu taki gest ręką, jakby odpędzała od siebie obrzydliwy zapach, po czym odwróciła się na pięcie i odeszła energicznym krokiem, wchodząc w błotnistą kałużę. Posypał się grad chińskich przekleństw.

– Bardzo cię przepraszam... – wyszeptwała Mildred, zwieszając ramiona. Pomachała przyjaciółce na pożegnanie i ruszyła za matką.

\*

Kiedy Liu Song skończyła pracę, już nie padało, choć niebo wciąż było szare. Na kolejnych odcinkach ulic zapalały się gazowe latarnie. Ich światło wywoływało tęczne odbłaski w tłustych, brudnych strumykach spływających cuchnącymi rynsztokami do częściowo zapchanych gnijącymi liśćmi kratek ściekowych.

Tyrada matki Mildred wyjaśniła Liu Song wiele rzeczy. Zwłaszcza to, dlaczego w czasie szkolnej przerwy obiadowej jej chińskie koleżanki wprawdzie odnosiły się do niej grzecznie, ale nie nawiązywały z nią bliższych relacji. Rzadko pytały także o jej życie domowe czy ciężko chorą matkę. Z początku Liu Song myślała, że po prostu wiele z nich straciło najbliższych w czasie epidemii grypy albo Wielkiej Wojny. Ale nikt jej nigdy nie odwiedzał ani nie mówił, że chciałby. Ani razu nie została zaproszona na przyjęcie czy inne klasowe spotkanie.

„Zazdrozczą ci urody i zdolności”, napisała jej po chińsku na tabliczce matka, kiedy Liu Song zaczęła chodzić do liceum Franklina.

Może mama ma rację, myślała wtedy Liu Song. Jej koleżanki i koledzy często nie szczydzili sobie nawzajem głupich złośliwości. Potem nie zaproszono jej na pierwsze tańce przy herbacie oraz na doroczny zimowy bankiet... Zdała sobie wtedy sprawę, że ją i jej kolegów dzieliło coś, o czym nie mówili.

Odwiedzała ją jedynie Mildred, w ciągu paru minionych lat tylko ona spędzała z nią czas. Liu Song zdawała sobie sprawę, że to zapewne dlatego, iż Mildred przeniosła się z Main Street School Annex i w nowej szkole nikogo nie знаła.

Wracając do domu Canton Alley, Liu Song marzyła, że poczuje zapach jedzenia gotowanego przez matkę, usłyszy jej głos, że znowu poczuje delikatne matczyne dłonie zaplatające jej mokre włosy w warkocz, że będzie mogła porozmawiać z kimś, kto rozumie jej samotność i cierpienia. Liu Song odstawała od chińskiej wspólnoty: pochodziła z rodziny o nietypowym sposobie życia i wydawało się, że nigdzie nie pasuje. Bardzo pragnęła akceptacji. Ogromnie brakowało jej potwierdzenia, że jest osobą na swoim miejscu. Jej wyjątkowy głos dawał jej siłę, lecz dla większości znających ją Chińczyków dar ów był jak choroba, która zmieniała Liu Song w niepełnosprawną dziewczynę, jak chroniczna słabość, z której powodu jest nieodpowiednią kandydatką do małżeństwa. Chinka bez męża była zaś uznawana za osobę bezwartościową.

Akurat kiedy Liu Song dotarła do drzwi mieszkania, wujek Leo wychodził. Podał jej przepełnione pudło z rzeczami jej matki.

– Wynieś to do śmieci – polecił. – Twoja mama już nie będzie tego potrzebować. A nie sprzedam tych rzeczy, bo kto by to kupił?

Liu Song z niedowierzaniem spojrzała na zawartość pudła. Wyczuwała płynącą ze starego szala woń matczynych perfum o zapachu bzu. Spoglądała na starą szczotkę pełną włosów jej mamy – w ostatnich dniach wychodziły jej całymi garściami – i zrozumiała, że nieczuły gest wujka Leo wskazuje, że coś się kończy. Drżącymi palcami dotknęła sukienki, którą jej mama miała na sobie, kiedy ostatni raz była w stanie wyjść z domu. Zdawało się, że było to tak dawno temu... Każda ze znajdujących się w pudle rzeczy miała wartość sentymentalną – lecz w sensie finansowym była bezwartościowa. Rzeczy, które przedstawiały jakąś wartość pieniężną, Leo widocznie sobie zatrzymał – albo je przegrał, uprawiając hazard.

– Ale... wszystko to należy do mojej rodziny – zaprotestowała Liu Song. Omal nie załapała się łzami, ponieważ prawie powiedziała: „należało do mojej matki”. Stała ze ściśniętym sercem,

ze ściśniętym gardłem, i czuła się tak, jak gdyby już nie miała swojej *ah-ma*.

Wujek Leo puścił pudło, które upadło na chodnik. Poprawił szelki, sapnął ze złości i oznajmił:

– Dobrze, wybierz sobie jedną rzecz. Ale resztę... – Machnął tylko ręką. – Przynosi pecha.

Liu Song podniosła pudło i powoli ruszyła uliczką, podczas gdy wujek Leo trzasnął drzwiami. Spoglądała na stos rzeczy matki, pozostałości po swojej rodzinie. W tych śmieciach tkwiło mnóstwo wspomnień, dobrych i złych.

Twoje przesady, wujku, dręczą nas oboje, pomyślała Liu Song.

Postawiła pudło i uklękła na mokrym, pokrytym mchem chodniku, pośród skórek pomarańczy, ości i rozdeptanych niedopałków. Z czią dotykała starych matczyńskich przedmiotów, jakby były żywymi istotami. Jej bluzek, kapeluszy, butów, różnych kartek, książek, bibelotów, nietypowych rekwizytów teatralnych.

„Wybierz sobie jedną rzecz”.

Liu Song pokiwała głową, odnajdując walizeczkę, używaną przez mamę, kiedy występowała w wodewilach. Zawierała zestaw do makijażu scenicznego, nakrycia głowy, satynowe buciki i biżuterię pasującą do kostiumów. Skórzana walizeczka była ubrudzona fusami od kawy. Liu Song wytarła ją do czysta dłońmi.

To był prezent zaręczynowy, jaki jej matka dostała od ojca Liu Song. Na walizeczce widniały naklejki z portów, do których zawijała *ah-ma*: Seattle, Vancouver, Los Angeles, San Francisco. Pamiątki z czasów, kiedy jej rodzice byli zaledwie dwudziestolatkami. Podróżowali od miasta do miasta z trupą stu trzydziestu artystów. Występowali przed publicznością złożoną z pracujących fizycznie chińskich imigrantów oraz wrażliwych białych bywalców imprez artystycznych, którzy chcieli zakosztować czegoś egzotycznego. Liu Song zaczęła grzebać w pudle, gdzie znalazła ostatni kostium matki: elegancką suknię z długimi frędzlami, błyszczącymi cekinami i srebrnymi paciorkami. Złożyła starannie wyszywaną jedwabną suknię i schowała ją do walizeczki. Dorzuciła jeszcze mały album ze zdjęciami i stare listy – tyle, ile się zmieściło. Uklękła na niej i zapięła klamry. Zastanowiła się, czy nie wziąć więcej rzeczy, ale wujek Leo spaliłby je zapewne, gdyby je znalazł. Był przekonany, że trzymanie tak osobistych przedmiotów przynosi nieszczęście, ponieważ po śmierci ich właścicielki mogły przyciągać jej ducha.

Liu Song wróciła do mieszkania. Unosił się w nim ostry zapach suszonych ziół, starych kadzidełek i wszechobecna woń olejku kamforowego. Matka nie poruszyła się ani odrobinę od chwili jej wyjścia, to jest od rana. Liu Song poprawiła pościel, żeby mama nie dostała odleżyn. Mówiła do niej jak do osoby słyszającej, jak gdyby istniała możliwość, że jej *ah-ma* powróci do świata żyjących. Zwróciła uwagę na okrągłe lusterka na parapecie, toaletce, nocnym stoliku; te same, których jej rodzice używali jako symbolu idealnego małżeństwa. Wujek Leo starał się teraz odpędzać nimi złe duchy. Szykował się więc na najgorsze. Cokolwiek miało dziać się z matką Liu Song, dobrego czy złego, będzie się odbijało w lusterkach, zostanie powiększone.

Liu Song przyłożyła policzek do policzka matki i poczuła jeszcze słabutki oddech muskający jej ucho. Mama miała coraz wyższą gorączkę. Liu Song zamknęła oczy, żeby nie patrzeć w lusterka. Czuła się zmęczona.

## Czuwanie przy zmarłej

1921

Tydzień później wujek Leo obudził Liu Song i oznajmił:

– Twoja matka jest w niebie.

Nie płakała. Nawet nie jęknęła, kiedy siedziała przy stole nad stygnącym śniadaniem i patrzyła, jak grabarz wnosi sosnową trumnę. Nie uroniła łzy, kiedy ubierała kruche ciało matki w starą suknię, przeznaczoną przez nią wcześniej specjalnie na tę smutną okazję. Elegancka sukienka w kolorze kości słoniowej wydawała się w tej chwili o trzy rozmiary za duża. Liu Song wykonywała wszystkie czynności, których oczekiwano od oddanej, posłusznej, kochającej córki; nie robiła zamieszania, nie skarżyła się. Uczesała resztki włosów matki, nałożyła jej staranny makijaż. Ubrała się w czerń na czas czuwania przy zwłokach i zawiesiła na drzwiach ciemny wieniec. Przez cały dzień paliła kadzidelka i zdobione bambusowe papiery, żeby zapewnić mamie bogactwo w życiu pozagrobowym. Złamała ulubiony grzebień matki; połowę włożyła do trumny, a połowę zachowała dla siebie. Płacz pozostawiła płaczkom. Wujek Leo wynajął trzy bezzębne staruszki znane z tego, że potrafiły donośnie łkać całymi godzinami, roniąc prawdziwe łzy.

Liu Song siedziała w dużym pokoju i zasłaniała uszy przed złowrogo brzmiącym hałasem, jaki robiły płaczki. Było jej przykro, że przy zwłokach jej ojca i braci nikt w taki sposób nie czuwał. Nie odprawiono nawet należytych pogrzebów. Ich ciała spoczęły bez trumien, których nie dało się znaleźć w całym Seattle. Ciężarówka przewiozła ich ciała z tymczasowej kostnicy urządzonej w starym ratuszu na bezimienny cmentarz założony na południe od miasta, tuż za granicą okręgu. Pochowano je razem z ciałami innych ofiar epidemii grypy, bez żadnej ceremonii, w olbrzymim nieoznakowanym grobie.

Liu Song zapamiętała ojca jako rozsądnego człowieka. Zawsze zakładał maseczkę z gazy i pilnował, żeby najbliżsi robili to samo. Lecz w dniu zakończenia wojny na ulice wyszły tysiące pijanych ludzi bez maseczek. Dwa dni później ojciec dostał gorączki i zaczął kaszleć i pluć krwią. Dwa tygodnie później umarli bracia Liu Song. Wtedy jej wujkowie i ciotki posprzedawali wszystko i uciekli wraz z jej ciotecznym rodzeństwem do Reno w Nevadzie i Butte w Montanie. Niektórzy wrócili nawet do Chin. Liu Song została sama z owdowiałą matką, pogrążona w żałobie, w mieście, w którym pełno było ciał zmarłych, płaczu, paniki, smutku i cierpienia.

Teraz stała się jeszcze bardziej samotna. Patrzyła na krewnych wujka Leo, jego współników i partnerów w interesach, którzy przychodzili i oddawali cześć zmarłej. Parada obcych ludzi... Mimo obecności Liu Song, nie powstrzymywali się przed okropnymi komentarzami:

– Nawet nie dała mu syna – narzekała z goryczą jedna z kobiet.

– Jakież to musi być paskudne: odziedziczyć córkę niemającą w sobie twojej krwi, po bezwstydnym matce, która miała tak wielkiego pecha! – powiedziała inna. – Kto teraz będzie chciał wyjść za Leo, skoro kręca się tu duchy członków jej rodziny?

– Może oddali tę córkę, wyda ją szybko za męża? – wysunął przypuszczenie jakiś mężczyzna. – Jest za wysoka i ma zbyt wielkie oczy; ale tak mało teraz dziewcząt, że dostałby niemałe wiano.

Liu Song przypomniały się ostatnie słowa, a zarazem ostrzeżenie matki. Zastanawiała się, co będzie dla niej gorsze: tkwienie w samotności i dzielenie mieszkania z wujkiem Leo czy wyjście za jakiegoś nieznanego mężczyznę przypadkowo wybranego przez ojczyma. Wpatrywała się w oprawioną w ramkę fotografię matki, nie znajdując odpowiedzi na to pytanie. Znikąd pocieszenia...

– Och, patrzajcie tylko na nią – odezwała się kolejna kobieta, pokazując na Liu Song. – Ale ona chuda. Na pewno koszmarnie gotuje. Nikt jej nie zechce, a biedny Leo będzie pewnie głodował.

Biedny Leo!

Rozległy się śmiechy i przekleństwa. Liu Song wyrzała przez okno wychodzące na uliczkę, gdzie pośród grupki mężczyzn w wypuszczonych na spodnie koszulach i szelkach wujek Leo grał w kości. Przyklęknął na jedno kolano i żuł cygaro, a przed nim wznosił się wysoki stosik srebrnych dolarów i leżał plik banknotów. Wykonał rzut i uśmiechnął się, podczas gdy pozostali jęknęli i pokręcili głowami, sięgając do portfeli po gotówkę.

Liu Song wiedziała, że zgodnie ze zwyczajem przynajmniej jedna osoba powinna przez całą dobę czuwać w pobliżu ciała i że mężczyźni nieraz grywali w pokera, farno, madżonga, cribbage czy cokolwiek innego, żeby nie zasnąć. Wujek Leo aż do przesady przestrzegał wszystkich tradycji i był z natury bardzo przesądny – tylko że Liu Song nigdy nie słyszała, żeby obowiązku czuwania przy ciele podjął się mąż zmarłej. Ani żeby tak dobrze się przy tym bawił.

Ukryła twarz w dłoniach, zastanawiając się, jak jej mama mogła wyjść za takiego człowieka. Choć po konfrontacji z matką Mildred Liu Song zrozumiała nareszcie, że większość Chińczyków, nawet w Ameryce, uważa kobietę pokazującą się na scenie za osobę nie lepszą od prostytutki. *Ah-ma* prawdopodobnie nie mogła znaleźć pracy nawet jako służąca. Nie miała wyboru. Już nie występowała, pogrzebała swoje marzenia, wreszcie straciła głos.

– *Hahng'wúih?* – odezwał się ktoś. – Mam nadzieję, że nie będzie pani przeszkadzało, jeśli poćwiczę mój amerykański?

Liu Song zerknęła między palcami i zobaczyła eleganckie, świeżo wypastowane buty. Podniosła wzrok. Stał przed nią gładko ogolony mężczyzna w ciemnym wełnianym garniturze i prążkowanym krawacie. Miał młodzieńczą urodę, ale strój dodawał mu lat.

– Słucham? – Liu Song zamruła powiekami, ścierając z kącika oka tusz do rzęs.

– Na pewno pani Liu Song, widzę w pani twarzy podobieństwo. – Mężczyzna mówił płynnie, ale z dziwnym akcentem. – Pani matka była najpiękniejszą kobietą w całej chińskiej dzielnicy. I najbardziej utalentowaną, jeśli wolno mi to powiedzieć.

Ku zdumieniu Liu Song nietypowy gość zaoferował jej herbaty. Uniosła obiema dłońmi ciepłą porcelanową filiżankę i wtedy zauważyła, że mankiety koszuli mężczyzny są rozpięte. Zdjął spinki i wszelkie ozdoby z szacunku dla zmarłej. Jego prosty strój i gustowny wygląd zdecydowanie kontrastowały z wyglądem starszych kobiet, które miały mnóstwo rzeźbionego jadeitu, wymyślne szpilki do kapeluszy, nawet oczy ocierały koronkowymi chusteczkami z monogramami.

– Pozwolę sobie przedstawić się pani. Nazywam się Colin Kwan. – Przybysz westchnął głęboko. Wyglądał na równie zasmuconego jak ona. – Głęboko pani współczuję tak nieopisaną stratę...

– *Do jeh* – odpowiedziała, uważnie przyglądając się mężczyźnie. – Dziękuję – dodała, skłaniając z szacunkiem głowę.

– Nie mieliśmy okazji się poznać, ale byłem jednym z dublerów pani ojca. Przyjechałem tutaj z Hongkongu. Ćwiczyłem razem z nim. – Colin chrząknął, po czym zdjął kapelusz. – Nic nie potoczyło się jednak tak, jak tego pragnąłem – dokończył, przesuwając palcem wzdłuż runda.

Liu Song poprosiła, żeby usiadł, a mężczyzna dolał jej herbaty. Przyjrzała mu się kątem oka: chińskie rysy, ciemne włosy zaczesane do tyłu, staranny przedziałek.

– Pański akcent jest niezwykle – szepnęła.

– Ach. Mój nauczyciel angielskiego pochodził z Bristolu, z Wielkiej Brytanii. Być może, starając się mówić po amerykańsku, akcentuję raczej jak Anglik, czy tak?

Liu Song uśmiechnęła się lekko, słuchając melodyjnego tonu wypowiedzi rozmówcy, i skinęła głową. Rozejrzała się i pomyślała, że spośród obecnych chyba tylko oni dwoje znali angielski na poziomie konwersacyjnym. Przyniosło jej to dziwną ulgę.

– Był to znakomity nauczyciel – kontynuował mężczyzna – lecz nieporównanie więcej nauczyłem się podczas krótkiej współpracy z pani ojcem. Miałem szczęście oglądać wyborny występ pani matki w Grand Opera House, zanim oczywiście gmach tego teatru spłonął.

– Jej jedyny występ...! – odpowiedziała z bólem Liu Song.

– W rzeczy samej. Był on jednak... wspaniały... przełomowy.

– Żałuję, że nie mogłam tam być.

Działo się to cztery lata wcześniej. Liu Song została w domu z braćmi. Jej mama dała wówczas popis na scenie, pośród mnóstwa olbrzymich, kolorowych jedwabnych flag i błyskających mieczy. Był to pierwszy występ kobiety w chińskiej operze w Seattle.

– To był pomysł mojego ojca. Był bardzo podekscytowany, kiedy obejrzał filmową wersję *Zhuangzi Tests His Wife*, w której służącą grała Yan Shanshan. Pomyślał, że zrobi to jeszcze lepiej – obsadzi kobietę w roli wdowy Zhuangzi.

Zapadła cisza. Liu Song nasunęło się gorzkie skojarzenie, była ciekawa, czy i Colin myślał o tym samym. Oto jej matka zagrała na scenie postać kobiety, której mąż upozorował swoją śmierć, aby zbadać wierność żony: chciał sprawdzić, czy wyjdzie ona za mąż po raz drugi... Liu Song wypila jeszcze jeden łyk herbaty, po czym spuściła wzrok. W opróżnionej do połowy filiżance wirowały kawałeczki płatków piwonii. Opadły na dno.

Płaczki wznowiły lament tak gorliwie, że jedna z nich aż rozdarła na sobie ubranie.

Liu Song omal nie wybuchnęła śmiechem na widok Colina, który podskoczył na krześle, po czym złapał się za serce, a drugą ręką zaczął wachlować się kapeluszem. Opadła na oparcie krzesła i westchnęła głęboko, powoli, uspokajając się i przypominając sobie szczęśliwe lata. Od śmierci ojca niemal nie zaznała spokoju ani zadowolenia.

– Przyniosłem kilka rzeczy związanych z pani matką, przez szacunek dla pani ojca. – Colin Kwan wyjął ze skórzanej teczki posążek Tanga Ming Huanga, patrona chińskiej opery. Uniósł go i pokazał Liu Song, żeby zaakceptowała dar. Skinęła głową. Colin postawił glinianą figurkę na ołtarzyku przy trumnie, obok ofiar z jedzenia, pieniędzy oraz tłących się zdobionych bambusowych papierów.

– Od dawna mam także to, ale chciałbym, aby od teraz należało do pani rodziny. – Wyciągnął przed siebie obie dłonie, na których spoczywała operowa maska. – To maska...

– Mojej matki – dokończyła Liu Song. Ostrożnie odebrała przedmiot, wpatrując się w misternie wymalowane czerwienią, zielenią i czernią, pełne dramatycznej ekspresji rysy bohaterki opery. – To jest maska, którą miała na sobie...

– Jako żona Zhuangzi – potwierdził z uprzejmym uśmiechem Colin.

Liu Song przesunęła palcami po powierzchni drewnianej maski, tak delikatnie, jakby gładziła po policzku mamę. Uniosła maskę do nosa i przez moment wydawało jej się nawet, że pachnie matczynymi perfumami albo przynajmniej czarnym tuszem do powiek, którego matka używała.

– Człowiek zajmujący się rekwizytami zachorował – kontynuował Colin – więc zaofiarowałem się, że zabiorę maskę do domu i sam wymienię przytrzymujące ją paski. Byłem



gotów zrobić wszystko, żeby zwrócić na siebie uwagę pani ojca. Lecz wtedy teatr spłonął. Wiem, że pani ojciec szukał innego obiektu...

– Ale zaraz potem zarządzono kwarantannę...

Colin pokiwał głową, marszcząc brwi.

– Nie byłem w stanie oddać maski. Słałem listy pani ojczymowi Leo, pisałem, że mam coś, co należy do pani matki, ale albo żaden z moich listów do niego nie dotarł, albo nie chciało mu się odpowiadać.

Liu Song dobrze wiedziała, która z tych wersji jest prawdziwa. Podziękowała przybyszowi i podeszła do otwartej trumny matki. Zatrzymała się przy niej chwilę dłużej i popatrzyła na matczyne dłonie. Długie, zgrabne palce matki wyglądały teraz jak u starej kobiety, cienkie i wysuszone. Liu Song wyciągnęła rękę, żeby ich dotknąć, ale zatrzymała dłoń tuż nad nimi, zaskoczona tym, że nie bije od nich ciepło, a także faktem, iż ktoś zdjął ulubioną obrączkę jej mamy. Obrączka, którą dostała po ślubie od ojca Liu Song. Matka wciąż ją nosiła, ponieważ wujek Leo nie dał jej żadnej innej.

Liu Song zacisnęła zęby. Stała z maską w rękach, z mocno bijącym sercem, czując złość i wyrzuty sumienia. Pokręciła głową, zastanawiając się, dlaczego dotąd nie płakała. Co za wstyd, cóż z niej za córka? Powinna klęczeć w kałuży łez, rwąc włosy z głowy i krzycząc. Zamiast tego poszła cicho do swojej sypialni, niezauważona, usuwając się jak widmo z pokoju pełnego cieni. Schowała maskę do walizki pod łóżkiem, razem z innymi cennymi rzeczami matki, fotografią ojca, ulubioną broszką mamy, pustą buteleczką po wodzie kolońskiej brata i innymi drobiazgami z dawnego życia.

Wróciła do pokoju i z wielkim smutkiem stwierdziła, że Colin Kwan wyszedł. Jego krzesło było puste, filiżanka po herbacie także. Liu Song poczuła się jeszcze bardziej samotna niż wcześniej.

Większość odwiedzających wyszła albo zbierała się do wyjścia, oprócz mężczyzn wybranych przez wujka Leo do niesienia trumny. Byli to bezzębni pracownicy jego pralni, żaden z nich nie znał Liu Song ani jej rodziców. Beznamiętny wyraz twarzy niezbyt przejętych dodatkowym obowiązkiem mężczyzn ostro kontrastował z obliczami płaczków, które demonstrowały przejęcie niewątpliwie wystarczające na całą grupę. Powoli zamykano trumnę. Trzy starszki odpowiedziały na to histerycznym krzykiem i łkaniem, od którego aż trzęsły im się ramiona. Wujek Leo zasłonił uszy i ziewnął.

Liu Song popatrzyła na twarz matki po raz ostatni.

– Pa, mamó... – szepnęła, cofając się.

Zebrani odwrócili się plecami, ponieważ przyglądanie się wbijaniu gwoździ do trumny przynosiło pecha. Tylko Liu Song patrzyła nieruchomo, jak siwy mężczyzna w starym garniturze stuka i stuka młotkiem. Jego odgłosy przypominały jej dźwięki rytmicznie poruszających się sprężyn łóżka.

Obserwowała po kolei każdy zanurzający się coraz głębiej w drewnie gwóźdź.

Nieszczęście i tak otacza mnie już ze wszystkich stron, cóż więcej może mi się przydarzyć? – myślała. Nie mam nikogo więcej do stracenia. Nie mam nic.

Wpatrywała się w trumnę, wyobrażając sobie, że leżąca w środku mama znów otwiera oczy, mokre od łez. I szepcze błagalnie splekanymi wargami; z naciskiem, choć osłabionym głosem: „Uciekaj, Liu Song...! Uciekaj”.

## Wielka Matka

1921

Zaraz po tym, jak ciało matki Liu Song spoczęło w ziemi, wujek Leo poszedł do restauracji na kolację ze swoimi krewnymi i znajomymi. Liu Song nie zaprosił. Została więc na cmentarzu i zbierała polne kwiaty. Położyła bukiet na maleńkiej marmurowej płytce oznaczającej grób jej *ah-ma*. Po lewej i po prawej górowały nad nią okazałe, rzeźbione nagrobki. Porównując je ze skromnym miejscem spoczynku matki, Liu Song próbowała przypomnieć sobie jej wygląd w dniu, kiedy wybrała się na swój wielki występ. Była wtedy tak pełna życia, kipiała energią, dominowała nad otoczeniem, żadna scena nie wydawała się dla niej za wielka. Teraz nikt nie wywoływał jej przed kurtynę, nie było publiczności. Matka Liu Song miała pozostać za kulisami, za wilgotnym pagórkiem, jak zapomniana epizodystka, już na zawsze.

Liu Song poszła do domu, sama pośród padającego deszczu. Szła King Street, mijała zwieszające się nad nią szyldy i lampiony. Przechodząc obok restauracji Pod Dwoma Smokami, zobaczyła przez mokrą szybę wujka Leo i jego krewnych. Siedzieli przy okrągłych stołach suto zastawionych talerzami z jedzeniem na obrotowych tacach. Na stypie powinni jeść tofu, gotowanego kurczaka i *jai choy*, czyli tak zwane niebiańskie warzywo. Tymczasem żalobnicy ze śmiechem pałaszowali pieczoną kaczkę z imbirem i szczypiorkiem, tłustego dorsza w całości oraz zupę ogonową. To był obiad odpowiedni na radosne okazje... Liu Song wyczuła zapach oleju sezamowego, z kuchni dobiegało skwierczenie i brzęk żeliwnego woka. Przynoszono więcej potraw, ale ona i tak nie miała apetytu. Najadła się smutku. Była aż przesycona gorzką żalobą.

Wróciła do domu i nawet nie zapalała światła, tylko przebrała się w nocną koszulę i schowała głowę pod kołdrę. Wyobrażała sobie, że to nie kołdra, ale ziemia, którą ją przysypano. Liu Song pochowała się sama, w ciemności. Zamoczyła poduszkę deszczówką, którą przesiąkły jej włosy; zwinęła się w kłębek, aż poczuła bicie własnego serca i pulsowanie krwi. Zaczęła bić się otwartymi dłońmi po twarzy i szczytać w policzki, żeby się rozplakać. Chciała wyrzucić z siebie, odciąć, wypalić tkwiące w jej piersi skupisko cierpienia. Obserwowała odchodzącą matkę, wymykającą jej się po kawałku, z każdym kolejnym dotknięciem i wspomnieniem. Cztery ostatnie lata Liu Song żyła w stanie nieustannej żaloby. Być może już wyczerpała swój życiowy zasób łez.

Zapadła w sen, myśląc o spokoju, jaki przynosi ziemia, w której spoczęła cała jej rodzina. A potem jeszcze o intrygującym młodym mężczyźnie, uczniu jej ojca. Zastanawiała się, w jakim wieku może być Colin Kwan. Pewnie miał około dwudziestu pięciu lat, być może więcej. Wątpiła, żeby kiedykolwiek jeszcze ją odwiedził. Z jakiegoż powodu miałby to zrobić? Zaświtał jej w głowie pomysł, żeby go odnaleźć, i była to przyjemna myśl. Oczywiście zobaczyłaby tylko jego występ na scenie. Na to mogła sobie pozwolić. Wiedziała, że niemądrze byłoby zauroczyć się kimś takim, jak zdarza się młodszym dziewczętom. Krąg artystów sceny był jednak mały, mieli oni duże ambicje i liczne znajomości. W gazetach pisano nawet o perspektywie budowy gmachu chińskiej opery. Liu Song była przekonana, że zdoła znaleźć Colina, jeśli mieszka on na stałe w Seattle. Chyba nie byłby to z jej strony desperacki krok? Zasnawszy, śniła o ojcu, silnym człowieku pełnym pasji. Przyśnił jej się w masce i szacie *qing yi*, czyli szlachcianki, emanował

gracją i wszelkimi cnotami. Wyobrażała sobie także, że jej rodzice sprowadzili do Ameryki młodego Colina, żeby był jej nauczycielem i zabiegał o jej względy, aby zaaranżować ich małżeństwo. Rozegraliby ceremonię na scenie, w trzech aktach, z bisem. Liu Song bardzo chciała, by była to opera bohaterska, lecz nawet we śnie wiedziała że cała ta historia może się skończyć jedynie tragedią.

Nie mając już rodziny, mogła być pewna, że nie zechce jej żaden mężczyzna. Rodzice wszystkich zalotników urodzonych w Chinach i tak zniechęcaliby ich, wiedząc, że gdyby wyszła za któregoś z nich, ryzykowałaby utratą statusu, jaki dawało jej urodzenie się w Stanach Zjednoczonych i obywatelstwo. Co więcej, szkolni koledzy mówiący po mandaryńsku zawsze patrzyli na nią z góry, a z kolei mężczyźni posługujący się językiem kantońskim bez wyjątku pragnęli mieć żony urodzone w Chinach, czyli wychowane w tradycyjnej uległości i posłuszeństwie. Uważano ją też za zbyt wysoką i chudą oraz mającą zbyt okrągłe oczy, czy też za przesadnie brzydką, nowoczesną oraz amerykańską. I nikt nie chciał mieć za synową bezwstydną artystki sceny.

Ale to dopiero akt pierwszy, pomyślała we śnie.

W chwili świadomości zaczęła sobie wyobrażać, jak ogląda występ Colina na deskach pełnego widzów teatru. Może któregoś dnia rzeczywiście usiadłaby naprzeciw światła rampy w Moore Theatre albo w Palace, w leżącym na północ od Seattle Vancouverze, gdzie po raz pierwszy widziała na scenie ojca. Myśl o reflektorach i miękkiej aksamitnej kurtynie wzbudziła w Liu Song wzmożoną tęsknotę za matką, za najbliższymi. Ujrawszy oczyma wyobraźni Colina na scenie, spostrzegła tam również swojego ojca, a potem wujka. Była półprzytomna od smutku. Wtem poczuła na szyi czyjś oddech. Obróciła głowę, pewna, że ciągle śni. Lecz ktoś ściągnął z niej kołdrę, ktoś cuchnący mocnym piwem, imbirem i olejem sezamowym. Poczowała, jak pozbawiona delikatności dłoń przyciska jej usta, równocześnie pomiędzy jej kolana wsuwały się kolana mężczyzny.

– *M'h'gōi bōng ngōh!* – usiłowała krzyknąć, szarpiąc się, żeby go z siebie zrzucić. Uciekała wzrokiem ku mającącemu w górze blaszanemu sufitowi, była przerażona, zaszokowana. Czuła ból, okropny żal, smutek, wreszcie straszliwe, nieznośne upokorzenie. I jeszcze włosy na jego nogach, kłujące włosy jego brody, wreszcie spocone fałdy jego niemytej skóry. Pociągnął za szeroką gumę przytrzymującą jej podpaskę, znieruchomiał na moment, po czym ją ściągnął. Liu Song rzuciła się w przerażeniu na boki, z całych sił, ale była prawie tak samo drobna, jak jej matka. W końcu poczuła przeszywający, rozdzierający ból. Nie mogła krzyczeć. Zamknęła więc oczy i wyobrażała sobie, że jest gdzie indziej, kimś innym, aktorką filmu niemego. Pearl White w *Perils of Pauline*, przywiązana do torów, w obliczu sapiącego parowozu sunącego na nią w kłębach dymu. Scenę kończy zapadająca stopniowo ciemność.

\*

Łóżko przestało się wreszcie trząść, wujek Leo jęknął i podniósł się, oddychając z wysiłkiem. Włożył szlafrok i kapcie.

– Zostań w łóżku – polecił. – Nie wstawaj aż do świtu. – Dotknął jej ramienia i włosów, jak gdyby chciał upewnić się po ciemku, czy Liu Song wciąż przed nim leży.

Zamknęła oczy, znieruchomiała. Nie wydawała żadnego dźwięku.

Usłyszała odgłos zamykających się drzwi. Leżała wciąż, sparaliżowana, odruchowo wmawiając sobie, że to się nie stało naprawdę. Bolało ją jednak wciąż ciało, na dowód tego, co się wydarzyło. Po jakimś czasie Liu Song przykryła się kołdrą, ale poczuła na niej odór wujka Leo, zrzuciła ją więc z siebie. Przewróciła się na bok, chwyciła mocno poduszkę i skuliła się wokół niej, drżąc.

Otworzywszy oczy, zobaczyła za zasłoną księżyc, kilka dni po pełni. Jego białe światło odbijało się od sufitu i pokrywało plamkami ściany. Spojrzała w stronę podłogi i zobaczyła, że lustro stojące na jej nocnym stoliku spadło i rozbiło się. Połyskujące pechowe kawałki leżały wokół jej łóżka. Przyszła jej na myśl maleńka spadająca gwiazda, która rozbiła się o ziemię.

\*

Liu Song obudziła się nagle, z przerażeniem, otwierając zmęczone oczy. Ktoś kopał w jej łóżko i bił ją otwartą dłonią po twarzy.

– Obudź się! – sapnęła jakaś kobieta.

Liu Song rozejrzała się w półmroku. Widać było, że za zaciągniętymi zasłonami świeci słońce. Może to wszystko był tylko zły sen, prawdziwy koszmar? – pomyślała.

– To ty, *ah-ma*? – zapytała szeptem.

Stojąca przy niej kobieta cofnęła się.

– *Ah-ma*?

Kobieta pokręciła głową.

– Leo mówił mi, jaka jesteś leniwa i nieposłuszna. Nic dziwnego, że twoja matka umarła. Jakbyś się nią lepiej opiekowała, toby żyła. Wstawaj no i zmieć to szkło, a potem zrób śniadanie!

Liu Song usiadła powoli, obolała. Stała przed nią jakaś dziwna zażywna kobieta o czarnych, lekko siwiejących włosach upiętych w kok. Miała grubo nałożony makijaż, lecz i tak było widać na jej twarzy zmarszczki, pieprzyki i blizny po trądziku. Nachyliła się tak blisko, że Liu Song poczuła cuchnący oddech palaczki i zobaczyła ciemne plamy na jej zębach i spuchnięte dziąsła.

– Umyj się i spierz krew z pościeli – poleciła.

– Kim pani jest...? – spytała Liu Song, osłaniając kołdrą dolną połowę ciała.

– Jestem pierwszą żoną Leo – oznajmiła z dumą. – Z Kantonu. Twoja matka była tylko jego drugą żoną.

Liu Song usiłowała zrozumieć znaczenie usłyszanych słów, podczas gdy jej rozmówczyni pokazała jej grubą dłoń wyglądającą jak dłoń rzeźniczki, o krótkich, szerokich i brudnych paznokciach. Demonstrowała obrączkę ze złota i jadeitu. To była obrączka należąca wcześniej do matki Liu Song.

– Od teraz jestem twoją Wielką Matką – zakomunikowała kobieta. – Ale możesz mnie nazywać ciocią Eng.

## Oskubana

1921

Wujek Leo siedział przy stole z taką miną, jakby ten poranek niczym nie różnił się od innych. Pogłębiał znajomość angielskiego, czytając „Seattle Post-Intelligencer”, i palił wygiętego papierosa. Zakaszał, odchrząknął i splunął do zlewu, podczas gdy Liu Song próbowała zmywać. Gotowała równocześnie wodę na *congee*, kleik ryżowy. Jej mama zawsze przyrządzała go z cebulą i kawałkami marynowanego tofu, ale wujek Leo lubił kleik bez dodatków. I tak chyba nie czuł smaku niczego poza palonym chesterfieldem. Liu Song się nie odzywała. Nie wiedziała, co powiedzieć, więc cierpiała w milczeniu. Zerknęła przez ramię, czy nie nadchodzi ciocia Eng.

Wujek Leo czytał na głos, narzekając przy tym:

– William Hearst kupuje gazetę i podwaja cenę! – Nie chciał chodzić do stowarzyszenia Ning Yeung, gdzie można było czytać prasę za darmo.

Złożył gazetę. Z uliczki dobiegło tymczasem straszliwe ptasie skrzeczenie oraz słowa wypowiedane po kantońsku przez kobietę. Skrzeczenie urwało się nagle, po czym drzwi z siatki skrzypnęły. Liu Song zaczęła szybciej zmywać. Jej dziwna nowa macocha weszła do kuchni z długim zakrwawionym nożem do mięsa w ręku. Dłonie także miała poplamione krwią i upstrzone piórami. Liu Song cofnęła się, a ciocia Eng burknęła coś, po czym wrzuciła nóż do wody z talerzami, opłukała ręce i wytarła je w workowate spodnie.

– Jak dokończysz zmywanie po śniadaniu, nagotuj duży garnek wody i oskub kurczaka. Tylko na dworze, i nie karm mi no bezpieczeństwa psów.

– Kurczaka? – upewniła się Liu Song.

– Wisi w uliczce. Niech wykrwawi się do wiadra, a potem go wypatrosz, ugotuj, no i skub, skub, skub. Pióra dawaj do torby, nie wyrzucaj.

Liu Song nigdy nie była w Chinach, a tym bardziej w Taichan czy Kantonie. Podróżowała tylko na północ i południe, wzdłuż zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych. Za górami, w Yakimie czy Ellensburgu, też nie była – w tamtych okolicach znajdowały się farmy i nastolatki umiały dobrze czyścić i przygotowywać drób.

– Spóźnię się na lekcje...

Ciocia Eng spojrzała na Leo i zaklęła po kantońsku.

– Nie będziesz więcej chodzić do szkoły – oznajmił wujek Leo. – Twoja *ah-ma* umarła i możemy położyć kres tej głupocie. Szkoła! – niemalże parsknął. – Jesteś dziewczuchą. Z chłopakami nauczyciel mniej marnuje czas. Zadzwoń do twojej szkoły i powiedz, że więcej nie przyjdiesz. Co ty sobie właściwie wyobrażasz, że co będziesz robić? No?

– Ja nie chodziłam do szkoły i patrzaj na mnie! – oznajmiła z dumą ciocia Eng.

Liu Song nie wiedziała, czy niewydarzona żona wujka Leo oczekuje od niej jakiejś odpowiedzi. Oboje spoglądali na nią surowo. Liu Song spuściła oczy.

– Jak już ugotujesz i oczyścisz kurczaka, możesz iść do sklepu muzycznego – oświadczył zza gazety wujek Leo. – Powiedziałem Buttermanowi czy jak mu tam, że możesz pracować na pełny etat, przynajmniej na razie. Ucieszył się tak bardzo, jakby miał z czego. Tylko wróć w porę, żeby pomóc przy gotowaniu kolacji.

Oboje rodzice Liu Song ukończyli osiem klas szkoły, a później przez wiele lat uczyli się

w teatrze. Cenili edukację. Dla nich było nie do pomyślenia, żeby Liu Song nie chodziła do szkoły, nie ukończyła liceum.

Będzie tęskniła za koleżankami i kolegami, nawet tymi, którzy się do niej rzadko odzywali, a najbardziej za Mildred. Za nauczycielami, biblioteką, nawet za plotkami w łazience. Nie będzie miała możliwości zabrania swoich rzeczy z szafki ani pożegnania się ze wszystkimi.

Zasmucona Liu Song sięgnęła po czarną wstążkę i zawiązała ją sobie na prawym ramieniu. Był to znak żałoby – po matce, pozostałych najbliższych, utraconym dzieciństwie i niewinności.

Przynajmniej mam pracę, pomyślała. Mam dokąd chodzić, i to bardzo daleko stąd.

\*

Zbołała Liu Song szła do Butterfielda w starych francuskich butach swojej matki, skórzanych, na wysokich obcasach. Piekło ją w podbrzuszu, palce miała otarte po skubaniu kurczaka i gotowaniu. Ledwie zdołała opanować drżenie dłoni na tyle, żeby nałożyć makijaż. Pomalowała rzęsy, spodziewając się, że w każdej chwili może zalać się łzami. Ten obrzydliwy mężczyzna z nieprzyjemnym uśmiechem na ustach zgwałcił ją. Odarł ją z dzieciństwa. Przez całe rano zastanawiała się, co takiego zrobiła, że sprowadziła na siebie to nieszczęście. Czy w jakiś sposób była współwinna? Czy zasłużyła sobie właśnie na tego rodzaju zainteresowanie ze strony wujka Leo? Pokręciła głową i próbowała nie zwracać uwagi na myśli, które budziły w niej poczucie winy. To przecież on zrobił! Nie prosiła się o to. I nie interesowało jej, jak duże sukcesy w interesach odnosi, dla niej nie był człowiekiem. W chińskiej dzielnicy żyło wiele „żółtych taksówek” – rozwiązłych kobiet, które starały się zwrócić na siebie uwagę. Nowoczesnych, fląder, malowanych lalek, które, jak mawiano, pozwalały się ujeżdżać każdemu mężczyźnie.

Liu Song szła dalej, pogrążona w smutku i żalobie.

– Któż mnie teraz zechce...?! – westchnęła na głos, na wypadek, gdyby słuchali jej jacyś bogowie. Usłyszała w odpowiedzi tylko szczekanie bezpańskich psów w jednej z uliczek, brzęk mosiężnych dzwonek elektrycznego tramwaju i jeszcze nawoływanie mężczyzny w roboczym kombinezonie, który stał na skrzynce po jabłkach i krzyczał na temat jednoczenia się robotników, rewolucji i trockizmu. Na koniec usłyszała pozbawione głębi, jakby metaliczne dźwięki pianina. Dobiegały ze sklepu Grayson's Appliance, z wystawy, na której stały radia.

Szła niepomna na to, co dzieje się wokół. Nie potrafiła sobie wyobrazić powrotów do domu, do mieszkania, w którym nie będzie już czekać jej mama. Czuła gniew i osamotnienie, a równocześnie smutek i tęsknotę za utraconymi najbliższymi. Jej rodzina zawsze żyła w pędzie, ruchu, chaotycznie – w domu, na scenie, za kulisami, przed sklepami. Serce jej się krajało na myśl o matce owdowiałej w czasie epidemii hiszpanki, kiedy wszędzie panowała histeria. Liu Song rozumiała, że właśnie z tego powodu jej *ah-ma* wyszła za wujka Leo. Musiała być zdesperowana, potrzebowała kogoś, kogokolwiek! Leo zajął się jej skromnym majątkiem – rzeczami i oszczędnościami. Zapewniał jej byt materialny – był człowiekiem interesu, a nie artystą. Czy wiedziała, że zostaje jego drugą żoną? Czy to w ogóle cokolwiek znaczyło? Część mężczyzn miała w Chinach żony, których nie widzieli od dziesiątków lat. Żenili się po raz drugi niemal z konieczności. Ważne było dla nich tylko to, żeby żona urodziła im syna. Lecz matka Liu Song zachorowała i nie dała Leo dziedzica. Zaś ciocia Eng była w takim wieku, że z pewnością nie mogła już mieć dzieci.

Mijani mężczyźni przerywali wykonywane czynności i oglądali się za Liu Song, a ona odwracała głowę, bez uśmiechu, i poruszała się tak, żeby sukienka możliwie najmniej unosiła się na jej biodrach. Czuła się naga. Była jedynie zmysłowym odbiciem swojej matki w krzywym

zwierciadło gabinetu luster. Piękno i gracia *ah-ma* zostały w jej postaci zniekształcone do karykaturalnych proporcji. Liu Song zdała sobie sprawę, że pragnie jej mnóstwo mężczyzn. Lecz tylko na chwilę, nie na resztę życia.

Doszedłszy do sklepu Butterfielda, przystanęła i popatrzyła smutno na swoje odbicie w szybie wystawowej. Równo przycięta grzywka, długie, zwisające po bokach pasma włosów – to była fryzura cnotliwej panny. Ale kim jestem teraz? – zastanawiała się Liu Song. Nikim. Należę do wujka Leo i cioci Eng.

Muszę stamtąd odejść, pomyślała. Tylko dokąd mogłabym pójść? I komu w ogóle by na mnie zależało poza moim ojczymem i macochą? Liu Song czuła się przepelniona nienawiścią, ale większość tych gwałtownych emocji była skierowana na nią samą, taką, jaką się stała.

Pozwalała sobie na przebłysk nadziei, żarzący się w zakamarkach jej wypalonego serca. Wiedziała jednak, że to tylko desperacja, nic więcej. Myślała o nietypowym, delikatnym mężczyźnie, który przyjechał na czuwanie przy zwłokach jej matki. Colin ciągle darzył szacunkiem jej rodziców. Był jedyną osobą, która współczuła jej utraty najbliższych.

– Obróć się! – wrzasnął jakiś mężczyzna.

Serce Liu Song skoczyło do gardła. Zobaczyła jednak, że to woła do megafonu mężczyzna w autobusie bez dachu.

– Hej, Chincezko, obróć się, żebyśmy mogli lepiej ci się przyjrzeć!

Liu Song obróciła się powoli i popatrzyła na autobus o wznoszących się ku tyłowi rzędach siedzeń wypełniony ciekawskimi turystami. Jak zwykle nie zatrzymywali się ani nie chodzili po okolicy. Zamożni biali turyści przejeżdżali tylko przez chińską dzielnicę, a przewodnik pokazywał im jej egzotyczne tajemnice. Starą siedzibę loterii i domy hazardu przy Washington Street, sklepy z towarami importowanymi z Chin, z chińskimi bibelotami, wreszcie osiedle japońskie. Liu Song odruchowo złapała za guzik sukienki; czuła się jak zwierzę w klatce wystawione na pokaz w zoo.

– Panie i panowie, oto widok, którego nie spotyka się na co dzień – oznajmił przewodnik wycieczki. – Szykowna młoda Chinka w nowoczesnej sukience – spójrzcie tylko na te kocie brwi!

– Wygląda, jakby ubrała się na przyjęcie z obmacywaniem – mruknął jeden z mężczyzn. Ludzie często wygłaszali tego rodzaju komentarze, sądząc, że Liu Song nie rozumie ich słów.

Odwróciła się z powrotem, żeby wejść do sklepu, i wpadła prosto na pana Butterfielda, który stanął w drzwiach z cygaretką w ustach. Poprawił rzednące włosy i zaczesał je do tyłu dłonią.

– Zaśpiewaj coś – powiedział, uśmiechając się przeproszająco. – Mogłabyś coś zaśpiewać.

– Proszę pana – odezwała się turystka z autobusu – czy ona rozumie trochę po angielsku?

– Liu Song często słyszała to pytanie, mimo że ubierała się po amerykańsku. Jej ojciec także je słyszał jeszcze wiele lat po ścięciu warkocza.

– To może sprawić, że zaczną nas stale odwiedzać wycieczki – stwierdził pan Butterfield.

– Zostań tu i śpiewaj. – Odebrał jej płaszcz, wszedł do sklepu i zagrał wstęp do *When I Lost You*.

Liu Song zamknęła oczy i zaczęła śpiewać. Rozmowy turystów ucichły. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła, że mężczyźni wpatrują się w nią z szeroko otwartymi ustami, a kobiety – ich żony, siostry i matki – straciły cały rezon i patrzyły jak urzeczone. Gapie siedzieli w milczeniu, podczas gdy Liu Song wyśpiewywała kolejne frazy niezmiernie popularnej ballady Irvinga Berlina o śmierci i utracie najbliższej osoby.

Podniósł się towarzyszący turystom dziennikarz wyposażony w aparat fotograficzny z fleszem. Przed oczami Liu Song rozbłysły kolorowe gwiazdki, poczuła dym spalonej magnezji.

Fotograf wyciągnął kasetę z kliszą, schował ją do torby i włożył nową. Zrobił drugie zdjęcie.

Zanim Liu Song skończyła śpiewać piosenkę, pan Butterfield wstał od pianina i wszedł do autobusu, oferując turystom nuty i rozdając wizytówki. Opowiadał przy tym głośno, że odkrył w chińskiej dzielnicy talent Liu Song i że któregoś dnia będzie ona gwiazdą.

Liu Song weszła do sklepu, żeby chwilę odpocząć i się odświeżyć. Z ulicy dobiegł chrobot skrzyni biegów i wzmożony odgłos silnika autobusu. Liu Song oparła się o długą dębową ladę, którą pan Butterfield zawsze utrzymywał w nieskazitelnej czystości. Tu czuję się bezpieczna, pomyślała, stojąc pomiędzy sięgającymi aż do sufitu półkami wypełnionymi nutami. Pod ladą także znajdowały się półki, a na nich leżały stare cylindry do fonografów, płyty do patefonów i perforowane rolki do pianoli. Podniosła wzrok i omiotła spojrzeniem oprawione w ramki portretowe fotografie Irvinga Berlina i Ala Jolsona, a także stary plakat burleski z Marie Lloyd. Mówiąc czasami o niej, pan Butterfield za każdym razem ronił łzy. „Chcieli ją deportować za zgniliznę moralną – skarżył się. – Ale ona śpiewała dalej, mimo że jej głos słabł i występy były coraz krótsze”. Liu Song zamrugła powiekami, podczas gdy kierowca autobusu zatrąbił jeszcze dwukrotnie i odjechał. Pan Butterfield wrócił do sklepu; szybko przeliczył zarobione pieniądze.

– Świetna robota, kochana – pochwalił. – Zauroczyłaś ich. – Uściskał Liu Song i ucałował ją w policzek. – Zarobiliśmy chyba całe trzydzieści dolarów, i to dzięki jednej piosence! Wyobraź sobie tylko, co by było, gdyby zatrzymywali się tutaj codziennie. Wujek byłby z ciebie ogromnie dumny. A do tego bogaty. – Stał przy najbliższym pianinie i zagrał początek marszu zwycięstwa.

– Wujek...? – powtórzyła Liu Song.

– Leo.

– Wiem, kim jest. – Liu Song popatrzyła za okno, a potem znowu na pana Butterfielda. Odliczał należną jej część pieniędzy. Skończywszy, włożył je do zamykanej na suwak torby, którą trzymał pod ladą.

– Teraz, kiedy pracujesz na pełen etat, twój wujek chce, żebym płacił bezpośrednio jemu. Powiedział, że będzie oszczędzał zarabiane przez ciebie pieniądze, żeby później spożytkować je na ciebie.

Liu Song wyobraziła sobie, jak leży przywiązana do łóżka sznurami krępującymi jej nadgarstki i kostki, tak jak jej biedna, kochana mama. Nagle przyszło jej do głowy, że może wujek Leo podtruwał jej matkę olejkiem kamforowym. Wiadomo że cenił domowe środki lecznicze. Czy ten olejek pomagał, czy tylko przyspieszył nieuniknione odejście jej *ah-ma*?

Pan Butterfield zamknął z trzaskiem kasę, poprawił szelki i na nowo zapalił cygaretkę. Lecz jego uśmiech zgasł.

– Słyszałem smutną wiadomość... – Wskazał czarną wstążkę na ramieniu Liu Song. – Bardzo ci współczuję odejścia mamy, to straszna tragedia. Na pewno była cudowną kobietą, musiała być, skoro miała taką córkę. Powiedz mi, jeżeli potrzebujesz wolnego, jeśli mogę cokolwiek dla ciebie zrobić.

Liu Song podziękowała swojemu pracodawcy.

– Przynajmniej masz wujka. Z tego co mówił, ma w związku z tobą wielkie plany, sikorko.

\*

Liu Song z przerażeniem myślała o powrocie do domu. Nie wsiadła do tramwaju, tylko ruszyła piechotą Second Avenue, jak skazaniec idący na szubienicę. Mijała stare małe kina z projektorami na monety i dziesiątki nowych – Bijou, Odeon, Dream... Jej szczególną uwagę



zwróciła reklama filmu *Czerwona latarnia*, nietypowej historii z powstaniem bokserów w tle. Przystanęła i popatrzyła z podziwem na plakat przedstawiający smukłą kobietę w wymyślnej, obfitej sukni i ozdobnym nakryciu głowy w stylu pekińskim. *Ah-ma*, pomyślała, dotykając zimnej szyby i wciągając w płuca wilgotne powietrze. Przyjrzawszy się dokładniej, stwierdziła jednak, że aktorka ponad wszelką wątpliwość była biała. Jakaś Rosjanka, Alla Nazimowa. W ogóle wszyscy wymienieni aktorzy mieli zachodnie nazwiska.

Kiedy Liu Song była mała, marzyła o scenie. Całe życie jej rodziny kręciło się wokół teatru. Jej ojciec mówił tylko o występach scenicznych. Obecnie świat sceny się zmieniał. Przenosił się do małych kin urządzanych w dawnych sklepach. Nawet teatry wodewilowe, takie jak Alhambra, zamieniano na kina – wyświetlanie filmów było tańsze. To właśnie w Alhambrze Liu Song i Mildred oglądały *The Hazards of Helen* i jadły prażone nasiona arbuza. Tytułowa Helen co tydzień przeżywała nowe przygody: toomal nie spłonęła na stosie, to znów chciano ją nakarmić lwy, przebić ją żelaznymi kolcami czy przeciąć na pół piłą mechaniczną. Lecz jakimś cudem wychodziła bez szwanku z każdej opresji.

Liu Song sama chciałaby mieć takie szczęście.

## Czarno-biała

1921

– Spóźniłaś się.

– Mieliśmy dzisiaj w sklepie wielki ruch. – Liu Song nie zamierzała przeproszać. Wujek Leo zawieszał właśnie przed drzwiami wejściowymi czerwony zwój z napisem wykonanym złotymi chińskimi literami, tradycyjną formułą pozdrowienia. Chodziło o zapraszanie z powrotem ducha matki Liu Song, zanim wyruszy on w dalszą podróż. Na nadprożu drzwi Leo zawiesił zaś wiązkę ususzonych bylicy oraz obraną cebulę, jedno i drugie miało odstraszać złąkane demony.

Liu Song zdawała sobie sprawę, że wujek Leo wcale nie kochał jej matki. Był natomiast prawdziwym niewolnikiem pozorów i tradycji. Był przekonany, że jego los zależy od rozmaitych rzeczy, w które przesądnie wierzył. Nie chciał ryzykować. Odprawiał wszystkie elementy chińskiej żałoby, mimo że równocześnie sprowadziła się do niego pierwsza żona. I tak nie był człowiekiem rodzinnym. Był człowiekiem interesu, właścicielem pralni, który zawsze miał bardzo brudne ręce.

– Wczorajszy wieczór był udany – oznajmił. – Może i dzisiaj mi się poszczęści. – Podciągnął spodnie, w kieszeniach zabrzęczały monety, i poszedł pić oraz uprawiać hazard w klubie Wah Mee.

Ciocia Eng podawała już kolację. Upiekła i posiekała oskubanego przez Liu Song kurczaka. Pachniał tak smacznie, że aż pociekła jej ślinka, jednak straciła apetyt, zobaczywszy siedzących wokół stołu dziwnych obcych ludzi. Jedli, głośno żując, mlaszcząc i biorąc do ust kawałki mięsa palcami, które oblizywali. Spożywali kolację z dwóch celadonowych misek rodziców Liu Song, ich misek szczęścia, chciwie wkładali do ust ryż za pomocą ulubionych pałeczek jej matki.

– Nie gotujesz, to nie jesz – oznajmiła ciocia Eng i zasiadła przy stole.

Goście popatrzyli na Liu Song takim wzrokiem, jakby to ona była obcą osobą w ich domu.

– To moje siostry i siostrzeńcy – wyjaśniła ciocia Eng. – Przyjechali ze mną, z Portland. Moje siostry będą dzisiaj spały w twoim pokoju. Ich synowie położą się na kanapie.

Liu Song stała bezradna i głodna, podczas gdy członkowie rodziny cioci Eng wpatrywali się w nią jeszcze przez chwilę. Potem stracili zainteresowanie i powrócili do jedzenia i rozmowy o tym, jak wielkie szczęście spotkało Leo: ciocia Eng wreszcie zdołała przyjechać do Stanów Zjednoczonych. Ustawa zwana Chinese Exclusion Act ograniczyła napływ chińskich robotników niemal do zera, podczas gdy dwadzieścia lat wcześniej przybywały ich setki tysięcy. Los sprzyjał wujkowi Leo, bowiem jego dokumenty imigracyjne spłonęły w jednym z pożarów wywołanych przez wielkie trzęsienie ziemi w San Francisco. Po trwającym trzy dni przesłuchaniu na wyspie Angel znalazł się przed wejściem odbudowanego ratusza, podobnie jak setki innych Chińczyków, udając, że jest pełnoprawnym synem amerykańskiego narodu, to znaczy utrzymując, iż urodził się w Stanach Zjednoczonych. Po długim procesie apelacyjnym przyznano mu obywatelstwo. To z kolei pozwoliło mu w końcu sprowadzić chińską żonę, która zamieszkała z siostrami do chwili śmierci matki Liu Song.

Liu Song wyobraziła sobie, jak wujek Leo odliczał czas kolejnych ataków choroby jej matki, skoki jej gorączki. Zrobiło jej się niedobrze. Ten człowiek czekał na jej odejście, ledwie skrywał złość z tego powodu, że musiał się opiekować chorą. Liu Song poszła do swojego pokoju, żeby się uspokoić. Pościeliła łóżko i znalazła koce dla chłopców. Później wróciła do dużego pokoju i siedziała tam cicho, podczas gdy ciocia Eng grała z siostrami w madzonga. Plotkowały i piły *huangjiu* z porcelanowych filiżanek, które matka Liu Song dostała w prezencie ślubnym. Kobiety rozmawiały o wojnie, głodzie i upadku dynastii mandżurskiej, wreszcie o najbliższych, których pozostawiły w Chinach i od lat nie widziały. Opowiadały także o interesach wujka Leo, gdacząc jak kury. Otworzył pralnię w Portland i Olympii, kupił też używaną furgonetkę do odbioru i rozwożenia prania. I tak jednak obawiał się, że straci klientów na rzecz pralni z nowymi maszynami na pedały. Siostry gawędziły, paliły, odbijało im się głośno, jadły gotowane orzeszki ziemne, rzuciły mokre łupiny na podłogę. W końcu jęczmienne wino skończyło się, więc ruszyły chwiejnym krokiem spać. Liu Song została sama, z zadaniem pozamiatania. Zjadła resztę orzeszków, które pozostały w misce, i przebrała się w nocną koszulę. Zwinęła się w kłębek na zimnej drewnianej podłodze koło syczącego kaloryfera, mając do dyspozycji jedynie prześcieradło. Słuchała dziecięcego chrapania, a potem miała nocne koszmary. Kiedy obudziła się rano, zobaczyła dziwne siniaki w intymnych miejscach swojego ciała. I czuła na sobie woń wujka Leo.

\*

Pan Butterfield się nie pomylił: następnego dnia odkryty autobus znowu przyjechał, i to aż dwa razy, rano i po południu. Za każdym razem wypełniony był turystami, którzy wpatrywali się w Liu Song i zachwycali się nią. Niektórzy wysiadali nawet z autobusu i prosili ją o złożenie autografu na zakupionych nutach.

Pewna zamożna z wyglądu kobieta podała jej skórzany notes i ołówek.

– Napisz tylko, jak masz na imię, kochanie – powiedziała. Liu Song zapisała więc swoje imię po chińsku, jednak kobieta skomentowała to, mówiąc: – Nie, chodzi mi o twoje prawdziwe imię. Jak masz na imię po angielsku?

Liu Song zawahała się, nie wiedząc, co robić, po czym napisała: „Willow”. Zastanawiała się, czy właśnie tak czuła się jej *ah-ma* w dniu swojego wielkiego występu. I czy podejrzewała, jak źle potoczy się wkrótce jej życie.

\*

Pod koniec dnia pan Butterfield nucił radosną melodię i przeliczał zarobione pieniądze.

– Będziemy musieli podwoić zamówienia na nuty – oznajmił, siadając na starym skórzanym stołku. Odkręcił piersiówkę i zaproponował trunek Liu Song. Pokręciła głową, uśmiechając się grzecznie.

– Nie grałem tyle od czasu, kiedy byłem w twoim wieku – odezwał się znowu sklepikarz.  
– Kto wie? Jak tak dalej pójdzie, drogie dziecko, to może sprzedam nawet parę nowych pianoli firmy Welte.

Liu Song wzięła ściereczkę i odkurzyła jeden z ogromnych instrumentów.

– Czy od takiej pianoli też będę miała procent? – zapytała.

– Panienko – odparł pan Butterfield, wypijając kolejny łyk – jeżeli uda nam się sprzedać pianolę, dam ci od niej dziesięć procent, i dziesięć od każdej rolki z muzyką, która zostanie do niej dokupiona. Choć być może będziesz musiała trochę skrócić spódnicę, jeżeli masz przyciągnąć aż tak dużo płacących klientów. Wiesz, nie tylko twój głos jest dźwięnią sprzedaży.

Liu Song nic nie odpowiedziała na słowa o spódnicy, tylko zagrała kilka nut na pianinie.

Nie umiała dobrze grać, nauczyła się tylko paru zasłyszanych przebojów jazzowych. Brzdąkała coraz ciszej, aż zagrała dźwięczny akord i wyszła ze sklepu.

Ruszyła na przystanek tramwajowy, myśląc o tym, że mogłaby zarobić dwadzieścia pięć dolarów za każde sprzedane pianino, a za luksusowy model pięćdziesiąt. Oznaczało to pieniądze pozwalające jej na wyprowadzenie się i samodzielne życie, przynajmniej przez jakiś czas. Zastanawiała się, czy zdołałaby wrócić do szkoły, czy też do przyjęcia jej z powrotem potrzebna była zgoda rodzica. Poza tym, czy wujek Leo i ciocia Eng pozwoliliby jej się wyprowadzić? Czuła ucisk w piersi i w żołądku. Myśl o samotności była dla niej okropna, ale o powrocie do domu – jeszcze straszniejsza. Wtem Liu Song przypomniała sobie, że nawet gdyby udało się sprzedać pianole, pieniądze trafiłyby najpewniej do jej wujka. Usiadła bez sił na zimnej żelaznej ławce, obok mężczyzny czytającego „The Seattle Star”. Spojrzała na gazetę i zobaczyła na ostatniej stronie fotografię, na której rozpoznała sukienkę matki. Tę samą, którą miała na sobie. W gazecie wydrukowano jej zdjęcie, jak śpiewa przed sklepem Butterfielda! Mężczyzna powoli opuścił gazetę. Liu Song rozpoznała jego oczy i łagodny uśmiech.

– Nie najgorsza podobizna, chociaż czarno-biała – odezwał się Colin, z charakterystycznym dziwnym akcentem. Podał jej złożoną gazetę. – Znacznie lepiej wyglądałabyś w kolorowym filmie.

Liu Song tylko raz w życiu widziała kolorowy film, *The Gulf Between*, z Grace Darmond. Ojciec zabrał ją wtedy na poranek. Smutny film opowiadał o dziewczynie, która zakochuje się w mężczyźnie z bogatej rodziny, ta zaś stara się uniemożliwić im wspólne szczęście. Liu Song była zachwycona obecnością Colina, czuła wielką radość rozlewającą jej się w okolicach mocno bijącego serca i ściśniętego żołądka. Równocześnie bała się kogokolwiek pokochać, zwłaszcza po utracie tak wielu najbliższych. Nie wiedziała, czy może pozwolić sobie na nadzieje i marzenia. Nie była pewna, czy przeżyłaby kolejną stratę. Nawet odtrącenie przekraczałoby jej wytrzymałość.

– *Ngóh m 'h 'mihng?* – spytała. Była zmęczona po całym dniu śpiewania, a teraz ledwie dawała radę wymawiać poszczególne słowa. – Dlaczego tu siedzisz? – Pokręciła głową. – Przepraszam, to było wyjątkowo niegrzeczne pytanie...

– Cóż, ćwiczę amerykańską angielszczyznę, a poza tym musiałem zobaczyć... nie, musiałem usłyszeć cię osobiście. Po tak pochwalnym artykule o tobie w „The Seattle Star” pomyślałem, że złożę ci wizytę. Szczerze mówiąc, uważam, że przebiłaś nawet swoją matkę, niech jej duch odpoczywa.

Liu Song przestała się uśmiechać i popatrzyła na swoje dłonie.

– Nie mogę uwierzyć, że odeszła – szepnęła. – Dla niej to z pewnością lepiej, ale...

– Naprawdę ogromnie ci współczuję, Liu Song.

– Moi rodzice...

– Są z ciebie bardzo dumni.

Odezwał się mosiężny dzwonek tramwaju, który przyjechał i odjechał. Robiło się późno, burczało jej w brzuchu. Nie chciała jednak wracać do domu. Z ulgą pomyślała, że wujek Leo nie czytuje „The Seattle Star”, tylko „Post-Intelligencer”.

– Znałem twoich rodziców na tyle dobrze, że wiem, iż chcieliby, żebyś występowała na scenie. Śpiewała, była aktorką – cokolwiek wybierzesz. To dobry początek – ocenił Colin, dotykając gazety. – Myślę, że duch twojej matki nie próżnuje.

Liu Song zatęskniła mocno za matką. Chińczycy mawiają, że duch zmarłej osoby wraca po siedmiu dniach, a dopiero potem odchodzi. Być może *ah-ma* naprawdę się o nią troszczy.

– A co z twoimi rodzicami? Z najbliższymi, z żoną? – dopytywała się Liu Song. Colin wydawał się zakłopotany. Skrzywił się, westchnął i popatrzył w zachmurzone niebo. Liu Song

zwróciła uwagę, że jej rozmówca nie nosi obrączki, choć w Chinach nie noszono ich powszechnie. Tam liczył się przede wszystkim posąg. Często zamiast symbolicznej biżuterii kupowano jakiś sprzęt albo samochód.

– Moi rodzice... Ojciec jest bankierem, matka nie pracuje zawodowo. Jest taka blada, chyba w ogóle nie wychodzi na dwór. Ma zbyt wiele zajęć przy moich braciach, siostrach i jeszcze dziadkach. Jestem pierworodnym synem, więc rodzina spodziewa się, że będę pracował razem z ojcem, że się ożenię, że będę się opiekował matką i rodzeństwem...

Liu Song była zdumiona, że Colin próbował wytłumaczyć jej swoje położenie.

– Jednak jesteś tutaj! – zauważyła.

– Istotnie – przyznał, kiwając powoli głową. – Zawsze chciałem występować, być aktorem. – Wypowiedział to zdanie niemal przeprasającym tonem. – Najpierw chińskiej opery, jak twój *lou dou*. Był jednym z pierwszych artystów sceny, jakich w życiu poznałem. Twój ojciec zachęcał mnie do zawodu, oczywiście w żartach, ale ja traktowałem jego słowa całkiem poważnie. Dorastając, bez przerwy czytałem, pilnie uczyłem się angielskiego. Ojciec sądził, że robię to po to, aby pomagać mu w interesach, ale miałem swoje plany. Inni mężczyźni w moim wieku rozglądali się za posłusznymi żonami, a ja w tym czasie chodziłem na wszystkie sztuki i filmy, na jakie tylko zdołałem. Chciałem być Chai Hongiem w *An Oriental Romeo*.

– I opuściłeś rodzinę? – upewniła się Liu Song, zaskoczona tym, że mężczyzna w wieku Colina zerwał z tak silnie zakorzenionymi tradycjami. Ona była inna, była Amerykanką. Lecz większości znanych jej mężczyzn urodzonych w Chinach nawet przez myśl by nie przeszło porzucenie rodziny. Któż miałby się opiekować ich matkami po śmierci ojców?

– Rodzice oznajmili, że jestem zepsuty, a filmy są przepelnione występkiem i rozpustą. Przepraszam. Z pewnością myślisz teraz o mnie okropne rzeczy. – Wzrok Colina spoczął na czubkach jego starannie wypastowanych butów. – Z okazji moich dziewiętnastych urodzin ojciec wysłał mnie do Ameryki trochę w interesach, a trochę, żebym odpoczął. Wykupił dla mnie symboliczny udział w amerykańskiej firmie prowadzonej przez Chińczyków, żebym mógł wielokrotnie przyjeżdżać do Stanów Zjednoczonych i z nich wyjeżdżać jako handlowiec. Podróż okazała się bardzo udana. Wysłałem do domu list, w którym poinformowałem ojca, że nie zamierzam wracać i że moje miejsce powinien zająć mój młodszy brat.

Widać było, że Colina ogarnął smutek.

– Było to przed dwoma laty – kontynuował. – Mam nadzieję, że pewnego dnia powrócę jako słynny, a przynajmniej odnoszący sukcesy aktor. Mam nadzieję, że to wystarczy, żeby uratować twarz, żeby mi wybaczone. Wiem. Głupiec ze mnie, prawda? Mój ojciec jest bardzo zamożnym człowiekiem. Lecz nawet będąc jego pierworodnym synem, nigdy nie mogłem sobie pozwolić na prosty luksus: na marzenia. O tym, że zrobię coś własnego, samodzielnie. A tu mogę żyć marzeniami. – Colin potarł dłonie o spodnie.

– Nawet za aktorską pensję?

– Nawet za aktorską pensję – powtórzył ze śmiechem. – Spotkałem się więc z twoim ojcem, a on zrobił ze mnie swojego dublera. Raz widziałem nawet twojego wujka. Przyszedł na występ twojej matki. Był zaintrygowany, podobnie jak wszyscy.

– Tak naprawdę wcale nie jest moim wujkiem. – Liu Song aż czuła mdłości na myśl o Engu. – Miał już żonę, mieszkała na wsi pod Kantonem. Ożenił się z moją matką tylko po to, żeby urodziła mu syna. A teraz przyjechała tu jego pierwsza żona, a ja stałam się ich służącą. Pasierbicą. – I klaczą rozplodową, dokończyła w myśli.

– Jesteś jak Yeh-Shen – skomentował z uśmiechem Colin.

Liu Song zaprzeczyła ruchem głowy. Jedyne, co łączyło ją z chińskim Kopciuszkiem, to postać złej macochy. Nie było złotego pantofelka, złotej rybki, która by ją pięknie przyodziała,

ani wiosennego festiwalu, na którym miałyby znaleźć swojego księcia.

– Moja bajka nie kończy się dobrze – odpowiedziała.

– W takim razie powinnaś ich opuścić – zawyrokował Colin, jak gdyby to było całkiem proste.

– I dokąd pójść?

Colin westchnął głęboko.

– Wiem, że cierpisz – odpowiedział. – Ale mogłabyś postąpić jak ja: wyruszyć za głosem serca. Kto wie, dokąd cię to zaprowadzi?

Pełne współczucia oczy młodego mężczyzny oddziaływały na Liu Song kojąco.

– Tu jest Gum Shan. Twój ojciec o tym wiedział – szepnął znowu. – Tylko że złoto nie znajduje się już w górach, ale leży na ulicy. Sama je widziałaś: mówię o tym, w jaki sposób patrzyli na ciebie tamci ludzie. Tutaj możesz być kimkolwiek tylko chcesz. Wszystko zależy od tego, jak dajesz sobie radę. Jak śpiewasz, jak grasz, chyba wiesz dokładnie, o czym mówię. Nigdy nie czuję się sobą bardziej niż wtedy, kiedy udaję kogoś innego. Gdybym miał pójść w ślady ojca i zostać bankierem, to dopiero byłaby iluzja. Magia sceny, gra. Dlatego, że ja nie jestem bankierem.

Liu Song chłonęła każde jego słowo.

– Muszę jednak przyznać, że tak naprawdę i śpiewak operowy ze mnie nie najlepszy. Nie sądzę, żebym miał bardzo obiecującą przyszłość na scenie, lecz nie na niej jest przyszłość.

Popatrzył za siebie, wzdłuż Second Avenue. Liu Song spojrzała w tym samym kierunku.

– Tillicum, Clemmer, Melbourne, Alaska Theatre... W Seattle jest już osiemdziesiąt kin, i co miesiąc, niemal co tydzień, otwierają następne. To jest przyszłość!

Przyszłość, myślała Liu Song. Wyobrażała sobie migoczącą od świateł markizę i te ogromne litery układające się w tytuł filmu, poniżej zaś – swoje imię jako występującej w nim aktorki. Pierwszy raz od śmierci matki poczuła, że jej nieśmiałe nadzieje mogą się spełnić. Czowała, że może zostać kimś więcej niż pasierbicą i źródłem dochodów wujka Leo czy też służącą i niańką cioci Eng oraz jej chciwej, prostackiej rodziny.

– Czarno-biała przyszłość – odpowiedziała, przytakując powoli.

## Ultimatum demona

1921

Możesz zostać, kimkolwiek chcesz.

Słowa te nie dawały Liu Song spokoju przez całą drogę do domu. To, i jeszcze świadomość, że Colin opuścił ojca i rodzinę, żeby występować na scenie, a później porzucił scenę na rzecz ekranu. Biegł z rozpostartymi ramionami na spotkanie z nieznaną przyszłością. Samotnie.

Liu Song już od bardzo dawna była zupełnie sama. Zanurzona w smutku, wyczerpana rozpaczą, beznadzieją, aż do otępienia. Teraz poczuła się nagle tak, jak gdyby spoglądała na świat nowymi oczami, oczami swojej matki.

Co pomyślałby ojciec? – zastanawiała się. Jej rodzice uwielbiali ruchome obrazy i filmy, mimo że oglądali je bardzo nowoczesni widzowie, a poruszana tematyka była nader niekonwencjonalna.

Liu Song występująca na ekranie? Pomysł wydawał się równie absurdalny, niestosowny, jak w przypadku jej matki występującej na scenie. Mijając tłum ludzi cierpliwie czekających w kolejce przed kinem, w którym wyświetlano *The Devil's Claim*, Liu Song spojrzała jednak z innej perspektywy na całą sprawę, która zmieniła się jak w kalejdoskopie. Zachwycała się nowymi kształtami, kolorami, koncepcjami przyszłości, które układała sobie w wyobraźni. Szczególnie gdy zobaczyła ogromny plakat filmowy ze świetnie się prezentującym Sessue Hayakawą. Pamiętała, jak jej ojciec zachwycał się kiedyś grą aktorską Hayakawy w scenicznej japońskiej wersji *Trzech muszkieterów*.

„To nie był jakiś tam przypadkowy kulis. Gesty tego aktora były tak dramatyczne, tak pełne poezji, że nie trzeba było nawet rozumieć języka – oceniał. – To wielkie aktorstwo”.

Hayakawa mówił zapewne po angielsku z japońskim akcentem, jednak w przypadku niemych filmów nie miało to znaczenia. Jego gra była najważniejsza. Liczyły się tylko jego męska uroda, ponura twarz i przeszywające spojrzenie, od którego w Ameryce mdlały nawet najstarsze matrony. Wystąpił już w kilkudziesięciu filmach, a ojciec tłumaczył, że Hayakawa jest równie znany jak Douglas Fairbanks czy Charlie Chaplin.

Colin przypominał Hayakawę nie tylko dlatego, że jego oczy skrywały w sobie tajemnicę i że miał wspaniały uśmiech. Liu Song rozmarzyła się. Sama nie wiedziała, co w Colinie Kwanie podoba jej się bardziej: jego ambicja, dążenie do realizacji marzeń, czy jego cichość i smutek, owa niechęć i poczucie winy, które towarzyszyły porzuceniu rodzinnych zobowiązań. Przeżywał prawdziwy konflikt. Nie skrywał żalu, był on wypisany na jego twarzy. Nie ukrywał też faktu, iż za swoje marzenia musi płacić wysoką cenę. Jego szczególny rodzaj wierności własnym przekonaniom, prawość przywodziły Liu Song na myśl jej ojca.

Przechodziła obok zabitego deskami Grand Opera House. Zimny wiatr niósł ze sobą woń przesiąkniętej deszczem sadzy i popiołu. Ceglane mury budynku przetrwały, natomiast drewniane belki stropowe, krokwie i parkiety pochłonął wielki pożar. Rozpoczęto już odbudowę, ale przerabiano ów gmach na wielopoziomowy parking.

Liu Song przystanęła i popatrzyła na ścianę dawnego teatru, na której pozostały resztki plakatu reklamującego spektakl *Zhuangzi Tests His Wife*. Kolory spłówiały w ciągu kilku lat,

przez co wdowa Zhuangzi wydawała się jeszcze bardziej załamana; noszona przez nią maska wyrażała smutek: oto jej udręczona dusza została wystawiona na próbę. Autor plakatu namalował suknię, którą miała na scenie matka Liu Song, a ona przechowywała ją teraz pod łóżkiem. Wpatrywała się w plakat i myślała o aurze, jaką roztaczała jej *ah-ma*. Jej duch nie próżnował, jak wyraził się Colin. Liu Song bardzo się cieszyła, że ma sceniczną maskę matki. Znieruchomiała pośród padającej mżawki i zmówiła bezgłośnie modlitwę do ruin teatru, podobnie jak Yeh-Shen modliła się nad gruzami swojej przeszłości, mając nadzieję, że będzie jeszcze miała nowe ubrania i nowe życie.

– Mamo, przyoblekłaś się w kolory choroby i rozpaczy – westchnęła, myśląc o sukni matki. Ojciec nauczył Liu Song symboliki kolorów w chińskiej operze.

Ruszywszy w dalszą drogę, przeszła obok świątyni buddyjskiej, potem shintoistycznej, przez osiedle japońskie, koło kwiaciarni Cherry Land Florist. Ta przywiodła jej z kolei na myśl ulubioną herbatę mamy, napar z nasion pewnego niebieskiego kwiatu. Liu Song weszła do sklepu Murakamiego przy Weller Street i zaczęła się przechadzać między regałami wypełnionymi skrzynkami i pudłami z różnymi artykułami. Szukała nasion i być może jakiejś odpowiedzi na swoją modlitwę. Znalazła coś, co ją zadowoliło: zestaw barwników do ceramiki. Starannie wybrała dwa słoiczki, złoty i srebrny. Miała akurat dość pieniędzy, żeby kupić oba.

Ruszyła uliczką do domu, myśląc z satysfakcją: Mamo, niedługo znów będziesz występować. W kolorach, na jakie zasługujesz.

\*

Mieszkanie było wypełnione ludźmi, w powietrzu wisiał smród papierosów, puszcanych wiatrów i spoconych stóp. Siostry cioci Eng jeszcze nie wyjechały. Wyraźnie czuły się jak w domu: rozwieszały w poprzek uliczki pranie, podczas gdy ich dzieci wycinały z gazety papierowe lalki, zasypując całą podłogę ścinkami. Jeden z chłopców kupił nawet w pobliskim sklepie zoologicznym żółwia, i teraz gad chodził po pokoju Liu Song. Może będę miała szczęście i ciocia Eng go ugotuje, pomyślała.

Zdołała opanować złość i lęk w obliczu całego tego chaosu, milczała i robiła, co jej kazano, wzorem Yeh-Shen. Pomogła przygotować kolację i obsługiwała członkom rodziny cioci Eng. Bawiła się z dziećmi, choć nie umiały się niczym dzielić, tylko uderzały w płacz, jeśli cokolwiek działo się nie po ich myśli. To z kolei ściągało surowe reprymendy ze strony cioci Eng i jej siostr, które wyrzucały Liu Song, że jest marną i niezdyscyplinowaną opiekunką. Liu Song poszła nawet do sklepu po puszkę tabaki dla jednej z kobiet. Siostra cioci Eng żuła zmielony tytoń, plując ohydny, cuchnącymi resztkami do puszki po kawie.

Na szczęście dla Liu Song, wujkowi Leo jeszcze mniej niż jej podobali się niechlujni goście. Wstępował do domu, żeby zjeść, ogolić się i zamaskować swój smród porcją wody kolońskiej z olejkiem pimentowym. Zapalał też kadzidełka modlitewne w rodzinnej kapliczce, prosząc o przychylny los. Potem szedł na spotkanie do siedziby stowarzyszenia dobroczynnego pod nazwą Eng Suey Sun Benevolent Association albo dosiadał się do pokera w klubie Wah Mee. Często wracał dopiero przed wschodem słońca. Czasami budził Liu Song... Lecz nawet wtedy udawała, że śpi. Dla świata była martwa i za każdym razem po trochu umierała.

Nowa rutyna polegająca na ciągłym wykonywaniu mozolnych prac domowych oraz na nocnych odwiedzinach wujka Leo trwała tylko przez kilka dni. W końcu Liu Song pojechała z ciocią Eng i jej gośćmi na dworzec King Street, dźwigając ich bagaże. Nie czekała na odjazd pociągu i wróciła do domu. Zastała podpitego wujka Leo posypującego drewnianą podłogę talkiem. Minał tydzień od dnia pogrzebu matki Liu Song. Stary przesąd nakazywał udanie się do łóżek i pozostawanie we własnych pokojach do czasu, aż duch zmarłej ostatecznie odejdzie,



wyruszy w dalszą podróż. Liu Song skwapliwie zaakceptowała ten zwyczaj. W istocie czekała na taką sytuację przez cały tydzień.

Poszedłszy do swojego pokoju, wyciągnęła spod łóżka walizkę i rzeczy matki. Obejrzała operową maskę i starannie ją odmalowała. Zieleń oznaczająca błędny osąd oraz odcienie niebieskiego, które mówiły o sprycie i wierności, pokryła warstwą błyszczących metalicznych farb, srebrnej i złotej. Były to kolory tajemnicy i rozgniewanego boga, demona lub mściwego ducha.

Wpatrywała się w maskę, czekając, aż ciocia Eng wróci i położy się do łóżka. Zmusiła się do milczenia, kiedy do jej uszu dobiegły pijackie śmiechy jej ojczyma i macochy. Żartowali sobie, dopijając resztę jęczmiennego wina, które jej ojciec przechowywał w butelkach, aby otwierać je kolejno z okazji każdego Nowego Roku.

Kiedy Liu Song nabrała pewności, że wujek Leo i ciocia Eng śpią, sięgnęła po mieniącą się białą suknię matki, o długich, lejących się rękawach, wyszywaną dramatycznie kontrastową czerwienią. Ubrała się powoli, starannie, z nabożną czcią, zwracając uwagę na każdy szczegół, jak gdyby przywdziewała zbroję przed bitwą. Upięła wysoko długie włosy, jak robiły mężatki. Pomalowała powieki czarnym tuszem i zawiązała sobie na skroniach skórzaną przepaskę, zaciskając mocno rzemyk z tyłu, tak jak robił jej ojciec. Opaska sprawiała, że jej oczy były szerzej otwarte. Rzemyk przesłoniła zdobionym kamieniami diademem, przypinając go do opaski. Następnie włożyła maskę demona. Była pewna, że wybuchnie śmiechem, kiedy spojrzy w lustro, lecz widok wcale jej nie rozbawił. Włosy zjeżyły jej się na głowie: nie widziała własnego odbicia, nie rozpoznawała wpatrujących się w nią, migoczących w świetle lampy czerwonych oczu. Nie była już Liu Song ani Yeh-Shen, chińskim Kopciuszką. Nie była również córeczką mamusi bawiącą się w dziecięce przebieranki. W tej chwili była swoją matką, choć tylko na jeden wieczór. A jej matka była bardzo rozgniewanym duchem.

Poszła do dużego pokoju, otworzyła drzwiczki żeliwnego pieca i dołożyła do ognia. Zapaliła kadzidełko i wszystkie świece. Potem weszła do kuchni i sięgnęła po najdłuższy, najostrzejszy nóż do mięsa, ten, którym jej matka oddzielała wieprzowinę od kości. Zwróciła uwagę, że w ostrzu odbijały się kolory jej sukni. Wyglądały jak krew i ogień.

Ostrożnie ukryła nóż w długim rękawie. Ruszyła wzdłuż ściany do drzwi wejściowych. Stamtąd, uważnie stawiając boscie stopy na posypanej talkiem podłodze, przeszła do sypialni ojczyma i macochy, pozostawiając ślady, które mogłyby być śladami ducha. Wzięła głęboki oddech, słysząc skwierczenie świeżo zapalonych świec – i otworzyła drzwi pokoju. Bez pukania.

Wcielili się w odgrywaną postać, wkraczając do sypialni jako matka i córka w jednym, a zarazem inkarnacja wdowy Zhuangzi. Płomienie migotały w ciemności, rzucając na łóżko złowrogi cień; widać było, jak rękawy sukni Liu Song ciągną się po podłodze. Ciocia Eng obudziła się pierwsza. Wydała nieludzki dźwięk, coś w rodzaju kwiku przerażonej świni, która znalazła się w pułapce bez wyjścia. A wtedy Liu Song, jej matka, wdowa Zhuangzi podpłynęła w powietrzu do mosiężnej poręczy u stóp łóżka. Wujek Leo usiadł raptownie, budząc się z nieprzyjemnego snu, który właśnie zamienił się w koszmar; Liu Song poczuła jego cuchnący alkoholem oddech. Twarz Leo wykrzywiła się ze strachu; pijany umysł tego przesądne go człowieka próbował pogodzić się z tym, co widzi. Wdowa Zhuangzi powoli odwinęła długi rękaw, ukazując ostrze noża. Wycelowała je w miękki brzuch cioci Eng, a potem przeniosła nad wujka Leo. Widział wpatrujące się w niego wylupiaste oczy. Wdowa odrzuciła rękaw tak, że ukazała się jej dłoń; chwyciła mocno Leo za włosy i uniosła jego głowę, równocześnie dotykając zimnym ostrzem rzeźnickiego noża nabrzmiałej skóry tuż poniżej jego brody. Zbladł i przestał oddychać.

– Nigdy więcej nie tkniesz mojej córki...! – szepnęła po kantońsku Zhuangzi przez

zaciśnięte zęby; jej głos zniekształcała dodatkowo maska demona. – Nie odezwiesz się do niej ani na nią nie spojrzysz – syczała. – Oddasz jej wszystko, co jej winien, i jeszcze więcej! Opuścisz także mój dom, jeszcze przed najbliższą pełnią księżyca, bo inaczej przywiążę cię do tego łóżka i będę wlewała ci co wieczór do gardła olejek, aż i ty dołączysz do świata duchów! Obiecuję ci, przysięgam na twoją krew i na krew członków twojej rodziny, że nie opuszczę tego miejsca, dopóki stąd nie znikniecie...!

Wdowa spojrzała z kolei na popiskującą ciocię Eng.

– Jestem tylko drugą żoną! – zaskrzeczała wysokim, śpiewnym głosem. Dotknęła końcem noża ust przerażonej kobiety i dodała: – Ale ty mnie będziesz nazywać Wielką Matką!

\*

Serce Liu Song biło jak oszalałe. Rozebrała się i usiadła na skraju łóżka, starając się opanować emocje. Wciąż miała przed oczyma widok wujka Leo i cioci Eng, tulących się do siebie w chwili, gdy opuszczała ich sypialnię. Tylko zagrała odważną postać. Było to upajające, lecz i wyczerpujące emocjonalnie doświadczenie. Ściągnęła maskę, w której zrobiło jej się duszno. Wpatrywała się teraz w jej wnętrze, tak puste jak pustka w jej sercu. Smutne spojrzenie Liu Song powędrowało ku ciemnym kątom pokoju; nieomal spodziewała się dostrzec rodziców lub braci, bijących jej brawo czy też kiwających z aprobatą głowami. Słyszała przez ściany podniesiony głos wujka Leo i płacz cioci Eng.

„Dobrze się spisałaś, Liu Song”, szepnęłyby zapewne ojciec.

„Bis!”, zakrzyknęłyby pewnie mama, ocierając łzy.

Liu Song położyła się i wtuliła twarz w zdjętą chwilę wcześniej suknię. Czowała zapach matki: jej skóry, kremu, perfum. Jakże za nią tęskniła! Ścisnęła mocno poduszkę i chciała się rozplakać, jednak łzy nie popłynęły. Kotłowały się w niej tylko emocje: złość, poczucie opuszczenia, lęk przed brakiem wsparcia. Wszystkie razem ciążyły jej jak kamień u szyi, który wciągał ją coraz głębiej w ciemną otchłań bolesnej, doskwierającej jej mocno samotności. Liu Song pragnęła wyć przez całą noc. Zamiast tego zwinęła się w kłębek i słuchała w ciemności swojego rozpędzonego ponad miarę pulsu. Z czasem zwolnił, jak tykający zegar, którego nie nakrecono.

## Burzliwe fale

1921

Kiedy Liu Song się obudziła, okazało się, że wujka Leo i cioci Eng nie ma w domu. Wyglądało na to, że wszystkie ich rzeczy zostały na miejscu. Liu Song chodziła boso po mieszkaniu, rozkoszując się nieobecnością przybranych rodziców. W tej chwili samotność działała na nią kojąco. Nie miała pewności, czy jej podstęp się udał. Ojczym i macocha mogli dojść do wniosku, że były to tylko halucynacje po złym alkoholu. Albo kiedy wytrzeźwieli o wschodzie słońca, zrozumieli, że to zrobiła Liu Song. Nie miało to dla niej teraz znaczenia; cieszyła się z ich zniknięcia i chwili spokoju. Ciężko na nią zapracowała. Dobrze by było, gdyby duch mamy rzeczywiście wrócił i zabrał ich do świata duchów, pomyślała ze smutkiem. Wrzeszczeliby i szarpaliby się przez całą drogę.

Z uśmiechem zjadła na śniadanie pozostawione *hum bau*. Zimna bułeczka gotowana na parze wypełniona wieprzowiną jeszcze nigdy w życiu tak bardzo jej nie smakowała. Wypiła też kubek gorącej czarnej herbaty i wyruszyła do pracy. Tam śpiewała dla zachwyconych tłumów tak pogodne piosenki, że panu Butterfieldowi udało się w końcu sprzedać pianolę pewnemu zamożnemu małżeństwu. Miał nadzieję, że to tylko pierwsza z wielu. Liu Song nie musiała nawet skracać sukienki. Jej pracodawca był tak uradowany i wdzięczny, że wypłacił jej gotówkę i wysłał ją do domu godzinę wcześniej. Wracając piechotą do mieszkania rodziców, wyobrażała sobie spotkanie z wujkiem Leo. Być może za chwilę wyrzuci ją kopniakami raz na zawsze? Spodziewała się, że zobaczy swój dobytek obok pojemników na śmieci, i wcale by się za to nie obraziła. Lecz jej uliczka wyglądała tak samo jak co dzień. W mieszkaniu było jednak ciemno, a na sznurze nie było żadnego prania, skakał po nim tylko szpak, trzepotał skrzydełkami i gwizdał. Drzwi wejściowe były lekko uchylone. Liu Song weszła do domu i od razu stwierdziła, że cioci Eng i wujka Leo nadal nie ma. Niestety, zniknęły także wszystkie rzeczy: nowe radio, talerze, garnki, patelnie, większość pościeli, dywany, a nawet, co do jednego, meble. Wywieźli je na wózku, pozostawili tylko łóżko Liu Song. Ojczym i macocha zabrali także całą zawartość spiżarni i kuchennych szafek. Jedyne, co pozostało do jedzenia, to na wpół opróżniona puszka nieświeżych krakersów – i jeszcze to, co spadło na podłogę i wyglądało jak śmieci. Liu Song stanęła na środku mieszkania i pokręciła głową. Przechadzała się między pustymi pudłami i skrzynkami. Dziwne, że Leo i jego żona nie zdjęli żyrandoli, nie pozrywali tapet ani nie wyrwali miedzianej rury spod zlewu...

Mam to, czego chciałam, wujku, pomyślała Liu Song. A ty – ty masz wszystko inne.

Nagle przypomniała sobie o walizce. Pobiegła do pokoju, uklękła i zajrzała pod łóżko. Usiadła na chłodnej, zakurzonej drewnianej podłodze. Odetchnęła z wielką ulgą, czując bijące mocno serce. Walizka jej *ah-ma* była na swoim miejscu. Liu Song wyciągnęła ją i otworzyła. Na pewno przesądny ojczym bał się jej dotknąć. Gdyby ją otworzył, on albo ciocia Eng, zobaczyliby maskę...

Liu Song otarła pot z czoła, po czym oparła się na łokciach na widok swojej opróżnionej ściennej szafy. Zmarszczyła brwi. Jej ubrania leżały na podłodze. Ojczym i macocha najpierw wyrzucili rzeczy osobiste jej matki, a teraz zabrali to, co miało wartość materialną. Niewiele zostało.

Zabraliście mi nawet ostatni druciany wieszak, pomyślała Liu Song. Podniosła się szybko, słysząc pukanie do drzwi. Sprawdziła w sukience, czy pieniądze są na swoim miejscu, bezpiecznie schowane; otrzepała się z kurzu. Jeśli przyszedł właściciel mieszkania, miała przy sobie akurat dość gotówki, żeby zapłacić za miesiąc wynajmu. Choć nie wiadomo było, jakie będzie zdanie właściciela na temat wynajmowania mieszkania samotnej młodej pannie. Takie sytuacje nie podobały się ludziom. Z pewnością właściciel będzie chciał zachować reputację budynku. Wystarczyło, że policja uważała każdą niezamężną Chinkę za prostytutkę. Jeśli jeszcze ten człowiek...

– Halo, jest tam kto? – zapytał po kantońsku znajomy głos. – Liu Song?

Przeszła do dużego pokoju, wstydząc się straszliwego bałaganu.

– Colin?

W drzwiach ukazał się Colin Kwan, ściągnął kapelusz i omiół wzrokiem podłogę, puste pudełko na hubkę koło pieca, opróżnione kredensy.

– Czy mogę wejść? – zapytał niepewnie.

– Proszę. – Liu Song zarumieniła się ze wstydu. – Bardzo przepraszam. Żałuję, że nie mam niczego, na czym mógłbyś usiąść, ani herbaty, którą mogłabym ci podać. Wytłumaczę ci, co się stało...

– Nie trzeba.

– To mój wujek i ciocia wszystko zabrali.

– W porządku. Mówisz prawdę – zgodził się Colin, rozglądając się. Aż się uśmiechnął na widok panującego wokół nieporządku. – Słyszałem o ich nagłym wyjeździe, wszystko wiem.

– Co słyszałeś?

Colin podniósł starą skrzynkę po owocach i postawił przed Liu Song. Usiadła, bezskutecznie usiłując wygładzić pogniecioną sukienkę. Nie mogła oderwać oczu od czarującego młodego mężczyzny, który przyklęknął naprzeciw niej na jedno kolano. Miał nieskazitelnie wyprasowany garnitur i fryzurę trzymającą się chyba na zasadzie cudu, mimo wiejącego na dworze wiatru. Colin znalazł się teraz tak blisko, że niemal dotykali się palcami stóp. Czuła zapach jego wody po goleniu. Podniósł pustą puszkę po tytoniu, powąchał, odstawił ją miękkiem ruchem na bok i dalej rozglądał się po zaśmieconym mieszkaniu z taką miną, jak gdyby jego stan był zaledwie drobną niewygodą. Niepotrzebną i niekorzystną, ale łatwą do przezwyciężenia.

– Byłem po południu w klubie Wah Mee – wyjaśnił. – W pewnej chwili wszedł twój wujek i głośno poskarżył się wszystkim, że już nie chce być twoim wujkiem.

Liu Song zasłoniła dłonią usta. Starła się nie śmiać, przypominając sobie, co Leo jej zrobił i jak okropnie traktował jej matkę.

– Doprawdy? – skomentowała.

Gość pokiwał głową na znak potwierdzenia.

– Zaraz po wejściu zaczął opowiadać, jaka jesteś młoda i piękna, chociaż opisywał cię bardziej prymitywnymi słowami. Mówił, że w chińskiej dzielnicy jest naprawdę niewiele młodych panien, a niezonatych robotników są setki, a może i tysiące. Na tej podstawie wygłosił stwierdzenie, że powinnaś być dla kogoś coś warta.

Liu Song przestała się uśmiechać. Nie wierzyła własnym uszom. Słyszała o rodzicach, którzy mieli wielu synów i sprzedawali jednego rodzinom potrzebującym rąk do pracy. Rzadko jednak zmieniała w ten sposób rodzinę córka, przynajmniej nie w Ameryce i nie w Seattle. Oczywiście nie licząc aranżowanych małżeństw. Liu Song przełknęła ślinę i zapytała, choć wcale nie miała na to ochoty – tak jak pytało się o gorączkę w okresie kwarantanny:

– Czy on mnie z kimś zaręczył?

– Obawiam się, że jeszcze gorzej.

Jak to: gorzej? – pomyślała Liu Song. Sprzedał mnie jak krowę!  
– Nikt nie proponował posagu, więc zagrał o ciebie... – wyjaśnił Colin. Mówił z wahaniem, jak gdyby opowiadając, co się wydarzyło, ciężko ją obrażał. – Postawił cię w grze w kości. I przegrał.

– Ktoś mnie wygrał? – upewniła się Liu Song. – W kości? – Była zaszokowana.  
Z przerażeniem patrzyła, jak Colin jeszcze raz przytakuje. Poluzował szalik, miał nerwowo kapelusz.

– Ale właśnie dlatego od razu do ciebie przyszedłem – kontynuował Colin. – Wygrał cię starszy elegancki mężczyzna z Kwangtungu, wdowiec. Wydawał się chętny do powtórnego ożenku z młodą kobietą. Mówił, że zawiezie cię do Chin, żeby zawrzeć z tobą tradycyjny ślub.

– Nie zrobię tego! – zaprotestowała Liu Song. – Ucieknę. Nigdy mnie nie znajdzie.

– Nie będziesz musiała – uspokoił ją Colin, skromnie wzruszając ramionami.

– Skąd ta pewność?

– Otóż... – Colin chrząknął i przeszedł na angielski. – Zaraz potem w klubie inny mężczyzna wystąpił z lepszą ofertą – opowiadał łamiącym się głosem. – Człowiek ów zaproponował za ciebie dwukrotnie większą stawkę niż ta, którą postawił zwycięzca zakładu. Ten nie chciał cię sprzedać, więc nowy oferent podwyższył sumę, proponując trzy, potem cztery, i wreszcie pięć razy więcej. Wtedy stary lubieżnik ustąpił i wziął pieniądze. Twój wujek wyglądał na bardzo niezadowolonego: pozwalając o ciebie zagrać, zgodził się na o wiele niższą stawkę niż twoja rzeczywista wartość.

Moja rzeczywista wartość?! Liu Song chciało się płakać i krzyżeć. Milczała jednak. Wstała i zaczęła myśleć, jak wyjechać z miasta. Miała, niestety, bardzo mało pieniędzy. I nic nie znaczyła.

– Kimże jest ten nowy oferent? – zapytała. – Zapewne także elegancki?! – dodała, wypluwając z pogardą ostatnie słowo.

Colin podniósł się i przyłożył kapelusz do serca.

– Właśnie dlatego tu jestem – powtórzył łagodnie. – Nie chciałem, abyś usłyszała o tym na ulicy i czuła się przytłoczona nowym, nieistniejącym brzemieniem. Zapewniam cię solennie, że jesteś wolna i możesz uczynić, co tylko zechcesz. Możesz być, z kim tylko postanowisz.

Liu Song pokręciła głową.

– Owym nierozsądnym elegantem... jestem ja – oznajmił Colin.

Liu Song zaniemówiła. Nie była pewna znaczenia jego słów ani tego, co komu zawdzięcza.

– Przepraszam... – szepnęła.

– Nie mogłem beczynnie stać i dopuścić do tego, co miało się wydarzyć – wyjaśnił Colin. – Przystąpiłem zatem do działania. Mam nadzieję, że nie uznajesz mego gestu za niewłaściwy. Jesteś młodą panną i w żaden sposób...

– Jestem ci... – Głos uwiązał Liu Song w gardle. Ogarnęło ją uczucie wielkiej wdzięczności, zmieszania i radości, którą nieco hamował niepewny głos Colina. – Dziękuję ci. Wynagrodzę ci poniesiony wydatek. Mam trochę pieniędzy i będę dalej pracowała. Zwrócę ci wszystko, co do centa.

– Nie jesteś mi nic winna. Mam jeszcze pieniądze od ojca, choć nie zaaprobował moich wyborów. Niezmiernie szanowałem twojego *lou dou*, więc mój postępki to naprawdę niewiele. Dużo twojemu ojcu zawdzięczam. To on nadał kierunek mojemu dorosłemu życiu.

Liu Song wciąż się rumieniła. Jej zakłopotanie nie mijało.

– Nie jestem jeszcze gotowa do wyjścia za mąż – powiedziała.

– Nie proszę cię o to – odpowiedział z uśmiechem Colin, wpatrując się w nią szeroko

otwartymi oczami. – Nie dlatego, żeby czegośkolwiek ci brakowało. Jestem przekonany, że znajdziesz kogoś wartościowego. Skoro rozmawiamy o małżeństwie – oto co twój wujek sprzedał razem z tobą. – Colin wyciągnął z kieszeni obrączkę matki Liu Song.

Odetchnęła z ulgą, lecz zrobiło jej się niedobrze na myśl o Leo. Wzięła obrączkę, ciesząc się, że ją dostała. Miała jednak ochotę wyparzyć ją wrzątkiem. Popatrzyła na swoje niewyraźne odbicie w zmatowiałym złocie, a potem włożyła obrączkę na serdeczny palec prawej ręki.

Colin zmienił temat: zaproponował, że posprząta. Ruszył po schodach na górę, żeby odszukać schowek dozorca, i wrócił z miotłą i szufelką. Zabrał się do zmiatania śmieci zmieszanych z talkiem. Liu Song opowiedziała mu, jak pomalowała maskę matki i co zrobiła cioci Eng i wujkowi Leo. Colin słuchał i śmiał się. Żartowali we dwoje z Leo i jego staroświeckich przesądów. Rozmawiali o muzyce, filmach i najbliższych, za którymi tęsknili. O dobrych czasach i o chwilach wypełnionych smutkiem i żalem. Nadchodził zmierzch. Colin spojrzął na zegarek i skierował się do wyjścia.

– Nie powinienem tu być w sytuacji, kiedy w mieszkaniu nie ma już twoich przybranych rodziców – powiedział. – To mała dzielnica i nie chciałbym, aby ktokolwiek nabrał jakichś podejrzeń. Czy dasz sobie radę sama przez pewien czas? Może znajdziesz kogoś, kto z tobą zamieszka.

Liu Song skinęła głową, choć nie była pewna, jakich to dokładnie podejrzeń miałby ktoś nabrać. W każdym razie widziała, że Colin nie chce przebywać w jej mieszkaniu po zmroku. Nagle uniosła wzrok i zrozumiała, o co mu chodzi: w górze widać było czerwone punkciki palących się papierosów. Trzymali je w dłoniach lub ustach zgromadzeni licznie mężczyźni mieszkający wyżej. Dwa górne piętra zajmował bowiem hotel Freeman. Było to tanie schronisko, w którym mieszkało mnóstwo kawalerów: robotnicy z fabryki konserw, drwale, pracownicy pralni, kucharze. Wieczorami wychodzili na schody przeciwpożarowe. Palili i rozmawiali o pieniądzach i kobietach; bardzo brakowało im jednych i drugich. Liu Song od tak dawna martwiła się o matkę i zastanawiała, jak unikać wujka, że rzadko myślała o mieszkających na piętrach mężczyznach. Uznawała ich po prostu za sąsiadów, ludzi mówiących tym samym językiem, podobnie jak chińskie rodziny po drugiej stronie ulicy. Ten niewinny obraz rozwiął się w jednej chwili; Liu Song zdała sobie sprawę, że owi samotni mężczyźni o swobodnym sposobie bycia spoglądający na nią ze schodów zapewne myśleli o niej całkiem często. Przeszedł ją zimny dreszcz. Zadrżała, tym bardziej że wieczór był chłodny.

– Czy to znaczy, że już się nie zobaczymy? – zapytała. Bardzo chciała, żeby Colin u niej został, nie mogła jednak sprawić wrażenia dziewczyny zdesperowanej, choć tak się czuła.

– To znaczy, że chyba powinniśmy się widywać w miejscu publicznym, żeby nie komentowały naszych spotkań plotkujące kwoki, które gdaczą tu wszędzie dookoła – odpowiedział po małej pauzie. Skinął głową w głąb uliczki, gdzie znajdowały się inne mieszkania, a sznury były pozawieszane praniem. – Ani sępy – dodał, nie podnosząc wzroku. Liu Song i tak wiedziała, kogo ma na myśli.

– Może w następny piątek? – zaproponowała nagle ku własnemu zaskoczeniu. Nie wiedziała, czy zrobiła to dlatego, że nie chciała wypuścić Colina, czy też po prostu cieszyła się z ochrony, jaką dawało jej jego towarzystwo. – Wracając do domu, zwróciłam uwagę, że w Moore Theatre jest seans o wczesnej porze. Grają nowy film, myślę, że ci się spodoba.

Colin nawet nie spytał, o jaki film chodzi, co ogromnie ją uradowało. Natychmiast przyjął propozycję.

Liu Song jeszcze nigdy nie była w kinie wyświetlającym najnowsze filmy. W małych kinach powstałych w tamtych sklepach puszczano filmy z poprzedniego roku i tylko na bilety do takich kin było stać jej rodziców. Postanowiła jednak, że zapłacą *qu helan*. Pójście do kina

i zapłcenie za swój bilet nie oznaczało randki, i tak wołała, pomna pełnych niepokoju matczynych uwag na temat przebywania sam na sam z mężczyzną, jakimkolwiek mężczyzną.  
– Doskonale. Spotkamy się na miejscu – zakończył Colin, uchylając kapelusza.

## Samotna zakochana

1921

Liu Song przysłała do kinoteatru i zobaczyła, że Colin już czeka z biletami w ręku. Zdjął kapelusz i wachlował się dla ochłody, choć było zimno.

– Czy to nowa sukienka? – zagadnął.

Liu Song chciała się uśmiechnąć skromnie, zamiast tego zarumieniła się ze zdenerwowania.

– Sprzedałam w tym tygodniu luksusową pianolę, wyobrażasz sobie? Postanowiłam więc zaszaleć i kupić sobie coś nowego. Czy wyglądam *au courant*?

Nabyła modne pończochy i buty na wysokich obcasach. Były to pierwsze nowe ubrania w jej życiu, pierwsze, w których naprawdę było jej dobrze. Zagryzła wargę, ale natychmiast pomyślała, że rozmaże sobie szminkę. Myślała, że jak nałoży szminkę, poczuje się dorosła. Zamiast tego była tylko jeszcze bardziej świadoma swojego wyglądu, szczególnie w obecności innych widzów, wśród których nie było ani jednego Chińczyka. Spuściła oczy, zerkając na koronkowe frędzle sukienki zdobiące jej biodra; poruszały się na wietrze w rytmie każdego jej niepewnego kroku.

Colin zaniemówił.

– Moim zdaniem... – odezwał się w końcu – w angielszczyźnie brak odpowiednich słów. Mogę jedynie powiedzieć: *nei hau leng*.

Ty też pięknie wyglądasz, pomyślała Liu Song. Chciałabym móc ci to powiedzieć.

Nie dowierzała, że Colin widzi w niej kogoś więcej niż tylko sprawiającą kłopoty, niewiele wartą, nisko urodzoną dziewczynę, która przestała chodzić do szkoły i mówi wiejskim dialektem kantońskim jak jej rodzice.

– Nie zdajesz sobie sprawy, kim naprawdę jesteś – zapewnił. – Twoja przyszłość... – Skwitował słowa gwizdnięciem. – Mam nadzieję, że będę miał okazję ją obserwować.

– Co zamierzasz zrobić po filmie? – spytała Liu Song, zmieniając temat, i nagle zdała sobie sprawę, jak bardzo obcesowo to zabrzmiało. Profesja czy sposób ubierania się jej rodziców były nowoczesne, ale Colin pochodził z tradycyjnej rodziny, która z pewnością nie uznawała zapraszania gdziekolwiek chłopców, a tym bardziej mężczyzn, przez dziewczęta. – Tak tylko zapytałam, ponieważ muszę coś zrobić – dodała szybko. – Pan Butterfield sprzedał tę pianolę jednemu z właścicieli Stacy Mansion. Dobił targu, mówiąc, że zaśpiewam z okazji inauguracji instrumentu. To dziś wieczorem. Pomyślałam, że będzie rozsądnie, jeśli ktoś mnie odprowadzi...

– Ach, oczywiście – odpowiedział Colin, kiwając głową na znak zgody. – Nic dziwnego, że kupiłaś tę sukienkę.

\*

Weszli do kinoteatru. Colin dał napiwek bileterowi, który, posługując się latarką, zaprowadził ich do miejsc w pierwszym rzędzie balkonu. Liu Song podziwiała roztaczający się z niego widok. Środek ekranu znajdował się na wysokości jej oczu, ponadto mogła obserwować wypełniony ludźmi parter, a także kanał orkiestry, w którym stroiło instrumenty siedmiu muzyków w smokingach, a ósmy, organista, rozciągał palce. Colin opowiedział, co o nich czytał:



pochodzili z Rosji i byli najdroższym zespołem w Seattle.

Dyrygent poprowadził fanfarę rozpoczynającą seans, oświetlenie zaczęło przygasać, a wśród widzów przeszedł szmer podniecenia. Po chwili siedzieli w zupełnej ciemności, podczas gdy wnętrze sali wypełniała muzyka. Liu Song czuła się, jakby przenoszono ją w inną rzeczywistość. Jej oczy powoli przyzwyczajały się do mroku, tymczasem kurtyna uniosła się i pojawił się strumień światła projektora. Widać było wirujące w powietrzu drobiny kurzu, przywodziły jej na myśl brokat pływający w szklanej kuli z zatopioną zimową scenografią. Muzycy z wprawą odgrywali uwerturę, a na ekranie zajaśniał napis *Bits of Life*, a po nim napisy początkowe.

– To antologia – szepnęła Liu Song, z trudem wymawiając nowe dla niej słowo. Miała jednak nadzieję zrobić wrażenie na Colinie. – Cztery filmy w jednym.

– Już stajesz się znawczynią – odpowiedział z uśmiechem, przytakując.

Liu Song zachwycała się każdą z czterech nowel filmowych. Od czasu do czasu zerkała na Colina, który oglądał obraz na ekranie z poważną miną. Najwyraźniej dostrzegał w filmie nie tylko prostą rozrywkę.

Kiedy pojawiły się w nim chińskie stroje i dekoracje, Colin aż się wychylił do przodu. Rolę głównego bohatera tej noweli, China Chowa, grał Lon Chaney. Był dość znanym aktorem, ale zdaniem Liu Song nawet w makijażu i z brodą wyglądał dziwnie i pretensjonalnie. Na szczęście jego pełną wad żonę grała debiutująca aktorka Anna May Wong. Przykuwała uwagę, wypadła o wiele lepiej niż jej bardziej znany ekranowy partner.

– Najlepsze zostawili na koniec – skomentowała Liu Song, nachylając się do Colina.

Oglądała nowelę i przychodziła jej na myśl matka. Nie chora, powoli umierająca kobieta, tylko dumna i zwycięska na scenie, choć tryumfowała na niej tylko przez jeden wieczór.

– To mogłabyś być ty – szepnął Colin. Ich dłonie zetknęły się na poręczy fotela. Oboje cofnęli je, zawstydzeni, akurat w chwili, kiedy bohaterka grana przez Annę May Wong umierała na ekranie. Piękna chińska aktorka omdlewała, oddychała nerwowo, poruszając nozdrzami, a orkiestra grała coraz głośniejsze. W końcu Wong zatrzepotała rękami i upadła, a wtedy, pośród głośnego aplauzu publiczności, opadła kurtyna. Colin wstał i energicznie bił brawo.

\*

Po wyjściu z kina Liu Song i Colin złapali mikrobus, który zawiózł ich do Stacy Mansion. Weszli do klubu, minawszy odźwiernego. W środku kilku młodszych mężczyzn przywitało się z Colinem, Liu Song zaimponował fakt, że go znają. Mężczyźni noszący niebieskie marynarki rozmawiali o regatach jachtowych i wioślarskich, a także oczywiście o aktorstwie, teatrze, filmikach do ręcznych projektorów i o filmach.

– Ci ludzie finansują filmy – poinformował ją później Colin.

– Czy jesteś członkiem tego klubu? – upewniła się Liu Song.

– Nie. – Colin roześmiał się na głos. – Obowiązują pewne kryteria członkostwa, których nie jestem w stanie spełnić. W piwnicy znajduje się jednak znakomity pub, dostępny dla wszystkich. Nazywa się Rathskellar. Oczywiście już nie serwują w nim mocnych alkoholi, jednak wciąż pozostaje on przyjemnym miejscem, w którym można widywać i bywać widywanym, jeśli rozumiesz, co mam na myśli.

Liu Song rozumiała. Choć nie do końca. To znaczy nie wiedziała, jak dokładnie wygląda to, o czym mówi Colin. Podobne miejsca oglądała dotąd tylko z zewnątrz. Stacy, Carkeek Mansion, Seattle Tennis Club... Metalowe ogrodzenia, ozdobnie przycięte krzewy, modne dwumiejscowe kabriolety, eleganckie kobiety noszące diamenty, perły i bolerka ze strzyżonych norek. W sukience za trzy dolary Liu Song czuła się jak nędzarka. Nawet szatniarki wyglądały

zachwycająco i wydawały się bardziej wystrojone. Nie zdziwiłaby się, gdyby ktoś poprosił ją, żeby pobiegła po zostawioną gdzieś szczotkę do ubrań, zapalniczkę czy pojemnik na cygara z palarni dla panów.

– Och, pani musi być Liu Song. Cóż za wiele mówiące imię. *Song*, „piosenka”.

Zaskakująco trafione, nie sądzi pani? – Tymi słowami przywitał Liu Song mężczyzna o starannie przystrzyżonej srebrzystej brodzie, w złotych okularach. Pocałował ją w rękę. – Jestem Marty Van Buren Stacy. Bardzo dziękuję, że zgodziła się pani uświetnić swoją obecnością mój skromny lokalik.

– Jestem... – Liu Song była oszołomiona grzecnością gospodarza. Jak ją rozpoznał? Wtem uświadomiła sobie, że przecież jest jedyną Chinką w klubie. Pewnie pierwszą, która się w nim kiedykolwiek znalazła. – Dziękuję.

– Miło znów pana widzieć, panie Colinie. Przyznam, że nie jestem zaskoczony pańską obecnością u boku tej młodej piosenkarki. Jak powiadają, ciągnie swój do swego.

Liu Song z nieklamany podziwem obserwowała, jak Colin rozmawia z przedstawicielami elity finansowej Seattle. Wyglądało to tak, jakby do niej należał. Liu Song zrozumiała, że ten skromny człowiek jest zamożniejszy, niż początkowo się wydawało. Nie miało to dla niej znaczenia. A właściwie wysoka pozycja społeczna Colina uświadamiała jej jeszcze mocniej fakt, iż dzieli ich ogromny dystans kulturowy i towarzyski. Colin miał zapewne także więcej obowiązków rodzinnych, niż zdawał się jej dotąd sugerować. W Chinach był bez wątpienia kimś na podobieństwo księcia, synem rodziny, której wszystkie potrzeby zaspokajały zastępy służących. Zdała sobie sprawę, że jego status czynił go osobą zupełnie dla niej niedosiężną. Okazał jej wyjątkową pomoc, udając się z nią do Stacy Mansion. Uderzało ją to, że choć traktowano go w nim jak cennego gościa, nigdy nie będzie mógł zostać pełnoprawnym członkiem ekskluzywnego klubu. Z pewnością było to dla Colina upokarzające. Skoro pokazał się tu ze mną, musi czuć się wielkim dłużnikiem mojego ojca, myślała Liu Song.

– Przygotowaliśmy dla państwa osobny pokój – powiadomił pan Stacy. – Liu Song zerknęła na Colina. Wcale nie wydawał się zdziwiony. – Zostaną państwo na kolacji, czyż nie? – ciągnął gospodarz. – A później, po deserze, kiedy już zbiorą się wszyscy goście, obdaruje pani nasze zgromadzenie swoim prześlicznym głosem, prawda?

– To dla nas zaszczyt – odpowiedział Colin. – Dziękujemy panu za hojność.

Szef sali zaprowadził Liu Song i Colina do pokoju w głębi. Pomieszczenie było pięknie umeblowane, stół został już elegancko nakryty na dwie osoby. Stały na nim kwiaty, w świeczniku paliły się świece. Liu Song zauważyła jednak starą, poplamioną tytoniem tapetę oraz popękaną boazerię.

Starszy kelner odsunął krzesło dla Liu Song i delikatnym ruchem położył na jej kolanach koronkową serwetkę. Poczuli się niczym naga, nie mając na dłoniach wieczorowych rękawiczek. Kiedy kelner odszedł, popatrzyła na kartę dań, w której były zestawy do wyboru ze stałą ceną. Liu Song spojrzała na Colina, który wyraźnie starał się ukryć niezadowolenie.

– Czy coś jest nie w porządku? – zapytała z wahaniem, obawiając się, że jej towarzysz zawstydził się nagle z powodu jej sukienki czy też że może okazała nieznajomość dobrych manier przy stole.

– Drobiazg – odpowiedział. – Wspaniale nas potraktowali.

– Nie, naprawdę możesz mi powiedzieć...

– Nie zauważyłaś? – przerwał Colin, odkładając menu.

– Czego?

– Siedzimy w jadalni dla obsługi. – Colin obrzucił wzrokiem tapetę i zniszczony, poprzepalany papierosami dywan. – Na co dzień nie wpuszczają nas do takich klubów,

a przynajmniej nie do głównej sali, dlatego przygotowali nam ładny stolik w tej... w tym miejscu.

Liu Song wcale nie poczuła się zaszokowana. Nie dowierzała własnym uszom, kiedy okazało się, że klub przyjął ofertę pana Butterfielda. Pomyślała potem, że być może talent, jakim była obdarzona, pozwoli jej wznieść się ponad swoją pozycję społeczną, przekroczyć bariery klasowe, a może i rasowe.

– To tylko jeden wieczór – odpowiedziała z optymizmem w głosie. – Zgodziłam się tu przyjść, żeby sprzedać pianino za pięćset dolarów. Niech je sobie zatrzymają. Zgodziłam się tu przyjść także dlatego, żeby zaśpiewać ci piosenkę.

Colin znowu się uśmiechnął i zajrzał do karty dań.

– Zobaczmy, co proponują na kolację.

\*

Liu Song pomyślała, że zjadła w życiu już dość egzotycznych dla Zachodu potraw. Jako Chinka dorastała, żywiąc się czarnymi stuletnimi jajkami, marynowanymi kurzymi łapkami na ostro, słonymi suszonymi mątwami czy różnymi suszonymi grzybami. Kelnerzy Stacy Mansion przynosili jednak na srebrnych tacach z kopulastymi pokrywami same niespodzianki, istne cuda sztuki kulinarnej. Liu Song i Colin jedli steki z zielonych żółwi, węgorza, żabie udka... Liu Song spróbowała nawet ślimaka, który miał intensywny i maślany smak i bardzo jej smakował, dopóki Colin nie wyjaśnił, co to jest. Miała wrażenie, że zzieleniała niczym znajdująca się przed nią potrawa, pokryta plasterkami czosnku i świeżą natką pietruszki. Przyłożyła do ust serwetkę, starając się nie myśleć o tłustych, przypominających banany, pozbawionych skorupy stworzeniach, które pozostawiały za sobą ślady lepkiego śluzu na chodniku uliczki koło jej mieszkania. Zrobiło jej się tak niedobrze, że ledwie skubnęła gruby plaster ciasta imbirowego z kremem, które podano na deser.

Spocily jej się dłonie, choć zapewne tylko ze zdenerwowania na myśl o występie w tak eleganckim, a równocześnie dekadentckim klubie, przed najwyraźniej ważnymi osobami. Starła się nie myśleć o opróżnionym mieszkaniu, do którego wchodziło się z ciasnej uliczki i w którym miała tej samej nocy zasnąć pod używanym kocem zakupionym w tanim sklepie. Przypominały jej się towarzyszące jej smutki, niepokoje i samotność; obawiała się po trosze, czy cała sytuacja, w jakiej się znalazła, nie jest jedynie elementem okrutnej salonowej zabawy, polegającej na sprowadzeniu do klubu ubogiej młodej Chinki, postawieniu jej w otoczeniu wyrafinowanego bogactwa i naśmiewaniu się nad szklaneczkami brandy i kieliszkami starego porto z jej przerażenia i scenicznej porażki w świetle reflektora.

– Dasz sobie radę – uspokoił ją Colin. Widocznie widział, że zagryza wargi. – Wrodziłaś się w matkę. Twoim zadaniem jest porwanie publiczności.

Wzmianka o matce dodała Liu Song skrzydeł. Wyobraziła sobie siebie w matczynej sukni i masce wdowy, bohaterki opery. W tej chwili odezwał się dzwonek w korytarzu, stłumione odgłosy rozmów zaczęły cichnąć. Słysząc było, jak pan Stacy przemawia do gości, którzy odpowiedzieli mu oklaskami i pełnym ekscytacji śmiechem.

– Już czas – zakomunikował kelner, przynosząc szklaneczkę gazowanej wody mineralnej.

Liu Song wstała, przesunęła językiem po górnych zębach i stanęła naprzeciw Colina, aby ocenił jej wygląd. Elegancko skłonił głowę. Sącząc wodę, Liu Song ruszyła za kelnerem, który poprowadził ją korytarzem na tyły budynku, gdzie znajdowały się schody dla obsługi. Weszła na wyższe piętro, minęła czarnoskórego pomocnika, który odprowadził ją wzrokiem, paląc ręcznie zwiniętego papierosa. W końcu znalazła się na szczycie wspinających, bogato zdobionych schodów i ruszyła w dół, ukazując się publiczności. W Liu Song wpatrywało się około pięćdziesięciu osób. Członkowie klubu, goście, ich towarzyszkę i krewni. Wszyscy wyglądali

ośniewiająco w wieczorowych kreacjach i emanowali pewnością siebie, jaką daje tylko wielki majątek. Z tyłu sali siedział Colin. Uśmiechał się i machał do Liu Song na zachętę.

– Panie i panowie – odezwał się znowu pan Stacy – oto osoba, która przybyła do nas aż z mistycznego, magicznego Dalekiego Wschodu, panna Liu Song Eng.

Liu Song ukloniła się i pomachała dłonią, choć zbladła z powodu wymienienia przez konferansjera nazwiska jej wujka oraz błędnej sugestii na temat jej ojczyzny. Nigdy w życiu nie odbyła podróży parowcem na Daleki Wschód ani w ogóle nie opuszczała Ameryki. Podróżowała jedynie po zachodnim wybrzeżu, i to niewiele. Zwróciła uwagę, że Colin wzruszył ramionami i uniół brwi. Przypomniało jej się, jak ojciec opowiadał o sztucznej osobowości scenicznej. Na scenie to, co nierzeczywiste, staje się realne. Uśmiechała się, choć obecne pośród zebranych kobiety szeptały między sobą i pokazywały ją jedna drugiej.

Wzięła głęboki oddech, podczas gdy na sali zapadła cisza. Pan Stacy mrugnął do niej, po czym z cygarem w ręku przeszedł obok starej fisharmonii i odsłonił piękną pianolę. Publiczność była zachwycona. Pianola nie miała klawiszy, mogła tylko odtwarzać muzykę. Pachniała środkiem do czyszczenia drewna, które błyszczało tak, że Liu Song widziała w nim swoje odbicie. Nie trzeba było naciskać pedałów. Pan Stacy włączył tylko przycisk i miechy wypełniły się powietrzem. Mechanizm poruszył cylindrem wewnątrz pianoli i instrument zaczął grać *A Pretty Girl Is Like a Melody*. Liu Song zaśpiewała. Z początku cicho, potem coraz głośniej, szybko dochodząc do pełni swoich możliwości. Z każdym refrenem czuła się coraz pewniej. Następnie zaśpiewała *A Good Man Is Hard to Find*, spoglądając na Colina, kiedy cicho wyśpiewywała: „Smutne me serce i jestem całkiem sama...”.

Zgromadzeni byli zachwyceni głosem oraz młodością Liu Song. Błagali, żeby zaśpiewała jeszcze jedną piosenkę. Zmieniono cylinder, a wtedy wykonała dla nich *Till We Meet Again*, w smutnej, pełnej emocji interpretacji. Płynące z jej ust wysokie nuty zdawały się płakać, takt po takcie, jak gdyby Liu Song wyciskała ostatnie krople smutku ze swojego serca, poranionego przez utratę ojca, a potem matki, a nawet niewinności. Spoglądała tęsknie na Colina, który siedział tak blisko, a jednak był tak bardzo niedostępny. Niemal w zasięgu jej ręki, lecz zawsze odległy.

Gdy skończyła śpiewać, wychwalano ją, prawiono jej mnóstwo komplementów. Przyjmowała je ze skromnością, wstydząc się słyszenia miłych słów. Zbyt dużo wina, myślała. Pewnie gdzieś na sali znajdowała się ukryta beczka. Nic dziwnego – przypomniało jej się, że od jakiegoś czasu obowiązywała prohibicja. Nawet żona pana Stacy’ego koniecznie chciała uścisnąć jej dłoń i zaprosiła ją ponownie, mówiąc, że Liu Song może u nich śpiewać, kiedy tylko zechce. Nie mówiła tego na serio, były to słowa czysto retoryczne. Choć z drugiej strony nie wydawało się, żeby pani Stacy kłamała. Liu Song była uradowana, a zarazem dezorientowana. Akceptowana, lecz równocześnie nadal osamotniona. Ogromnie ją podziwiano i znajdowała się w centrum uwagi – na scenie. W życiu osobistym pozostawała sama.

Podczas jazdy powrotnej do King Street Station milczała. Obok niej znowu siedział Colin. Wydarzenia wieczoru wprawiły Liu Song w lekką dezorientację. Czy Colin naprawdę zamierzał się z nią związać? Czy tylko czuł się zmuszony dopełnić tradycyjnego obowiązku spłacenia nieznanego jej długu zaciągniętego u jej ojca? Chciała go o to zapytać, ale bała się usłyszeć odpowiedź.

Colin odprowadził Liu Song do jej mieszkania, trzymając w górze parasol. Minęli stary budynek Hip Sing Tong i nowy hotel Eastern. U wejścia w uliczkę Colin przystanął. W oddali hałasował jakiś kocur, a znad pogrążonych w mroku turkusowych wód zatoki Puget dobiegł odbijający się echem odgłos gwizdka statku. Colin złożył parasol, żeby dobrze się nawzajem widzieli w migotliwym świetle latarni. Deszcz ustał, pokrywszy wilgocią ich policzki, włosy

i rzęsy.

– Masz naturalny dar – odezwał się Colin. – Ja muszę się uczyć, pracować nad swoimi umiejętnościami, ale ty naprawdę jesteś właśnie taka. Przypominasz słonecznik: ożywasz, wchodząc w snop światła reflektora. – Wpatrywał się w Liu Song, jak gdyby czekał na jej reakcję. – Czy widziałaś miny tych ludzi? Moim zdaniem na początku spoglądali na ciebie jak na ciekawostkę, *amuse-bouche*, a pod koniec wieczoru każdy obecny na sali mężczyzna cię pożądał, a wszystkie kobiety pragnęły być tobą.

Liu Song spojrzała na nocne niebo, oczarowana słowami Colina, choć wstydziła się, że nie zna użytego przez niego francuskiego określenia.

– Prawdę mówiąc, wcale tego nie zauważyłam.

– Cóż, ja to dostrzegłem – zapewnił, otrząsając parasol. – Wierz mi...

Poluzował krawat i usunął się z drogi czarnoskórej parze, a później grupce pijanych starych Chińczyków wracających z któregoś z domów hazardu.

– Chciałbym cię o coś poprosić. Z niepokojem i wstydem, szczególnie po tym, jak wprawiłaś dzisiaj w zachwyt całą salę. – Colin uniósł lekko kapelusz końcem parasola. – Widzisz, jestem członkiem zespołu Chinese Opera Company, chińskiej opery w Seattle. Uwielbiam swoją pracę, jednak starałem się o większe role i występy przed liczniejszą publicznością. Dopisało mi szczęście: dostałem rolę w musicalu wystawianym w teatrze Empress. Gdybyś odplaciła mi przysługę za przysługę i przyszła, byłaby to dla mnie najwspanialsza rzecz. Obejrzałabyś mój występ, przynosząc mi szczęście. – Spojrzał niepewnie, po czym wręczył Liu Song wizytówkę, na której znajdował się jego adres i numer telefonu. – Może mogłabyś mi udzielić po spektaklu kilku wskazówek.

– Jestem w stanie to zrobić – zgodziła się żartobliwie. – Mogę obejrzeć twój występ.

– Liu Song... – Kiedy Colin mówił, z jego ust unosiła się para. – Zdaję sobie sprawę, że nie poznaliśmy się w najpomyślniejszych okolicznościach, i nie chcę w żaden sposób przekraczać granic, których powinienem przestrzegać. Chodzi o to, że... po prostu...

Chcesz mnie pocałować? Liu Song starała się przekazywać mu swoje myśli prosto do umysłu czy też serca, czymkolwiek mógł je najpierw odebrać. Zarumieniła się, poczuła ucisk w żołądku. Miała zimne dłonie i nie wynikało to tylko z faktu, iż wieczór był chłodny. Podniosła wzrok i patrzyła na Colina z nadzieją, czekała. Poczowała na ramieniu delikatny dotyk jego dłoni, drugą ręką ściągnął kapelusz. Powoli nachylał się ku niej. Widać było jego niepokój, od jego skóry biło przyjemne ciepło. Liu Song dzwoniło w uszach.

– Dobrze się czujesz? – spytał Colin, zatrzymując się.

Liu Song była bliska omdlenia. Cofnęła się i szepnęła „przepraszam”, po czym odwróciła się zawstydzona. Ruszyła uliczką w stronę domu, biegła tak szybko, że omal nie złamała obcasa. Nie odwracając się, otworzyła drzwi mieszkania, a potem zamknęła je za sobą. Nie zapalała światła, tylko zrzuciła płaszcz prosto na podłogę i pobiegła do kuchni. Tam znieruchomiła na moment, jej mięśnie skurczyły się gwałtownie i wymiotowała do zlewu. Węgorza, żółwia, kęs imbirowego ciasta z kremem. Czowała woń tego wszystkiego. Wymiotowała dalej, aż w końcu krztusiła się tylko, wyrzucając z siebie wodę z kwasem żołądkowym. Odkręciła kran i osunęła się na podłogę, opierając czoło o chłodną rurę pod zlewem. Siedziała w ciemności, wycierała brodę i spoglądała w okna zasłonięte tylko firankami. Pomyślała o Colinie, który z pewnością zastanawiał się, co się jej nagle stało.

## Chiński miodowy miesiąc

1921

– W ciąży?! – powtórzył pan Butterfield. – Jesteś pewna?

Liu Song od kilku tygodni cierpiała z powodu mdłości. Z początku myślała, że to wina jedzenia lub że odczuwane co rano aż do wczesnego popołudnia dolegliwości wynikały z jej zauroczenia Colinem. Co wieczór całowała jego wizytówkę i wkładała ją pod poduszkę, mając nadzieję, że przyniesie jej miłe sny. Mijały dni, potem tygodnie, i Liu Song zorientowała się, że jej kłopoty żołądkowe to objaw czegoś innego. Miewała zawroty głowy i ogólnie czuła się inaczej niż zwykle, zmęczona. Różne miejsca jej ciała bywały podrażnione. Opóźniała jej się także ponad miarę miesiączka. Gdyby matka żyła, być może podpałiłaby przesiąknięty jej moczem papier, żeby wyczuć w dymie charakterystyczną woń oznaczającą ciążę. Liu Song nie robiła takich rzeczy. Wiedziała.

Sama nie знаła odpowiedzi na pytanie, dlaczego postanowiła powiedzieć o swojej ciąży właśnie panu Butterfieldowi, jemu jednemu. Może dlatego, że każdego ranka, jadąc do jego sklepu, czuła mdłości. Albo dlatego, że pan Butterfield jako jedyny widział ją codziennie. Liu Song zdawała sobie sprawę, że w końcu przestanie się mieścić w sukience po matce i nie będzie mogła wiecznie ukrywać prawdy. Ostatecznie doszła do wniosku, że po prostu musi podzielić się z kimś nowiną, wyznać tajemnicę. Stało się to akurat w chwili, gdy przebywała z panem Butterfieldem.

Jej pracodawca usiadł na stołku, podrapał się w łysiejącą głowę i wyjął piersiówkę z brandy o słodkim zapachu. Nalał brązowej cieczy do małego kubeczka. W pierwszej chwili Liu Song wydawało się, że pan Butterfield może chcieć wznieść toast. Wyciągnął jednak swój pojemnik na trzy cygara, wyjął z niego coronę i zanurzył ją w brandy. Odciał końcówkę cygara, powąchał mokre, zwinięte liście tytoniu i wyrzucił odcięty fragment do śmieci.

– Powiem ci, że spodziewałem się po tobie czegoś lepszego – oznajmił. – Nie sprawiałaś wrażenia takiego rodzaju dziewczyny. Po cóż popełniać takie bezmyślne głupstwo? Miałaś przed sobą bardzo obiecującą przyszłość... – Pan Butterfield wydawał się oszołomiony i zasmucony. Aż jęknął z zawodu, nie ze złości.

Najbardziej zaboląo Liu Song słowo „miałaś”. Przypomniało jej o wielu rzeczach, które musiała robić. Nie z własnego wyboru. Musiała udawać, że jest silna, godzić się ze śmiercią rodziców i braci, wciąż oddychać, próbując zaczerpnąć powietrza. I nosiła w sobie dziecko swojego wujka.

Wystawałam dla ciebie na deszczu i pracowałam za grosze, pomyślała Liu Song. Lecz nie powinna przecież mieć pretensji akurat do pana Butterfielda. Zatrudnił ją, była nawet jego współpracowniczką, choć udział w interesach miała dość symboliczny. W tej chwili poczuła się po prostu bardzo mało znacząca, jak gdyby kurczyła się i więdła przed jego obliczem. Czuła się wykorzystana i bezwartościowa.

– Przepraszam – szepnęła. Chciała opowiedzieć panu Butterfieldowi o wujku Leo, ale nie wiedziała jak. Jej wstyd wciąż narastał. – To zdarzyło się tylko kilka razy...

– Ech! – Pan Butterfield przewrócił oczami. – Dziewczęta zawsze tak mówią. – Pokręcił głową i zapalił cygaro. – Kimże jest ten twój kochanek? Czy postąpi wobec ciebie, jak przystało,

czy też nie? A może to łajdak, który wyjedzie z miasta, kiedy tylko usłyszy nowinę? Ile ty masz lat, szesnaście? Siedemnaście? Połowa dziewcząt w tym mieście jest wydawana za mąż w wieku piętnastu lat, więc nie wstydźcie się pobrać, kochana.

– Nie mogę... – wyszeptła Liu Song, spuszczać nisko wzrok.

– Dlaczegoż to?

Liu Song popatrzyła w oczy swojemu pracodawcy. W jego spojrzeniu widać było ciekawość plotkarza. Odwróciła wzrok ku ściennemu zegarowi. Patrzyła, jak powoli mijają kolejne sekundy. Poczwała gorąco na twarzy, zadrżały jej usta. Chciało jej się płakać, ale jak zwykle nie mogła.

– On jest żonaty – odpowiedziała. Wstyd, który powinien odczuwać Leo, przypadł jej.

Pan Butterfield energicznym ruchem zgasił cygaro. Otworzywszy szeroko oczy, pokręcił głową, wychylił się naprzód i odparł:

– Jestem dosłownie zaszokowany. Tego się zupełnie nie spodziewałem. Słodka Liu Song, wciąż zdumiewasz, wprawiasz ludzi w osłupienie...

– Bardzo, bardzo pana przepraszam...!

– Młoda damo, choć jestem starym kawalerem, uważam się za biegłego w osądzaniu kobiet, możesz mi wierzyć. Lecz... nie sądziłem, iż masz w sobie taki wigor. – Pan Butterfield oczyścił język z drobin tytoniu i splunął do najbliższego kosza. – Wprost nie do wiary. Gdybym był kimkolwiek innym, musiałbym cię natychmiast zwolnić, zdajesz sobie z tego sprawę? Właśnie tak postąpiłby w tej sytuacji rozsądny przedsiębiorca. Tak powinien postąpić. Mojemu sklepowi brakuje teraz tylko tego, żeby stał się przedmiotem plotek. Żeby plotkarze zlecieli się jak muchy do gnoju.

– Nikt o tym nie wie, nawet on – uspokoiła Liu Song, kręcąc głową.

Jej pracodawca wypił kubeczek brandy jednym haustem. Oparł się wygodnie, jego policzki stopniowo różowiały. I wyglądał, jakby starzał się na oczach Liu Song.

– Chyba nie ma sensu mu o tym mówić. Niestety, oprócz swojej zniszczyłabyś tylko w ten sposób jego reputację. – Pan Butterfield zawahał się odrobinę i zapytał: – Czy zamierzasz urodzić to dziecko? Są sposoby na zaradzenie po kryjomu takiej sytuacji.

Liu Song już rozważała użycie owych sposobów, dręczyło ją to przez parę tygodni. Pamiętała opowieści starych mężatek o tym, że ciężarne zażywają małe ilości trucizny albo posługują się szydełkiem, nie pozwalając zagnieździć się zarodkowi. Rodzina, jaką miała, w ogóle nie była jej rodziną, a przy tym Liu Song obawiała się, że wujek Leo i ciocia Eng, jeśli się o tym dowiedzą, będą chcieli mieć jej dziecko. Jego matki wcale jednak nie będą pragnęły przyjąć. Wyobraziła sobie, jak zabierają jej dziecko. Do pewnego stopnia tego chciała, lecz równocześnie czuła coś całkiem innego. Choć nie znosiła swojego nazywanego wujkiem ojczyma, a wspomnienie jego dotyku wywoływało u niej gęsią skórę, miała świadomość, że dziecko będzie mimo wszystko częścią niej, a także jej ojca i matki. To ono stanie się jedynym członkiem jej rodziny. Z dzieckiem nie będzie tak bardzo samotna. O reszcie przerażającej, obrzydliwej prawdy starała się nie myśleć.

– Urodzę je – odpowiedziała, choć ta decyzja nie przynosiła jej otuchy. Pan Butterfield doznał chyba pewnego rodzaju ulgi, jak gdyby wygłoszone przez nią oświadczenie miało zbawczą moc.

– Gdybyś tylko okazała taką siłę woli wcześniej, do niczego by nie doszło, moja droga – skomentował i znów pokręcił głową, zaszokowany. – Kiedy będziesz, no wiesz... – Pokazał na swój brzuch i pociągnął za kamizelkę, napinając ją. – Wyobrażam sobie, że nie będziesz mogła już wtedy tu pracować. Trochę zaszkożdziłaś naszym interesom, bez dwóch zdań. Co za szkoda, że będziesz musiała wziąć dłuższy urlop. Obawiam się, że to jednak konieczne. Z pewnością nie

mogę pozwolić, żeby moi zbożni klienci nabrali przekonania, iż akceptuję tego rodzaju zachowanie – niestety, liczą się przede wszystkim pozory. Któż wie, mogliby pomyśleć, że bałamucę cię za ladą i że to ja jestem ojcem! – Ostatnia myśl rozbawiła nieco pana Butterfielda.

Liu Song zamrugła, starając się nie krzywić. Nie znajdowała żadnych powodów, żeby się uśmiechać, a już zupełnie nie miała z czego się śmiać.

Szef podał jej chusteczkę. Wzięła ją, ale się nie rozplakała.

– Wszystko będzie dobrze, kochana. Jakoś ci się ułoży – uspokoił. – W stosownym czasie skontaktuję cię z instytucją, która zaopiekuje się tobą do czasu narodzin dziecka. Pomogą ci tam przetrwać najtrudniejsze chwile i zdecydować, co robić dalej. Postawią cię z powrotem na nogi.

„Najtrudniejsze”, powtórzyła w myśli Liu Song. Najtrudniejsze będzie dla niej wytłumaczenie wszystkiego Colinowi, którego nie widziała od paru tygodni ani z nim nie rozmawiała.

– Dziękuję – odpowiedziała. Czowała pewną ulgę, podzieliwszy się z panem Butterfieldem swoim zmartwieniem, a także dlatego, że znał jakieś miejsce, gdzie mogli jej pomóc. Wiedziała na pewno, że nie przyjmie jej żaden szpital dla białych.

– Pewnie to dlatego twój wujek Leo powiedział, żebym odtąd płacił bezpośrednio tobie... – odezwał się znowu jej pracodawca, sięgając pod ladę. Wyciągnął zamykaną na suwak torbę z pieniędzmi zarobionymi przez Liu Song w ciągu ostatnich kilku tygodni. – Wyrzucił cię z domu, prawda? – Podał jej torbę.

Liu Song poczuła, że wypełniona pieniędzmi torba jest ciężka. To od samego początku były jej pieniądze. Zapracowała na każdego centa. Lecz w tej chwili wydawały jej się czymś na podobieństwo monet zarabianych w bramach Paradise Alley przez „dziewczęta kwiaty”. A na banknotach jak gdyby było napisane: „Idź stąd, znikaj, dobrze się ciebie pozbyć”.

– Coś w tym rodzaju – odpowiedziała.

\*

Po pracy poszła do domu piechotą, żeby oszczędzić na bilecie, a poza tym była ładna pogoda. Liu Song minęła spacerowym krokiem kilka piekarni i cukierni, wdychając słodkie aromaty gorących ciast. Przeszła też obok paru barów mlecznych, skąd dobiegał brzęk garnków i sztućców oraz woń skwierczącego głośno na patelniach tłuszczu. Wlokła się po popękanych chodnikach King Street, mijając wytwórnie makaronu, wózki, z których sprzedawano kiełbaski, wreszcie wypełnione towarami wystawy domu towarowego Yick Fung Mercantile – mnóstwo zwykłych przyjemności, na które nigdy nie mogła sobie pozwolić. Kiedy dotarła do Canton Alley, rozejrzała się w obie strony, świadoma obecności ciekawskich sąsiadów i przechodniów, po czym szybko przeszła ostatni odcinek drogi do swojego mieszkania. Zamknąwszy za sobą drzwi na klucz, poczuła, że mocno dokucza jej głód. Kredensy były puste, podobnie jak lodówka. Zaburczało jej głośno w brzuchu. Zaraz jednak zapomniała o jedzeniu: zobaczyła, że ktoś wsunął pod drzwiami list. Z mocno bijącym sercem wyjęła kartkę z ozdobnej koperty i przeczytała:

*Droga Liu Song*

*Muszę Cię przeprosić za moje zachowanie w dniu, kiedy ostatni raz się widzieliśmy. Zachowywałem się nader śmiało, wprost bezczelnie, zwłaszcza że przeszłaś tak wiele w związku z odejściem Twojej ukochanej matki. Jestem w stanie zrozumieć, dlaczego nie telefonujesz ani nie piszesz. Powinienem był uszanować Twój smutek i okres Twojej żałoby. Mam nadzieję, że możesz wybaczyć mi niemądre postępowanie i ewentualnie pozwolić mi je wynagrodzić.*

*Jak wspominałem, dostałem niewielką rolę w musicalu A Chinese Honeymoon, który wznawia teatr Empress. To bardzo skromna produkcja, spektakl będzie wystawiany tylko przez kilka tygodni, ale trafia się rzadka okazja do obejrzenia go. Premiera odbędzie się dziś.*



*Pozostawiłem dla Ciebie w kasie bilet na Twoje nazwisko, na wypadek gdybyś zdecydowała, że chcesz mnie znowu zobaczyć. Jeszcze raz proszę Cię o przyjęcie moich najszczerzych przeprosin.*

*Twój przyjaciel  
Colin K.  
FR 324*

Colin zapisał na kartce swój numer telefonu. Liu Song żałowała, że nie ma w mieszkaniu aparatu telefonicznego. Osunęła się na podłogę i oparła o drzwi, ogarnęła wzrokiem puste pomieszczenie. Wciąż na nowo przypominało jej o odczuwanej przez nią pustce, o jej osamotnieniu i smutku. Co rano przechodziła przez chińską dzielnicę, ignorując natrętne spojrzenia i gwizdy filipińskich robotników z fabryki konserw i chińskich sprzedawców ryb. Mężczyzn dwukrotnie starszych od niej, którzy w wyobraźni rozbierali ją brutalnie brudnymi rękami. Kiedy śpiewała pod sklepem pana Butterfielda, również spoglądano na nią z pożądaniem albo z potępieniem; z podziwem i nadzieją czy też błagalnie. Natomiast delikatny Colin był chyba jedyną osobą traktującą ją czule, z szacunkiem i troską. Miał w sobie wszystko, czego Liu Song pragnęła i potrzebowała.

Położyła dłoń na nabrzmiałym brzuchu i pomyślała o nadchodzącej zmianie, która miała sprawić, że nie będzie już tak zupełnie samotna. Jak mogła powiedzieć o tym Colinowi? Obciążyć go taką wiadomością? Rankiem po pamiętnej wspólnej kolacji chciała do niego zadzwonić, pobiec do najbliższego automatu telefonicznego. Miała jednak okropne nudności, cierpiała. Z każdym mijającym dniem i każdą słabnącą falą mdłości te przykre odczucia coraz bardziej zastępowało zwątpienie. Aż w końcu za każdym razem, gdy patrzyła w lustro, nie widziała w sobie niczego wartościowego. Rozpędzone, nowoczesne społeczeństwo ceniło młodość i piękno, ale obdarzona tymi bogactwami Liu Song miała wrażenie, że w jej przypadku są sfalszowane. Nie była już niewinna. Nie miała Colinowi do zaoferowania niczego poza rozczarowaniem i wstydem.

Nawet po kilku godzinach rozmyślań nie straciła jednak ostatniej nadziei. Dlatego podniosła się w końcu, jak duch, który przystępuje do działania o zachodzie słońca. Kiedy zapadła noc, Liu Song wyruszyła piechotą, pośród padającej mżawki, na róg Second Avenue i Spring Street. Po przybyciu na miejsce popatrzyła w górę na ozdobny mosiężny daszek, który przybrał już szarozieloną barwę, i na wielkie złote litery tworzące napis: *A Chinese Honeymoon*. Chiński miodowy miesiąc. Nigdy nie widziała tego musicalu ani nie słyszała jego muzyki, choć ojciec opowiadał jej pewnego razu, że kiedyś wystawiały go tysiące teatrów. Był ulubionym musicaliem białej publiczności całego świata, choć to akurat nie było dla jej ojca najważniejsze. Znała treść libretta, była to głośna opowieść o parach, które łamią prawo w Chinach, całując się publicznie.

Liu Song podała nazwisko kasjerce o wyglądzie matrony i odebrała tekturowy bilet. Colin zarezerwował dla niej miejsce w pierwszym rzędzie, ale wolała usiąść w pogrążonym w mroku rogu sali, w jednym z ostatnich rzędów. Teatr Empress był mały, jego trzysta foteli wypełniła podekscytowana publiczność. Ludzie rozmawiali i jedli prażone migdały z różowych papierowych torebek, które przybrały srebrzystą barwę, kiedy zgaszono światło. Liu Song oglądała spektakl, choć jej myśli skupiały się wokół własnej samotności i smutku. Colin grał służącego w pałacu Hanga Chowa, budzącego śmieszność cesarza zmyślonego kraju Ylang Ylang. Historia także była zmyślona. Cesarza grał biały aktor, jedynie umalowany tak, aby jego twarz miała żółtawy odcień. Dla Liu Song bardziej przypominał tysego kota niż mężczyznę, ale i tak skupiał na sobie uwagę publiczności. Liu Song nie odrywała spojrzenia od Colina. Czowała, że

jest blisko, oddalona nie o paręście metrów, ale o tyleż uderzeń serca. Rzeczywiście grał skromną rolę, w istocie epizodyczną, lecz i tak była z niego dumna.

Podczas przerwy wyjęła z kosza na śmieci wyrzucony przez kogoś program. Wydrukowano w nim nazwisko Colina, choć na samym końcu. Przesunęła palcami po literach. Colin był jedynym grającym w musicalu Chińczykiem. Nawet Soo Soo, młodzieńką wieśniaczkę zaręczoną z Hangiem Chowem, grała biała aktorka. Zamiast niej mogłabym występować ja, pomyślała Liu Song. Kiedy dwoje aktorów pocałowało się wreszcie na środku sceny, w oślepiającym świetle reflektora, Liu Song zamknęła oczy i wyobraziła sobie, że to Colin i ona grają całujące się postaci. Nie potrafiła spokojnie znieść nawet wyobrażenia takiej sytuacji. Nie była zazdrosna, nie miała przecież żadnych praw do Colina, lecz to, co widziała na scenie, sprawiało, że pragnęła go jeszcze mocniej. I w porównaniu z oglądanymi aktorami czuła się zupełnie nic niewarta. Jakże mężczyzna taki jak Colin mógłby ją zaakceptować? Była dziewczyną wykorzystaną, opuszczoną, odrzuconą.

Spektakl zakończyła fanfara, po której Liu Song wymknęła się ukradkiem z teatru. Wyszła jeszcze podczas oklasków i wiwatów, kiedy rzucano kwiaty na scenę. Padały u stóp szczęśliwej pary wyglądającej jak wizja, pustynny miraż, uosobienie wszystkiego, czego Liu Song nigdy nie będzie mieć. Nie mogła znaleźć się na miejscu tamtej kobiety. Zanim ponownie wywołano aktorów na scenę, Liu Song była już na dworze. Ściągnęła buty na wysokich obcasach i w deszczu pobiegła do domu. Podarła rajstopy, wpadała w błotniste kałuże, uskakiwała przed trąbiącymi i migającymi na nią światłami samochodami. Potykając się, dopadła drzwi swojego pustego mieszkania. Nie opuszczali jej stale obecni, niczym cienie, towarzysze: lęk, wątpliwość i żal. Nie dałaby rady powiedzieć Colinowi o ciąży, nie chciała torturować siebie samej ponownym z nim spotkaniem. Podarła bilet, wizytówkę oraz list Colina, wszystkie dowody istnienia mężczyzny, który z całą pewnością był dla niej niedostępny. Zasapana stanęła przed zlewem; zimne, przemoczone używane ubranie przywarło do jej opuszczonych ramion. Rozpaliła w piecu, aby się ogrzać, i postawiła na nim garnuszek ryżu. Potem usiadła, samotna, na podłodze słabo oświetlonej kuchni i starając się nie płakać, zmusiła się do myślenia nad imieniem dla dziecka. Chciała mieć synka, tylko dla siebie.

## Martwe listy

1934

Z góry dobiegły odgłosy oklasków i wiwatów. William wpatrywał się w efektownie ubraną, a równocześnie zaniedbaną matkę. Wyglądała nietypowo: była wychudzona, zmęczona, ale wciąż bardzo młoda. Urodziłaś mnie, myślał William. Próbował pogodzić się z tym, co mu opowiedziała. Kochałaś mnie, ale mnie oddałaś. Chyba już wiem dlaczego... William aż się skrzywił. Mój ojciec... był twoim ojczymem. Prawda uderzyła go jak obuchem, nie o takim przebiegu spotkania z matką marzył; lecz przynajmniej rozumiał, jak dziwna była ich relacja. Wiele razy widział matki przyjeżdżające i odjeżdżające z sierocińca pod wezwaniem Najświętszego Serca, i za każdym razem myślał: Gdyby naprawdę zależało ci na dziecku, nie zostawiłabyś go, nie porzuciła, niezależnie od okoliczności.

Jak cała ta sytuacja odnosi się do mnie? – zastanawiał się William. Może ma tylko związek z jej wujkiem Leo, o którym nigdy nie rozmawialiśmy, i nic dziwnego...?

– To znaczy, że mój ojciec był złym człowiekiem – skomentował. Tak samo jak ojciec Charlotte, dodał w myśli.

– „Ojciec” to zbyt wielkie słowo. – Matka skupiła się dłużej na wypowiedzianym zdaniu, jak gdyby nie była w stanie znaleźć słów na opisanie odrazy, jaką czuła do Leo. Zerknęła jednak w lustro i szybko spuściła wzrok. – Sama byłam niewiele lepsza – wyznała. – Nie wiedziałam, co robić. Chciałam dla ciebie jak najlepiej, ale byłam młoda i głupia. Jednak nigdy, przenigdy nie chciałam cię zostawić.

Nagle rozległo się pukanie do drzwi, ktoś zawołał Willow po imieniu. Zapukano po raz drugi, natarczywie, i odezwał się inny głos, Asy Bergera.

Uniosła rękę, dając Williamowi znak, żeby się nie odzywał, po czym zaczęła się klócić z Bergerem i kierownikiem sceny. Ten drugi mówił coś o zerwaniu umowy i skutkach prawnych.

– Muszę tam iść, Williamie – powiedziała w końcu Willow, sięgając po chusteczkę. Starła z twarzy czarne smugi. – Muszę, ale za kilkanaście minut wrócę. Obiecuj mi, że tu zostaniesz. Zaraz wrócę.

– Zostanę, obiecuję.

Wyszła i zamknęła za sobą drzwi. Do uszu Williama dobiegały dźwięki orkiestry. Czekał i zastanawiał się, czy Willow będzie śpiewała tę samą co poprzednio piosenkę, czy też zastąpi ją jakąś inną, tak jak często zmieniały się jej nastroje. Wtem znowu rozległo się pukanie i chyba odgłosy jakiejś szarpaniny.

Otworzył drzwi i zobaczył bladą, rozzłoszczoną Charlotte.

– Przepraszam cię, Williamie... – odezwała się.

Zza jej pleców wychynęła siostra Briganti i dwóch strażników z sierocińca Najświętszego Serca. Złapali Williama za ramiona i pociągnęli go na korytarz, a potem po schodach na górę. Co za szok! William był przerażony, chciał uciekać.

Czuł się jak ogłuszony.

– To jest moja matka! – protestował, podczas gdy siostra Briganti prowadziła Charlotte i jego na ulicę. – Willow to moja *ah-ma!* – zawołał znowu, pokazując na markizę z napisem.

Siostra Briganti, która zatrzymała taksówkę, wykrzywiła usta.

– Wiem o tym – wypaliła po chwili wahania. Jej wyznanie padło z mocą przewracającego się drzewa, które łamie po drodze gałązki i większe gałęzie – w podobny sposób rozpadły się liczne półprawdy i zupełne kłamstwa.

– Jak to: wie siostra?! – William aż się zachwiał. Tęga zakonnica wyraźnie nie wiedziała, co powiedzieć. William był przyzwyczajony do wygłaszanych przez nią podniosłych zdań, słów radości albo potępienia, do jej gniewnych uwag czy nawet dumnych stwierdzeń, ale jeszcze nigdy nie widział, żeby miała taką minę. Co to może oznaczać? – zastanawiał się. Nie, nie smutek. To wątpliwości.

– Wiedziałam, że tu będziesz, Williamie – oznajmiła w końcu. – Kiedy tylko zobaczyłam ją w kinie, a potem na tym przeklętym plakacie, wiedziałam, że zrobisz jakiś pochopny krok. – Pokręciła głową. – Zabieram was z powrotem do sierocińca.

– Dlaczego powinniśmy tam pojechać? – zaprotestowała Charlotte. – William ma matkę! Siostra Briganti znieruchomiła na moment i znów pokręciła głową.

– Dlatego, że twoja matka, Williamie, nie powinna cię widzieć ani ty jej. Tak jest najlepiej. Jedźmy do domu, opowiem ci, dlaczego cię oddała.

\*

William wrócił do sierocińca pod wezwaniem Najświętszego Serca, ale zdecydowanie nie czuł się tam jak w domu. Na dodatek ogarniało go przerażenie na myśl o tym, że jego *ah-ma* wróciła do garderoby i zobaczyła, że zniknął. Czy pomyślała, że sobie poszedłem, żeby się jej odplacić za porzucenie mnie? Czy myśli, że mi na niej nie zależy, że nie chcę z nią być? Wyobrażał sobie, jak matka przeszukuje zaplecze sceny, a potem daje za wygraną, doszedłszy do wniosku, że już dość się w życiu wstydzila z powodu jego ojca. William wiedział, że będzie musiał znowu uciec z sierocińca i dotrzeć do teatru. Powstrzymywała go tylko myśl, że wtedy mogą z miejsca odesłać Charlotte do szkoły dla niewidomych czy innego odległego miejsca. Ku jego zdziwieniu, pozwolono jej bez nadzoru wrócić do domku, który zajmowała. Przytuliła Williama i nie puszczała go chyba przez minutę, aż w końcu pocałowała go w policzek.

– Dziękuję ci – szepnęła.

– Za co?

– Za zabranie mnie ze sobą i za to, że mnie nie wykorzystałaś. Za dbanie o moje bezpieczeństwo. – Uśmiechnęła się smutno. – Wiem, że znów ją odnajdziesz. Swoją matkę. Jak mało wiesz, pomyślał William.

– To już tylko kwestia czasu – odezwała się znowu Charlotte. – Skoro wiesz, że to naprawdę ona, rób, co będziesz musiał, ze mną czy beze mnie.

William podziękował z kolei Charlotte. Zawsze była jego dobrą koleżanką, ale nikim więcej. Coś się jednak zmieniło. Bez niej czuł się jeszcze bardziej osamotniony. Zaskakiwało go, że jest w stanie czuć cokolwiek poza szokiem i pragnieniem ponownego spotkania z matką. W jego sercu mieszały się desperacja, radość, gniew, rozdrażnienie... i miłość? Tak, również miłość. Czuł się, jakby młócił rękami i nogami wodę, żeby nie utonąć; przed oczami jego wyobraźni przesuwały się rozmaite emocje i wspomnienia, niczym szczątki rozbitego statku, które wpadły w wodny wir.

Zaprowadzono go zaraz do administracyjnego skrzydła budynku, do gabinetu siostry Briganti. Szedł długim korytarzem niczym potępieniec; ze ścian patrzyły na niego ponuro portrety Abrahama Lincolna i Teddy'ego Roosevelta. Żaden z nich nie wyglądał jednak tak złowrogo, jak siostra kierowniczką. William minął Sunny'ego i kilku innych kolegów, którzy myli podłogę. Jedni wyglądali na zadowolonych z jego powrotu, inni na rozczarowanych, wszyscy natomiast byli wyraźnie zaskoczeni.

Miło was znowu widzieć, chłopaki, pomyślał. Ale raczej nie zostanę z wami długo.

Polecono mu zaczekać na siostrę Briganti w pustym gabinecie i zamknięto drzwi. William usiadł na dłoniach i oglądał książki na półkach. Nie był pewien, czy znalazł się w kłopotach, czy też nie. Było mu wszystko jedno. Okazało się, że Willow Frost to Liu Song, jego *ah-ma*. Miał więc dokąd, do kogo jechać, zyskał powód do opuszczenia sierocińca, choćby i tymczasowo. Miał nadzieję, że zakonnice go wyrzucą, spodziewał się tego nawet. Najpierw jednak chciał poznać dalszy ciąg prawdy.

Czekał i czekał, aż w końcu usłyszał siostrę Briganti kłócącą się po włosku z kimś na korytarzu. Weszła wreszcie, dźwigając pod pachą stos tekturowych teczek i luźnych dokumentów.

– Skąd siostra wiedziała, że to moja matka? – zapytał William, nie czekając, aż kierowniczką sierocińca usiądzie. – I że ona w ogóle żyje?

– Stąd co i ty – odpowiedziała z westchnieniem zmęczona zakonnica. – Rozpoznałam ją na filmie i w radiu.

– Nie – zaprzeczył William. – Skąd siostra wiedziała, że to ona?

Zakonnica usiadła naprzeciw niego i zaczęła układać papiery, zastanawiała się, jak odpowiedzieć. Otworzyła szufladę, wyjęła z niej paczuszkę anyżkowych dropsów marki Life Savers i poczęstowała Williama. Odmówił ruchem głowy. Siostra Briganti włożyła do ust dwa drosy naraz i natychmiast je pogryzła. Wsparła plecy o oparcie obitego skórą krzesła i machinalnie dotknęła zwisającego poniżej jej szerokiego kołnierza różańca.

– Wiedziałam – powtórzyła. – Dlatego, że moim świętym obowiązkiem jest dźwiganie brzemienia prawdy o waszych rodzinach. Nie można go lekceważyć. – Spojrzała na Williama i poprawiła się na krześle, jakby było jej niewygodnie. – Stąd od początku wiedziałam, kim jest twoja matka.

– Ale jak się siostra dowiedziała? – dopytywał się William. Nie miał ochoty błagać zakonnicy o wyjaśnienia.

Rozwiązała jedną z teczek, była pełna listów. William nachylił się i zaczął przebierać w kopertach. Wszystkie były otwarte i zaadresowane do niego. Nadano je w San Francisco, Los Angeles, Nowym Jorku... Lecz większość w Seattle, i adres nadawczyni się powtarzał. Patrząc na nie, William czuł skurcz żołądka, serce biło mu tak mocno, że aż pulsowały skronie. Zbliżył listy do nosa i powąchał papier w nadziei, że wyczuje jakiś zapach.

– Była blisko... – skomentował, spoglądając na pieczętki. – Przez cały pierwszy rok mieszkała w Seattle...! – Tylko kilka kilometrów ode mnie, myślał. Dlaczego nie przyjechała i nie zabrała mnie z powrotem? Przypomniały mu się znowu radosne dni, kiedy z nią mieszkał. Nie rozumiał. Czy wyjechała, żeby zostać aktorką?

– Przykro mi, Williamie.

– Przepraszam cię siostra za kłamstwa?

– Nie mów do mnie takim tonem, młody człowieku. Nigdy cię nie okłamałam. Ani razu!

– Zakonnica dotknęła listów. – Za to oszczędziłam ci prawdy, Williamie. Dla twojego dobra, orzeczono bowiem, że twoja matka jest trwale niezdolna do sprawowania opieki nad tobą. Nie składała apelacji. Oddała cię z własnej woli, podpisując te papiery. Ani razu później się nie pojawiła, przynajmniej tu. – Siostra Briganti otworzyła następną teczkę, w której znajdowały się opieczątowane dokumenty. – Najbardziej żałuję tego, że nie zrzekła się praw do ciebie z chwilą urodzenia cię. Zachowała się samolubnie, sądząc, że zdoła stworzyć ci odpowiedni dom. Wszystko, co robiła, pogarszało tylko twoją sytuację.

– Ale w jaki sposób? Dlaczego?

Kierowniczką sierocińca kaszlnęła, odchrząknęła, a potem strzeliła palcami. Na ten

sygnał weszła czekająca za drzwiami nowicjuszka, wniosła filiżankę kawy oraz miseczki z cukrem i śmietanką. Siostra Briganti ze zboląłą miną zamieszała kawę zmatowiałą srebrną łyżeczką, której dzwonienie rozbrzmiewało głośno pośród pełnej napięcia ciszy. Skończyła i siedziała, wcale nie pijąc kawy.

– Dlaczego? – powtórzył pytanie William.

– Nie chciała cię! Dlatego cię oddała. Zajęła się czym innym.

– Nie wierzę siostrze – odparł William, wskazując listy i pocztówki.

Tęga zakonnica pokręciła głową, wstała i sięgnęła po stary śpiewnik stojący za nią na półce. Wyciągnęła z niego otwartą paczkę papierosów marki Fatima i pudełko zapalek. Zapaliła i usiadła z powrotem. Zaciągnęła się głęboko dymem, po czym wypuściła go w stronę najbliższego, lekko uchylonego okna.

– Nie możecie mnie tu przetrzymywać – oznajmił William. – To niesprawiedliwe.

Siostra Briganti zaciągnęła się jeszcze raz.

– Możesz znowu uciec, jeżeli naprawdę tego chcesz – odpowiedziała. – Ale tam, na zewnątrz, nie jest łatwiej. Jeśli złapie cię policja i nie powiesz im, gdzie mieszkasz, zostaniesz aresztowany. Trafisz przed oblicze sędziego, być może mniej troskliwego niż ja, a on skieruje cię do poprawczaka. Tam zabierają na noc buty, żeby podopieczny nie uciekł, zamykają dzieci na klucz w piwnicy i żywią chlebem i wodą. Chłopców takich jak ty uznają za krnąbrnych czy też niereformowalnych i posyłają za karę do izolatki. W poprawczaku nie będą cię traktować tak grzecznie jak w naszym sierocińcu. Chcesz tego? Matka Cabrini zawsze miała słabość do Dalekiego Wschodu, właśnie dlatego jesteś tu tak dobrze traktowany. Powinieneś być za to wdzięczny.

Za chłostę, przywiązywanie na noc do łóżka, przetrzymywanie listów od mojej matki w teczce w biurku kierowniczkim?! William patrzył gniewnie na siostrę Briganti. Czuł się skrzywdzony, przede wszystkim jednak zdezorientowany. Złapał się za głowę, oparł łokcie na biurku i starannie dobierając słowa, powiedział cicho:

– Chcę tylko tego, czego każdy by chciał...

– Czegóż takiego, idealnej rodziny? Matki? Ojca?

William pokręcił głową.

– Willow, moja matka, opowiedziała mi, kim jest, kim był mój ojciec. Nie dbam o to. Po prostu chcę znać prawdę.

Siostra Briganti oparła się znowu wygodnie, aż krzesło skrzypnęło pod jej ciężarem. Wypuściła dym.

– Twoja matka przejmowała się tym, kim był twój ojciec. Przede wszystkim właśnie dlatego pozwoliła, żebyś znalazł się w naszym sierocińcu. Wiedziała, że tutaj ojciec nigdy cię nie znajdzie.

## Ojcowie

1934

William i Charlotte siedzieli na starej huśtawce na werandzie jej domku. Trawa już dawno zbrunatniała, przypominała niemyte włosy. Dwoje podopiecznych sierocińca dzieliło się podniszczonym wełnianym kocem, osłaniali się nim przed chłodem. Nad ich głowami przelatywało stado gęsi, to wylaniały się z mgły, to w niej znikały. Ptaki kierowały się na południe, żeby spędzić zimę w cieplejszych, bardziej gościnnych stronach. William lekko poruszał huśtawką, odpychając się jedną nogą. Zardzewiałe zawiasy skrzypiały, odmierzając tempo, jak tykający powoli metronom wyznaczający niezmienny rytm życia w sierocińcu pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.

– Czyli zaszła w ciążę – odezwała się Charlotte. – I urodziła ciebie?

William przytaknął na w pół odruchowo, spoglądając w stronę śródmieścia Seattle i górującej nad horyzontem terakotowej piramidy zwieńczającej wieżowiec Smith Tower.

– Tak zrozumiałem. Nie wiedziała tego od razu. Siostra Briganti mówiła mi, że teraz istnieje test, który można zrobić, ale wtedy trzeba było czekać kilka tygodni, żeby mieć pewność. Szef mojej mamy, właściciel sklepu muzycznego, załatwił jej miejsce w ośrodku dla samotnych matek. Tam się urodziłem... Siostra Briganti powiedziała, że miałem szczęście, bo Chinek nie przyjmuje do szpitali, przeważnie rodzą dzieci w dokach. Mówiła też, że w tym ośrodku, w którym się urodziłem, większość matek zrzeka się praw do dzieci albo są im one odbierane. Moja mama z jakiegoś powodu postanowiła mnie zatrzymać. – Chyba dlatego, że oprócz mnie nie miała żadnej rodziny, dodał w myśli William. – Wszystko to wyjaśnia, dlaczego nigdy nie wspominała o moim ojcu. Pamiętam, jak pewnego dnia, kiedy byłem mały, słuchałem przez radio przemówienia, które prezydent Wilson wygłosił w Dzień Ojca. Wyciągnąłem kredki, usiadłem i zacząłem rysować obrazek dla mojego ojca, zdawało mi się chyba, że przyjdzie czy coś takiego. Pokazałem rysunek mamie, a ona zaczęła mówić i mówić, jaki jest piękny i udany, a potem, wieczorem, zobaczyłem, że wzięła świeczkę i go spaliła.

– Nie dziwię się jej... – skomentowała Charlotte.

– Że spaliła rysunek?

– Trudno mieć do niej pretensje o to, że nie opowiedziała ci o ojcu – wyjaśniła Charlotte po chwili milczenia. – Masz wielkie szczęście, że cię w ogóle urodziła i wychowywała. Większość niezamężnych matek od razu oddaje dzieci do adopcji, nie chcąc mieć z nimi nic wspólnego. Niektóre ze starszych dziewczyn były już w ciąży. Opowiadały mi przerażające rzeczy. Naprawdę, matce musiało bardzo na tobie zależeć, Williamie. Jesteś dla niej kimś wyjątkowym.

A przynajmniej byłem, pomyślał ze smutkiem William, próbując się pogodzić ze swoją niecodzienną sytuacją: tym, kim byli jego rodzice, oraz możliwymi konsekwencjami wiedzy bądź niewiedzy o tym, kto jest jego ojcem. Wtedy robiło to różnicę. Czy miało znaczenie także dziś?

– Czy Willow powiedziała ci to wszystko? – upewniła się Charlotte.

– Tak, chociaż na pewno nie powiedziała mi wszystkiego – potwierdził William, kiwając głową. Nie wiedział, co jest prawdą, a co fikcją. W ciągu długich lat stworzył sobie w myślach różne iluzje, oparte na wspomnieniach i półprawdach zmieszanych z pragnieniami, nadziejami

i marzeniami. Był przez cały czas przekonany, że jego *ah-ma* od dawna nie żyje, tymczasem to on był dla niej jak martwy: opuszczony przez nią i, jeśli wierzyć siostrze Briganti, w końcu zapomniany. Lecz ku zdumieniu kierowniczkii sierocińca i zaskoczeniu Williama jego matka w cudowny sposób znów dała o sobie znać. Z drugiej strony aktorka z filmu, postać, którą widział na scenie i słyszał w radiu, nie była jego *ah-ma*, przynajmniej nie taką, jaką zapamiętał. Jego mama nazywała się Liu Song, tymczasem Willow była kimś na podobieństwo jej kopii, umalowaną aktorką w wymyślnym stroju, która przez cały czas gra.

Cóż za dziwny bękart ze mnie... William zagryzł usta.

– Siostra Briganti dopowiedziała resztę – kontynuował. – Mówiła, jak matka mnie urodziła i przez kilka lat wychowywała. Zaczęła mi wyjaśniać, dlaczego wydawało mi się, że moja mama przychodzi i wychodzi: mówiła o innych mężczyznach, z którymi się spotykała, o tym, że nie była w stanie się mną zajmować, a równocześnie nie chciała, żeby opiekę nad mną przejął wujek Leo. – Opuścił wzrok i popatrzył na swoje dłonie. Były puste. – W końcu siostra powiedziała, że więcej nie muszę wiedzieć.

– Co więcej mógłbyś usłyszeć?

– Dlaczego mama nigdy tu nie przyjechała. – Czyżbym był dla niej aż takim ciężarem? – zastanawiał się William. Czy oddała mnie po to, żeby wyjść za jakiegoś mężczyznę? Czy raczej, żeby zostać aktorką? – Teraz jest sławna. I nie wydaje mi się, żeby w świetle reflektorów było miejsce dla nieślubnego syna.

Charlotte się wyprostowała. William obrócił głowę i zobaczył biegnącego w ich stronę Sunny'ego z kartką w ręku. Sunny przystanął, po czym przeszedł ostatnie metry zdyszany.

– Ktoś po ciebie przyjedzie! – powiadomił zdumiony.

William i Charlotte, podobnie jak inne sieroty, rozpoznali ów ton, który wprawiał w napięcie niczym cisza przed burzą. Budził wielką ekscytację towarzyszącą tylko przybyciu ojca lub matki. Większość sierot nauczyła się nie żywić przesadnych nadziei. Zbyt często rodzice przyjeżdżali jedynie po to, aby ostatecznie się pożegnać, zadając dziecku straszliwe cierpienie. Lecz od czasu do czasu, bez zapowiedzi – rodzice najwyraźniej uwielbiali robić niespodzianki – któraś z sierot wygrywała na loterii: słyszała, że ma się spakować. Oznaczało to tylko jedno – powrót do domu.

Serce Williama zabiło raptownie. Miał nadzieję, że przyjedzie Willow, jego *ah-ma*.

– Przyjedzie po kogo? – zapytała Charlotte.

– To twój ojciec – powiadomił Sunny. – Możesz w to uwierzyć?

– Ojciec? Wujek Leo?! – wypalił ze zdumieniem William. W jego głosie zabrzmiała niespodziewanie nuta gniewu. Choć prawdę mówiąc, jakaś jego przewrotna część była ciekawa postaci Leo, tak jak interesujący wydaje się artykuł o zatonięciu statku, katastrofie kolejowej czy strzelaninie pomiędzy gangami. – Siostra Briganti mówiła, że on nigdy mnie tu nie znajdzie – odezwał się znowu. – Dlaczego miałby...

– Nie twój ojciec! – przerwał Sunny, pochylając się, nadal zdyszany. – Tylko jej. – Pokazał na Charlotte.

William oparł się z powrotem, z ulgą i równocześnie rozczarowaniem. Pomyślał, że jego przyjaciółkę może czekać odmiana losu. Dotknął jej ramienia. Wpatrywała się w coś, czego przed nią nie było. Potem skrzywiła się i wstała. Jej bardzo jasna skóra poczerwieniała, Charlotte drżącą ręką sięgnęła po białą laskę.

– Kiedy? – spytała tylko.

– Za kilka dni. Przyjeżdża z wizytą, żeby uzgodnić odebranie cię stąd niedługo.

Wyobrażasz sobie?

– Myślałem, że twój tata... – Jak powiedzieć, że jest zbirzem, przestępcą? William nie był



pewien, co wie Sunny, więc nie wymówił słów: „siedzi w więzieniu”.

– Widocznie wyszedł, Williamie – skwitowała Charlotte. – Wszystko, co dobre, ma swój koniec. A kłopoty nigdy się nie kończą.

– Nie cieszysz się? – zdziwił się Sunny. – Każdy ma nadzieję, że przydarzy się to właśnie jemu. To wspaniała wiadomość. Zasłużyłaś na to.

Charlotte poszukała laską nogi Sunny’ego.

– Miły jesteś – odpowiedziała. – Ale gdybyś miał mojego ojca i był dziewczyną, zrozumiałbyś, o co mi chodzi.

– No ale... To znaczy, że wreszcie wrócisz do domu – nie dawał za wygraną Sunny.

– Starczy już – przerwał wymianę zdań William. W domu jest jak w bajce, pomyślał.

Dzieci gubią się w lesie, po czym zostają odnalezione, ugotowane i zjedzone.

– Możesz przekazać siostrze Briganti, że nie mam ojca – oznajmiła Charlotte. – I że nigdzie nie pojedę.

\*

Po kolacji William i Charlotte siedzieli koło kaplicy. W środku chór chłopięcy ćwiczył jakąś nieznaną Williamowi pieśń po łacinie. Melodyjne głosy chłopców wypełniały wnękę, w której się znajdowali, stwarzając atmosferę nabożnego smutku. Pieśń była melancholijna niczym marsz pogrzebowy. W założeniu uroczysta, ale przepełniona smutkiem. William pomógł Charlotte zapalić świecę w intencji jej matki. I za swoją *ah-ma* zapalił świecę przy ołtarzu. Zapalił wreszcie i trzecią, za Charlotte, choć jej tego nie powiedział. Miał mieszane uczucia. Z wysiłkiem starał się spojrzeć na jej sytuację inaczej niż przez pryzmat własnej tęsknoty za utraconą matką i domem. Charlotte otrzymała zepsuty prezent, ale większość podopiecznych sierocińca i tak z wdzięcznością by go przyjęła. Gdyby to matka Williama pragnęła znowu z nim mieszkać czy choćby przyjechać z wizytą i spędzić z nim jedno popołudnie, z największą radością by na to przystał. Rozumiał jednak, że sytuacja Charlotte jest inna. I to nie w takim sensie, w jakim różni się od siebie jabłko i pomarańcza, tylko pomarańcza i jakiś dziwny zatruty owoc.

– Czy powiedziałaś siostrze Briganti, że nie chcesz go widzieć? – zapytał William. Zupełnie jakby słygnęła ona z wrażliwości. Przy siostrze Briganti nawet kaktus był przytulanką.

Charlotte skinęła głową, a potem wzruszyła ramionami.

– Ona nic nie może zrobić – odpowiedziała. – Moja matka nie żyje, a ojciec jest moim ojcem, więc ma do mnie wszelkie prawa. Zapytałam o babcię, właściwie błagałam, żebym mogła mieszkać z nią, ale siostra Briganti mówi, że nie ma w tej sprawie nic do powiedzenia. Ojciec odsiedział wyrok za nielegalną dystrybucję alkoholu i ma szansę rozpocząć nowe życie. Wszyscy powinniśmy otrzymać tak wspaniałą szansę.

– Ale czy mówiłaś jej...? – spytał delikatnie William. Wiedział, że Charlotte myśli o ojcu z przerażeniem, musiał robić jej coś okropnego. Nigdy o tym nie mówiła, a William bał się zapytać.

– Zdaniem siostry Briganti idealni rodzice nie istnieją, a ja jestem po prostu uparta i nastawiona wojowniczo. Powiedziała też, że niektóre dzieci przyzwyczajają się do uporządkowanego, przewidywalnego życia w sierocińcu i nie chcą wrócić do prawdziwego świata. A na koniec, że powinnam się cieszyć z powrotu do ojca.

Ludzie się zmieniają, pomyślał William. Willow zdecydowanie się zmieniła. Może ojciec Charlotte zatęsknił za nią i zamierza wynagrodzić jej w jakiś sposób dawne cierpienia? William chciał patrzeć w przyszłość z optymizmem. Skoro jednak Charlotte wolała nie mieć nic wspólnego z ojcem, miała ku temu poważne powody. Wierzył jej.

– Siostra Briganti kazała mi się tylko modlić, zupełnie jakby to kiedykolwiek komuś z nas pomogło – zakończyła Charlotte.

William próbował się niegdyś modlić. Uroczysty w nastroju katolicyzm, przepelniony niezrozumiałymi ceremoniami, wciąż pozostawał jednak dla niego opakowaną w łacinę tajemnicą. William umiał naśladować to, czego od niego wymagano, niczym gwarek. Lecz był to dla niego jedynie udział w swoistym dziwnym musicalu.

Charlotte pokazała mu długi sznur szklanych paciorków z okazałym krucyfiksem na końcu.

– Dała mi nowy różaniec – oznajmiła. – Powiedziała, że daje specjalny różaniec każdej sierocie, która odchodzi do nowej rodziny, i każdemu dziecku wracającemu do rodzinnego domu.

William chwycił w dłonie zwisający koniec różańca. Wyglądał na drogi, a misternie powyginane oczka wydawały się mocne. Ta pamiątka miała dotrzeć do końca życia jej posiadacza.

– Siostra stwierdziła, że to będzie klucz do mojego zbawienia – dodała z westchnieniem Charlotte.

William wsłuchał się w śpiew chóru.

– Może powinnaś wstąpić do zakonu – zaproponował, próbując pocieszyć Charlotte. – Stać się jedną z nich. Założę się, że wtedy pozwolą ci zostać. – Siostra Charlotte, pomyślał.

Charlotte ani nie wybuchnęła śmiechem, ani się nie skrzywiła. Chyba lekko się uśmiechnęła, tak przynajmniej wydawało się Williamowi. Założyła długie, ogniście rude włosy za uszy. Nagle William po raz pierwszy zwrócił uwagę, jak bardzo jest ładna. Może stało się tak dlatego, że miała wkrótce wyjechać? Sceniczny reflektor, który oświetlił dla niego matkę, pozwolił mu zrozumieć, jak daleko sięga cień jego smutku i co w sobie kryje. William pojął, że Charlotte od początku to czuła. Jego niewidoma towarzyszka żywiła nadzieję, że w końcu otworzą mu się oczy i dostrzeże w niej kogoś więcej niż tylko koleżankę. Obserwował jej delikatne ruchy, starając się wyryć w sercu jej obraz, tak żeby nigdy nie zapomnieć, jak wyglądała. Liczył jej piegi. Wydawały mu się interesujące, nie widywało się ich raczej w chińskiej dzielnicy. Większość jej mieszkańców miała najwyżej znamiona czy pieprzyki, które uważano za znaki zapowiadające powodzenie lub nieszczęścia. Jeśli rzeczywiście oznaczały dobry lub zły omen, to drobne, jasnobrązowe plamki, którymi pokryty był nos i policzki Charlotte, musiały zwiastować istny grad pomyślnych bądź niepomyślnych zdarzeń.

William wyciągnął rękę i splótł palce z ciepłymi, miękkimi palcami jej dłoni.

– Przykro mi, że wyjeżdżasz – odezwał się.

Charlotte ścisnęła mocno jego dłoń.

– Nigdy cię nie opuszczę, Williamie. Obiecuję.

\*

Pogłoska o tym, że Charlotte odmawia wyjazdu, rozeszła się po sierocińcu jak zaraza. Starsi chłopcy zazdrościli jej, nie mogąc zrozumieć jej decyzji; młodszy byli zasmuceni i kompletnie dezorientowani, nie dowierzali, że ktoś może odmówić powrotu do rodzinnego domu.

– Za kogo ona się uważa? – zapytał głośno Dante, kiedy zgaszono światło.

Odpowiedział mu cały szereg pełnych złości głosów:

– Może jest nie tylko ślepa, ale i głupia.

– Podobno jej ojciec sprzedawał nielegalny alkohol...

– To dopiero tępa pała, powinna iść do swoich.

– Mówiłem, że to nadęta dziewczucha.

Wręcz przeciwnie, myślał William. Jest najbardziej otwartą osobą, jaką znam.

– Nie widzi, co traci – zażartował ktoś. Odpowiedział mu szyderczy śmiech.

William próbował zasnąć, ale Sunny cisnął w niego skarpetką.

– Moim zdaniem Charlotte ma żółtą febrę – powiedział cicho.

William zignorował jego zachowanie. Nie był pewien, co wolno mu powiedzieć, czy też co powiedzieć powinien. W sierocińcu i tak zbyt wiele plotkowano, nie musiał dolewać oliwy do ognia.

– Żartowałem – szepnął Sunny. – Ale wasza wspólna ucieczka była tematem numer jeden. Masz szczęście, że przyjaźnisz się z Sunny Jasnowiedzem: ja wiem, jaka jest prawda. Bo podobno dziewczyny nie okazują Charlotte zrozumienia. Mocno jej dokuczają. Wypominają jej, że była z chłopakiem, i to do tego... no wiesz, Azjatą, i tak dalej.

William w jednej chwili poczuł się okropnie. Dotąd przez myśl mu nie przeszło, że naraził na szwank reputację Charlotte. Ani przez moment nie planował niczego więcej niż spotkanie z matką w teatrze. Zdał sobie sprawę, jak mocno skupiony był na sobie i własnych problemach. Nadal zresztą nie mógł się doczekać, aż znowu ucieknie i odnajdzie matkę, zanim opuści Seattle. Albo aż zdobędzie się na odwagę i zażąda od siostry Briganti odpowiedzi na swoje kolejne pytania. Musiał jednak przynajmniej przez kilka dni myśleć przede wszystkim o Charlotte. Był jej to winien.

– Wszystko w porządku – dodał Sunny. – Na pewno są po prostu zazdrosne. Kto by nie chciał pobyć poza sierocińcem, w mieście? Charlotte, jak na dziewczynę chodzącą z białą laską, jest piękna. Sam bym tak zrobił.

William nie miał ochoty na rozmowę. Przewrócił się na drugi bok, licząc na to, że jego najlepszy kolega zrozumie, co to znaczy. Postanowił przeczekać rzekę słów Sunny'ego.

– Wiem, dlaczego Charlotte nie chce widzieć ojca – oznajmił Sunny.

William ponownie się obrócił i otworzył oczy. We wpadającym przez wysokie okna słabym świetle księżyca nie widział twarzy Sunny'ego, ale dostrzegał zarys jego postaci na pryczy.

– Co masz na myśli? – zapytał.

– Na początku jej reakcja wydała mi się bezsensowna. Ale ze mną jest tak samo: ja też nie chciałbym zobaczyć mojego taty. Matka porzuciła mnie w bibliotece, mówiąc, że zaraz wróci. A ojciec nie zrobiłby nawet tego. Dawał nam się tylko we znaki. Niektórzy ojcowie tacy są. Nie pamiętam zbyt wiele...

A ja ani trochę nie pamiętam Leo, a mężczyznę, którego *ah-ma* nazywała Colinem, ledwo, ledwo, pomyślał William.

– Nigdy mi tego nie mówiłeś – odpowiedział.

– Nikomu nie mówiłem.

– Czego jeszcze nie powiedziałeś?

Sunny umilkł na chwilę, a potem zaczął cicho opowiadać, zmienionym głosem. Wyrzucił z siebie potoki słów, pochlipując w przerwach.

– Mój tata dostał pracę w fabryce konserw, tu w Seattle, ale potem uciekł z jakąś kobietą i nigdy więcej go nie widzieliśmy. Nie napisał ani razu, w ogóle nie dał o sobie znać. Mama przyjechała ze mną do Seattle i zaczęliśmy go szukać. Skończyły nam się pieniądze, nikt nie chciał nas przyjąć, więc musieliśmy spać na ulicy. Moja mama dostała zapalenia w biodrze, od zycia na dworze. Nie była w stanie dłużej się mną opiekować, więc musiała się ze mną pożegnać. Mówiła, że powinienem wybaczyć ojcu ucieczkę i że zrozumie te rzeczy, kiedy będę starszy. Ale ja nienawidziłem taty, do tej pory go nienawidzę. Nienawidzę jego nazwiska tak bardzo, że nawet teraz nie chcę go wymawiać. Zawsze chciałem się nazywać Sunny-Idzie-Naprzód albo

Sunny-Się-Nie-Boi; jakoś tak. Wiesz, urodziłem się w rezerwacie. Kiedy przyjechały po mnie zakonnice, dałem sobie spokój z nazwiskiem ojca i wymyśliłem groźniejsze: Sixkiller, Zabójca Sześciu; tak żeby chłopcy mnie nie zaczepiali. Czytałem raz książkę, w której był bohater o takim nazwisku. Pochodzę z rezerwatu Crow, a nazwisko jest czirokeskie, ale i tak już znikąd nie jestem. Nikt tu nie odróżnia jednych od drugich, uważają mnie po prostu za czarnucha z prerii.

William chłonał w milczeniu słowa przyjaciela.

– Współczuję ci – powiedział w końcu.

– W porządku, Will. Teraz już wiesz, jak ze mną było. Charlotte przeżyła pewnie jeszcze więcej. Jej ojciec siedział w więzieniu, ale z tego, co słyszałem, robił gorsze rzeczy. Podobno całował ją, kiedy spała, i tak dalej... Okropne.

William poczuł mdłości.

– Nie wybieramy sobie rodziców – ciągnął Sunny. – Gdybyśmy mogli wybierać, niektórzy z nas woleliby się pewnie w ogóle nie urodzić.

## Oczy Charlotte

1934

William obudził się kolejnego ponurego, deszczowego poranka. Trupio blade słońce kryło się za chmurami. William zadrżał, spojrzawszy na październikowe mgły wiszące nad zatoką Puget. Horyzont spowijał szary, mokry całun; nic, tylko niewyraźna mgła. Niepewna pogoda stale sprawiała, że nagle mogła się rozpuścić nawałnica.

Kiedy tylko William wszedł do sali lekcyjnej, ktoś podał mu kartkę. Rozpoznał charakter pisma siostry Briganti – wypisała mu wyczerpującą listę rzeczy do posprzątania, umycia i wyczyszczenia. Zezwalała mu wrócić do klasy dopiero wtedy, kiedy skończy. Najwyraźniej miał się przez dłuższy czas uczyć używania miotły, łopaty do węgla, tary do prania i szczotki do szorowania. Dopiero potem zakonnice zamierzały ponownie rozważyć jego kandydaturę na ucznia pobierającego lekcje z książek.

Czy chodzi o odizolowanie mnie od reszty podopiecznych, czy też od Charlotte? – zastanawiał się, myjąc podłogę na pierwszym piętrze. Rozchlapywał wodę z mydlinami po drewnianej powierzchni i myślał o swoim nieobecny ojcu, równocześnie usuwając starą, mocno zaschniętą plamę z pasty do butów. Przypominały mu się przerażenie, szok i dziwna zaduma malujące się na twarzy matki, kiedy zobaczyła go za pierwszym razem. Zastanawiał się, czy była aktorką od czasu do czasu odgrywającą rolę matki, czy też matką, która lubiła aktorstwo. Pamiętał ją jako lwicę, ale w rzeczywistości okazała się potulnym, oswojonym, zamkniętym w klatce stworzeniem.

William wykręcał mop, z którego lała się brudna woda, kiedy nagle usłyszał pełne podniecenia szepty i zgrzyt metalowych krzeseł przesuwanych po podłodze. Zajrzał do na wpół pustej pracowni historycznej; byli w niej uczniowie, którzy na ochotnika opracowywali dodatkowe tematy. Zobaczył, że wszyscy pozostawili rozłożone książki i zeszyty i podbiegli do okien; tłoczyli się, każdy chciał lepiej widzieć.

– Co się dzieje? – zapytał William.

– Chodź, sam zobacz – odpowiedział Dante, nie odwracając głowy. – To na pewno ten cwaniak, przyjechał dzień wcześniej.

– Kto? – William ruszył w stronę okna.

– Ojczulek Charlotte – rzucił przez ramię Dante.

– Podobno siedział, wypuścili go po zniesieniu prohibicji – dodał inny kolega. – Dopiero wyszedł z więzienia, z Walla Walla czy innego Sing Sing...

– Aż tak przerażająco nie wygląda – zauważyła jedna z dziewcząt.

William wyrzwał na dziedziniec. Zobaczył smukłego mężczyznę stojącego przy sportowej wersji desoto z oponami obwiedzionymi na biało. Przybysz gawędził z siostrą Briganti. Także zdaniem Williama nie sprawiał wrażenia przestępcy ani potwora. Miał na sobie garnitur i krawat, choć nie włożył kapelusza. Wyglądał jak przeciętny ojciec.

William zbiegł na parter i wraz z kilkunastoma kolegami i koleżankami stanął blisko drzwi wejściowych. Chłopców było znacznie więcej, ekscytowała ich myśl, że ich zakonny sierociniec właśnie odwiedza przestępcę.

– Nie patrzcie mu w oczy – poradził jeden z gapiów.

– Nie wygląda na takiego twardziela – odparł inny.

– Czy to naprawdę on? To znaczy tata Charlotte? – upewnił się William. Zanim ktokolwiek mu odpowiedział, mężczyzna ruszył ku dwuskrzydłowym drzwiom sierocińca i William zobaczył jego nos, policzki, włosy... wszystko, nawet uśmiech miał identyczny jak Charlotte. Uspokoiło to Williama, choć z drugiej strony nie do końca. Spodziewał się wielgachnego, łysego, wytatuowanego opryszka o twarzy pokrytej bliznami, odzianego w niebieską roboczą koszulę z plamami potu. Wyobrażał sobie jego wygląd: pięciodniowy zarost, niedopałek cygara w ustach... Zamiast tego miał przed oczami człowieka chudego jak tyczka, o całkiem przyjemnej aparycji. Pan Rigg miał stare buty, ale kupił do nich nowe sznurowadła. Poza tym niósł pod pachą brązowego pluszowego misia.

– Ty na pewno jesteś William – odezwał się na powitanie, wchodząc po schodkach. Wyciągnął rękę.

William odruchowo podał mu swoją. Uścisk dłoni ojca Charlotte był delikatny, ciepły, wilgotny.

– Siostra, z którą przed chwilą rozmawiałem, opowiadała mi właśnie o tobie, o tym, że towarzyszysz Charlotte i że razem uciekliście jak dwie szybkie, ślepe myszki.

William nie wiedział, czy słowa pana Rigga były żartem, czy też oskarżeniem, ale mężczyzna się uśmiechnął. Miał ułamany przedni ząb. Poza tą drobną niedoskonałością był przystojny, wydawał się łagodnym, miłym człowiekiem.

– Chłopcy i dziewczęta, oto pan Rigg! – oznajmiła donośnym głosem siostra Briganti. – Przyjechał w odwiedziny do naszej drogiej Charlotte. A w przyszłym tygodniu, jeśli wszyscy święci pozwolą, Charlotte wróci do domu. Pamiętajmy o nich obojgu w naszych modlitwach.

Będę się modlił, żeby spadło mu na głowę coś ciężkiego, pomyślał William. Kierowniczką sierocińca wyglądała na zadowoloną, jak gdyby zrealizowała swoją życiową misję: skleciła z powrotem kolejną rodzinę, choć jej kawałki, jak w wielu przypadkach, niezbyt dobrze do siebie pasowały. Co będzie ze mną? – zastanawiał się William, wpatrując się w piegowatego przybysza z krótką, ogniście rudą brodą. Co z moją rodziną?

Pozostałe sieroty patrzyły na niecodziennie wyglądającego mężczyznę i jego lśniący samochód takim wzrokiem, jak gdyby przyjechał Święty Krzysztof, wielkanocny królik i Święty Mikołaj w jednej osobie. Wyciągały ręce i dotykały pluszowego misia. Głaskały go, podczas gdy jego właściciel z uśmiechem kroczył zatłoczonym korytarzem.

Lecz pośród szczęśliwych dzieci, na których łatwo zrobić dobre wrażenie, nie było Charlotte.

– Williamie – odezwała się znowu siostra Briganti – pobiegnij no może do córki pana Rigga, powiedz jej, że przyjechał ojciec i za chwilę złoży jej wizytę.

Dzięki za uczynienie ze mnie posłańca przynoszącego złą wiadomość, pomyślał William. Popatrzył na zakonnice, która prowadziła ojca Charlotte do swojego gabinetu. Pan Rigg odwrócił się i zmarszczył brwi.

Wiadomo było w sierocińcu, że przed odzyskaniem dziecka rodzice są poddawani wywiadowi. Sporą część matek i ojców na tym etapie dyskwalifikowano, ku wielkiemu rozczarowaniu ich potomków. William był świadkiem wielu takich sytuacji. Zbyt często pojawiali się rodzice, którzy mieli nerwowe tiki, byli zawszeni albo cuchnęli alkoholem. Domagali się z powrotem swojego syna czy córki, lecz odchodzili bez nich, na dodatek smutniejsi. Czasami wymagana była także inspekcja w rodzinnym domu. Wszystkie te procedury wydawały się rażąco niesprawiedliwe w porównaniu z tymi, jakim podlegały osoby pragnące adoptować którąś z sierot. Tacy świeżo upieczeni rodzice musieli jedynie przyjechać we dwoje i podpisać kilka dokumentów; zaraz potem zabierali dziecko do nieznanego nikomu domu, gdzie

miało odtąd żyć z obcymi sobie ludźmi. Może i obcymi, ale przynajmniej z ludźmi, którzy nigdy nie porzucili własnego dziecka... To już coś, dumał William.

Minął hol i po chwili znalazł się na dworze. W międzyczasie zorientował się, że wieść o przyjeździe pana Rigga przemieszczała się szybciej od niego. Słysząc było szepty plotkujących dziewcząt. Na ich twarzach malowała się gorycz, pewnie były zazdrosne. Wizyta ojca Charlotte i jej rychły wyjazd przypominały pozostałym dzieciom, jak wiele straciły i jak mocno tęsknią za kochającymi rodzicami, rodzinnymi domami, za rodzeństwem, wreszcie za życiem poza sierocińcem. Oglądały ulotne chwile wspólnego wyjazdu dzieci i odbierających je rodziców, tak samo jak podziwiała słońce na horyzoncie niknące zaraz za wiecznie skłębionymi chmurami, mgłą i deszczem.

William wszedł na pagórek, na którym stał domek Charlotte. Zgromadzili się przed nim podekscytowani chłopcy. William, w przeciwieństwie do nich, był ponury, nie mógł się zdobyć nawet na sztuczny uśmiech. Czuł się jak listonosz przynoszący telegram z wiadomością o śmierci ukochanej przez adresata osoby.

– Otwarte – odezwał się zza drzwi głos Charlotte, jeszcze zanim William zapukał. – William? Powiedz, proszę, że to ty.

Wszedłszy, zdał sobie nagle sprawę, że w domku Charlotte nie ma żadnej lampy, żadnego światła – ani zasłon. Przez cały czas żyła w cieniu. Świat w jej oczach nigdy się nie zmieniał.

– Jest tutaj, prawda? – zagadnęła pierwsza. Stała przy otwartym oknie, machinalnie przesuując między palcami paciorki różańca. – Nie słyszałam go od lat, ale rozpoznałam jego głos.

– Ma samochód – powiadomił William, nie wiedząc, co powiedzieć.

– Pokazał się w samochodzie, i wszyscy się przejeździemy.

William pokręcił głową. Siostra Briganti mówiła raz, że niezamężne matki dostają co miesiąc rządowy zasiłek. William nie był pewien, czy to samo dotyczy ojców. Chyba nie, ale może samotny ojciec niewidomej dziewczynki będzie otrzymywał od państwa jakieś pieniądze?

– Wygląda na całkiem miłego – oznajmił William w nadziei na złagodzenie napięcia.

– Nie znasz go tak jak ja. Ten człowiek nie ma honoru... Jak byś się czuł, gdyby przyjechał twój wujek Leo i powiedział, że chce cię odebrać? Gdyby nagle zapragnął mieć syna, być ojcem i po tych wszystkich latach bawić się w dom?

Czy byłoby mi z nim dużo gorzej niż tutaj? William nie znał odpowiedzi na tak trudne pytanie. Podzielił się wcześniej z Charlotte opowiedzianą mu przez matkę historią o wujku Leo, jednak nigdy nie rozważył możliwości, że ten może nagle przyjechać do sierocińca. Pewnie znowu bym uciekł, myślał William. I tak planował uciec po raz drugi, niezależnie od całego związanego z tym ryzyka. Desperacko pragnął znów nawiązać kontakt ze swoją *ah-ma*, nawet jeśli go nie chciała, porozmawiać z nią w cztery oczy. Musiał usłyszeć odpowiedzi na swoje pytania. Lecz równocześnie nie chciał opuszczać Charlotte, nie w takiej chwili.

– Może po twoim wyjeździe...

– Już ci mówiłam: nigdzie nie jadę.

– Jeżeli wyjedziesz – poprawił się William, czekając na protest z jej strony. – Jeśli zamieszkaż poza sierocińcem, będę mógł przyjechać do ciebie w odwiedziny. Ja i tak niedługo stąd ucieknę, muszę się znowu zobaczyć z Willow. A jeżeli ona weźmie mnie z powrotem do siebie, być może będę mógł ci pomóc.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi. Charlotte zeszywniała.

– Puk puk, jest tam kto? – odezwał się pan Rigg, wchodząc do domku. – O, jest moje słodkie ciasteczko. Ho, ho, ależ wyrosłaś, kiedy nie patrzyłem!

– Nie mogłeś patrzeć – odparła Charlotte.

Cofnęła się, aż wpadła na starą kanapę. W domku, który przecież tak dobrze znała, wydawała się zagubiona. Usiadła i spoglądała przed siebie, jak gdyby coś rozpoznała, coś z najciemniejszego kąta swojego dzieciństwa. William zrobił krok w stronę drzwi, tymczasem ojciec Charlotte podał jej misia.

– Coś ci przyniosłem – oznajmił. – To miś marki Steiff, najlepszej na świecie. Ruszają mu się wszystkie cztery łapy, i w ogóle. Masz...

Charlotte skrzywiła się, kiedy wypchana zabawka dotknęła jej policzka. Potem wzięła misia i dotknęła jego miękkiego futra. Wyczuła palcami zarys pyska zwierzaka i jego głowy, która zakołysała się lekko w tył i przód. Poglaskała uszy i natrafiła na wpięty w jedno ucho srebrny guzik, firmowy certyfikat autentyczności wyrobu. William uspokoił się i odetchnął, widząc, jak Charlotte zbliża misia do twarzy i wącha jego aksamitne, pluszowe futro. Pan Rigg popatrzył na Williama, kolejny raz zmarszczył brwi i skinął głową z taką miną, jak gdyby mówił: „Widzisz? Ojciec zna córkę”. Następnie otworzył drzwi i William wyszedł za próg. Obejrzał się jeszcze i zobaczył, że Charlotte znalazła oczy misia i uśmiechnęła się. Nagle zacisnęła zęby i wyrwała misiowi oczy; rzuciła je na podłogę, gdzie potoczyły się ze stukotem. Drzwi się zamknęły; William dostrzegł jeszcze opadające nitki i strzępki waty, jakby zawieszony w powietrzu pomiędzy ojcem a córką.



## Kos

1934

William przedłużał jedzenie śniadania, przesuwając w misce grudy zlepionych płatków owsianych, którymi przykrywał i odkrywał ugotowane wołki zbożowe. Czekał na Charlotte. Poprzedniego wieczoru obserwował ze schodów u wejścia do głównego budynku jej domek, czekał, aż jej ojciec wyjdzie. Zobaczył go wreszcie o ponurym zmierzchu – pan Rigg odjechał mniej więcej pół godziny przed zachodem słońca, akurat kiedy siostra Briganti zaczęła zwoływać chłopców do sali sypialnej. Przez całą noc William prawie nie zmrużył oka. A kiedy na krótko zasypiał, przed oczami tańczyły mu zjawy, złowrogie kształty, to przypominające postać wyobrazonego wujka Leo, to patrzącego chmurnie, zaciskającego cienkie wargi pana Rigga, to wreszcie pobożną i równocześnie spoglądającą z głęboką dezaprobatą siostrę Briganti. Śmiali się i wirowali, podczas gdy William śpiewał smutną, niepokojącą kołysankę, pamiętaną z czasów wczesnego dzieciństwa.

– Zjesz to? – zapytał Dante.

William pokręcił głową i zamienił się miskami z roślejszym kolegą, który powybierał z owsianki to, co najgorsze, i zaczął zajadać resztę, wkładając raz po raz do ust pełną łyżkę. William liczył wchodzące do jadalni dziewczęta. Charlotte nadal nie było. Czyżby odjechała do domu? A może uciekła w środku nocy? Jedno i drugie wydawało się możliwe. Może ojciec zrobił jej coś złego...

Weszła, akurat kiedy William walczył z ostatnią myślą, próbując nie wyobrazić sobie, co się stało. Charlotte wyglądała jak zwykle. Wzięła miskę i łyżkę do jednej ręki, a drugą stuknęła laską. Odnalazła drogę do stolika Williama i usiadła naprzeciw niego.

– Dobrze się czujesz? – zapytał. Jego słowa wydały mu się groteskowe. Podobnie ludzie pytają, czy wszystko w porządku, posiniaczoną ofiarę katastrofy kolejowej. Rozbity pociąg dymi, człowiek doznał złamania, pokrywają go kawałki szkła, i słyszy: „Nic się panu nie stało?”

– Jestem niewidoma – odpowiedziała Charlotte. – Ale rozumiem, co się wokół mnie dzieje.

– Przepraszam cię, po prostu chciałem...

– On przyjedzie jutro – przerwała. – Mam się spakować.

William nie mógł tego pojąć. Jakiż to miało sens? Jego matka była gwiazdą filmową, a nie pozwalano mu do niej wrócić ani nawet jej zobaczyć. Charlotte nie miała matki, jej ojciec był zaś świeżo wypuszczonym z więzienia łajdakiem, odsiedział właśnie całe pięć lat. Pokazał się ostrzyżony przez taniego fryzjera i nagle został ojcem roku?!

– Powinniśmy po prostu znów dać stąd dyla – zawyrokował William. – Pojechać gdzieś, gdzie nas nie znajdą. Za pierwszym razem nie było tak źle. – Jeśli nie liczyć pluskiew, dodał w myśli.

– Znajdą nas. Siostra B dokładnie wie, dokąd będziesz zmierzał, a mnie zbyt łatwo rozpoznać. Nie niknę w tłumie. Dobrze sobie tutaj radzę, bo znam każdy centymetr mojego domku, wiem, ile dokładnie kroków dzieli poszczególne budynki i sale. Ale poza sierocińcem spowalniałabym cię tylko.

– Porozmawiam z siostrą Briganti. Wymyślę coś, żeby postąpiła sprawiedliwie.

– Za późno, Williamie. Co się stało, to się nie odstanie. Mój ojciec przyjeżdża po raz drugi i w żaden sposób nie mogę temu zapobiec. Przykro mi.

– Przykro ci? Dlaczego?

– Żałuję, że nie będę słuchała twojego głosu tak często, jak bym chciała.

William wyciągnął ręce przez stół i ujął dłonie Charlotte. Było mu wszystko jedno, czy ktoś na to patrzy i jakie będą głupie dziewczęce plotki. Spojrzał w jej jasne, niebieskie, smutne oczy, widział, jak trzepoce powiekami. Rozumiał, że w tej chwili płakałaby, gdyby mogła.

– Jesteś moim najlepszym przyjacielem, Williamie, moim jedynym przyjacielem – wyznała. – Tylko ty nigdy mnie nie osądzałeś. Jesteś najlepszym człowiekiem, jakiego w życiu poznałam. Jesteś miły i bardzo uczynny, potrafisz myśleć, zawsze mogę na tobie polegać... I... Chyba chodzi mi o to, że... Chcę powiedzieć, że...

Będę za tobą tęsknić.

Charlotte ścisnęła na chwilę dłonie Williama.

– Mam nadzieję, że spotkasz się znowu z matką – zakończyła.

\*

William siedział w gabinecie siostry Briganti. Błyskawicznie wykonał całą przydzieloną mu pracę, przyszedł do gabinetu długo przed czasem i odmówił wyjścia. Czekał przez dwie godziny, aż wreszcie kierowniczką sierocińca, która prowadziła lekcję, a potem odbywała zaplanowane rozmowy z innymi osobami, weszła. Położyła na biurku okazały stos papierów.

– Jest pan gotów usłyszeć dalszą część prawdy, proszę pana? – zapytała. – Kolejne historie? Poznać odpowiedzi na następne pytania? Wiedziała, że wrócisz; chłopców zawsze przyciąga makabra.

William wciąż czuł lekkie zawroty głowy po miłym, a równocześnie bolesnym wyznaniu biednej Charlotte. Nikt poza jego *ah-ma* nie okazywał mu nigdy tylu względów. To było coś więcej niż lubienie, choćby i wyjątkowe. Więcej niż przyjaźń czy przyjemność przebywania w czyimś towarzystwie. Czuł, że to coś realnego, prawdziwego, nic już nie wydawało się takie samo. Szare chmury przybrały nagle różowawy odcień, którego jeszcze godzinę wcześniej nie miały. Wszystko lepiej pachniało, nawet deszcz. Muzyka oddziaływała na Williama intensywniej, jak gdyby każda wysoka nuta została napisana z myślą o nim. Nie mógł się doczekać, aż zaśnie, ponieważ chciał śnić o Charlotte i sobie w jakimś lepszym miejscu, w którym mieliby nadzieje i możliwości. Równocześnie nieznośna stała się dla niego myśl o przebudzeniu i pójściu do sali lekcyjnej, w której na miejscu Charlotte będzie siedziała inna dziewczynka. I o kołyszącej się na wiejącym od morza wietrze pustej huśtawce na werandzie domku Charlotte.

– Chodzi mi o Charlotte – oznajmił William.

Siostra Briganti wyglądała na zaskoczoną, zbierała myśli.

– O co konkretnie?

– Wie siostra, że jej ojciec coś jej zrobił. – Nie było to pytanie, lecz stwierdzenie ze strony Williama. – Nie może siostra posłać jej do domu z tym człowiekiem.

– Nie pokładam wiary w plotkach, Williamie – odpowiedziała kierowniczką sierocińca. – Wierzę natomiast, że sytuacje rodzinne są skomplikowane, a czasy ciężkie. I wiem, że samotny ojciec zapewni niewidomej córce lepszą opiekę i wychowanie niż większość instytucji. Zdaję sobie sprawę, że się niepokoisz, i Charlotte także wyraziła te obawy. Lecz... – Dalsza część wypowiedzi zakonniczy zawisła w powietrzu jak ostrze gilotyny obserwowane przez tłum łobuzów i włóczęgów czekających na nieunikniony dalszy ciąg. – Są różne stopnie zła, Williamie. Ogromnie bym chciała, żeby świat bardziej przypominał niebo, jednak od czasu do

czasu, z ciężkim sercem, muszę wybierać mniejsze zło. Jeśli chodzi o Charlotte, jest niepełnoletnia i nie może samodzielnie decydować o swoim losie. Ma także ojca, który, w przeciwieństwie do twojej matki, jasno wyraża wolę odebrania swojego dziecka. Odsiedział w więzieniu długi czas, płacąc za swe minione niezgodne z prawem uczynki. Na koniec, Charlotte niedługo osiągnie wiek, w którym, jeśli zechce, będzie mogła zawrzeć małżeństwo. Miejmy więc nadzieję, że kiedy ukończy szesnaście lat, ktoś poprosi o jej rękę i Charlotte rozpocznie lepsze życie.

A co w międzyczasie? Powinna po prostu cierpieć w milczeniu?! – myślał William.

– On ją tylko wykorzystuje, dla pieniędzy – odpowiedział.

– Może to być jeden z czynników, które skłoniły go do ponownego zainteresowania się córką – zgodziła się siostra Briganti, kiwając głową. – Pan Rigg zapewnia mnie, że nic podobnego, a ja mogę jedynie zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby ocenić człowieka z zewnątrz. Nie mnie osądzać zamiary skryte w ludzkim sercu. Bóg jeden wie, na ile poważne są motywy kierujące panem Riggim, i tylko Bogu wolno osądzać swoje dzieci. – Zakonnica mówiła w podobnym tonie jeszcze przez długi czas.

A kim jesteśmy my, że nie wolno nam osądzać?! – myślał z rozpaczą William. Uczy się nas posłuszeństwa, podążania za cudzym przykładem, kroczenia ścieżką rozświetloną przez uczynki starszych, mądrzejszych, bardziej doświadczonych, mających większą wiarę. Ale co z rodzicami, którzy nas porzucają? Czy osądzamy ich my, ich dzieci? Czy mam uważać, że pustka w moim sercu wynika z mojej własnej winy, że to skutek mojej nieumiejętności powstrzymania krwawienia rany, którą zadała mi matka? Nie można oczekiwać od dzieci, że same zaszyją sobie głębokie rany tak, że nie pozostaną okropne blizny!

Siostra Briganti kontynuowała wykład, więc William wyszedł. Zawołała go, a potem zaczęła mówić coś po włosku. Ani tego nie rozumiał, ani mu na rozumieniu jej słów nie zależało.

\*

Znów czekał na Charlotte w pełnej dzieci jadalni i nie miał apetytu. Podopieczni sierocińca rozmawiali z ożywieniem o przyjeździe ojca niewidomej koleżanki. Zawistny chór zazdrośników. William miał ochotę uciszyć siedzących naprzeciw chłopców, choć Charlotte jeszcze nie było i miał pewność, że zamilkną z chwilą jej pojawienia się. Była niewidoma, za to nadzwyczaj dobrze słyszała, a już zwłaszcza złośliwy rechot i szyderstwa. Bolesny śmiech dzieci, których jedyną radością było odbieranie szczęścia innym.

William czekał i czekał, aż w końcu ostatnie dziecko wzięło swój talerz z jedzeniem. Charlotte nadal się nie pojawiała. Pokręcił głową i wyobraził sobie, że niewidoma dziewczynka popełniła zuchwałę, tragiczne w skutkach szaleństwo – uciekła. Oddał Dantemu to, co znajdowało się na jego talerzu, i wyszedł na dwór. Zaczął zbierać polne kwiaty – liliowce, kamasje i inne – zdobiące stok pagórka, na którego szczycie stał domek Charlotte. William miał nadzieję, że zastanie ją tam, że śpi, pakuje się albo robi coś innego, cokolwiek. Na pewno byłoby to lepsze, niż gdyby domek okazał się pusty, a Charlotte, nie pożegnawszy się z Williamem, znajdowałaby się już gdzieś na ulicy. Niewidoma dziewczynka, zupełnie sama... Nie widziała, jaka jest piękna, szczególnie w oczach beznadziejnych typków w zatłoczonym, przyciągającym ludzi mieście.

William z kwiatami w ręku zapukał lekko do drzwi. W domku panowała cisza.

Już jej nie ma, uciekła! – pomyślał.

Nie mógł pozwolić jej zniknąć. Zamierzał znaleźć jakiś sposób na spotkanie się z nią w okolicach Pioneer's Place, kiedy sam ucieknie. Z matką zobaczy się później albo wcześniej, jeszcze nie wiedział i nie robiło mu to różnicy. Musiał natomiast koniecznie spotkać się

z Charlotte. Porozmawiać z nią, dać jej znać, że o niej nie zapomniał ani nie zamierza z niej zrezygnować. Charlotte mogła nie być w stanie dotrzymać złożonej mu obietnicy, jednak nie znaczyło to, że on nie mógł jej obiecać czegoś więcej. Pragnęła, życzyła sobie czegoś, czego William wcześniej nie dostrzegł. To on okazał się ślepy.

Zawołał jej imię i zapukał jeszcze raz. Rozejrzał się po dziedzińcu, ogrodzie, sadzie, w którym rosły włoskie śliwy, już bez owoców. Popatrzył w stronę groty. Spojrzał i w górę, na dużego kosa, który przysiadł na dachu domku i śpiewał, jak gdyby kpił z Williama. Ptak przechylił łebek i zaśpiewał znowu, wpatrując się w niego, po czym odleciał, głośno bijąc skrzydłami.

Pełen niepokoju William z wahaniem otworzył drzwi domku i zajrzał do środka. Niewiele widział w ciemnym wnętrzu, ale stopniowo zaczął rozróżniać wzrokiem jej rzeczy – motki kolorowej przędzy, zabawki, szklane bibeloty. Wszystko było na swoim miejscu, niespakowane, nawet buty. Dostrzegł ulubioną i jedyną parę butów Charlotte, z patentowej skóry, mocno znoszonych, ze zmatowiałymi srebrnymi sprzączkami. Buty znajdowały się jeden obok drugiego, wisiały kilkanaście centymetrów nad podłogą. William opadł na kolana, kiedy dostrzegł przewrócony stółek i zobaczył, że małe buciki Charlotte nieznacznie się kołyszą. Patrzył na ich bezgłośny wahadłowy ruch, jak gdyby stopy Charlotte były wskazówkami nienakręconego zegara, który przestał chodzić. Ciche tykanie, jak bicie serca, ustało, a mechanizm znieruchomiał, pozbawiony życia.

– Charlotte... – szepnął w ciemności William, upuszczając kwiaty. Dlaczego nie dotrzymałaś obietnicy? – dokończył w myśli.

Buty, rajstopy, sukienka, ciało delikatnej niewidomej Charlotte wisiało na krokwi. Drewnianą belkę oraz smukłą szyję Charlotte oplatał różaniec. Zacisnął się także wokół serca Williama.

## Łzy

1934

William uczestniczył dotąd tylko w dwóch pogrzebach, a przynajmniej więcej nie pamiętał. Oba były w sierocińcu. Za pierwszym razem umarła stara zakonnica, miała osiemdziesiąt osiem lat. Za drugim chowano raczkujące niemowlę, które wyszło poza ogrodzenie i utopiło się w fontannie. William przypominał sobie, że podczas tamtych pogrzebów w powietrzu unosił się taki sam delikatny zapach sosnowego drewna taniej trumny, jak podczas pochówku Charlotte. Trumnę zbito pospiesznie z wysuszonego drewna pochodzącego z drzew wyciętych w otaczającym sierociniec lesie.

William patrzył przez okno na dużą połać wiecznie zielonych drzew i wyobrażał sobie, że się zbliżają, otaczają i zamykają wszystkich podopiecznych sierocińca Najświętszego Serca, zamieniając go w jedną wielką trumnę. Ich życie toczyło się w otwartej skrzyni, żeby wszyscy mogli ich oglądać. Żałował, że podczas pogrzebu Charlotte trumna z jej ciałem była otwarta. Nie podobał mu się jej widok w takim stanie. Chcąc nie chcąc, patrzył na pozbawione życia ciało i przypominał sobie te wszystkie sytuacje, kiedy wyobrażał sobie pogrzeb swojej *ah-ma*. Kiedy był mały, bał się, że ją straci i zostanie sam. Teraz wróciła, lecz on jeszcze nigdy nie czuł się tak bardzo samotny. Nie wyobrażał sobie, że można opłakiwać utratę kogoś żyjącego.

Kiedy przechodził obok trumny Charlotte, żeby oddać hołd zmarłej, zauważył czarnopurpurowe sińce wokół jej szyi i ranki od paciorków różańca. Zamaskowano je słabo talkiem. Oczy Charlotte pozostawały półotwarte; siostra Briganti nie zgodziła się, żeby położyć na jej powiekach monety, tak aby się nie unosiły. Obawiała się bowiem, że ktoś mógłby je ukraść. Pewnie miała rację, pomyślał William, spoglądając w mlecznobłękitne fragmenty tęczy. Rozlicznym koleżankom i kolegom było przykro z powodu śmierci Charlotte, ale przyjaciół nie miała. Tylko mnie jednego...

– Współczuję ci, Willie – odezwał się Sunny, który przeszedł koło trumny bezpośrednio po Williamie. Zeszli po schodkach i usiedli w najbliższej ławce, w grupie chłopców.

William milczał. Patrzył tylko gdzieś za plecy starego, nieznośnie nudnego księdza Bartholomew, który w homilii mówił o rodzicach i dzieciach. Spojrzenie Williama przenikało szaty i ciało kapłana, znajdujący się za nim witraż, a nawet widoczne przezeń cienie chwiejących się na wietrze drzew.

– Słyszałem, jak płakała – szepnął Sunny.

William skinął głową. Cholera! Aż się skrzywił, przypominając sobie, jak Charlotte opowiadała mu, że z jej oczu nigdy nie lecą łzy. Wolalby zapomnieć widok drogiej mu przyjaciółki wiszącej nad nim i ciemnych smug spływających po jej policzkach z kącików wytrzeszczonych oczu. Ciśnienie wywołane przez powieszenie otworzyło jej zasklepione kanaliki łzowe.

William rozejrzał się po kaplicy, słuchając księdza Bartholomew. Po przeciwległej stronie nawy siedział ojciec Charlotte w sąsiedztwie siostry Briganti, która pobożnie klęczała ze zwieszoną głową i złożonymi rękami trzymającymi różaniec. Jeśli kierowniczką sierocińca kiedykolwiek odczuwała coś podobnego do szczęścia, to podczas modlitwy. William był oburzony spokojem zakonnicy. Popatrz na mnie, spójrz mi w oczy! – krzyknął w myśli,

przyglądając się kobiecie. Potrzebował jakiegoś niewerbalnego potwierdzenia, że czuje ona cokolwiek z powodu przyczynienia się do tej tragedii, choćby niewielkie wyrzuty sumienia. Że uznaje, iż jest w pewnym niewielkim stopniu odpowiedzialna za to, co się stało. Im bardziej targła nim złość, tym mocniej dokuczała jednak jemu samemu. Był bowiem równocześnie zagubiony, nie wiedząc, czy popełnił złe uczynki, czy też raczej grzechy zaniedbania.

– Jej ojciec wygląda jak duch – zauważył Sunny.

Wieści o tym, że Charlotte łączyły z ojcem także związki, o jakich oficjalnie nie było mowy, rozeszły się po sierocińcu, wskutek czego William w ciągu kilku godzin nauczył się nowych słów, takich jak „rozpusta”, „molestowanie” czy „kazirodztwo”. Zbyt wielu zbyt mocno bolesnych określeń. Jeśli były jakieś wątpliwości, czy opowieść Charlotte była prawdziwa, jej śmierć je rozwiązała. Wszyscy wpatrywali się w pana Rigga. Nie z powodu potwornych rzeczy, do jakich najwyraźniej był zdolny, ale właśnie dlatego, że nie wyglądał na potwora. Raczej na złowrogą, lecz pozbawioną kłów i w ogóle zębów kreaturę. Nie był przyzwoitym ojcem, ledwie zaliczał się do kategorii rodziców. A Charlotte miała właśnie spocząć w ziemi, sama, osierocona na zawsze.

– Nie do wiary, że on tu jest – skomentował William. – Nienawidziła go.

Spojrzenia pełne potępienia najwyraźniej krępowwały Rigga, bo otarł łzy chusteczką, popatrzył jeszcze raz na ciało córki, ani się nie uśmiechając, ani nie krzywiąc, i wyszedł bez słowa, akurat w momencie, gdy z balkonu zaczęła śpiewać chór.

– Chciałbym dorwać tego typa – odezwał się Sunny, kręcąc głową. – Potem zaczęliby mnie nazywać Sunny Sevenkiller – Zabójca siedmiu.

Drzwi kaplicy zamknęły się z głuchym odgłosem, i wtedy spojrzenia wszystkich spoczęły na siostrze Briganti. Wydawało się, że nawet ksiądz Bartholomew mówił tylko do niej. Sieroty przyglądały się nieruchomej jak posąg zakonnicy siedzącej w ławce. Siostra Briganti z kamienną twarzą patrzyła przed siebie, jak gdyby szukała pocieszenia czy rozgrzeszenia w pustej przestrzeni przed sobą.

William pomyślał o Willow, swojej *ah-ma*. Nie wyobrażał sobie rodziców, którzy porzucają dzieci. Przykład ojca Charlotte dowodził raczej bolesnego faktu, że nawet potwory potrafią tęsknić za swoimi dziećmi. Dlatego że nikt nie jest całkowicie zły ani wyłącznie dobry. Dotyczy to zarówno matek i ojców, jak również synów i córek czy mężów i żon, myślał William. Życie byłoby znacznie prostsze, gdyby było inaczej. A tak, każdy – Charlotte, Willow, pan Rigg, nawet siostra Briganti – łączy w sobie miłość i nienawiść, radość i smutek, tęsknotę i zapomnienie, źle pojętą prawdę i bolesne oszustwo. Wprawiało to Williama w zakłopotanie.

## Babie lato

1934

William zrzucił buty i wyciągnął się na miękkiej, ciepłej trawie. Dwa metry pod nim leżało w ziemi ciało Charlotte. Ogrodnik odwinął płat trawy na czas pogrzebu i nałożył go z powrotem na to samo miejsce, niczym dywan. William ściągnął stopy i skrzyżował ręce na piersi; próbował sobie wyobrazić, że czuje otaczające go sosnowe pudło, zapach wysuszonego drewna, trocin i kleju stolarskiego. Patrzył w błękitne niebo koloru oczu Charlotte. Słońce wybudziło się z zimowego snu, przed oczami Williama unosiło się tylko kilka chmur rozciągniętych po niebie niczym produkowane przez maszynę słońce ciągutki. Zamknął oczy i poczuł na powiekach ciepły, przyjemny dotyk słonecznego światła. Zaraz potem usłyszał jednak gęganie gęsi, otworzył oczy i zobaczył lecące na południe ptaki. Chwila wytchnienia była tylko chwilą. Charlotte spoczęła w ciemności już na zawsze. Tęsknił za nią. Zdawał sobie sprawę, że już nigdy nie znajdzie się bliżej niej niż w tym momencie. Z trudem próbował pogodzić się z jej śmiercią, wszak jeszcze kilka dni wcześniej ścisnęła jego dłoń. Czuł się, jakby ją zawiódł. I jak gdyby dopuszczał się zdrady teraz, pozostawiając Charlotte tu, w tej ziemi. Któż będzie ją wspominał? Pielęgnował jej grób? Lecz, jak powiedziała kiedyś Willow: „Nic mnie tam nie trzymało”.

Czytał „The Seattle Star” i wiedział, że jego matka pozostanie w Seattle jeszcze przynajmniej tydzień. Nie napisano, gdzie się zatrzymała ani czy z kimś jest. Zawsze może jednak pojechać do teatru i czekać przed drzwiami dla artystów. Znajdzie ją tam albo w chińskiej dzielnicy. Zdawał sobie sprawę, że spoczywały tam stare szkielety, kości pozostałe po jej dawnym życiu, tak jak Charlotte spoczęła na zawsze na terenie sierocińca. Podejrzewał, że chińska dzielnica przyciągnie jego *ah-ma*, że będzie ona chciała zanurzyć się tam we wspomnieniach, pograć w nostalgię.

Opowieści jego matki wywołały u niego smutne wspomnienia z dzieciństwa, jak miał siedem lat i budził się w środku nocy w pustym mieszkaniu. Pamiętał, że otwierał wtedy okno i siadał na zimnej żelaznej kracie schodów przeciwpożarowych, a lodowaty wiatr mroził mu kostki wystające z przyciętych nogawek piżamy. Owijał się wówczas kocem, żeby nie przemarznąć, gdy charakterystyczna dla Seattle wilgoć przenikała nocą ceglane mury, kafelki i drewno. Siedział tak do czasu, aż palce jego stóp i dłoni stawały się bledsine z zimna, na wpół przezrocyste w księżycowej poświacie. Przypominał sobie te noce krótko po wybuchu kryzysu gospodarczego: patrzył w dół i widział w uliczce śpiących pod warstwami płaszczy bezdomnych, skulonych razem cuchnących mężczyzn, którzy palili śmieci, żeby się ogrzać.

Dziwne, ale w takie noce nigdy nie czuł się samotny, zawsze był pewien, że jego *ah-ma* wróci. Siedział i słuchał rytmów docierających do jego uszu ze znajdujących się w dole klubów i teatrów kabaretowych. Wtedy nie wiedział, jak nazywa się taki gatunek muzyki. Później dowiedział się, że te wesołe melodie grano na pianinie i puzonie, i że były to cakewalk, ragtime oraz lokalna wersja muzyki popularnej. Piosenki były bardzo głośne lub cichutkie, muzyka narastała gwałtownie lub szybko cichła, pojawiała się i zniknęła; przypominało to Williamowi dźwięki dobywające się z radia Philco w burzowy wieczór. Gdy podrośł, zdał sobie sprawę, że to po prostu portier wpuszczał i wypuszczał gości, przy okazji dozując muzykę, niczym nocne

sygnały dymne. Obowiązywała prohibicja, lecz William i tak obserwował chwiejących się na nogach ludzi, którzy z trudem wsiadali do taksówek albo kroczyli ulicą. Poprawiali krawaty i sukienki i stawiali stopy do rytmu. Byli ubrani odświętnie jak do kościoła w niedzielę, ale przechylali się to w lewo, to w prawo, jak gdyby chodnik powoli falował pod ich stopami.

William był ciekaw, czy kluby wciąż funkcjonują. Od tamtych czasów bardzo wiele się zmieniło. Ludzie zdobywali fortuny i je tracili. William nie potrafił pojąć, co znaczy dobre albo słabe zdrowie, lecz łatwo mu było zrozumieć, czym jest fortuna i pomyślność. Zauważył w pewnym momencie, że los jego oraz matki się odmieniał: *ah-ma* zaczęła dostawać prezenty, bukiety purpurowych czy niebieskich kwiatów, rośliny doniczkowe, kosze dorodnych owoców, różowe pudełka z jedzeniem. Och, to jedzenie było pyszne! Williamowi aż pociekła ślinka na wspomnienie smakowitej suszonej na wietrze kiełbasy z kaczki, która wydzielala przyjemny sok, kiedy się ją żuło. Aż do teraz pozostawała najlepszym przysmakiem, jaki William w życiu jadł.

Zaczął się także zmieniać ubrania jego mamy.

Pamiętał, jak jej niebieską sukienkę, którą prała w zlewie i wieszala co wieczór w łazience, żeby wyschła, którą nosiła codziennie, zastąpiła nagle suknią w kwiaty z koronkowym kołnierzykiem. Potem pojawiła się inna i kolejne. W kącie pokoju rósł stos pudeł na kapelusze, aż wydawał się wysoki jak góra. William robił więc to, co zrobiłby każdy bystry chłopczyk na jego miejscu: wspinał się po pudełkach, aż stos przewracał się na podłogę, a potem stawał je przed sobą i uderzał w nie pałeczkami do jedzenia, udając, że gra na bębnach.

*Ah-ma* dawała mu burę i wyrывała z rąk pałeczki. Siadał więc i płakał, aż w końcu rozśmieszała go zabawnymi minami. Potem podawała mu pudełko od butów wypełnione szpulkami po niciach. Układał je zamiast klocków.

Był wreszcie ten dziwny mężczyzna. William słabo pamiętał Colina. Przypominał sobie, że przed laty sądził, że to jego ojciec, a przynajmniej ktoś w rodzaju ojca. Colin zawsze się uśmiechał i był dobry. Nigdy nie podnosił głosu, zawsze żartował i się śmiał. Z perspektywy lat wydawał się Williamowi uosobieniem dżentelmena. Miał wspaniałe maniery, ubiór i wygląd, i był zamożny. Zabierał ich na przejażdżki swoim pięknym samochodem. William siadał z tyłu i obserwował trzepoczący na wietrze szalik mamy. Colin był obecny w ich życiu chyba od samego początku, ale William w którymś momencie odgadł, że nie jest to jego prawdziwy ojciec, ponieważ pojawia się i znika. Mimo wszystko istniał już w najwcześniejszych wspomnieniach Williama, wiadomo było, że gdzieś niezbyt daleko jest. Pozostawał w pobliżu przez kilka lat, *ah-ma* wyglądała na szczęśliwą, zdrową, związaną ze swoim mężczyzną, nie brakowało jej chyba niczego.

Później los Williama i jego matki znowu się odmienił. Pierwszą rzeczą, na jaką William zwrócił uwagę, było uczucie pustki w żołądku. Ich jedzenie stawało się coraz gorsze, smakołyki w ładnie opakowanych pudełkach stopniowo przestały się pojawiać i William przeważnie kładł się spać głodny. *Ah-ma* przestała także dostawać kwiaty, a te, które mieli w wazonach, więdły i umierały, ich zeschnięte płatki sypały się na stół i spadały na podłogę, kiedy otwierał okno. Zauważył także, że wszystkie jego ubrania zrobiły się na niego za ciasne, tak samo jak buty. *Ah-ma* rzadko jednak mówiła, że dzieje się cokolwiek złego. Po jakimś czasie jednak zrozumiał, że drastyczne oszczędności wiązały się z poświęceniem jego matki. Zrozumiał, że kochające matki w milczeniu poświęcają dla dzieci swoje ciała, jak gdyby popełniały powolne rytualne samobójstwo: dzień po dniu, godzina po godzinie, posiłek po posiłku. Dlatego grzecznie przytakiwał, kiedy *ah-ma* przekonywała go, że nie jest głodna, i zjadał jej porcję, przetykając wraz z nią poczucie winy. Ich kolacje były wtedy naprawdę skromne.

Zapamiętał ostrą woń naftaliny, którą mama trzymała w szafie, żeby ocalić ich ubrania – a te stawały się coraz cieńsze. Naszywała łąty na kolana jego spodni i cerowała mu skarpetki. Nie



wiedział, co znaczy zły los do czasu, aż w mieszkaniu zrobiło się zimno, nawet przy zamkniętych oknach. Zaczął sypiać razem z matką, wtulał się w nią, żeby było mu ciepłej. W te noce, kiedy pracowała – gdy był starszy, pracowała chyba we wszystkie – kładł koc i poduszkę na kaloryferze, który był zaledwie ciepły. Drżąc z zimna i przestępując z nogi na nogę, czekał, aż się ogrzeją. Później owijał się zatechłym kocem i kładł na drewnianej podłodze, jak gąsienica w jedwabnym kokonie, przyciskając plecy do metalowego grzejnika. Wtedy znów było mu ciepło i czuł się bezpieczny.

Zapamiętał, że kiedy przykładał ucho do podłogi, słyszał muzykę dobiegającą z sąsiedniego budynku: dźwięki pianina, odgłosy bębnow, nawet sekcję dętą. Słysząc też było hałasujących ludzi; śmiali się lub bili...

Wreszcie wracała jego mama; czasami pociągała nosem, tak była zziębnięta.

– Jak było w pracy? – pytał. – Byłaś tylko w klubie, czy może występowałaś na scenie?

Pamiętał, jak raz zaprzeczyła ruchem głowy i zrobiła kwaśną minę.

– Bawiłam się po prostu – tłumaczyła, zwijając się w kłębek na podłodze koło niego. –

Z dawnym znajomym.

Czuł, że matka okrywa kocem ich oboje. Przesuwał głowę, żeby mogła oprzeć swoją na jego poduszkę. Mama dziwnie pachniała, dymem, potem i jakby starymi perfumami.

– Chciałbym kiedyś pójść na zabawę – oświadczył pewnego razu. Wyobrażał sobie przyjęcia urodzinowe albo kolacje wydawane w okolicznych domach. Nigdy nie był na żadnym dużym, eleganckim przyjęciu, ale widział ludzi bawiących się w restauracjach i klubach. – Będę grzeczny...

– To nie jest zabawa dla małych chłopców – odpowiedziała *ah-ma* i rozpląkała się.

O co ci chodzi, mamo? Co się stało? – myślał, bojąc się zadać matce te pytania. Czasami jego słowa doprowadzały ją do płaczu, zwłaszcza wtedy, kiedy zadawał za dużo pytań. Nie wiedział dlaczego.

– To przez pogodę, jestem przeziębiona – odpowiedziała, odgadując jego myśli. – Nic się nie stało. Wszystko będzie dobrze. Przytuliła go, ale czuł jej łkanie. Tamtej nocy William pierwszy raz w życiu się bał.

\*

– Czekasz na Łazarza?

William otworzył oczy, popatrzył w górę i zobaczył Sunny'ego zasłaniającego mu niebo, które przybrało odcienie pomarańcza i różu. Musiałem się zdrzemnąć, pomyślał. Przyjaciel położył się tymczasem obok do niego.

– Nie znałem jej tak dobrze jak ty, ale też za nią tęsknię – wyznał Sunny, wskazując głową zatknietą w ziemię deskę, na której widniały wymalowane świeżą farbą imię i nazwisko Charlotte.

William milczał. Deska upamiętniająca miejsce spoczynku Charlotte była w założeniu tymczasowa, członek jej rodziny czy jakiś dobroczyńca powinien za jakiś czas ufundować granitową płytę nagrobną. Lecz rozejrzawszy się po cmentarzu, William naliczył dziesiątki podobnych drewnianych tablic. Większość już gniła, a napisy na nich spłwioły. Nadzieje na porządny nagrobek Charlotte także zostały pogrzebane.

– Nie wykonałeś prac przydzielonych ci na sobotę – odezwał się znowu Sunny. – Ale siostra Briganti raczej tego nie zauważyła, bo całe popołudnie spędziła z księdzem Bartholomew na spowiedzi i pojednaniu z Bogiem.

Wszyscy mamy za co pokutować, pomyślał William. Czuł się winny, że pozostawił Charlotte samą. Żałował, że nie zdołał przekonać siostry Briganti, co chwila nachodziły go

poczucie winy i paraliżujący żal. Nie był pewien, czy kierowniczką sierocińca ma podobne odczucia.

– Nie byłeś też na kolacji.

– Nie jestem głodny – odpowiedział William, choć odrobinę burczało mu w brzuchu. Widocznie był w stanie czuć coś poza smutkiem. Nie jadł od chwili pogrzebu. Stracił resztki apetytu, kiedy się dowiedział, że ojciec Charlotte opuścił sierociniec, nie zabierając niczego, co do niej należało; widocznie nie miało to dla niego znaczenia. Zakonnice były na tyle przewidujące, że już porozdawały jej rzeczy pozostałym sierotom, jak gdyby sypnęły ziarna ptakom. Szczególnego rodzaju hojny gest. William wyobrażał sobie, jak mściwe dziewczyny wydziobują to, co pozostało po Charlotte, aż nie pozostaje żaden dowód jej istnienia.

– Współczuję ci, Willie – powtórzył Sunny, zrywając źdźbła trawy i rozrzucając wokół siebie. – Masz jednak matkę, jest tam, w mieście. Sierociniec to nie twoje miejsce. Nie chcę, żebyś znowu uciekał, i będzie mi Ciebie brakowało, ale musisz do niej pojechać. Odnaleźć mamę, póki masz okazję. Ja bym tak zrobił.

Williamowi nie trzeba było o tym przypominać. Nie miał jeszcze tylko planu ucieczki. Swoje skromne oszczędności wydał i bez pomocy Charlotte nie dotarłby daleko. Słyszał, że chłopcy żyjący na ulicy zarabiali drobne, dźwigając bagaże pasażerom promów w Colman Dock albo wystając zamiast bogatych ludzi w kolejkach przed kinami czy operą. Perspektywy nie były obiecujące, ale przeżycie wydawało mu się możliwe.

Zobaczył siostrę Briganti, która szła powoli przez pokryty mchem dziedziniec w stronę grotty z różańcem w dłoni. Miała poważną minę.

– Słyszałeś, co powiedziałem, Willie? To nie jest twoje miejsce.

William wstał, otrzepał spodnie i pomógł się podnieść Sunny'emu. Popatrzył tam, gdzie spotykali się z Charlotte. Drzewa kołysały się delikatnie na wietrze, brunatne liście opadały z ich rozpostartych gałęzi jak puch z ostu.

– To nie jest miejsce dla nikogo z nas – odpowiedział William i ruszył w stronę bramy.

\*

Usiadł na ławce na najbliższym przystanku tramwajowym. Miał dość pieniędzy, żeby przejechać połowę drogi do Seattle, ale na przesiadkę już nie. Było mu wszystko jedno. Skończył z sierocińcem. Gdzieś w mieście znajdowała się jego matka, jego kochana *ah-ma*. Czy chciała go mieć przy sobie, czy za nim tęskniła, czy przed kamerami, w świetle scenicznych reflektorów, pośród połyskujących cekinów tylko bardzo słabo pamiętała słodkie chwile spędzane z malutkim Williamem? Wszystko to zdawało się nie mieć znaczenia. Wiedział tylko, że musi czymś wypełnić pustkę, jaką odczuwał, głęboką ranę.

Obejrzał się w stronę budynku, w którym mieszkał przez ostatnich pięć lat. Zobaczył zbliżającą się ku niemu krzepką postać siostry Briganti. Nie chciało mu się uciekać, klócić z nią ani jej błagać. Czuł jedynie siłę, która ciągnęła go do domu, do *ah-ma*, wokół której kręciło się całe jego dzieciństwo, dopóki go nie oddała. Wzruszył ramionami i odwrócił się do zakonnicy plecami, licząc na to, że po prostu da mu spokój. Spodziewał się jednak, że poczuje, jak siostra Briganti wykręca mu ucho, a potem ciągnie z powrotem do sierocińca. Nasłuchiwał dzwonka tramwaju, trzasku iskieł, stukotu kół chyboczących się na podniszczonych szynach. Usłyszał jednak tylko kroki i słowa po włosku; rozumiał, że to jest modlitwa.

Amen, pomyślał, czekając. Sprężył się w sobie, poczuł ucisk w żołądku, a jego serce gwałtownie przyspieszyło. Przypomniały mu się słowa: „Uciekaj, Liu Song. Uciekaj!”. I uciekła. Jego matka uciekła od wszystkiego. Uciekła także ode mnie...

Wtem usłyszał trzepot skrzydeł ptaków, które zerwały się całym stadem z przewodu

trakcyjnego. Drut się kołysał, nadjeżdżał tramwaj. William odwrócił głowę. Siostra Briganti patrzyła na niego z góry, z zaciśniętymi ustami. Podała mu kopertę z żetonami na tramwaj i kartką.

– Ta kartka to wiadomość od twojej matki. Zastanawiałam się, czy ci ją dać, ale po tym, co się stało... z Charlotte... – Zakonnica zerknęła w stronę cmentarza. – Zachowaj sobie żeton na jazdę powrotną. – Odwróciła się i odeszła. – Podziękujesz mi, jak wrócisz – rzuciła jeszcze.

Nigdy ci nie podziękuję. I nigdy nie wrócę, myślał William. Przełknął niewypowiedziane słowa i rozłożył kartkę z wiadomością:

*Czekam w hotelu Bush.*

## Dom

1934

William szedł ulicami chińskiej dzielnicy i czuł się jak nowo narodzony. Wyobrażał sobie, że każdy mijany Chińczyk to dawno zaginiony krewny, a każdy kwartał serdecznie go wita. Z rozkoszą chłonał otoczenie wszystkimi zmysłami, przypominały mu rzeczy pamiętane z przeszłości, od rozkosznego, ostrego zapachu sosu ze świeżych ostryg aż po magiczne migotanie podobnych do brokatu rybich łusek w rynsztokach i zmywających węzami chodniki starszych mężczyzn w zakrwawionych fartuchach. King Street prawie się nie zmieniła przez lata jego nieobecności. Słyszał znajome krzyki i śmiechy z uliczek, odległy płacz saksofonu, pieśni śpiewane przez dzieci ze szkoły niedzielnej japońskich baptystów zbierające datki na ubogich, wreszcie odgłosy padających niczym deszcz kościanych kamieni do madżonga. Brakowało tylko dotyku rękawiczki matki, która prowadziła Williama za rękę do teatru Atlas. I stukania jej obcasów, kiedy omijali błotniste kałuże upstrzone niedopalkami i gołębimi piórami.

Tym razem William szedł sam. Słyszał sapanie i gwizdy pociągów, które przyjeżdżały i odjeżdżały z odległego o dwie przecznice dworca. Stał pod hotelem Bush Fireproof i popatrzył na budynek. Wydawał się opuszczony.

Ceglana fasada hotelu wyglądała na trochę mniejszą niż dawniej, ale wysoka budowla i tak wyróżniała się wśród innych. Przywodziła Williamowi na myśl kamień nagrobny, upamiętniający śmierć wszystkiego, co William znał. Wciągał powietrze głęboko w nozdrza, czując odór spalin z dieslowskich silników, zapach pasty do butów, tytoniu, wreszcie metaliczną woń krwi dolatującą od pobliskiego stoiska rzeźnika. Każdy zapach był jak iskierka budząca osobne wspomnienie z czasów jego dzieciństwa. Wszystko, co zapadło mu niegdyś w pamięć, zostało niemal całkowicie zmyte przez środek do czyszczenia drewna i ług w sierocińcu pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Wszedł do hotelu i zapytał recepcjonistę, czy może się rozejrzeć.

– A oglądasz sobie, co chcesz – odpowiedział mężczyzna, cały w kłębach papierosowego dymu. – Trudno dziś utrzymać najemców po tej całej awanturze, chociaż minęło już dużo czasu.

William przez chwilę się zawahał, ale przypomniał sobie, że czytał o człowieku nazywającym się Marcelino Julian. Był to robotnik, imigrant, który półtora roku wcześniej wpadł w szal i zabił sześciu mężczyzn oraz ranił chyba ze dwunastu kolejnych w hotelu i w pobliżu niego. Trudne czasy wyzwalały w ludziach wszystko, co najgorsze. William ruszył po schodach na górę, mijając ciemne plamy na dywanie. Starł się nie wyobrażać sobie makabrycznych scen.

Nie pamiętał numeru apartamentu, w którym dawniej mieszkał, ale nogi same go zaniósły do schodów, z których zjeżdżał na brzuchu po poręczy, narażając się na liczne otarcia. Do połyskującej winylowej wykładziny w korytarzu, która z każdym krokiem zmieniała barwę ze srebrnej na złotą. Szedł pogrążonym w ciszy korytarzem, aż dotarł do drzwi swojego niegdysiejszego mieszkania. Czuł się, jak gdyby po prostu wracał ze szkoły do domu, spóźniony o pięć lat. Jego życiowa droga powędrowała dziwnym objazdem, lecz William jakoś zdołał znaleźć z powrotem właściwy kierunek. Popatrzył na kartkę, którą dała mu siostra Briganti, wiedzona troską czy też poczuciem winy; było mu wszystko jedno czym. Matka informowała po prostu o hotelu Bush, nie podała numeru apartamentu ani nie napisała nic więcej. Jednak

rozumiał to. Jego *ah-ma* wiedziała, gdzie przez te wszystkie lata przebywał William i dokąd pisała do niego, tylko nie przekazywano mu jej listów. Dostał dopiero ten, kiedy zaistniały określone okoliczności. Czy umierając, kupiłaś mi właśnie to? William zapytałby o to Charlotte, gdyby mógł. Czy to radykalne rozwiązanie problemu z ojcem, na jakie zdobyła się Charlotte, zmiękczyło pobożne serce siostry B?

William nie zapukał, tylko ujął w dłoń zimną mosiężną klamkę i otworzył drzwi. Pokój był pusty, pozostał tylko stary dywan i kilka leżących w kącie butelek po piwie. Pachniało kurzem i kocim moczem. Sądząc z pajęczyn pod sufitem, od jakiegoś czasu nikt tutaj nie mieszkał, być może od dnia, kiedy opuścili apartament on i jego mama. Ogołocony z mebli, zasłon, zdjęć na ścianach i niebieskich kwiatów w wazonie pokój wyglądał na większy, niż William pamiętał. Puste pudełko, w którym niegdyś wygodnie mieściły się dom, życie, rodzina. Pozbawione symboli i dowodów życia, przywodziło teraz na myśl mauzoleum, gnijącą jamę, cierpiącą jak skurczony żołądek Williama. Jedyne dom, jaki kiedykolwiek w życiu miał, był obecnie zapomnianą pustką. Nawet duchy musiały się nią znudzić i zmęczyć i czmychnęły w przyjemniejsze miejsca.

– Halo – odezwał się cicho William, ale nie doczekał się odpowiedzi.

Słyszał jedynie odgłosy własnych skórzanych butów i skrzypienie drewnianej podłogi. Zajrzał do sypialni. Pusta, gołe ściany, tylko otwarta szafa ścienna i pojedynczy wieszak. Nawet on wydawał się tak zupełnie nieruchomy, jakby go ktoś namalował. Przez pękniętą szybę okna wpadało jasne dzienne światło, oświetlając chmurę sadzy i pyłu, od której Williamowi zakręciło się w nosie.

Może jej tu nie ma. Może to jakiś ponury żart siostry Briganti?

– Willow? – odezwał się znowu William, pociągając nosem. Zobaczył jakiś poruszający się kształt... Nie, to tylko poderwały się do lotu gołębie, które uwiły sobie gniazdo na schodach przeciwpożarowych. Trzepotały skrzydłami i gruchały, tańcząc jeden nad drugim. Nie widziały Williama.

Przełknął ślinę i powoli otworzył drzwi łazienki. Odkrecono lampę u sufitu, więc stał ponad pół minuty, zanim oczy przyzwyczaiły mu się do ciemności. Serce mu zamarało: w wannie na szponiastych nogach dostrzegł ludzki kształt. To była kobieta. Głowę miała odrzuconą w tył; ponad brudny, pokryty pleśnią brzeg wanny wystawały gołe kolana.

– *Ah-ma*?

Niewyraźnie widoczna kobieta wciągnęła powietrze w nozdrza, ku niemałej uldze Williama, który podszedł bliżej. Miała na sobie jasną bluzkę i spódnicę. W wannie nie było wody. Widocznie kąpała się tylko we wspomnieniach. Przykryła się futrzaną etolą jak kocem. Na dnie wanny, koło odpływu, leżał kapelusz. Uszu Williama dobiegł płacz dziecka z apartamentu na tym samym piętrze. Smutny, desperacki krzyk umilkł zaraz po tym, kiedy się pojawił; być może William tylko go sobie wyobraził?

– *Ah-ma*? – powtórzył.

Nie odzywała się, tylko mrugała powiekami. Białka jej oczu zdawały się jarzyć w ciemnej łazience. Te oczy były mokre od łez.

– Przepraszam, że wtedy, kiedy wróciłaś, już mnie nie było – powiedział, i nagle uświadomił sobie, że przecież miał nadzieję usłyszeć tego rodzaju przeprosiny od niej. Milczała, tkwiła tylko w wannie i wpatrywała się w ścianę przed sobą, jak gdyby oglądała stary film.

– To stało się tutaj – przemówiła w końcu.

Wiem, co tu się stało! William nie chciał powiedzieć tego głośno.

– W tym miejscu w twoim i moim życiu zaszły zmiany – kontynuowała. – To tu cię straciłam.



## Will

1924

Ogarnięta sennością Liu Song z trudem podniosła się z łóżka i podeszła do dziecinnego łóżeczka, w którym na chwiejnych nóżkach stał jej dwuletni synek. Poczła w ciemności jego wyciągnięte ku niej rączki. Wyjęła go z łóżeczka, podłożyła rękę pod jego pulchne uda i przytuliła, przyciskając nos do włosów pachnących liliowym mydłem i świeżym masłem shea, którym natarła go na noc po kąpieli.

– *Ah-ma!* – powiedział dziecięcym głosem.

– *Ćśś...* – uciszyła go, czując dotyk jego maleńkich, przypominających kiełbaski paluszków na swoim policzku, nosie i ustach. Rozpoznawał jej głos i zapach, ale zawsze, a szczególnie po ciemku, dla pewności dotykał jej twarzy. Liu Song poczuła, że odetchnął głęboko. Napięcie jego ciała opadło, jak gdyby uciekał we śnie, ale piaskowy dziadek usypiający dzieci wreszcie go dogonił.

Liu Song zakołysała się w przód i w tył i robiła to jeszcze przez chwilę, zastanawiając się, czy położyć synka z powrotem do łóżeczka. Uwielbiała go kołysać, kiedy był taki spokojny. Gdy przytuliła go po raz pierwszy w życiu, w domu samotnej matki Lebanon Home for Girls, krzyczał i był ciepły i mokry.

Zachwyciło ją, że jego waga urodzeniowa wyniosła dokładnie osiem funtów i osiem uncji: były to aż dwie szczęśliwe liczby obok siebie; choć dzieliła życie tylko ze smutkiem i pechem. Nosząc w sobie dziecko, obawiała się, czy będzie umiała się nim opiekować, ale kiedy tylko je objęła, gdy musnął ją jego oddech i usłyszała cichy płacz, wiedziała już, że macierzyństwo jest dla niej, poczuła się spełniona i miała pewność, że nigdy nie zechce oddać synka.

– Ma na imię William – oświadczyła położnej, po czym spoczęła na oparciu fotela porodowego z dzieckiem w ramionach, zastanawiając się, co duchy jej rodziców pomyślałyby o tak zachodnim imieniu. Żałowała, że nie stać jej na zapłacenie wróżbicy, który przepowiedziałby przyszłość jej synka na podstawie jego daty urodzenia, określiłby, które z pięciu żywiołów wiąże się z jego imieniem. Spoglądała w górę, szukając jakiegoś znaku, wróżby, ale zauważyła tylko brunatne plamki po wyschniętej wodzie i rdzę na popękany blaszanym suficie oraz pajęczyny we wszystkich zakurzonych kątach.

Spoglądając wstecz, stale słyszała dzwoniący jej w uszach głos pana Butterfielda. Ostrzegał Liu Song, że większość ludzi uważa wskazane przez niego zaniedbane przytulisko w północnej części miasta za „przechowalnię kobiet o słabej woli”. Dlatego przyszło jej do głowy imię Will, jak wola. Wydawało jej się naturalnym, stosownym do okoliczności argumentem przeciwko takiej interpretacji. Ponadto to krótkie słowo było podobne do imienia Willow, czyli wierzba – angielskiego tłumaczenia chińskiego imienia Liu Song. Uznała, że Will będzie imieniem. Kiedy pielęgniarki przeniosły ją do małej sali, gdzie świeżo upieczone matki dochodziły do siebie po porodzie, znalazła się z sześcioma innymi dziewczynami i ich nowo narodzonymi dziećmi leżącymi w jednakowych łóżkach. Zapamiętała, że wszystkie jej towarzyszki wyglądały na wyczerpane, były półprzytomne od leków, niektóre wciąż krwawiły albo bardzo cierpiały. Lecz do żadnej z nich nie pasowało określenie „o słabej woli”. Już nie. Liu

Song także zaszła już tak daleko. Zataczała się, upadła, ale minęła na czworakach linię mety, jaką było macierzyństwo. W tym miejscu rozpoczynało się nowe wyzwanie dla niej, mierzone w dniach, tygodniach, miesiącach i latach. Wiązało się z satysfakcjonującą nagrodą, otuloną ciepło, przytuloną do jej piersi.

Liu Song nie chciała obudzić synka. Chodziła trochę po mieszkaniu, później usiadła na skraju łóżka. Szybko okryła się kołdrą, a potem położyła się powoli na plecach w nadziei, że Will się nie obudzi. Poglaskała go, przesuując palcami po jego miękkiej flanelowej piżamce, i poczuła na policzku kroplę jego śliny.

– I co ja z tobą zrobię, Williamie Eng? – zapytała szeptem.

Nienawidziła nazwiska, które im obojgu przydzielono. W schronisku skłamała, mówiąc położnej, że nie wie, kto jest ojcem dziecka, jednak przypominała sobie, że podczas porodu krzyczała, wymawiając imię Leo, przeklinając jego, a także ciocię Eng. Wołała też matkę. Urodziła chłopca, otumaniona potężną dawką bólu i eteru. W rubryce „ojciec” w akcie urodzenia lekarz wpisał: „Leo Eng”. Nazwisko szpeciło świeżutki, pamiątkowy dokument, niczym jakiś ohydny wrzód.

– Urządę kiedyś dla ciebie prawdziwe przyjęcie urodzinowe – szepnęła Liu Song.

W płucach nowo narodzonego Williama zalegał płyn, dlatego trzymano go w Lebanon Home przez długie tygodnie, które zamieniły się w miesiące. Liu Song także tam pozostawała, żeby jej synek mógł być karmiony piersią i w pełni wyzdrowiał.

W zamian za przedłużony pobyt w schronisku oczekiwano od niej udzielania pomocy przybywającym tam kolejnym dziewczynom. Każda z nich była przerażona i samotna. Nikomu nie przeszkadzało, że Liu Song jest Chinką, kiedy starała się, jak tylko mogła, ukazywać niedawno przebytą przez siebie drogę w jaśniejszym świetle. Światło to przygasało jednak, kiedy słyszała, jak mówiono półprzytomnym po porodach młodym matkom, że ich zszargana reputacja będzie obciążeniem dla ich dzieci i że niezamężna kobieta nie nadaje się na matkę. Słuchała, jak na siłę wzbudzano w tych dziewczynach poczucie winy, jak je prowokowano, a na końcu wyłudzano od nich dzieci, i podopieczne ośrodka podpisywały dokument o zrzeczeniu się praw rodzicielskich. Obserwowała ze smutkiem i konsternacją tajemnicze pary, które każdego tygodnia pojawiały się w Lebanon Home i wychodziły z noworodkami, często wrywanymi z ramion histerycznie płaczących dziewcząt. Los tych dzieci i tak wydawał się lepszy niż opuszczonych maleństw, których nikt nie chciał, noworodków niewidomych czy urodzonych bez rąk, dzieci, których matki naprawdę nie chciały albo umarły, wydając je na świat. Te maleństwa zabierali w nieznanne miejsca ponurzy opiekunowie. Liu Song była cichym świadkiem takich powtarzających się tragedii. Zastanawiała się, dlaczego jej nikt nie karmił za przewiny, przyniesienie wstydu rodzinie ani bycie skazą na publicznej moralności. Czemu nikt nie próbował odebrać jej Williama. Z początku sądziła, że to z powodu jego dolegliwości, aż w końcu któregoś dnia popatrzyła na swoje odbicie w wypolerowanym metalu basenu i zrozumiała, że po prostu nikt nie zaadoptowałby malutkiego Chińczyka.

Zamknęła oczy i zdała sobie sprawę, że jej nieszczęście było równocześnie szczęściem Williama. Jej smutek zrodził radość. Kiedyś zamierzała to świętować. Lecz z powodu złego stanu zdrowia synka krótko po urodzeniu Liu Song nie mogła wydać na jego cześć tradycyjnego przyjęcia, na którym podaje się barwione na czerwono jajka i imbir. Nawet teraz ta myśl, choć smutna, była z drugiej strony kojąca: gdyby bowiem wypuszczono ją do domu na czas, sama jadłaby sprężysty makaron *yi mein* serwowany z okazji ukończenia przez dziecko trzydziestu dni. Jej rodzina mogłaby być obecna na przyjęciu jedynie jako duchy. Zасыpiając, pomyślała jeszcze, że gdyby urządziła synkowi to urodzinowe przyjęcie teraz, mógłby już zajadać mający zapewnić długowieczność makaron, samodzielnie wkładając go do buzi rączkami.



\*

Liu Song obudziła się raptownie pięć po szóstej. Nie miała wyboru, ponieważ każdego ranka na Oregon and Washington Station wtaczał się sapiący pociąg linii Shasta Limited, ostrzegając donośnym gwizdem, że się zbliża. Parowy gwizdek miał taką moc, że mimo odległości dwóch przecznic trzęsły się szyby w oknach. Liu Song zerknęła na Williama, który uśmiechnął się tylko i ziewnął. Przeciągnął się, gdy złapała go za noski i zmieniła mu pieluszkę. Potem zaniósła synka do kuchni, gdzie zaczął bawić się na podłodze, podczas gdy ona odgrzewała ugotowany wieczorem ryż, mieszając jego pozlepiane grudy ze słodzonym skondensowanym mlekiem i odrobiną ekstraktu waniliowego. Godzinę później oboje byli już najedzeni, mieli umyte zęby, uczesane włosy i wychodzili na dwór.

Liu Song popychała używany wózek, spacerując z Williamem King Street. Miasto dosłownie rozkwitło: w chińskiej dzielnicy aż roilo się od kwiatów. Gdziekolwiek się z Williamem udawała, wyróżniała się z tłumu. W chińskiej dzielnicy była dziewczyną nie na swoim miejscu, młodą panną z dzieckiem. Bliżej sklepu Butterfielda, do którego się kierowała, była obcą, Chinką w mieście białych ludzi, którzy nie posiadali się ze zdumienia za każdym razem, kiedy mówiła płynną angielszczyzną. Wychwalali jej akcent, za który wcześniej zawsze przeproszała. Jej głos stał się jakimś sposobem zmysłowy, wyrafinowany, tajemniczy. Być może był to po prostu skutek niestrudzonej promocji w wykonaniu pana Butterfielda. Kiedy wróciła do pracy, dał jej podwyżkę: podwoił jej prowizję od każdej sprzedanej strony nut. Miała dzięki temu dochody, których rozpaczliwie potrzebowała. W Lebanon Home pomogli jej złożyć podanie o zasiłek dla samotnych matek, lecz uczciwie odpowiedziała na kwestionariusz, stwierdzając, że nie zamierza posyłać Williama do szkoły niedzielnej. Odmówiono jej przez to zasiłku, tymczasem Liu Song w ogóle nie wiedziała, co to jest szkoła niedzielna. Wyjaśniła, że planuje posyłać synka popołudniami do szkoły chińskiej, kiedy William osiągnie wiek przedszkolny. Nie pomogło jej to, tym bardziej że wciąż podejrzliwie patrzono na niezamężne Chinki.

Kiedy przebywała w domu samotnej matki, nastąpiło kolejne niepomyślne wydarzenie: straciła wynajmowane mieszkanie. Pan Butterfield okazał się tak dobry, że znalazł jej inne schronienie, przeniósł mianowicie jej skromny dobytek do hotelu Bush Fireproof, na rogu Sixth Avenue i Jackson Street. Liu Song czuła się tam bezpieczna. Sześciopiętrowy hotel został zbudowany przez Williama Chappella, byłego strażaka ochotnika. Budynek był nowoczesny, a hotel liczył dwieście pięćdziesiąt pięć pokoi, w tym sto pięćdziesiąt z łazienkami. Liu Song mieszkała w hotelu Bush już od dwóch lat, płaciła dolara i dwadzieścia pięć centów za dzień. Wynajmowany przez nią apartament stanowił maleńkie dwupokojowe mieszkanie, mniejsze niż to przy Canton Alley, zawsze był to jednak jej dom i nie wiązał się z gorzkimi wspomnieniami, które wyzierałyby z każdej ściany, deski podłogi czy panela sufitu.

– Możesz mi odplacić powrotem do pracy, kochana – oświadczył dwa lata wcześniej pan Butterfield. – Kiedy tylko będziesz w stanie wrócić. Klienci już od wielu miesięcy o ciebie pytają. Okłamuję ich, mówiąc, że występujesz w wodewilu i jesteś w trasie, w Kalifornii.

Liu Song postanowiła oddać dług panu Butterfieldowi i zrobić to przed pierwszymi urodzinami synka. Udało jej się w dwukrotnie krótszym czasie, dzięki dodatkowej pracy: tańczyła w weekendy w klubie Wah Mee. Popularny klub z nielegalnym wyszynkiem na Maynard Alley był jedynym miejscem, gdzie reputacja Lee Song stanowiła jej atut. Miała nadzieję, że przydarzy się jej okazja, dzięki której zacznie tam śpiewać, ale dobrze jej płacili jako tancerce. W sobotnią noc, kiedy dokerzy przychodzili ze świeżo otrzymaną wypłatą, zarabiała więcej, sprzedając tańce, niż przez cały tydzień w sklepie muzycznym. Za to pan Butterfield pozwalał jej przychodzić do pracy z Williamem. Uprzątnął nawet dla niego kącik na zapleczu,

gdzie malec mógł ucinać sobie drzemki, podczas gdy Liu Song kusiła klientów piosenkami na ulicy. Zaś kiedy synek nie był zmęczony, raczkował sobie po sklepie, odkrywając nowe światy.

– Możemy zagrać piosenkę dla twojej mamy? – pytał go pan Butterfield, któremu William uwielbiał siadywać na kolanach. Opierał stópki na zdobionych perforacjach czubkach jego pantofli, które naciskały pedały małej pionowej pianoli. – Pedałuj szybciej – mówił pan Butterfield – a przez tę część piosenki wolniej. Potem damy ognia, będzie wielki finał. – Pedały były nie tylko źródłem napędu, ale i kształtowały dynamikę muzyki. Klawisze poruszały się same jak zaczarowane, lecz w pewnym stopniu William rzeczywiście grał. Po zakończeniu piosenki zeskakiwał, wybiegał na dwór i rzucał się w ramiona Willow.

– To ja! – oznajmiał. – To ja dla ciebie grałem!

W taki właśnie sposób Willow spędzała dzień po dniu. Kwadrans pracowała, kwadrans nie – dostatecznie dużo, żeby równocześnie zarabiać na życie i opiekować się synkiem. Była to wyjątkowa przewaga dziennej pracy nad weekendowymi występami w klubie, kiedy musiała prosić o pomoc przyjaciół.

\*

Sączyła herbatę, przyglądając się, jak powieki Williama opadają. Zasnął. Po chwili otworzyły się drzwi jej mieszkania. Liu Song uśmiechnęła się do wchodzącej Mildred.

– Ale wyglądasz w tej sukience! – odezwała się po chińsku Mildred.

Liu Song wstała i wygładziła *cheongsam*. Ktoś inny mógłby w tej długiej sukience wyglądać skromnie, ale dopasowujący się do figury jedwab w zwracający uwagę sposób podkreślał jej kształty.

– Zbyt azjatycka? Za bardzo krzykliwa? Zbyt wiele odsłania? – dopytywała się.

– Niestety... – mruknęła tylko jej przyjaciółka, kręcąc głową. – Chciałabym być taka wysoka jak ty.

Mildred zdjęła płaszcz i kapelusz i patrzyła na pochrapującego delikatnie Williama.

– Ależ on rośnie – skomentowała. Oczywiście miała duże i wyraziste, podkreślone jeszcze zielonym cieniem.

Liu Song przytaknęła z dumą i naląła jej herbaty.

W liceum rozeszła się plotka, że Liu Song zaszła w ciążę, w wyniku czego zmuszono ją, aby przestała chodzić do szkoły. Mildred zwalczała te pogłoski i wbrew woli matki jako jedyna odwiedzała Liu Song w Lebanon Home. Kiedy zaś Liu Song podjęła pracę tancerki w klubie Wah Mee, Mildred zaofiarowała się, że będzie w tym czasie pilnować Williama. Zamierzała robić to za darmo, po prostu żeby pomóc. Liu Song uparła się jednak, żeby jej płacić. Starła się nie pytać Mildred, czy jej matka wie, że znowu się przyjaźnią. I chciałaby, żeby Mildred również potrafiła powstrzymać się od pytań.

– Jak ci się udało zeszlotygodniowa randka?

Liu Song westchnęła, starając się nie okazywać obrzydzenia. Mildred umówiła ją w czwartek na randkę w ciemno z niejakim Haroldem, który niedawno ukończył liceum i pochodził z jednej z najzamożniejszych chińskich rodzin. Okazało się, że podobnie jak bardzo wielu mężczyzn, młodych czy starszych, Harold miał nadzieję nie tyle na randkę, co na pamiętną noc.

– Taki sam jak wszyscy – skwitowała Liu Song.

Jak na ironię, jedynym powodem, dla którego większość mężczyzn decydowała się z nią umówić, był William. Nie dlatego, żeby chcieli się z nim bawić, lecz z powodu tego, że, jak to ujął Harold: „Wiesz, pole już zaorane – dlaczegóż od czasu do czasu czegoś w tej glebie nie posadzić?”.

– Jesteś zbyt wybredna – oceniła Mildred, wyciągając marlboro. Tak jak wiele innych kobiet wybierała właśnie te papierosy ze względu na czerwoną opaskę wokół filtra, na której nie było widać plam od szminki. Podeszła do kuchenki, nachyliła się i zapaliła papierosa od płomyka. – Patrzyłaś ostatnio w lustro? Mogłabyś mieć każdego mężczyznę, jakiego byś chciała.

– Nie chcę żadnego mężczyzny.

Mildred uśmiechnęła się, równocześnie przewracając oczami, jakby mówiła: „Rób, jak uważasz”.

Nastała chwila milczenia. Mildred zaciągnęła się papierosem. Zaczęła oglądać swoje polakierowane paznokcie, po czym znowu spojrzała na Liu Song.

– Powiesz mi kiedyś wreszcie, kto jest ojcem?

Liu Song odszukała kopertówkę i rękawiczki.

– William nie ma ojca – odparła.

– Ależ oczywiście. Odkryłaś synka pod górą głązów, jak Małpiego Króla – ironizowała Mildred. – Powiadomisz mnie, proszę, kiedy nauczy się latać na chmurze? Zaoszczędziłabym mnóstwo pieniędzy na żetony na tramwaj.

– Ma mnie, więcej nikt nie musi wiedzieć. – Liu Song ucałowała śpiącego synka w malutkie, wypukłe usteczka. Popatrzyła na Mildred, oparła rękę na biodrze i rzuciła: – Tylko żadnych chłopaków, nie zgadzam się. Twojej matce by się to nie spodobało.

– Mojej matce nie spodobałoby się mnóstwo rzeczy – odpowiedziała Mildred, chichocząc, i wypuściła w powietrze idealne kółko z dymu. Zawisło pomiędzy dwiema przyjaciółkami jak niespełnione marzenie.

Liu Song rozproszyła je ruchem ręki i jeszcze raz spojrzała na Mildred, puszcżając oczko.

– Dobrze, nie przyjdą tu żadni chłopcy, obiecuję ci – oświadczyła Mildred, zaklęła po chińsku i opadła głośno na podniszczoną rozkładaną kanapę. – Poczytam sobie książkę albo coś...

## Klub Wah Mee

1924

Klub Wah Mee znajdował się w odległości zaledwie jednej przecznicy od hotelu, schowany w Maynard Alley. Liu Song ten wypełniony oparami whisky lokal wydawał się bardzo odległy od reszty miasta, a tym bardziej od chińskiej dzielnicy. Okazałe bezalkoholowe kluby Luc Ngi Music Society czy Yue Yi Club witały jaskrawymi neonami, w środku zaś umilali klientom czas przystojni muzycy z Hongkongu o gładko zaczesanych do tyłu włosach, ubrani w jednakowe marynarki; stali na ozdobionej złotymi liśćmi scenie, grając na strunowym *yi wuh* i na saksofonie tenorowym. Wah Mee stanowił inny świat, którego łatwo było nie zauważyć. Gdyby nie stały napływ i odpływ klientów, można by w ogóle nie wiedzieć, że znajduje się tam klub nocny. Tego wieczoru na ulicy roіło się od mężczyzn. Niektórzy mieli na sobie tradycyjne jedwabne marynarki z wizerunkami smoków, ale większość nosiła zachodnie garnitury i krawaty oraz kapelusze do kompletu.

Liu Song minęła pieszego policjanta; stał w miejscu, w którym uliczka krzyżowała się z inną. Kłaniał się przechodniom, co przypomniało Liu Song historię opowiedzianą jej któregoś dnia przez pana Butterfielda. Dotyczyła miejscowego dystrybutora nielegalnego alkoholu, Roya Olmsteada, nazywanego w Seattle królem rumu. Dorobił się fortuny, sprowadzając skrzynki alkoholu z Kanady. Otóż jego żona Elsie prowadziła w radiu popularny program dla dzieci. Plotki głosiły, że przy okazji codziennie nadawała ukryte komunikaty informujące o miejscu dostawy danej nocy. Tu zaś pod okiem policjanta dziesiątki ludzi wchodziły w uliczkę i z niej wychodziły. Mijając ich, Liu Song domyślała się, że Elsie Olmstead musiała tym razem snuć opowieść o niebiańskich istotach z chińskiej dzielnicy.

Liu Song minęła jedyne okno klubu, wykonane z luksferów. Widać było przez nie niewyraźne sylwetki poruszających się w środku ludzi, rozmyte i zniekształcone, jak gdyby goście klubu znajdowali się pod wodą. Dotarła do wejścia i przekręciła klucz, który uruchamiał dzwonek. Zajrzała do środka przez luksfer i zamachała, wtedy światło przesłonił duży cień. Zaraz potem ciężkie drewniane drzwi otworzył potężny, krępy mężczyzna. Liu Song usłyszała muzykę i śmiechy niesione ciepłym prądem dymu papierosowego oraz przemożną woń nieświeżego piwa.

– Słodka Willow – odezwał się po kantońsku mężczyzna o wyraźnie chłopskiej wymowie. Miał na sobie ciemnozielony garnitur i białe skórzane buty. Wymówił jej imię beznamiętnym tonem, bardziej jak stwierdzenie niż powitanie. Skinął także na kilku chińskich i filipińskich gości, żeby wchodzili, rozejrzał się po uliczce i zamknął drzwi na klucz.

Liu Song zameldowała się u kierownika i podpisała pod odpowiednią datą i godziną swoją kartę tańców. Trzyosobowa orkiestra klubu grała już znaną melodię, w kolejce po taniec stało dwóch białych marynarzy. Jeden taniec kosztował pięć centów, niektórzy mężczyźni płacili więcej, dając Liu Song napiwki. Zatańczyła z dwoma wojskowymi, rozmawiając z nimi trochę i starając się, jak tylko mogła, stworzyć złudzenie, że jej na nich zależy. Podczas tych nocy, kiedy czuła się zmęczona udawaniem, zachowywała się, jakby nie mówiła po angielsku. Nie uważała się za tancerkę. Myślała o sobie jako o aktorce, która występuje dla jednoosobowej publiczności. Tak było prościej.

Drugi marynarz prowadził ją skrajem parkietu, tańczyli fokstrotą. Zataczali niespiesznie wielkie koło. Podczas drugiego okrążenia, Liu Song z przerażeniem dostrzegła kątem oka starszawego, łysawego mężczyznę w workowatych spodniach, oksfordach. Stał przy barierce otaczającej maleńki, ręcznie malowany stolik do gry w kości. Mężczyzna podwinął rękawy koszuli, szelki zwieszały mu się poniżej pasa. Z kącika jego ust zwisał niepewnie niezapalony papieros. Gość ów raz po raz odbijał dwie kostki do gry od ściany bezpośrednio za stolikiem. W końcu pozostali gracze jęknęli, a on energicznie uniósł ręce i zaklął, najpierw po kantońsku, potem po angielsku, jak gdyby jeden język nie wystarczał mu do wyrażenia złości.

Wujek Leo, pomyślała Liu Song. Raz czy dwa widziała go wcześniej z daleka na ulicy, ale udawało jej się uniknąć spotkania. Aż do teraz... Krupier zgarnął żetony ze stołu i układał je w równe stosiki, zielony, czarny i czerwony. Gracz w szerokich spodniach podniósł głowę i Liu Song zauważyła, że to nie wujek Leo, ale inny mężczyzna, zwykły gość klubu. Tej nocy najwyraźniej miał wyjątkowego pecha podczas gry.

Taniec się skończył, a Liu Song zaczęła się zastanawiać nad tym, jak wielkim strachem napawa ją myśl o nieuniknionym spotkaniu z pijanym ojczymem. Często wyobrażała sobie, jak Leo odwraca się od stołu do gry w kości ku parkietowi, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu zapalniczki. Śniły jej się takie koszmary; Leo żądał w nich, żeby to ona zapaliła mu papierosa. Oglądał jej smukłe kostki, później pożądliwie patrzył na jej krągłości, a dopiero na koniec nawiązywał kontakt wzrokowy.

Przyjrzała się nieznanemu mężczyźnie, który nie był wujkiem Leo. Wciąż była przerażona, ale czego się bała? Sama nie była pewna. Chyba tego, że przez samą obecność wujka Leo ludzie mogą poznać wstydlive zdarzenia z jej przeszłości. Albo że pójdzie za nią i zaciągnie ją do swojego obecnego mieszkania. Że dowie się o Williamie. Poczula skurcz w żołądku.

Tymczasem pechowy gracz podszedł do niej. Znieruchomiała. Miał zdobione skórzane obuwie, ale w swoich butach na wysokich obcasach Liu Song i tak była o dwa czy trzy centymetry od niego wyższa. Popatrzył w górę, na jej twarz, i skrzywił się, podczas gdy Liu Song poczuła mdłości, przypomniał jej się odór wujka Leo. Gość klubu także cuchnął, jak wujek Leo w jej nocnych koszmarach. Przechodząc, wypuścił jeszcze dym z papierosa, a ona nie poruszała się, zrobiwszy taką minę, jakby spała na stojąco. Szatniarka podała mu płaszcz i kapelusz i nagle Liu Song zakręciło się w głowie: zobaczyła, jak wujek Leo z trzaskiem podciąga szelki. Potem sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął skórzany portfel, otworzył go i pokazał jej, że portfel jest zupełnie pusty. Następnie włożył rękę do kieszeni spodni i po dłuższej chwili wyciągnął srebrny pojemniczek na monety, także opróżniony.

– Twoje szczęście, że miałem pecha, grając w kości – odezwał się, wzruszając ramionami. – Gdybym wiedział, że tancerki są tak śliczne jak ty, zaoszczędziłbym z dziesięć czy dwadzieścia centów. Bo właśnie tyle jesteś warta. – Splunął na podłogę. – Nie obchodzi mnie duch twojej matki i nie zależy mi na tobie. Zależy mi tylko na...

Liu Song zamrugnęła powiekami i wujek Leo zniknął; na jego miejscu stał obcy mężczyzna, na którego twarzy malowało się zmieszanie. Wzruszył ramionami i uchylił kapelusza, po czym na chwiejnych nogach minął portiera i, nie oglądając się, wyszedł z klubu. Liu Song odzyskała czucie w rękach i nogach, znów mogła oddychać. Czuła się, jakby obudzono ją ze złego snu; zastanawiała się, co się stało. Zawsze sądziła, że gdyby spotkała ojczyma, wszystko potoczyłoby się inaczej, okazałaby się silniejsza, a jego upadki być może wzbudziłyby w niej satysfakcję. Lecz nawet otarcie się o wspomnienie wujka Leo nie pozostawiło w niej ani poczucia siły, ani radości. Wstrząsnęło ją to, jak strasznie ciągle się go boi, jak bardzo sparaliżowana i bezradna się czuje. Przerażona, a równocześnie jakby oderwana od rzeczywistości. Poprzednio, kiedy rzeczywiście raz i drugi widziała wujka Leo, był pijany.

Wolałaby, żeby nigdy nie trzeźwiał. Pamiętała, że groźniejszy bywał na trzeźwo.

\*

Owej nocy Liu Song wyszła z pracy wcześniej, i to mimo że na karcie były jeszcze pozapisywane imiona mężczyzn czekających na taniec. Nie mogła się uspokoić, dopóki nie zobaczyła Williama. Biegła do domu tak szybko, jak tylko pozwalały jej na to buty na wysokich obcasach; omal nie pośliznęła się na mokrym i tłustym chodniku. Błyskawicznie weszła po schodach i wpadła jak burza do mieszkania, budząc zdumienie przyjaciółki.

Mildred zasnęła przy czytaniu czasopisma „Picture Play”. Zamrugła powiekami, przeciągnęła się i usiadła, a potem spojrzała na zegar, poprawiając włosy.

– Wróciłeś wcześniej – zauważyła. – Mało klientów czy może czegoś zapomniałeś? Stało się coś złego?

– Nic się nie stało – skłamała Liu Song. – Miałam tylko dziwne przeczucie...

– Powiedziałam, że nie sprowadzę żadnych chłopaków, i tym razem nie miałam zamiaru tego robić. – Mildred ziewnęła. – Obiecałam ci.

Liu Song ruszyła do sypialni. William spał smacznie w łóżeczku, do połowy przykryty kocą. Wyglądał bardzo spokojnie, jakby na świecie nie istniały żadne troski. Liu Song przyglądała się, jak synek oddycha. Dotknęła jego miękkiego, ciepłego policzka i uspokoiła się trochę.

– Przepraszam cię, Williamie – szepnęła, na wpół oddychając z ulgą, a na wpół wzdychając. Czowała się zmęczona.

William chrząknął lekko i wyduł usta, chyba coś mu się śniło.

– Przepraszam, że nie mogę być przy tobie przez cały czas. Ale nie pozwolę, żeby stało ci się coś złego. Zrobię wszystko, żebyś zawsze był bezpieczny.

## Karta tańców

1924

Minęło parę miesięcy, zanim Liu Song przestała codziennie bać się spotkania z wujkiem Leo, zanim przestały dręczyć ją co noc paraliżujące koszmary. Całymi tygodniami sypiała z Williamem i gdziekolwiek szli, oglądała się przez ramię. W ciągu kilku kolejnych nocy w Wah Mee była bardzo nerwowa, pełna napięcia. Jej ojczym nie pojawił się jednak ani razu, przynajmniej nie podczas jej obecności w klubie. Może poszedł ze swoim pechem gdzie indziej? – zastanawiała się Liu Song. Albo był zbyt zajęty prowadzeniem interesów, swoimi pralniami. Któż to mógł wiedzieć? Raz zobaczyła go na ulicy, ale udało jej się skręcić i pójść w inną stronę, zanim ją zauważył. Cieszyła się z jego nieobecności, bowiem nawet jeśli miała nigdy więcej nie widzieć jego twarzy, i tak jakaś jego cząstka zawsze miała jej towarzyszyć. Jakże mogła przytulać Williama, kąpać go, śpiewać mu i kochać go pod każdym względem, równocześnie nie dopuszczając do siebie dręczących ją nad ranem koszmarów z przeszłości?

William był cudem, prawdziwym cudem. Łagodnym chłopczykiem o błyszczących oczach i delikatnej duszy, który potrafił odwzajemnić jej wielokrotnie całą miłość, jaką do niego żywiła. Im bardziej adorowała synka, tym mocniej czuła się uwielbiana. Zastanawiała się, czy właśnie w taki sposób jej *ah-ma* kochała swoją *lou dou*. Myślała także o tym, jak jej matka wyszła za wujka Leo, jak po raz drugi złożyła w ofierze na ołtarzu miłości siebie samą i została drugą żoną. Robiła to wszystko dla mnie, myślała ze łzami w oczach Liu Song, przepełniona wdzięcznością pomieszaną z poczuciem winy. Właśnie tym jest miłość: nie egzaltowanym dramatem, jaki odgrywają gwiazdy kina, raz po raz przewracając oczami, ale czymś prawdziwym i bezwarunkowym, co sięga w głąb serca, jak moja miłość do Williama.

Uśmiechnęła się, czując dłonią dotyk jego malutkiej rączki w rękawiczce z jednym palcem. W drugiej rękawiczce wycięła dziurkę i William chętnie z niej korzystał. Z uśmiechem patrzyła, jak niezdarnie dreptał przy niej, ssąc kciuk, a spod jego czapeczki wystawała kępka czarnych włosów. Szli do sklepu; Liu Song zostawiła wózek w domu, mając nadzieję, że wysiłek zmęczy jej synka. Długi spacer na małych nóżkach był w jego przypadku najlepszym sposobem na spokojny sen przez całą noc – a przynajmniej przez pierwszą godzinę. Mildred miała właśnie niezmiernie ważną randkę i mogła przyjść dopiero później. Plan wieczoru nie podobał się Liu Song, nie miała jednak innych możliwości. Była zmuszona położyć Williama do łóżka i pozostawić go samego do czasu przybycia Mildred.

Okropnie się bała tak go zostawiać. Zrobiła to dotąd tylko raz, kiedy Mildred zatelefonowała i powiedziała, że się parę minut spóźni. Klub Wah Mee znajdował się na szczęście przecnicę dalej. Ponadto sąsiadka, poważna starsza wdowa, obiecała zatelefonować do niej, gdyby William się obudził i nie mógł uspokoić. Liu Song poprosiłaby ją o popilnowanie dziecka przez godzinę, jednak ta starsza kobieta była lekko upośledzona.

Nad wodami zatoki Puget wzeszedł księżyc w pełni. Liu Song położyła synka spać, walcząc z niepokojem i poczuciem winy. Zdjęła z włosów lokówki, nałożyła makijaż i z zalem wyszła. Zatrzymała się na korytarzu, spodziewając się, że William zawoła ją zza zamkniętych drzwi, ale usłyszała jedynie szum wody w rurze kanalizacyjnej; ktoś musiał spuścić wodę w toalecie na wyższym piętrze. Liu Song odczekała jeszcze minutę, nasłuchując uważnie, lecz

było całkiem cicho. Westchnęła i ruszyła do klubu.

– Słodka Willow, masz dziś powodzenie – oznajmił na powitanie portier. – Jakiś dżentelmen wynajął cię na cały wieczór.

Willow przystanęła i zajrzała do słabo oświetlonego wnętrza klubu pełnego Chińczyków obojga płci. Było nawet kilka par Japończyków i trochę Koreańczyków, którzy pili i grali w gry hazardowe. Przy stolikach i barach roіło się od ludzi.

– Czy to jeden ze stałych klientów? – spytała Liu Song, machinalnie dotykając perłowych guzików bluzki.

– Ten człowiek zatelefonował wcześniej – odpowiedział portier, wzruszając ramionami. – Mówił, że chce, żeby wypełnić jego nazwiskiem całą twoją kartę tańców. Tłumaczyłem mu, że będzie go to kosztowało niemałą sumkę, a on na to, że się zgadza.

Właściciele Wah Mee sprzedawali wprawdzie gościom nielegalny alkohol oraz oferowali gry hazardowe: fan-tana, faraona, blackjacka i birdcage, jednak poczytywali sobie za punkt honoru prowadzenie „normalnego klubu”. Tancerki przyłapane na proponowaniu „czegoś na boku” natychmiast wyrzucano z pracy. Liu Song wiedziała, że dziewczęta tego typu szybko znajdowały stałe zatrudnienie gdzie indziej.

– Nie rozumiem – stwierdziła.

– Miał bardzo konkretne wymagania – powiedział portier. – Mówił z dziwnym akcentem, ale wydawał się niegroźny. Siedzi przy barze, sama mu się przyjrzyj.

Liu Song szukała wzrokiem wujka Leo, mając w pamięci jego silny kantoński akcent. Zastanawiała się nad wymówką, jaką mogłaby przedstawić szefowi, żeby natychmiast wyjść z klubu. Zamierzała się zwolnić, jeśli będzie musiała. Rozpoznała jednak pośród kłębow dymu papierosowego innego, eleganckiego mężczyznę. Ubrał się stosownie do okazji: miał na sobie czarną koszulę, biały smoking i getry osłaniające obuwie i kostki. Nosił trochę dłuższe włosy. Liu Song z nieopisaną ulgą rozpoznała uśmiechającego się szeroko Colina. Była zachwycona – lecz już po chwili ogarnął ją wielki wstyd. Unikała kin, a nawet nowego gmachu China Gate Opera House, żeby nie spotkać Colina. Wstydziła się tego, że tak wiele rzeczy pozostawiła bez wyjaśnienia. Czuła się też bardzo niezręcznie, nie była pewna, jak wytłumaczyć Colinowi istnienie tajemnicy, która czekała na nią w domu i wołała na Liu Song *ah-ma*. Tajemnicy w piżamce ze stópkami.

Colin wydawał się jednak naprawdę uradowany widokiem Liu Song, pomachał do niej. Szybko przestała się więc czuć niezręcznie, za to wciąż spodziewała się rychłej katastrofy, jak osoba stojąca w słoneczny dzień na pokładzie jachtu, który właśnie zaczął tonąć. Musiała się przemóc, żeby nie zagryźć warg, kiedy Colin powoli ruszył w jej stronę. Bardzo nie chciała znowu sprawić mu zawodu, lecz podejmując się pracy w klubie, spodziewała się, że prędzej czy później będą się zdarzały tego rodzaju dziwne spotkania. Chińska dzielnica nie była duża, istna wioska w środku miasta. Liu Song i tak miała szczęście, do tej pory pozostając w cieniu.

– Co tydzień biegam do kina, licząc, że zobaczę twoją uśmiechniętą twarz – odezwał się na powitanie Colin. – Jakże dawno się nie widzieliśmy! Sądziłem, że wyprowadziłaś się z Seattle. Pan Butterfield mówił, że wyjechałaś na dłuższy czas do Kalifornii.

Niezupełnie, odpowiedziała w myśli Liu Song.

– Ja też myślałam, że wyjechałaś. Byłam... tutaj – wyznała smutno, pokazując na wnętrze klubu. – Zaszły pewne zmiany w moim życiu... – Nie mogła mówić dalej; kręciła się nerwowo w poszukiwaniu odpowiednich słów.

– Gratuluję ci. – Colin dotknął lekko jej ramienia, żeby rozwiać widoczny na jej twarzy niepokój. – Zobaczyłem cię w zeszłym tygodniu na ulicy przez okno sklepu. Wyglądałaś jak piękny duch swojej matki, i pchałaś wózek. Z początku pomyślałem, że ktoś mógł zatrudnić cię



jako nianię, ale potem zobaczyłem, jak przytulasz dziecko. – Ujął jej dłoń. – Na pierwszy rzut oka rozpoznaję prawdziwą miłość.

Liu Song ledwie była w stanie oddychać.

Ktoś nakręcił za barem gramofon i pośród grzechotu toczących się kości, brzęku kieliszków i szmeru rozmów, prowadzonych w różnych językach, dialektach i gwarach, rozległa się leniwa stara melodia do tańca w rytmie na dwa. Wraz z każdą przegraną lub wygraną rozlegały się zbiorowe okrzyki. Hałas cieszył Liu Song, tłumił szum w jej uszach.

– W pierwszej chwili było mi smutno – kontynuował Colin, sącząc drinka. – Choć przynajmniej rozumiałem, dlaczego zniknęłaś. Nie widać jednak nigdzie twojego męża...

– Nie jestem... – odpowiedziała z wahaniem Liu Song. – Nie jestem mężatką i nigdy nie byłam.

– Rozumiem, w porządku, możesz mi wierzyć. Życie jest skomplikowane. Sam o tym wiem...

– Chciałam ci powiedzieć, ale po prostu zupełnie nie wiedziałam jak. – Liu Song wyrzuciła z siebie szybko przeprosiny, zachowując się tak, jakby wyznanie wszystkiego naraz miało mniej boleć. – Byłam w Empress tamtego wieczoru, kiedy występowałeś w *A Chinese Honeymoon*. Bardzo źle się czułam i było mi okropnie smutno. Nie ma dobrego wytłumaczenia dla mojego postępowania...

– Nie musisz się tłumaczyć, Liu Song. Czy Willow? Na marginesie, Willow to doskonały pseudonim dla aktorki filmowej. – Colin zamówił kolejne bronx martini i gazowany napój winogronowy dla Liu Song. – Zwyczajnie zapragnąłem znowu cię zobaczyć. Byłem w Vancouverze i w Idaho, zagrałem epizody półkrwi Chińczyka w dwóch filmach Nell Shipman. Otworzyła własne studio koło Coeur d'Alene, robi wrażenie. Dostałem także angaż do filmu z serii *Streamliners*. Ma on nosić tytuł *Balto's Race to Nome*, akcja będzie się działa na Alasce, a ja będę grał Eskimosa z plemienia Inupiat. W rzeczywistości będziemy kręcić koło masywu Mount Rainier. To chyba znaczy, że znalazłem się blisko srebrnego ekranu. Ogromnie to wszystko ekscytujące.

Liu Song usiadła przy barze, dotykali się kolanami. Kiedy przechodził obok szef klubu, Colin podał mu kartę tańców Liu Song oraz banknot dziesięciodolarowy. Potem uśmiechnął się i opowiadał jej o swoich nadziejach i radościach. Rozmawiali przez godzinę, podczas której zamówił dwa kolejne drinki. W końcu pojawiło się trzech muzyków, którzy zaczęli grać uproszczoną wersję ragtime'u. Colin poprowadził Liu Song na parkiet i zatańczyli fokstrota. Liu Song była zachwycona, tańcząc ze znanym sobie mężczyzną, a nie zupełnie obcym, marynarzem na przepustce czy zamożnym jegomościem, który ciągle opowiada o sobie i swoich pieniądzach. Nie zmuszała się do prowadzenia grzecznej rozmowy. Nie musiała udawać jak aktorka na scenie czy przed kamerą. Tańczyła, aż rozbolały ją stopy. A wtedy Colin zdjął jej buty i trzymał je za plecami Liu Song, ona zaś objęła go w pasie i przywarła do jego piersi. Czuła, jak Colin unosi ją razem ze wszystkimi jej troskami. Powoli okrążali zatłoczony parkiet, nie zważając na to, że orkiestra zaczęła grać szybszy utwór. Liu Song byłaby w stanie zasnąć w pozycji, w jakiej się znajdowała, otoczona, otulona przez Colina. Rozumiała teraz, jak czuł się William, kiedy z miłością kołysała go łagodnie do snu, i dlaczego zadowolony spał tak głęboko. Jeszcze nigdy nie czuła się tak bezpieczna, chroniona, upragniona. Zastanawiała się tylko, dlaczego Colin nie pytał jej o Williama.

Orkiestra zrobiła sobie przerwę i Colin zaproponował Liu Song, żeby wyszli się przewietrzyć. Znaleźli się w ulicze, w towarzystwie wchodzących i wychodzących gości klubu. Jedni śmiali się i mieli radosne miny, inni chwiali się i potykali.

– Przyjemna noc. Moglibyśmy się przejechać samochodem – zaproponował Colin. –

Chyba że...

Liu Song się rozejrzała.

– Przepraszam – odezwał się znowu Colin. – Czy jest ktoś inny...?

– Nie, absolutnie. Po prostu pracuję i...

– Zapłaciłem za wszystkie twoje tańce. W każdej chwili możesz wyjść.

Liu Song zerknęła na portiera, a ten skinął głową na potwierdzenie słów Colina.

Colin zaofiarował się podwieźć ją do domu, mimo że mieszkała naprawdę bardzo blisko.

Miał nowego chryslera z dachem.

– Pojedziemy trasą widokową – zapowiedział, otwierając przed Liu Song drzwi. Narzucił jej na ramiona szal, mimo że samochód miał ogrzewanie. Ruszywszy, wyjechał z chińskiej dzielnicy, mijając zakład fotograficzny Aiko, a potem szewski Cesare Galletti's Boot and Shoe Repair. Liu Song obejrzała się i popatrzyła na malejący neon. W tej chwili Mildred powinna być z Williamem, więc Liu Song odprężyła się. Jechali na północ. Okrążyli Green Lake, przejeżdżając obok pięknych osiedli nowych domów jednorodzinnych w stylu tudoriańskim. Jechali jak gdyby odbywali paradę, a Colin był marszałkiem i z dumą pokazywał wszystko królowej. Liu Song odczuwała wielką radość, ale i niepokój: jeszcze nigdy nie znajdowała się tak daleko od Williama.

Poprosiła Colina, żeby zawrócił, pojechali więc w stronę centrum. Mijali wspaniały gmach Coliseum Theatre.

– To pierwsze kino, teatr zbudowany tylko dla wyświetlania filmów. Chciałbym cię tu kiedyś zaprosić – powiedział Colin, jak gdyby nigdy nic. – Jest wspaniałe. Któregoś dnia to ty pojawisz się na jego ekranie. Będziesz łamać serca już pierwszym spojrzeniem, nie mam w tej sprawie wątpliwości.

Początkowo Liu Song starała się przyjmować jego pochwały ze skromnością, powściągliwie, jednak nie była w stanie robić tego długo. Wkrótce po prostu się cieszyła istnym deszczem komplementów Colina. Kiedy znaleźli się z powrotem w chińskiej dzielnicy, nerwy Liu Song znowu dały o sobie znać. Poczula się, jak gdyby była zobowiązana do spełniania przez całą noc życzeń Colina, który zapłacił za jej towarzystwo. Z każdym mijanym skrzyżowaniem wahała się coraz bardziej, czy na pewno chce wracać, ponieważ zdała sobie sprawę, że i tak zrobiłaby wszystko, o co tylko poprosiłby ją Colin. Lecz gdy zatrzymali się pod hotelem Bush, Colin nie wysunął żadnych propozycji.

Wysiadł i otworzył przed nią drzwi auta. Znalazłszy się na chodniku, Liu Song pocałowała swojego towarzysza w policzek. Podziękowała mu za podwiezienie i za wspaniały wieczór. Colin na nic nie nalegał, nie dotykał jej, niczego nie proponował ani nie sugerował. Uśmiechał się tylko w świetle latarni, podczas gdy obok przechodzili na chwiejnych nogach balowicze, a ze wszystkich wciąż otwartych klubów płynęły najrozmaitsze dźwięki. Colin wskazał księżyc, który wyglądał zza czubka górującego nad Seattle jak obelisk Smith Tower.

– Chciałbym cię tam kiedyś zabrać.

– Na księżyc?

– Na platformę obserwacyjną na szczycie wieżowca – odparł ze śmiechem Colin. – Sam nigdy tam nie byłem, a podobno widok jest naprawdę wyjątkowy. Chciałabyś tam pójść? Nie ty sama, ale czy chcielibyście tam pójść z...

– Williamem – dokończyła z dumą w głosie Liu Song. – Mój synek ma na imię William. Ma dwa lata, już prawie dwa i pół. Chodzi, mówi...

– Czy ty i William wybralibyście się ze mną na ten taras?

Liu Song poczuła się lekko dezorientowana. Czy to była randka, czy też niecodzienny gest przyjaźni? Większość kawalerów w wieku i o statusie materialnym Colina nie chciała mieć

nic wspólnego z kobietami obciążonymi dziećmi bez ojców.

– William jest z tobą w pakiecie. Nie wyobrażam sobie, jak mógłbym zaprosić tylko jedno z was. Chciałbym go poznać. Czy się zgodzisz?

Liu Song miała łzy w oczach. Sama się dziwiła sile własnych emocji, uczuć do Colina. Rumieniła się, czuła gorąco na policzkach. Z uśmiechem skinęła głową; była tak podekscytowana, że ledwie powstrzymała wybuch radości. Poprzysięgła sobie wcześniej, że jeśli będzie się umawiała z jakimiś mężczyznami, to kimkolwiek by byli, będzie trzymała Williama z daleka od nich. Teraz nagle nie mogła sobie przypomnieć dlaczego.

– Z największą radością – odpowiedziała.

– Może w następną sobotę? Podjadę po was w samo południe.

Colin uchylił kapelusza i odjechał. Liu Song patrzyła za nim, dziwiąc się, dlaczego tak długo go unikała. Ze ściśniętym sercem myślała o tym, że nie widzieli się przez całe lata. Chciałyby cofnąć czas.

## Fotel życzeń

1924

Nadeszła sobota i Liu Song wykąpała Williama w kuchennym zlewie pełnym piany. Umyła synkowi głowę dziecięcym szamponem i nauczyła go puszczać bańki mydlane, które unosiły się w powietrzu, niesione ciepłym prądem znad kaloryfera, aż pękały na zimnej szybie dużego pokoju, pozostawiając okrągłe mydlane tęcze. Uśmiechała się, patrząc, jak jej synek chłapie i śmieje się za każdym razem, kiedy pojawia się nowa bańka.

Wytarła go i ucałowała jego maleńkie stópki, a potem zaśpiewała mu starą chińską kołysankę. Prawie nie pamiętała słów, ale Williamowi to nie przeszkadzało. Tworzył własne i próbował śpiewać razem z nią. Później ubrała go w jego najładniejszy strój: granatowy kombinezon i białą koszulkę, a także dziecięce skórzane buciki, których sznurowadła zawiązała podwójnie. Co ciekawe, bardziej przejmowała się wyglądem Williama niż własnym, choć nocą przewracała się z boku na bok z wałkami na włosach. Miała nadzieję, że poza klubem zrobi na Colinie dobre wrażenie, ale jeszcze mocniej myślała o tym, żeby przyzwoicie prezentował się William. Chciała być traktowana poważnie jako dumna, odpowiedzialna matka, zapomnieć o tym, że jest samotną matką, i o wiążącej się z tym opinią dziewczyny upadłej, czyli gorszego gatunku. Aktorstwo, występowanie gdziekolwiek, oznaczało piętno, ale Liu Song przyzwyczyła się już do tego, w końcu przez całe życie przygotowywała się do roli aktorki – osoby w dziwny sposób równocześnie uwielbianej i otwarcie pogardzanej. Bycie samotną matką oznaczało wstyd, i to taki, który niełatwo było ukryć bądź zatrzeć. Do tego Liu Song nie zdradziła szczegółów dotyczących ojca Williama nikomu. Nawet panu Butterfieldowi ani Mildred.

Usłyszała pukanie. Spojrzała w lustro, uszczypnęła się w policzki i uśmiechnęła. William zaczął coś mówić, wołał ją. Wzięła go na ręce, oparła jego pulchną pupę o biodro, jeszcze raz zerknęła w lustro i otworzyła drzwi. Jej oczom ukazał się Colin z bukietem powojów.

– Widziałem, jak po wielkim występie twojej matki twój ojciec dał jej właśnie takie kwiatki. Zapewne jej ulubione.

– O wszystkim myślisz – pochwaliła go Liu Song, kiwając głową. – Rodzice dla żartu dawali sobie nawzajem białe powoje tego gatunku. Kiedy się poznali i dopiero uczyli aktorstwa, byli bardzo ubodzy, niemal co wieczór jadali na kolację zerwane przez siebie wilce wodne. Kwiaty tego wodnego szpinaku wyglądały prawie tak samo jak te, jednak te o wiele piękniej pachną.

– Zamienimy się – powiedział Colin. Z uśmiechem podał jej kwiatki i wziął na ręce Williama, który wyglądał na bardzo zaskoczonego bliskością obcego mężczyzny. Liu Song zbliżyła do nosa słodko pachnący bukiet i znalazła wazon. Obserwowała Colina, który tymczasem założył jej synkowi swój kapelusz. Mała główka zniknęła pod szerokim filcowym rondem, choć spod niego wylaniał się uśmiech.

Kiedy wyszli z mieszkania, Colin wyjaśnił, że przyjechał z wynajmowanego przez siebie domu w Beacon Hill. Pogoda była ładna, ciepła, odpowiednia na spacer. Ruszyli więc we troje chodnikiem, Colin z galanterią popychał wózek. Liu Song obserwowała ich odbicia w witrynach sklepów. Na pierwszy rzut oka wyglądali jak idealna rodzina. Liu Song postanowiła założyć na tę okazję jadeitową obrączkę matki. Przejrzała się w szybie wystawowej. Sprawiała wrażenie

wzorowej mężatki.

Obserwując swoje odbicie, zwróciła uwagę, że się nie uśmiecha. Cóż, nie chciała robić sobie wielkich nadziei. Życie skąpiło jej szczęścia i Liu Song do końca nie ufała nie tyle intencjom Colina, co własnemu losowi. Przez większą część życia spotykały ją nieszczęścia, jedynym wyjątkiem był uśmiechnięty chłopczyk o kruczoczarnych włosach, który ssał kciuk i machał do mijanych ludzi. Liu Song prowadziła niezobowiązującą rozmowę, starając się nie zdradzać, jak mocno zależy jej na Colinie, jak bardzo czuje się radosna, spełniona, choć z wysiłkiem wspinają się po zboczu First Hill, które miejscowi nazywali Pagórką Przekleństw, a to dlatego, że ulica jest wyjątkowo stroma i zdążający pod górę przez całą drogę klną. Colin wciąż pchał wózek, pogwizdując wesoło. Z łatwością sobie radził.

W końcu znaleźli się u stóp Smith Tower. Liu Song popatrzyła w górę i aż zakręciło jej się w głowie na widok chmur powoli przepływających ponad wierzchołkiem najwyższego wieżowca na zachód od Missisipi. Rozstawiła stopy, żeby nie upaść, i sięgnęła do portmonetki. Colin powstrzymał ją ruchem ręki i kupił bilety, płacąc dwudziestodolarówką.

W wieżowcu William po raz pierwszy w życiu jechał windą. Zdumiony ścisnął mocno dłoń matki. Wszyscy troje wyglądali przez okna ażurowych mosiężnych drzwi kabiny. Piętro za piętro zniknęło, a na ich miejscu pojawiała się kolejne. Zadymione biura, korytarze, gabinety, a wszędzie pełno robiących ważne miny zajętych ludzi na wysokich stanowiskach.

Wysiedli na trzydziestym czwartym piętrze; Liu Song wydawało się, że zemdleje. Nigdy nie była wyżej niż na najwyższej kondygnacji sześciopiętrowego gmachu. Aż zmiękły jej kolana, kiedy zobaczyła zapierającą dech w piersiach perspektywę miasta, zatoki Puget i widniejących na horyzoncie Gór Olimpijskich.

– Spójrzcie tylko – skomentował Colin. – Przed trzydziestu laty aeronauta, profesor Pa Van Tassel, wzniósł się nad te wody w koszu balonu, którego powłokę wypełniła Seattle Gas Company. I z wysokości sześciuset metrów wyskoczył na spadochronie.

Liu Song sądziła, że Colin wymyślił tę historię, żeby sobie zażartować.

– Nie, naprawdę – zapewnił. – Wylądował bezpiecznie blisko brzegu. – Wziął ją pod rękę i zaczął popychać wózek jedną dłonią. Zobaczyli mężczyznę w jaskrawoczerwonym uniformie ze złotymi epoletami, który witał gości wchodzących do słynnego Pokoju Chińskiego. – Czasami po prostu trzeba podążyć tam, gdzie zaniesie człowieka wiatr.

Zaskoczona Liu Song przyglądała się z fascynacją chińskim meblom i ręcznie rzeźbionemu sufitowi.

– Wiedziałeś o tym? – spytała.

– Owszem. Musiałem to jednak zobaczyć, żeby uwierzyć.

– Czy chcieliby państwo usiąść w Fotelu Życzeń? – zapytał kolejny pracownik, wskazując ozdobny tron na środku pomieszczenia. Rozciągał się z niego wspaniały widok na masyw Mount Rainier. Liu Song podeszła do fotela. Na jego oparciu misternie wyrzeźbiono smoka pożerającego świat, poręcze miały kształt węży. Po obu stronach tronu przykucnęły groźne lwy z polerowanego palisandru. – Wszystko, co tu państwo widzą, jest darem dla rodziny Smithów od jej cesarskiej mości Cixi, cesarzowej Chin. Choć z pewnością państwo o tym wiedzą.

Liu Song uśmiechnęła się grzecznie. Nie знаła dobrze historii Chin, pamiętała jednak z opowieści ojca, że Cixi, nazywana Cesarzową Wdową, była niegdyś konkubina, lecz jej status podniosła pozycja jej syna, który był pełnoprawnym dziedzicem cesarskiego tronu. Ponadto wspierała chińską operę. Nienawidzono cesarzowej i kochano ją, z tego oraz mnóstwa innych powodów. Liu Song wiedziała, jak można się w takim przypadku czuć.

– Proszę przodem, wasza wysokość – powiedział do niej Colin. William pojął właśnie,

jak wysoko się znajdują, i chciał, żeby *ah-ma* wzięła go na ręce.

– Usiądź pierwszy – powiedziała Liu Song. – Koniecznie. I tak nie jestem szlachetnie urodzona.

Colin skłonił się dwornie, pomachał do turystów na platformie obserwacyjnej w taki sposób, jakby byli jego honorowymi gośćmi, po czym usiadł na tronie ku uciesze pracownika obiektu.

– Dlaczego ten tron nazywa się Fotelem Życzeń? – zapytała Liu Song. Postawiła Williama z powrotem na podłodze, a on zaczął dreptać po sali, nieśmiało zbliżając się do otaczającej ją platformy zabezpieczonej wypolerowanymi mosiężnymi barierkami, od której wiało świeże morskie powietrze. Wrócił i złapał mamę za rękę. Liu Song popatrzyła na Colina.

– Legenda głosi, że ktokolwiek usiadzie w tym fotelu, w ciągu roku zawrze małżeństwo – wyjaśnił mężczyzna w uniformie. – Jako pierwsza usiadła córka państwa Smithów i rzeczywiście, rok później wzięła ślub, i to w tym właśnie pomieszczeniu.

Liu Song starała się nie rumienić, tymczasem Colin spoglądał na nią bez mrugnięcia okiem.

– Lecz skoro państwo już są małżeństwem, być może los uśmiechnie się do państwa w inny sposób – przerwał niezręczną ciszę pracownik obsługi.

Liu Song patrzyła wciąż na Colina, i to on się uśmiechnął. Żadne z nich nie wypowiedziało ani jednego słowa, aż przemówił William. Zmarszczył brwi, pokazał na Colina i zapytał:

– Tata?

\*

Obiad zjedli później w restauracji Brooks Brothers. Zerkali na nich inni goście, ale Liu Song się tym nie przejmowała. Potem Colin odprowadził ją i Williama z powrotem do hotelu Bush. Liu Song zaprosiła Colina do mieszkania na herbatę, lecz odmówił, uśmiechając się grzecznie.

– Z wielką radością skorzystałbym z zaproszenia, mówię szczerze, jednak jesteś niezamężną kobietą z dzieckiem. Nie chcę cię narażać na plotki. Poza tym przypuszczam, że będziesz kładła Williama spać.

Pocałował Liu Song w policzek i pomachał im na do widzenia. Liu Song poczuła się trochę zawiedziona, do pewnego stopnia odrzucona po tak wspaniałych chwilach, idealnym popołudniu spędzonym z Colinem. Wiedziała jednak, że podjął słuszną decyzję. Zrobił to z troski o nią, bo przecież przez nieuwagę mogła narobić więcej kłopotów, z którymi nie zdołałaby sobie poradzić. Pamiętała, jak wprowadzała się do hotelu i jego siwowłósy kierownik, Chińczyk, zakładał, że jest kochanką jakiegoś bogatego mężczyzny. Spoglądając wstecz, przypuszczała, że wyłącznie z tego powodu zgodził się wynająć jej apartament. W każdym razie cieszyła się, że kierownik hotelu pozwalał jej i Williamowi w nim mieszkać, choć musiała odrzucać liczne propozycje tego mężczyzny oraz jego sugestie, że mogłaby odpracowywać czynsz...

Jako samotna matka w dzielnicy pełnej chińskich kawalerów Liu Song cieszyła się, że ma przy sobie Williama. Jego obecność na ogół hamowała zapędy mężczyzn o mniej szlachetnych zamiarach, a uśmiech jej synka potrafił zmiękczyć serce każdego.

Liu Song ruszyła korytarzem w stronę drzwi mieszkania i nagle zobaczyła, że są lekko uchylone. Już chciała wrócić na parter i zawołać kierownika, obawiając się, że w jej apartamencie znajduje się włamywacz. Przypomniała sobie jednak, że przecież dała komuś klucz. Powoli otworzyła więc drzwi i odetchnęła z ulgą, zobaczywszy Mildred, która stała w łazience przed lustrem i malowała wargi jaskrawą szminką o malinowym odcieniu. Zamknęła usta

i schowała szminkę do malutkiego woreczka pokrytego cekinami. Obróciła się do Liu Song i ściągnęła kształtne usta.

– Przepraszam cię, Willow, nie chciałam tu wchodzić, ale mam kolejną randkę, a matka nie wypuściłaby mnie z domu w makijażu – odezwała się na powitanie. – Jak wyglądam?

Mildred była jedyną poza pracownikami i klientami Wah Mee osobą, która zwracała się do Liu Song, używając jej pseudonimu. Chodziła do ostatniej klasy liceum i uznawała Willow za nowoczesne imię, godne dorosłej kobiety – zupełnie jakby posiadanie dziecka nie świadczyło wystarczająco o dorosłości. Liu Song przyjrzała się grubo pomalowanym na czarno powiekom i rzęsom Mildred. Uniosła rękę i pogładziła pokryte różem policzki przyjaciółki.

– Czy znam tego szczęśliwca? – zapytała po chińsku.

– Nazywa się Andy Stapleton – odpowiedziała po angielsku Mildred. – Na wszelki wypadek, gdybyś była ciekawa. Ale nie musisz wiedzieć. – Uśmiechnęła się i zatrzepotała powiekami. – Niesamowicie tańczy: umie charlestona, lindy i tango!

Liu Song sprawdziła pieluchę Williama i ułożyła go w łóżeczku, żeby się zdrzemnął. Potem znowu popatrzyła na przyjaciółkę, tym razem przyglądając jej się od stóp do głów.

– Wydaje ci się, że twoja matka byłaby niezadowolona tylko z makijażu?! – Liu Song wiedziała, że wiele dziewcząt w wieku Mildred już zostało zaręczonych przez rodziców. Umawianie się na randki, nie wspominając o tańcach, było zachodnim pomysłem i w przypadku porządnych Chinek nie wchodziło w rachubę. – Zatem to *gwai lo* – skomentowała Liu Song, jak gdyby głośne wypowiedzenie na głos tej oczywistej, kłopotliwej prawdy, mogło jakimś sposobem skłonić jej przyjaciółkę do rozumnego postępowania.

– Och, Willow, nie bądź taką prostytutką – odparła Mildred, biorąc się pod boki. – To nie jest okrągłooki szatan. To *sai yan*, Amerykanin. Co tydzień tańczysz z takimi samymi jak on.

– Tańczę walca, a to wielka różnica. I nie mam rodziców, którzy by mnie za to potępiali. Ponadto mam dziecko, które muszę nakarmić i ubrać.

– Bawię się po prostu. Nie wolno mi? Myślałabym, że kto jak kto, ale ty nie będziesz mnie za to karcić. Na przyszłość będę ostrożniejsza...

– Nigdy za niego nie wyjdiesz, choćbyś chciała – oznajmiła Liu Song. Nie miała ochoty na sprzeczkę, lecz żywiła nadzieję, że zdoła odwieść przyjaciółkę od uczuciowego skoku na głęboką wodę. Obie wiedziały o istnieniu praw zabraniających małżeństw między ludźmi różnych ras. Rodzice opowiadali Liu Song historie o krnąbrnych młodych Chinkach, które uciekały ze swoimi ukochanymi, *sai yan*. Nawet w stanie Waszyngton i innych, których przepisy nie zakazywały mieszanych małżeństw, sędziowie czy sądy pokoju mogli arbitralnie odrzucać wnioski o udzielenie pozwolenia na małżeństwo z dowolnego powodu. W niewielkiej społeczności, w której reputacja znaczyła dla dziewczyny wszystko, Mildred zapuszczała się w istną oceaniczną głębinę. Była niczym bawiąca się w morzu nastolatka, która nie zdaje sobie sprawy z bliskości wielkich fal mogących ją porwać. Właśnie z tego powodu Liu Song bardzo się cieszyła z ponownego nawiązania znajomości z Colinem. Był idealnym mężczyzną dla niej. Akceptował to, kim jest, co robiła wcześniej i kim chciała się stać w przyszłości. Wręcz ją do tego zachęcał, namawiał do każdego kolejnego kroku.

– Usłyszałaś, co powiedziałam? – upewniła się Liu Song. – Nigdy nie wyjdiesz za *sai yan*, choćbyś tego pragnęła.

– No i dobrze! – zachnęła się Mildred, usuwając nadmiar szminki chusteczką. – Dlatego, że w ogóle nie wyjdę za mąż, przynigdy. Rozejrzyj się dokoła. Jest rok tysiąc dziewięćset dwudziesty czwarty, nie tysiąc osiemset dwudziesty czwarty. Urodziłam się w Ameryce, tak samo jak ty. Będę dziewczyną nowoczesną i zamierzam żyć nowocześnie. Pragnę tylko ściągać pończochy i się bawić, robić to, na co mam ochotę, kiedy tylko mam ochotę i z kimkolwiek mam

ochotę. Nie obchodzi mnie, co myślą moi rodzice. Utkwili w przeszłości. A ja nie. Właśnie dzięki takiej postawie świat się zmienia. Nie uważasz?

Liu Song, tak samo jak Mildred, urodziła się w Stanach Zjednoczonych, ale wychowała w rodzinie przesiąkniętej tradycją. Miała obywatelstwo amerykańskie, którego nie miał Colin. Lecz pod wieloma względami to on był od niej nowocześniejszy. Ich znajomość budziła w Liu Song kłopotliwe myśli. Przypomniła jej się Fotel Życzeń i kwestia małżeństwa. Przecież Colin urodził się za granicą. Także ona nie mogła za niego wyjść, inaczej straciłaby obywatelstwo. Gdyby to się stało – a miała śmiałość marzyć właśnie o małżeństwie z Colinem – co byłoby z Williamem? Jaką cenę mógł za to zapłacić?

\*

Tydzień później, kiedy Liu Song wychodziła do pracy, kierownik hotelu zatrzymał ją na korytarzu i wręczył jej kopertę. Otworzyła ją na oczach spoglądającego surowo mężczyzny, czując ucisk w żołądku. Przez cały czas żyła z obawą, że wymówi jej apartament albo stanie się coś jeszcze gorszego. Odetchnęła z ulgą, a nawet zachichotała: trzymała w dłoni dwa bilety do Coliseum Theatre na środowy seans. *Złodziej z Bagdadu*. W tym filmie grała jej ulubiona aktorka, Anna May Wong. Do biletów nie dołączono żadnej karteczki, ale wiedziała, kto je przysłał. Z dumą pokazała je kierownikowi hotelu, a ten mruknął coś pod nosem i odszedł, drapiąc się w głowę.

W środowy wieczór Liu Song jeszcze raz poprosiła Mildred o zaopiekowanie się Williamem. W zamian pozwoliła jej skorzystać z telefonu na korytarzu i zadzwonić do swojego adoratora. Odpowiadało to obydwu przyjaciółkom. Liu Song ucałowała Williama, który siedział na podłodze i bawił się pudełkiem pełnym klocków. Pomogła mu ułożyć słowa KOT i PTAK. Jej synek był bardzo radosnym chłopcem, dąsał się zaledwie od czasu do czasu, co jedynie wywoływało jej śmiech. Według niej był prawdziwym mężczyzną, bardzo upartym i zachłannym: nie wiedział, czego chce, a nawet kiedy wiedział, nie rozpoznałby, że właśnie spełniło się jego życzenie.

Liu Song minęła recepcję i wyszła z hotelu. Omal nie wpadła na Colina, który stał przy swoim samochodzie. Zamierzała iść do kina piechotą, ale Colin jak zwykle wszystko zaplanował, nie pozostawiając wiele miejsca na przypadek.

– Nie musiałeś... – odezwała się na powitanie Liu Song.

– Mógłbym jechać obok ciebie, śpiewając ci przez okno serenady. A może wypożyczyłabyś sobie po przeciwległej stronie ulicy packarda i jechałabyś za mną.

Liu Song pokręciła głową, a Colin otworzył przed nią drzwi samochodu. W środku było ciepło, miękkie i gładkie skórzane fotele już na nią czekały.

– Kto dogląda pana domu?

– Jest taki ktoś.

Jej odpowiedź utkwiała między nimi jak niechciany pasażer, rozparty na tylnym siedzeniu, chrapiący, kopiający i psujący przyjemny wieczór. Liu Song odezwała się pierwsza:

– Nazywa się Mildred Chew. Krótko po urodzeniu Williama ukończyłam kurs korespondencyjny i liceum. Mildred jeszcze chodzi do szkoły. Pozostałyśmy w kontakcie, stałyśmy się bliskimi przyjaciółkami. Pilnuje Williama. Ale nie o to chciałeś mnie zapytać, prawda?

– A o co twoim zdaniem chciałem zapytać?

Zatrzymali się na czerwonym świetle. Liu Song tęsknie spoglądała przez okno na mężczyzn i kobiety, pary, rodziny. Wszyscy ci ludzie chodzili po świecie, mając cel, nadzieję i miejsca, w których byli pożądanymi, a nawet kochanymi.



– Cóż, od początku się zastanawiam, dlaczego dotąd nie zapytałeś mnie, kto jest ojcem Williama. – Liu Song pożałowała, że skierowała rozmowę na ten delikatny temat, lecz wiedziała, że musiał prędzej czy później wypłynąć. Przemyślała ten problem i doszła do wniosku, że woli zniechęcić Colina teraz, niż spędzić następne tygodnie na rozpalaniu jego oraz własnej wyobraźni. – Nie zapytałeś, czy ciągle się kontaktujemy. W ogóle o nic nie spytałeś...

– I nie będę pytał. To oczywiste, że kimkolwiek jest ojciec Williama, w tej chwili nie ma go w pobliżu. Masz pięknego, zdrowego synka, z którego jesteś dumna. Jesteś dobrą matką. Utalentowaną młodą kobietą mającą przed sobą przyszłość, której rozwój z wielkim zainteresowaniem chciałbym obserwować. Niektóre sprawy najlepiej pozostawić przeszłości. Bez wątplenia porzuciłaś już tamten okres swojego życia. Nie widzę potrzeby wykopywania kości innego mężczyzny. To doprawdy nie moja sprawa...

– Ale... – Liu Song kontynuowała, zdając sobie sprawę, że każde jej kolejne słowo może skłonić Colina do zjechań na krawężnik, wysadzenia jej na jakiejś małej ulicy i odjechania raz na zawsze. – Pochodzisz z zamożnej rodziny. Jesteś dobry. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo przystojny. Jesteś aktorem. Mnóstwo dziewczyn byłoby zachwyconych, gdybyś wypełnił ich karty tańców swoim nazwiskiem. – Dlaczego...

– Dlaczego ty? A dlaczego nie? – odpowiedział pytaniem na pytanie Colin.

Nagle Liu Song pierwszy raz w życiu uświadomiła sobie, czemu jej rodzice byli tak sobie bliscy. Oboje byli aktorami, kształtowała ich scena. Funkcjonowali w świecie, który niewielu ceniło. Myślała także o własnym braku kontaktów z rówieśnikami, z szanującą tradycje chińską wspólnotą, i wiedziała, że Colin musi czuć się tak samo. A co będzie z Williamem? – zastanawiała się. Jaką reputację odziedziczy? Jakim brzemieniem go obciążam?

Kiedy dojechali do Coliseum Theatre, zapomniała o swoich niepokojach. Budynek nie był podobny do żadnego ze znanych jej wielkich kin. Zachwycała się ozdobnym holem, z którego sklepienia zwieszały się mosiężne klatki. Ćwierkały w nich i gruchały dziesiątki ptaków; równocześnie orkiestra stroiła instrumenty do dźwięku podawanego przez największe organy, jakie w życiu widziała.

– To najpotężniejszy instrument muzyczny na świecie – poinformował Colin, kiedy zajęli miejsca. – Stosowny do najdroższego filmu w historii. Wydali na niego dwa miliony, jesteś w stanie w to uwierzyć?

Liu Song nie potrafiła ani uwierzyć, ani nawet wyobrazić sobie tak olbrzymiej sumy pieniędzy. Colin pochodził z rodziny bogaczy. Może jednak biznes filmowy był w stanie zrobić wrażenie nawet na jego rodzinie?

Słuchali w ciemności rapsodycznej muzyki wypełniającej wnętrze sali. Dźwięki przenosiły ich w odległe miejsce, w którym mężczyźni wspinali się po magicznych linach, konie latały, a Douglas Fairbanks bez koszuli płynął w powietrzu na latającym dywanie. Najwspanialszym momentem filmu, tym, który Liu Song najlepiej zapamiętała i który rozbudził jej wyobraźnię, była pierwsza scena, kiedy poczuła, że Colin ją obejmuje. Czowała zapach wełnianego garnituru i męskiej wody kolońskiej. Ogarnęła ją radość, choć nie bez wątpliwości i lęku. Równocześnie Liu Song oglądała na ekranie siedzącego na wzgórzu starego maga posyłającego dym ku niebiosom. Tam, pośród gwiazd, wypisany był aforyzm: „Na szczęście trzeba zapracować”.

## Dublerzy

1924

Liu Song oddychała, starając się nie denerwować. Znalazła się na dziwnym osiedlu, pachnącym sosnami, benzyną i silnym wybielaczem. Jego ostra woń drażniła jej nos i przypominała o pralniach wujka Leo. Nie miała ochoty przeżywać związanych z nimi wspomnień. Czekala na Colina. W ciągu minionych dwóch tygodni widywali się nieregularnie, ostatnio rzadziej. Colin nachodził miejscowych producentów filmowych, aż w końcu dali mu małą rolę. Zaprosił Liu Song na plan, statystów zawsze potrzebowano. Opowiadał o niej w taki sposób, jak gdyby była doświadczoną artystką, choć występowała tylko na chodniku, przed publicznością złożoną z pasażerów i kierowców przejeżdżających pojazdów.

Stała na rogu Virginia Street i Third Avenue, odwracała głowę i kręciła się nerwowo, kiedy trąbili do niej kierowcy. Wreszcie pojawił się Colin.

– Och, czujesz ten zapach? – zapytał Colin pośród warkotu mijających ich samochodów dostawczych.

Liu Song zmarszczyła nos. Jeszcze nigdy nie była w miejscowej dzielnicy studiów filmowych. Były zlokalizowane na północnym krańcu Seattle zwanym Belltown. W tej okolicy wzdłuż ulic stały małe budynki biurowe i nieduże magazyny.

– To nasza przyszłość – oznajmił Colin, z lubością wdychając chemiczną woń.

Liu Song miała nadzieję, że ich wspólna przyszłość będzie zdrowsza niż trujące opary.

– Błony filmowe z nitrocelulozy – wyjaśnił Colin. – To zapach pieniędzy. Działa tu paru niewielkich producentów. – Ruszyli naprzód. – Większość tych budynków to tylko biura i magazyny filmów nakręconych przez większe wytwórnie. Wszystkie oprócz dwóch: US Army Motion Picture Service oraz Kodascope Library, ich przedstawicielstwa mieszczą się przy Cherry Street. Władze miejskie uznały, że bezpieczniej zgrupować magazyny filmów w jednym miejscu. Błony filmowe są nadzwyczaj łatwopalne, wiesz?

Liu Song zwróciła uwagę na widniejące pomiędzy hotelem William Tell a kinoteatrem Jewel Box Theatre nazwy znanych wytwórni filmowych: Columbia Pictures, Universal i MGM, oraz wielu innych. Naliczyła ich ponad dwadzieścia.

– Co się stało? – zapytał Colin, widząc jej zatroskaną minę.

Od czego zacząć? – zastanawiała się. Jej wątpliwości przybrały na sile.

– Nie mam pewności, czy jestem stworzona do tego rodzaju pracy – odpowiedziała, myśląc o swojej matce. – Dorastałam blisko sceny, ale całe to kręcenie filmów jest takie dziwne...

– Na scenie masz tylko jedną szansę powiedzenia swojego tekstu bez pomyłek, zatańczenia w idealny sposób. Filmowcy mogą uruchamiać kamerę wielokrotnie, tak długo, aż osiągnie się pożądaný efekt – pocieszał Colin. – Możesz mi wierzyć, świetnie sobie poradzisz.

Liu Song chciała mieć tę pewność. Colin znajdował sobie epizody w rozmaitych wytwórniach na całym Północnym Zachodzie. Zachęcał ją do przesłuchania. Cóż, on wiedział, czego się tam spodziewać. Liu Song przybrała odważny wyraz twarzy.

– Czy gdzieś tu jest studio, które cię zaangażowało? – zapytała.

– Ściśle rzecz biorąc, to nie jest studio. Tutejsze związki zawodowe produkują filmiki

i filmy krótkometrażowe, żeby rozpowszechnić swoją działalność. Odkąd Upton Sinclair podpisał kontrakt na scenariusze dla związków kolejarzy, filmy o pracy stały się bardzo gniewne. Ten nosi tytuł *The New Disciple*. To film polityczny w formie romansu. Gram w nim tylko epizod, ale mimo wszystko to prawdziwe zdjęcia do filmu, chociaż nie ma tu porządnego planu filmowego. Moim zdaniem jest to dla ciebie doskonałe miejsce do nauki zasad sztuki filmowej.

Skręcili za róg i oczom Liu Song ukazała się grupa ludzi stojących na chodniku przed dużą szybą wystawową. W górze widniał napis: WSZYSTKIE DROGI PROWADZĄ DO RHODESA. Przed domem towarowym stało tak wiele osób, że nie widziała dobrze, co znajduje się w środku. Pewnie przywieziono akurat coraz popularniejsze radioodbiorniki szafkowe, pomyślała. Przeszli przez ulicę i zbliżyli się do budynku, a wtedy Liu Song dostrzegła, że wystawa została urządzona jak salon w mieszkaniu. Były tam kanapa, krzesła, lampy, rośliny doniczkowe, a nawet tworząca tło wysoka ścianka z zasłoniętymi oknami i drewnianym kominkiem. Zamiast manekinów Liu Song zobaczyła ekipę filmową: mężczyźni bez marynarek, z luźnymi szelkami, ustawiali reflektory i duże panele odbijające światło. Kamerzysta rozciągnął taśmę mierniczą między obiektywem okazałej kamery a środkiem planu. Liu Song chłonęła to wszystko szeroko otwartymi oczami. Colin wprowadził ją do wnętrza sklepu. Przeszli przez dział wyrobów gospodarstwa domowego w kąt hali sprzedaży, gdzie odgrodzono linami niewielką przestrzeń. Zatrzymał ich strażnik, który odszukał na liście nazwisko Colina, po czym usunął się z drogi i uchylił czapki. Pracownik planu zaprowadził ich w pełne ludzi miejsce za tłem. Colin i Liu Song usiedli na ławce obok innych statystów i epizodystów.

Liu Song wskazała składane krzesła stojące przed nią. Patrzyła na ich płócienne oparcia i wizażystkę, która zajmowała się siedzącymi na krzesłach osobami.

– To są aktorzy obsadzeni w głównych rolach: Pell Trenton i Norris Johnson – szepnął Colin.

Liu Song odczytała ich nazwiska wypisane specjalnym pisakiem na oparciach krzesel. Gwiazdy wyglądały wspaniale nawet od tyłu, podziwiała szerokie ramiona i męską figurę Pella oraz elegancką fryzurę i długą suknię Norris.

– Bardzo ci jestem wdzięczny, że tu przyjechałaś – odezwał się Colin. – Przy tobie mniej się denerwuję.

Liu Song chciałyby powiedzieć mu to samo, ale czuła się wprost odwrotnie, więc tylko się uśmiechnęła.

– W ilu filmach już grałeś? – zapytała.

– W pięciu. Za każdym razem jako statysta. A dzisiaj mam zagrać służącego w domu zamożnego człowieka. Nie wymienią mnie w napisach, ale przynajmniej będę przez dłuższy czas na ekranie. To znaczy oczywiście, jeśli nie wytną mnie w czasie montażu. No i będę miał w dorobku kolejną pozycję.

Pracownik planu wrócił i głośno zawołał o dublerów. Liu Song nie wiedziała, o co mu chodziło. Colin złapał ją za rękę, wstał z uśmiechem, pomachał i szybko zgłosił siebie oraz swoją towarzyszkę jako ochotników.

– Co robimy? – zapytała zdezorientowana Liu Song. – Nie mam pojęcia, o co...

Prowadzono ich na plan.

– Reżyser poprosił o dublerów. Ekipa chce zobaczyć na próbę w oku kamery dwoje statystów. Pobędziemy kilka minut na planie, żeby operator mógł ustalić czasy ujęcia i zmierzyć ogniskową obiektywu. Będziemy dublerami do czasu, aż będą gotowi puścić taśmę. Dzięki temu aktorzy wyglądają na filmie świeżo, nie tracą energii. To niezła zabawa, zobaczysz. Tylko uważaj, żebyś nie patrzyła bezpośrednio w reflektory, mogą trwale uszkodzić wzrok. Miriam Cooper wypaliła sobie oczy patrzeniem w reflektory na planie *Kindred of the Dust*.

Liu Song niewiele rozumiała ze słów Colina. Zastanawiała się, czy właśnie tak czuła się jej matka, kiedy pierwszy raz wchodziła na scenę. Tym razem publiczność stanowiła jednak ekipa filmowa, na której Liu Song i Colin nie robili chyba żadnego wrażenia. Wypełniali tylko puste miejsce, niczym żywe posągi, na które filmowcy spoglądali bez emocji, przenosząc reflektory, poprawiając blendy i robiąc pomiary.

Liu Song czuła bijące od reflektorów ciepło. Serce zabiło jej mocniej, kiedy zobaczyła reżysera – wysokiego mężczyznę z malutkim megafonem. Usiadł koło patrzącego przez kamerę eleganckiego pana o oliwkowej skórze, noszącego cieniutki wąsik.

– Ej ty, żółty, mówisz po angielsku, prawda? – upewnił się reżyser.

– A także po francusku, łacinie i trochę po włosku – odpowiedział Colin. – *Va bene?*

– No, no, arystokrata – skomentował operator. – Proszę cofnąć się o dwa kroki, Wasza Wysokość.

Colin uśmiechnął się i wskazał na podłogę, gdzie znajdowały się dwa znaki X z taśmy samoprzylepnej.

– Tu mamy stać – wyjaśnił Liu Song. Cofnęli się, podczas gdy w tle stało pięcioro innych statystów, którzy markowali rozmowę i śmiechy. – Kamera nie pracuje – mówił dalej Colin. – Gramy tu jak w teatrze, więc nie masz się czym przejmować. To jednak dobre ćwiczenie przed większym występem, który cię rychło czeka.

Liu Song śpiewała już dla obcych ludzi wypełniających autobusy i wielokrotnie przechadzała się za sceną podczas przygotowań do różnych spektakli ojca, więc była przyzwyczajona do tego typu występów. Sztuka filmowa stanowiła natomiast dla niej nową, nieznaną, a jednocześnie niesłychanie intrygującą dziedzinę. Wzięła głęboki oddech, przelknęła i przytaknęła, zastanawiając się, co jeszcze ma w zanadrzu Colin.

– Po prostu kolejne przedstawienie – powiedział i dotknął jej ramienia, uśmiechając się dla dodania jej otuchy. – Na razie. To dla nas początek. Któregoś dnia William zobaczy cię na ekranie w filmie z prawdziwego zdarzenia. Wyobraź sobie tylko, jaki będzie z ciebie dumny.

## Opieka społeczna

1924

Następnego ranka Liu Song weszła do sklepu pana Butterfielda i zobaczyła dziwnie wyglądającą kobietę, która grała na pianinie, nucąc jakąś nieznaną jej pieśń, może kościelną. Klientka miała włosy o lekko różowym odcieniu, związane tak ciasno, że aż podniosły jej się brwi, przez co wyglądała, jak gdyby przez cały czas była zdziwiona. Oczy miała jasnoniebieskie, prawie białe. Nieumalowane usta wyglądały jak rozcięcie w poprzek pionowych zmarszczek na jej twarzy, dzielące ją na półkulę północną i południową. Piosenka, którą grała, okazała się kołysanką, jednak brzmiała niczym marsz pogrzebowy.

– Dzień dobry, nazywam się Peterson – przedstawiła się nieznajoma, wstając od klawiatury. Wyciągnęła bezwładną dłoń osłoniętą białą rękawiczką, którą Liu Song uścisnęła. Pani Peterson natychmiast cofnęła rękę, jakby nie lubiła dotyku innych ludzi. – Jestem przedstawicielką Child Welfare League, Ligi Dobroczynej na rzecz Dzieci. Chciałabym zadać pani kilka pytań. Czy mogę?

Liu Song poczuła się jak zwierzę schwytane w pułapkę. Była zupełnie nieprzygotowana na tego rodzaju spotkanie. Czy tę kobietę skierował do niej wujek Leo? Czy dowiedział się o Williamie?

– A mam jakiś wybór? – upewniła się.

– Nie – odpowiedziała bez emocji kobieta. – Nie ma pani.

Pan Butterfield rozsunął zasłonę oddzielającą przestrzeń dla klientów od magazynowej. Przyniósł filiżankę herbaty na spodeczku od innego kompletu.

– Liu Song, widzę, że już poznałaś naszego wyjątkowego gościa – odezwał się z uśmiechem i podał herbatę pani Peterson. Ta zmrużyła oczy, zauważając na spodeczku plamy po kawie. Wypiła z grzeczności jeden łyk i odstawiła filiżankę.

– Jeśli przyszła pani w sprawie Williama, zapewniam panią, iż miewa się znakomicie – powiedziała Liu Song najlepszą angielszczyzną, jaką potrafiła. – Jest bardzo zdrowy i tłuściutki. To wesoły chłopczyk.

Pani Peterson rozejrzała się po sklepie.

– To rutynowa wizyta – poinformowała, spoglądając ponownie na Liu Song. – Moim zadaniem jest kontaktowanie się ze wszystkimi samotnymi matkami, w czasie kiedy ich dzieci osiągają wiek, w którym zaczyna mieć dla nich znaczenie kwestia moralności. Państwo troszczy się nie tylko o to, aby dziecko miało co jeść oraz w co się ubrać i by miało zmieniane pieluszki, lecz i o jego środowisko społeczne, o kondycję matki. O jej sytuację osobistą – zakończyła, chrząknąwszy.

– Mogę śmiało ręczyć za charakter pani Liu Song – odezwał się pan Butterfield. – Pracuje bardzo odpowiedzialnie. Jest pracowita i skromna.

– Nie wątpię, że ceni pan te cechy jako osoba odnosząca korzyści z jej pracy – odpowiedziała pani Peterson, notując coś drobniutkim, wzorowym charakterem pisma. – Pańska opinia jest cenna, oczywiście przy uwzględnieniu stopnia pańskiej stronniczości.

Liu Song popatrzyła na pracodawcę i zamrugała powiekami, pragnąc wyrazić mu w ten sposób wdzięczność za zatrudnianie jej oraz za jego słowa.

– Jest pani Azjatką, Chinką, o ile się nie mylę. Gdzie się pani urodziła?

Liu Song odpowiedziała, że przyszła na świat w Seattle, w domu, pod opieką położnej. Nie miała odpisu aktu urodzenia, ale dwa miesiące po jej narodzinach matka zarejestrowała ją w sądzie okręgu King.

– Czy ma pani jakąś rodzinę? Jakichś krewnych, z którymi mogłabym porozmawiać? Osoby, które pomagają pani w utrzymaniu? Jak zamierza pani wychowywać małego... – Pani Peterson zajrzała do notatek.

– Williama. Nie, moja matka umarła jeszcze przed jego narodzinami. A reszta rodziny... nikogo już nie ma; wszystkich zabrała grypa albo się wyprowadzili. – Wypowiadając te słowa, Liu Song uświadomiła sobie, jak straszliwie jest samotna. William był dla niej wszystkim. Była mocno zauroczona Colinem, ale to, co czuła do synka, nie dało się z niczym porównać. Mogłaby żyć dla Colina, lecz za Williama oddałaby życie.

Siedziała prosto i uśmiechała się, nie przesadnie szeroko, ale i nie nieśmiało. Pomyślała nagle, że powinna być skromniej ubrana. Starła się jak najlepiej odpowiadać na wszystkie wnikliwe, podchwytliwe, potępiające pytania, równocześnie nie zdradzając niczego, co zostałyby podkreślone, zniekształcone i użyte przeciwko niej. Dobrze mówiła po angielsku, jednak musiała raz po raz prosić panią Peterson o powtórzenie pytania. Nie dlatego, żeby nie rozumiała zawartych w nim słów, ale z obawy, że odpowie niezgodnie z prawdą. Pan Butterfield jeszcze dwukrotnie wtrącał pochlebne stwierdzenia i za każdym razem wysłanniczka Ligi na rzecz Dzieci bagatelizowała ich znaczenie.

– Miło widzieć, że dziewczyna taka jak pani potrafi uczciwie zarabiać na życie. Nie jest to zajęcie przydające kobiecie reputacji, ale w każdym razie legalne. Przed pani przyjściem pani pracodawca pokazał mi wycinki prasowe na pani temat. Wnioskuje z nich, że ma pani dryg do tego rodzaju pracy – oświadczyła z lekką niechęcią w głosie, ale i z aprobatą pani Peterson, kręcąc głową.

Liu Song podziękowała, choć czuła się znieważona; doznała jednak ulgi.

– Dobrze. – Kobieta wstała i zamknęła księgę. – Wiem już, jak pracuje pani zarobkowo, pozostała zatem tylko wizyta domowa: wywiad i inspekcja. Poproszę o pani adres. Kiedy najszybciej mogłabym poznać pani synka?

Liu Song bała się właśnie tego. Była w stanie się utrzymywać, kupować jedzenie i ubrania, jednak nie posiadała wiele więcej. Łóżko, lampę, starą, dziurawą rozkładaną kanapę, którą usiłowała łątać. Z łóżeczka Williama korzystało wcześniej więcej niż jedno dziecko. Mieli także komodę z niedopasowanymi szufladami, z jedną ocalałą gałką, i trochę zabawek.

– Może w przyszłym tygodniu? – zaproponowała Liu Song.

– A może jutro? – odparła pani z opieki społecznej. – Im prędzej, tym lepiej.

## Częściowo w ciąży

1924

Następnego dnia pani Peterson zjawiała się dwadzieścia minut przed czasem. Na szczęście Liu Song przewidziała tę możliwość i odpowiednio się przygotowała. Kupiła połówkę kaczki, która właśnie znajdowała się w piekarniku, dzięki czemu w mieszkaniu unosił się przyjemny, smakowity zapach. Meble i ozdoby wyglądały na trochę niedopasowane, były jednak staroświeckie, skromne i zwyczajne – co dokładnie odpowiadało wrażeniu, jakie chciała wyrzucić Liu Song.

- Poradzisz sobie – pocieszał ją Colin. – Po prostu bądź sobą.
- A jeśli się okaże, że nie spełniam wymagań?
- Jesteś aktorką, graj odpowiednią rolę.

Liu Song nie wiedziała, czy byłaby bardziej zdenerwowana, stając naprzeciw ludzi wypełniających salę teatru, czy też grając dla jednej osoby. W każdym razie z uśmiechem zaprosiła panią z opieki społecznej do mieszkania, akurat kiedy zaczął gwizdać czajnik. Nie pytając o nic, Liu Song naląła dwie filiżanki herbaty i postawiła je na świeżo sprowadzonym stoliku do kawy. Podążyła też herbatniki z dodatkiem czarnej fasoli i zaproponowała gościowi miejsce na kanapie. W tej samej chwili dostrzegła wystającą zza jednej z poduszek starą ulotkę z reklamą teatru; wepchnęła ją szybko głębiej. Do pokoju wszedł William. Miał rozwiązany bucik, ale poza tym ślicznie wyglądał w ładnym niebieskim kombinezonie.

– Cześć! – powiedział wesoło i pomachał rączką, po czym usiadł na podłodze, gdzie Liu Song zawnazowała postawiła nowiutki pociąg. Kupiła go tego samego dnia po pracy, specjalnie po to, aby William miał nową zabawkę w czasie wizyty inspektorki.

Trudno było stwierdzić, czy pani Peterson lubi dzieci: zerknęła na Williama z tak samo grzeczną, lekko nieobecną miną, jak na meble. Liu Song zwróciła uwagę, że wysłanniczka Ligi na rzecz Dzieci nie zdjęła rękawiczek i oglądała palce po każdym dotknięciu czegokolwiek, wyraźnie szukając śladów kurzu czy brudu.

– Przemity dom – oceniła krótko zasadniczym tonem, co zabrzmiało tak, jakby była przeciwnego zdania. – Rozumiem, że mieszkacie tu tylko we dwoje?

Liu Song przytaknęła i opowiedziała o umowie z Mildred Chew, która w praktyce pełniła funkcję pracującej w niepełnym wymiarze godzin niani, i o tym, że to jej dawna koleżanka z klasy. Liu Song celowo wspomniała przy tym o swoim świadectwie ukończenia liceum, które uzyskała rok przed terminem.

Pani Peterson otworzyła przyniesioną księgę i zaczęła chodzić po mieszkanku. Liu Song podążała jej śladami. Inspektorka zajrzała do łazienki, do przedzielonej parawanem sypialni, którą Liu Song dzieliła z synkiem. Na stoliku leżały ładnie ułożone kolorowe czasopisma: „Life”, „Vogue”, „Collier’s”. Szczególnie zainteresowały ją chińskie bibeloty stojące na biblioteczce, mały rodzinny ołtarzyk, gdzie Liu Song zapalała świece, kadzidelka i umieszczała kawałki haftowanego materiału na cześć swoich rodziców, wreszcie operowa maska jej matki. Kobieta dotknęła maski i wzdrygnęła się, jak gdyby maska mogła ją ugryźć. Potem pani Peterson zaczęła oglądać okna, kaloryfer, lodówkę, otworzyła nawet piekarnik. Nie zapisywała niczego.

- Może zostanie pani na kolację? – zaproponowała Liu Song.

– Czy obecnie jest pani mężatką? – spytała inspektorka, ignorując jej propozycję. – A jeśli mąż nie żyje z panią, to czy jesteście rozwiedzeni?

William zderzał tymczasem drewniany pociąg z nogą stołu, śmiejąc się i wydając odgłosy naśladujące lokomotywę. Liu Song podniosła go i posadziła na jednym kolanie, razem z pociągiem. Jej synek obracał kółka zabawki.

– Nie. Oczywiście, że nie – odpowiedziała Liu Song. – Nie jestem pewna, czy dobrze zrozumiałam...

– Wiem, że spotyka się pani z kimś – oznajmiła pani Peterson, spoglądając jej prosto w oczy.

– To przyjaciel, nazywa się Colin Kwan. Nie wiem, na ile poważne są jego zamiary.

– Tata! – powiedział William, patrząc z wielkim zainteresowaniem to na swoją mamę, to na inspektorkę.

Nastąpiła chwila milczenia. Liu Song uśmiechnęła się nerwowo i zaczęła kołysać synka. Czuli na sobie pełen potępienia wzrok pani Peterson.

– Kto w rzeczywistości jest jego ojcem? – zapytała inspektorka, zaglądając do książki. – W akcie urodzenia jest napisane, że niejaki pan Eng...

– To skomplikowana sprawa... – odpowiedziała Liu Song. Jakże mocno pragnęła uniknąć odpowiedzi!

– Jak w każdym przypadku, kochana.

William upuścił pociąg i zaczął się wiercić, żeby znaleźć się z powrotem na podłodze.

– W rzeczywistości nie jest on nikim...

– Nie można być częściowo w ciąży, młoda damo. Pan Leo Eng albo jest, albo nie jest ojcem pani dziecka. Wygląda na to, że to pani mąż, skoro nosicie to samo nazwisko. Równocześnie wydaje się, że niejaki Colin również odgrywa pewną rolę w pani życiu...

– Po co pani takie informacje? Sama pani widzi, że mój synek jest okazem zdrowia. Mamy gdzie mieszkać. Zapewniam mu opiekę.

– Nie chodzi nam o dobrostan fizyczny, lecz o morale osób, które wychowują dziecko. Twierdzi pani, że nie jest mężatką. Nie chce pani mówić o ojcu dziecka. Zarabia pani na życie śpiewem, grą aktorską i tańcem. Nie będzie bezzasadne wysunięcie przypuszczenia, iż pani moralność pozostawia wiele do życzenia.

– To nieprawda.

– Jednak zdaje pani sobie sprawę, jak to wygląda. Ma pani szczęście, że jest Azjatką.

W większości przypadków kobieta taka jak pani natychmiast straciłaby dziecko. Lecz ponieważ nikt nie adoptowałby złotego dziecka... Cóż...

William podszedł do pani Peterson i z uśmiechem zaofiarował jej swój drewniany pociąg, trzepocząc powiekami.

Inspektorka westchnęła i wzięła zabawkę, rzucając słowo podziękowania.

– Proszę posłuchać, będę musiała zalecić odebranie pani synka do czasu, aż ustalimy, kto jest jego ojcem. Musi pani respektować jego prawa rodzicielskie. – William pomachał z kolei do Liu Song. – Jeśli jednak zechce pani nam pomóc i powie mi, kim jest ów mężczyzna, sędzia może okazać pobłażliwość, podejmując decyzję. Cóż ma pani w tej sprawie do powiedzenia? Mogłabym także odszukać pana Enga i posłuchać jego wersji waszej historii, tak w wielu przypadkach robimy. Mogłaby się pani wreszcie powołać na wiek syna; zgodnie z praktykowaną zasadą pozwolono by pani sprawować nad nim opiekę do czasu, aż będzie nieco starszy, kiedy to zostanie oddany prawowitemu ojcu. Jednakże jeśli nie powie mi pani, kim jest ojciec dziecka, ktoś mógłby dojść do wniosku, że ma pani więcej rzeczy do ukrycia i że wcale nie jest pani tym, za kogo się podaje. To z kolei może podać w wątpliwość pani obywatelstwo, tak samo jak



obywatelstwo pani synka.

Liu Song popatrzyła na Williama, przelknęła z trudem i odpowiedziała:

– Po śmierci mojego ojca moja matka wyszła za innego mężczyznę, z życiowej konieczności, biedy i desperacji. Później, niestety, i ona zachorowała i zmarła. A ten człowiek, drugi mąż mojej matki, trzymał mnie w domu jeszcze przez krótki czas jako służącą... – Liu Song opuściła spojrzenie. Mimo młodego wieku miała stare, pomarszczone palce. – To był mój ojczym – dokończyła. – Miał na nazwisko Eng.

Pękł grafit ołówek, którym pisała pani Peterson. Popatrzyła na ułamaną końcówkę i rysę na papierze, poprawiła okulary, zmarszczyła nos...

– I wedle pani wiedzy ten cały Eng nawet nie wie, że splodził to...

– Mój synek ma na imię William – przerwała Liu Song. Dłonie pani Peterson lekko drżały. – Nie, myślę, że nie wie i że nic go to nie obchodzi.

Inspektorka zamknęła książkę i westchnęła głęboko. Potem sięgnęła po jedną z filiżanek i wypila łyk herbaty. Następnie zdjęła okulary, złożyła je starannie i schowała do mosiężnego futerału.

– Cóż – odezwała się – z chwilą śmierci pani matki przestał być pani ojczymem, a pani jego pasierbicą. Zgodnie z prawem muszę go powiadomić, że ma dziecko. Pozostaje jego ojcem i mimo wszystko może chcieć wziąć je do siebie.

Popatrzyła na Williama zmrużonymi oczami z taką miną, jakby był plamą na dywanie, elementem bałaganu, który jest zmuszona posprzątać. Liu Song zagryzła usta, patrząc, jak inspektorka z opieki społecznej ściąga rękawiczki i dotyka główki jej synka; zaczesła na jedną stronę opadające mu na czoło czarne włoski. Przekrzywiła głowę i przyglądała się bawiącemu się dziecku. W końcu podniosła wzrok, wytarła rękę o kolano i oświadczyła:

– Jest podobny do pani jak dwie krople wody.

Liu Song nie wiedziała, czy miał to być komplement, czy też obraza. Spojrzała w lustro i zobaczyła, że jest bardzo blada. Spocily jej się dłonie, miała łzy w oczach; nie zamierzała jednak płakać w obecności tej surowej kobiety. Nie chciała, żeby się nad nią litowano, ani nie miała ochoty o nic błagać.

– Myślę, że na tym skończyliśmy. Mam wszystkie potrzebne informacje – oznajmiła pani Peterson, wkładając rękawiczki i wstając. – Życzę pani dużo szczęścia. Powiadomię panią, kiedy tylko porozmawiam z panem Engiem. Mając na uwadze okoliczności, nie sądzę, żeby zechciał wziąć dziecko do siebie. Większość mężczyzn tego nie chce – przynajmniej do momentu, kiedy w grę wchodzi zmienianie pieluch.

Wujek Leo nie był taki, jak większość mężczyzn... Liu Song podziękowała inspektorce i wzięła na ręce Williama, który pomachał wychodzącej kobiecie.

– A co się stanie, jeśli on zechce wziąć dziecko? – zapytała Liu Song.

– Wówczas coś bym zasugerowała, proszę pani. To samo mówię wszystkim dziewczętom w pani sytuacji, choć zwykle ma to miejsce zaraz po urodzeniu dziecka. – Pani Peterson przystanęła w drzwiach. Spuściła wzrok, a potem popatrzyła znowu na Liu Song i kontynuowała:

– Ten świat nie jest sprawiedliwy. Pełno na nim nikczemnych mężczyzn i nieszczęśliwych kobiet. W tej chwili jednak nie ma to dla mnie znaczenia. Pragnę wyłącznie dobra dziecka, tego, co dla niego najlepsze. Pani synek jest wciąż malutki...

– Co chce pani przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że dziecko nie zawsze musi wiedzieć, kim jest jego matka, za to chłopiec potrzebuje ojca – oświadczyła wprost przedstawicielka Ligi na rzecz Dzieci. – Nawarzyła pani sobie piwa i zapewne będzie pani musiała je wypić. Ale William nie musi pić go razem z panią. Miłego popołudnia.



## Oczy totemu

1924

W chińskiej dzielnicy Liu Song zawsze czuła się spokojna, choć omijała z daleka pralnię wujka Leo i jaskinie hazardu, w których poblizu bała się go spotkać. Teraz jej obawy stały się lękiem przed nieuniknionym. Leo miał dowiedzieć się o istnieniu Williama. Liu Song zadrzała na tę myśl. Nie, nie będzie chciał mieć z nami nic wspólnego, pocieszała się. To przesądny głupiec, którego odstraszył duch mojej matki. Lecz za dnia Liu Song nie była już tego taka pewna. Starala się nie panikować. Wzięła sobie za to do serca zachęty Colina i chodziła z nim na wszystkie castingi, przesłuchania do wszelkich możliwych produkcji, od Komunistycznego Teatru Robotniczego aż po krótkometrażowe filmy finansowane przez rząd, w rodzaju *Fit to Fight*, który ostrzegał żołnierzy przed zgubnymi skutkami chorób wenerycznych. Wystawała z Colinem pod miejscowymi studiami w nadziei, że ktoś ją dostrzeże, cierpiała w tłumach statystów, którzy mieli nadzieję na zarobienie paru dolarów za cały dzień pracy. Pragnęła znaleźć takie zajęcie, dzięki któremu wyjechaliby z Williamem z Seattle. Podczas każdego wspólnego wypadu poważnie rozważała zmianę nazwiska. Nie chodziło o przybranie pseudonimu scenicznego. Tak naprawdę bardzo chciała nazywać się Liu Song Kwan. Nazwisko Colina miało w sobie coś magicznego, a gdyby się z nią ożenił, mógłby adoptować Williama. Wiedziała jednak, że chociaż Colinowi bardzo na niej zależało, ich małżeństwo mogło dla niej oznaczać kolejne kłopoty. Jak długo mógł przebywać w Stanach Zjednoczonych, udając handlowca? Gdyby wyjechał, ona i William musieliby opuścić Amerykę razem z nim. Choć nawet to było lepsze niż utrata synka...

Li Song próbowała o tym nie myśleć, tylko szła dalej, trzymając za rączkę Williama, który potykał się na popękany chodniku. Każdego ranka bała się jednak iść do pracy. Zajęcie u pana Butterfielda zapewniało jej stabilne źródło dochodu i było bezpieczniejsze niż tańczenie w klubie Wah Mee. Z drugiej strony sklep muzyczny był jedynym miejscem, w którym Leo mógł próbować ją znaleźć.

Odetchnęła z ulgą, zobaczywszy czekającego przed sklepem Colina. Wcześniej nie zapraszała go tam, ponieważ w jego obecności miała tremę podczas występów. Większą niż przed grupą turystów wypełniających autobus. Zobaczyła teraz Colina w lnianym garniturze, z kapeluszem w rękę; rozmawiał uprzejmie z jej pracodawcą, co bardzo ją zdziwiło i trochę zawstydziło. W rękę Colin trzymał kolejny bukiet jaskrawoniebieskich kwiatów. Tak wygląda spełnione życzenie, pomyślała Liu Song, po czym podeszła i przywitała się. Dwaj mężczyźni uśmiechnęli się do niej, rozpromienieni, a później znów wymienili spojrzenia, uśmiechając się dalej konspiracyjnie.

– Dzień dobry, Willow! – odezwał się pan Butterfield. – Pan Colin opowiadał mi właśnie o twoim artystycznym pseudonimie. Uważam, że jest wspaniały, po prostu znakomity. O wiele łatwiejszy do zrozumienia dla tutejszych mieszkańców i turystów. Będziemy się nim posługiwać w sklepie, co o tym sądzisz?

– Dobrze mówi – zgodził się Colin, przytakując.

Liu Song puściła rączkę Williama, który podreptał do miniaturowego pianina, żeby na nim pograć.

– Nie wiedziałam, że potrzebny mi pseudonim.

– Teraz już wiesz. – Colin puścił do niej oko. – W końcu tego dokonałem. Wystarałem się dla ciebie o rolę w filmie. Małą rolę, za to chodzi o wielką produkcję. Będzie nosiła tytuł *The Eyes of the Totem – Oczy totemu*. W roli głównej występuje Wanda Hawley, gwiazda na miarę Glorii Swanson. A najlepsze jest to, że pojawimy się na ekranie razem. Właśnie omawiałem szczegóły...

– Twój luby... – przerwał wesoło pan Butterfield i omal się nie zarumienił.

Słowo „luby” aż zaparło dech w piersiach Liu Song; zabrzmiało tak, jakby byli z Colinem oficjalnie zaręczeni. Zawierało w sobie aspekt przynależności. Brzmienie tego słowa niezmiernie ją cieszyło.

– Pan Colin chciał, abyś miała u mnie wolne w dniach, kiedy będziesz potrzebna na planie – kontynuował pan Butterfield, żywo gestykulując. – Moim zdaniem to wprost bajeczny pomysł. Ogromna reklama dla sklepu. I któż wie, kochana, to może być początek wielkiej kariery!

Liu Song podejrzewała jakąś małą zмовę pomiędzy swoim szefem a „lubym”, ponieważ zerkali na siebie z tajemniczymi minami.

– Zostawię was na chwilę samych – oznajmił pan Butterfield, zgasił cygaretkę i wszedł do pomieszczenia dla klientów, mrużąc pod nosem wesołą melodię.

Colin wręczył Liu Song bukietek.

– Jak poszło spotkanie? – zapytał.

– Dobrze. – Bardzo nie chciała kłamać, ale opowiadanie Colinowi o wujku Leo przekraczało jej siły. Nie chciała odstraszyć Colina, zawstydzić go ani skłonić do podjęcia kroków, które były poza jego możliwościami. – Przepraszam, o co chodzi z tym filmem? – zapytała, zmieniając temat. – I jak przekonałeś pana Butterfielda...

Colin potwierdził jej przypuszczenie, że pan Butterfield już dużo zarobił dzięki niej. Była jak śpiewający ptak, który znosi złote jaja. Nie tylko Liu Song obawiała się utraty pracy: jej pracodawca jeszcze bardziej martwił się perspektywą jej odejścia, tym bardziej że lawinowo wzrastała sprzedaż radioodbiorników, a obroty sklepów muzycznych malały. Liu Song zastanawiała się, czy nie mogąc obiecać w pakiecie jej występu, pan Butterfield zdołałby obecnie sprzedać chociaż jedną pianolę. Jej obecność nie tylko była dla niego powodem do dumy, ale i podtrzymywała sprzedaż. Liu Song nie zdawała sobie wcześniej sprawy ze swojej pozycji: cieszyła się większą wolnością i miała więcej możliwości, niż sądziła. Dlaczegoż ich maksymalnie nie wykorzystać? Nie spróbować występować w kolejnych miejscach? Nie musiała się już ukrywać. Leo miał się wkrótce o niej dowiedzieć.

– Zdjęcia są w całości kręcone w Tacomie – opowiadał dalej o filmie Colin. – Większość scen już została sfilmowana w nowym studiu H.C. Weavera. Zainwestowano w jego budowę pięćdziesiąt tysięcy dolarów; powinnaś zobaczyć to miejsce: piętnaście garderób dla gwiazd, osobne pomieszczenia dla statystów, sala projekcyjna, wszystko to robi wielkie wrażenie. Byłem tam w tym roku na otwarciu. Najlepsze jest to, że część akcji toczy się w chińskim kabarecie. Uruchomiłem moje kontakty w teatrze China Gate i zaproponowałem studiu filmowemu rekwizyty, jedwabne kostiumy i elementy dekoracji w zamian za małą rolę. Stąd nasz udział. Przez większą część sceny to ja będę na ekranie, ale to wielka okazja także dla ciebie. Coś więcej niż bycie dublerką albo statystowaniem. Odgrywamy razem scenkę. Drobną rolę, może jednak zapoczątkować coś poważniejszego. – Uśmiechnął się. – Wiedząc, że pan Butterfield jest twoim pracodawcą i drugim największym wielbicielem, pomyślałem, że powinienem go poznać i poprosić o błogosławieństwo.

– O błogosławieństwo?

– Przepraszam, być może źle się wyraziłem po angielsku. Chciałem poprosić go

o pozwolenie. Czy tak się mówi?

Liu Song z uśmiechem zmarszczyła brwi.

– Chciałbym ci zadać ważne pytanie – zapowiedział Colin, przechodząc na chiński.

Liu Song poczuła się nagle za mało elegancko ubrana i nieprzygotowana. Colin miał nowoczesny sposób bycia, lecz mimo wszystko tradycja i konwencja domagały się jakiegoś gestu... może miała to być propozycja małżeńska? Liu Song starała się nie robić sobie żadnych nadziei, jednak myśli wymykały jej się spod kontroli.

Wyobraziła sobie, że stoi w ciemności, za aksamitną kurtyną, i słucha, jak sala pełna widzów cichnie, orkiestra zaś zaczyna grać porywającą uwerturę. Liu Song omal czuła na odsłoniętych ramionach podmuch powietrza wprawionego w ruch przez rozsuwającą się na boki kurtynę.

Wstrzymała oddech, widząc, że Colin odnalazł coś w kieszeni marynarki. Rumienił się, wyglądał na zaniepokojonego.

W wyobraźni Liu Song stopniowo zapadła ciemność i widziała jedynie światła rampy. Jej oczy przyzwyczajają się do półmroku.

Colin wziął głęboki oddech.

Liu Song poczuła na sobie ciepło reflektora jaśniejszego niż słońce w południe.

Colin uniósł telegram z nadrukiem firmy Western Union.

– W przyszłym tygodniu przyjeżdża mój ojciec.

Nagle Liu Song poczuła się, jakby w teatrze zapalono z powrotem światło; sala była całkiem pusta, klaskał jej z poważną miną tylko dozorca z miotłą pod pachą...

Liu Song powróciła do rzeczywistości i spojrzała na telegram, starając się przy tym nie sprawiać wrażenia zawiedzionej. Nie pozostawała obojętna na okazywane jej przez Colina uczucia i względy, ich dzielone pasje, zatraciła się w zachowywaniu beznadziejnych pozorów i czekała, aż Colin zadeklaruje jej swoje zamiary, które wydawały się aż do bólu oczywiste. Lecz pozostawały wiecznie niewypowiedziane.

– Długo czekałem na tę chwilę – kontynuował Colin, ujmując jej ręce ciepłymi, miękkimi, delikatnymi dłońmi. – Czekałem, żeby porozmawiać z ojcem, pokazać mu, kim się stałem, i chcę, żeby zobaczył, jakie mam możliwości. Chcę mu także przedstawić ciebie. To początek wielkich rzeczy dla nas obojga, w każdym aspekcie.

– A twoje... obowiązki wobec...

Liu Song obserwowała w napięciu każdy gest Colina, starała się rozszyfrować znaczenie każdego jego słowa i każdej pauzy. Szukała odpowiedzi na pytania, których duma nie pozwalała jej zadać.

Colin zawahał się, jakby dopiero teraz zastanowił się nad swoimi dawnymi zobowiązaniami. Wydawał się tak zaangażowany w rozwój własnej kariery, że chyba w ogóle nie rozważał możliwości poniesienia porażki, odrzucenia.

– Nie wątpię, że skrytykuje mnie pod pewnymi względami – mówił dalej – jednak wiem, że kiedy zobaczy mnie na planie i z tobą, zmieni swoje nastawienie. Zawsze pragnął, żebym przejął po nim rodzinne interesy, żebym się ustatkował i dał mu wnuki. Mogę dać mu teraz z tego tyle, ile powiedziałem. Proszę cię, bądź ze mną.

Liu Song się zawahała. Była młodą dziewczyną w mieście pełnym samotnych mężczyzn: jedna przypadała na dziesięciu, dwudziestu, czy może nawet stu. Gdyby się naprawdę starała, nawet jako samotna matka mogłaby znaleźć chętnego do zawarcia z nią małżeństwa. Lecz wiedziała, że nie pragnie żadnego z tych mężczyzn. Nie chciała być żoną taksówkarza, matką właściciela pralni, macochą dorosłych dzieci, które będą traktowały ją jak służącą i czekającą na każde skinienie kucharkę. Cieszyła się bezwarunkową miłością Williama. Pragnęła więcej, lecz

nie godziła się dzielić bezpiecznego łóża z jakimś obcym człowiekiem. Być podległą mężowi żoną, cichą więźniarką. Jeśli nauczyła się czegokolwiek od matki, to bolesnej świadomości faktu, iż klatki mają różne rozmiary, a niektóre nawet płyty ze sztachet, cztery ściany i drzwi wejściowe. Liu Song uwielbiała występować, to było jej prawdziwe „ja”. Samotna dziewczyna, która tańczyła z obcymi mężczyznami, była aktorką. W głębi serca pragnęła występować, i to nie tylko na scenie, lecz równocześnie w ramionach kogoś, kto by ją naprawdę kochał. Nie obchodziło jej, co będzie musiała znosić. Ważne było dla niej jedyne to, z kim będzie występowała w świetle reflektora.

– Proszę cię, powiedz mi, że pragniesz tego równie mocno jak ja – zakończył Colin.

Liu Song spojrzała na Colina, dziwiąc się, gdzie się podziały jej wahania.

– Tak, pragnę.

\*

Liu Song nie potrafiła stwierdzić, czy Colin denerwuje się przed spotkaniem z ojcem, którego nie widział od niemal pięciu lat. I nie była pewna, czy optymizm Colina jest ubocznym produktem jego niezwykłych zdolności aktorskich, czy też zuchwałą odwagą. Właśnie taka odwaga była zapewne potrzebna i jej, aby odniosła sukces w show-biznesie. Ten rodzaj odwagi miała jej matka, zanim choroba odebrała jej zdecydowanie, męża, godność i marzenia. Lecz może i matka przez cały czas tylko grała odważną kobietę? Liu Song zastanawiała się, jak plastyczna musiała być prawda dla aktorów, ludzi, którzy zawsze udawali inne osoby.

Poczuła obejmujące ją ramię Colina, w chwili kiedy kupował dwa bilety na pociąg podmiejski linii Puget Sound Electric Railway do Tacomy. Liu Song uniosła rękę i poprawiła mu krawat, zastanawiając się, ile czasu będzie musiała czekać na pierwszy pocałunek Colina. Nie wątpiła, że spotkanie z jego ojcem miało stanowić element swoistego procesu weryfikacyjnego. Równocześnie podejrzewała, że ma odegrać rolę bufora między obydwoma mężczyznami. Mieli się spotkać przy planie filmowym, w miejscu publicznym. Rozczarowany, rozgniewany ojciec, zamiast spoglądać z potępieniem na syna, mógł zainteresować się wspaniałym spektaklem w postaci pracy ekipy filmowej, a miły uśmiech Liu Song mógł złagodzić jego surowy głos. Jeśli wszystko pójdzie dobrze, już nic nie będzie stało na naszej drodze do wspólnego szczęścia, myślała Liu Song o Colinie i sobie. A mój kochany William będzie miał ojca, na którego zasługuje.

Pociąg posuwał się na południe, pomału zbliżając się do Tacomy. Liu Song z coraz większym podnieceniem odliczała minuty i kilometry. Oddychała głęboko i powoli, rozluźniała ramiona, uspokajała umysł, jak nauczył ją pewnego razu ojciec przed wyjściem na scenę. Była ogromnie podekscytowana faktem, że wkrótce ma się znaleźć na planie wysokobudżetowego filmu; równocześnie niepokoiło ją bliskie spotkanie z ojcem Colina. Spodziewała się, że to tradycyjny chiński ojciec, choć wiedziała o nim bardzo niewiele. Podejrzała, że okaże się bardziej przywiązany do zwyczajów starego świata niż wujek Leo. Wyobrażała sobie także, że pan Kwan to w każdym aspekcie przeciwieństwo jej ojca, i z tego powodu nie mogła się nadziwić optymizmowi Colina. Nagle pomyślała, że być może Colin wcale nie ma nadziei na pojednanie z ojcem, na uzyskanie jego akceptacji: może miało to być ich ostateczne pożegnanie, odcięcie pępowiny, moment zadeklarowania przez Colina, jakie są dwie największe miłości jego życia. Trzy, jeśli liczył także Williama. Liu Song miała taką nadzieję. Dawała upust wyobraźni. Bezwstydnie marzyła.

Nie przerywała marzeń, kiedy wysiadała z Colinem na Union Station w Tacomie. Colin przeprowadził Liu Song przez ruchliwą ulicę, skręcili za róg, minęli koników sprzedających bilety w uliczce przy olśniewającym Pantages Theatre. Droga wznosiła się stromo. Dwie

przecznice dalej stała kolejka ludzi, którzy czekali na wieczorny spektakl w Rialto. Zdecydowanie największy tłum zgromadził się jednak na północ od tego miejsca, na ulicy.

– Większość zdjęć będzie kręcona w wielkim studiu Weavera koło Tiltow Beach – poinformował Colin. – Dziś jednak filmują w hotelu Grand Winthrop.

Liu Song i Colin przeciskali się pomiędzy setkami gapiów, mających nadzieję, że dostrzegą choć przez chwilę Wandę Hawley. Liu Song natychmiast rozpoznała tę gwiazdkę. Trudno ją było przeoczyć: stanęła w ogromnym futrze na schodach u wejścia do hotelu, pilnowało jej dwóch krzepkich policjantów, którzy powstrzymywali zapędy hordy łowców autografów. Funkcjonariusze w mundurach musieli krzyczeć, ponieważ w ulicze hałasował zamontowany na ciężarówce generator. Przez dwa otwarte okna na pierwszym piętrze wchodziły do budynku długie kable, wiły się jak węże. Niczym na warcie stały ogromne zestawy oświetleniowe, które rozjaśniały hotelowy hol. Liu Song podziwiała wymyślne dekoracje; przemieniły dostojny hotel w Złotego Smoka – pałac zmysłów, jaskinię pokus, w której ona i Colin mieli wystąpić obok kilkudziesięciu innych aktorów i chińskich statystów. Sceneria onieśmielała.

– Teraz wiem, dlaczego poprosiłeś ojca o spotkanie w tym właśnie miejscu – skomentowała Liu Song, kiedy pokazali dokumenty asystentowi kierownika produkcji, który czuwał nad tablicą z wykazem aktorów i scen. Skierował ich do części hotelu wydzielonej na użytek członków ekipy filmowej, wizażystek i mieszczącej magazyn rekwizytów.

– Mój ojciec jest zamożnym człowiekiem, lecz jakże to wszystko nie mogłoby zrobić na nim wrażenia? – odpowiedział Colin. – Zatrudnili artystów, którzy malowali dekoracje na Wystawę Światową. – Aż umilkł, kiedy ich oczom ukazał się główny plan filmowy: wielka sala balowa hotelu zamieniona w pełen przepychu azjatycki klub nocny. Były tam i lniane obrusy, i wiszące latarnie, i bambusy, i kelnerzy w smokingach. – Studio Weavera to trzecie największe studio filmowe w Stanach Zjednoczonych – kontynuował Colin. – Dwóch pozostałych wielkich producentów ma siedziby w Hollywood. To przemysł na znaczną skalę, nie jakaś tam przemijająca moda. A ja nie jestem wędrownym śpiewakiem operowym, który ma nadzieję, że w zamian za występ dostanie darmowy posiłek. – Uśmiechnął się do Liu Song i dodał: – A poza tym, jakże mogłabyś nie zrobić wrażenia na moim ojcu?

Liu Song starała się nie uznać ostatniego zdania za uwagę pod adresem swojego ojca. Wiedziała, że Colin jest po prostu podekscytowany, upojony chwilą. Chciałaby mieć podobną pewność siebie. Jedna ze szwaczek zaprowadziła Liu Song do damskiej garderoby w piwnicy. Dano jej wymyślną suknię balową. Strój, rola, pamięć o rodzicach, wszystko to ośmieliło Liu Song. Pomyślała o Mildred i Williamie znajdujących się w jej mieszkaniu, żałowała, że nie mogli jej teraz zobaczyć – i nagle przypomniało jej się, że przecież będą mogli. Pewnego dnia zabierze ich do najbliższego kina i zadziwi.

Wizażystka upudrowała jej twarz i podkreśliła oczy czarną kredką, komplementowała przy tym gładką skórę Liu Song. Ona zaś uczyła się roli. Scena była prosta, taka, jak opowiadał w pociągu Colin. On grał sztywnego młodego właściciela klubu, ona – jego żonę. Miała chodzić po sali i rozmawiać z Colinem oraz gośćmi, po czym odsyłano ją, żeby była bezpieczna, w czasie gdy do klubu wkraczali główni bohaterowie filmu; jej męża, czyli Colina, aresztowano. Grała niewątpliwie małą rolę, jednak dzięki temu czuła się spokojna. Wolą zamoczyć palec w nieznaną toni, niż od razu skoczyć na głęboką wodę.

Przyszedł czas na czekanie.

– To stały element naszej pracy – powiedział Colin, spoglądając na zegarek i zerkając na drzwi. – Czekamy, czekamy, czekamy...

Liu Song przytaknęła. Zdażyła już uznać go za człowieka obdarzonego cnotą

cierpliwości. Wywołano go na plan raz, drugi, potem trzeci. Za każdym razem odegrał swoje sceny jak gdyby nigdy nic. Liu Song patrzyła jak urzeczona, jak Colin zachowuje się w świetle reflektorów, przed kamerą, w obecności znanych aktorów, Toma Santschiego i Violet Palmer, którzy wydawali się niedostępni dla pozostałych. Pasuje tu, myślała. To jego świat. Do tego się urodził. Z pewnością jego ojciec to dostrzeże. Od razu widać, że Colin ma talent aktorski.

A potem wywołano ją. Z początku nie zorientowała się nawet, że to o nią chodzi.

– Willa Eng – odezwał się jakiś mężczyzna. – Czy jest na planie Willa Eng?

– Jestem Willow! – odpowiedziała Liu Song, krzywiąc się na dźwięk swojego nazwiska.

Włożyła buty na wysokich obcasach i weszła w jasno oświetlony obszar. Poprzednim razem nie robili z Colinem na planie niczego mądrego, bawili się właściwie bez sensu w udawany teatrzyk, prawie jakby odgrywali szarady. Lecz tym razem miały ich filmować kamery.

– Jesteś gotowy? – zażartowała, zwracając się do Colina, który zaczesywał do tyłu włosy i zapinał marynarkę. Teraz, dopiero teraz wydawał się zdenerwowany. Znów spojrzał na zegarek.

– Przyjdzie tu – uspokoiła Liu Song. – Pewnie już przyjechał i stoi w tym tłumie...

– Nie znasz mojego ojca. Zjawiłby się przed czasem nawet na własnym pogrzebie.

Liu Song dotknęła ramienia Colina i spojrzała mu w oczy, a potem popatrzyła w kamerę. Zobaczyła w jej obiektywie jakąś nieoczekiwaną, odwróconą do góry nogami postać. Potem spostrzegła, że reżyser, operator i większość członków ekipy filmowej spoglądają zdumieni w stronę wejścia. Liu Song zerknęła na Colina, który wyraźnie pobladł, i odwróciła się. Jej oczom ukazała się piękna młoda Chinka, niewiele starsza od niej. Miała na sobie mocno dopasowaną sukienkę *cheongsam* z połyskującego czerwonego jedwabiu. Dziewczyna wydawała się niespokojna, jakby nie pasowała do całej sceny. Liu Song pomyślała, że to jakaś zagubiona w całym zamieszaniu statystka. Lecz piękność patrzyła na Colina badawczo, potem wyraźnie go rozpoznała. W jej oczach błysnęło uczucie, które Liu Song aż za dobrze знаła: tęsknota.

– To jest plan filmowy, zamknięty dla osób z zewnątrz! – rzucił ze złością pracownik produkcji. – Panienko, nie może pani tu być. Jeśli będziemy potrzebowali więcej chińskich statystek, dam pani znać.

– Colinie... – Liu Song podniosła spojrzenie, nie chcąc zadawać cisnącego jej się na usta pytania.

– Nie do wiary, że ona tu jest... – szepnął Colin. – Nie mogę uwierzyć, że ją tu przysłał...! Liu Song ścisnęło się serce.

– Na miejsca! – krzyknął reżyser.

Liu Song stała naprzeciw Colina, pośród hałasu przemieszczających się członków ekipy filmowej i obsady.

– To było... zaaranżowane małżeństwo – wyszeptał z trudem Colin, z nieobecną miną, jak gdyby mówił do siebie, mając wyrzuty sumienia z powodu zapomnianych obowiązków.

Ucisk w sercu Liu Song wzmógł się, biło tak mocno, że aż ją bolało.

– Ojciec... zaaranżował nasze małżeństwo. Nie widziałem jej, odkąd miała... chyba czternaście lat. To było dawno temu. Myślałem, że teraz jest już pewnie mężatką, że ojciec uwolnił mnie od tego zobowiązania. Że wszyscy pogodzili się z moim zniknięciem i radzą sobie beze mnie.

Zobowiązanie... Liu Song chyba знаła znaczenie tego słowa. Opuściła wzrok, żeby nie widzieć tamtej kobiety ani żalu czy też poczucia winy w oczach Colina.

– To moja... narzeczona – wyznał. Jego słowa zmroziły Liu Song niczym lód.

Poczuła na ramionach dotyk jego dłoni. Mówił coś, jego usta się poruszały, ale nic nie słyszała, jakby oglądała niemy film. Colin puścił ją i zobaczyła szerszy plan: Colin szedł w stronę urodziwej przybyszki, podczas gdy filmowcy wyrzucali w górę ręce z frustracji. Mrugała



powiekami, patrząc, jak Colin dotyka dłoni narzeczonej, zamienia z nią parę słów i dziewczyna wychodzi. Wrócił. Liu Song odczytała z wyrazu jego twarzy, że stało się coś strasznego. Nie tylko dla niej. Colin był głęboko przerażony.

– Mój ojciec umiera – powiadomił. – A mój brat stał się alkoholikiem i hazardzistą. Matka wysłała tu moją narzeczoną, żeby mnie sprowadziła. Tak ogromnie cię przepraszam, Liu Song: muszę płynąć do domu, wyruszam już jutro. Wrócę, jeśli będę mógł, obiecuję ci. Nie takie miałem plany...

– Cisza! – wrzasnął reżyser. – Musimy nakręcić zdjęcia!

Kamera ruszyła. Liu Song patrzyła na obcego człowieka, którym w świetle filmowych reflektorów stał się dla niej Colin. To nie ona w tej chwili występowała, to była Willow. Czuła dzwonięcie w uszach, tak głośne, że nie słyszała kwestii Colina, nie zwracała uwagi na jego płynące prosto z serca gesty, które jakimś sposobem był w stanie odgrywać. Wpatrywała się w niego, czując gorące łzy, które napływały jej do oczu. Jej usta drżały. Starła się wzmacniać emocjonalny mur, który pękał z każdym skinieniem Colina, z każdym wypowiedzianym przez niego cichym zdaniem. Zastanawiała się, jak wytłumaczy to, co się stało, Williamowi. Był mały, nie wątpiła, że się przyzwyczai, jednak będzie odczuwał brak Colina. Być może dotkliwiej, głębiej niż ona, choć w jej sercu zapanuje pustka. Po raz pierwszy od lat Liu Song rozplakała się w poczuciu bezradności.

Colin całował łzy na jej policzkach, potem dotknął jej ust. Spojrzał na mokre palce, jak gdyby widział nie łzy, ale krew płynącą z rany zadanej bronią. A potem delikatnie pocałował Liu Song w usta. Wreszcie westchnął i oddychając głęboko, zszedł z planu. Liu Song usłyszała szept reżysera, który polecił nie zatrzymywać kamery. Mówił, że to będzie wspaniała scena. Terkotała migawka, szumiały reflektory, a poza tym panowała cisza, w której rozbrzmiewały oddalające się kroki Colina.

## Kołysanka

1924

Liu Song zapłaciła sześćdziesiąt centów za bilet powrotny i usiadła samotnie z tyłu wagonu 525 Limited. Pociąg ruszył ku Seattle, przystawał w Kent i Auburn. Nie czekała na Colina ani go nie szukała. Nie wiedziała, czy miał jeszcze do odegrania jakąś scenę, a może kolejny niezaplanowany występ z długo niewidzianą narzeczoną. Liu Song postanowiła się tego nie dowiadywać ani nie przedłużać pobytu w Tacomie. Chciała teraz tylko wrócić do swojego synka i spokoju panującego w ich mieszkaniu.

Wagon był prawie pusty, za łukowato zwieńczonymi oknami śmignął szarozielony pociąg jadący w przeciwną stronę. Liu Song próbowała skupić myśli wyłącznie na Williamie. Nie mogła jednak zapomnieć wyrazu twarzy Colina ani łez. W końcu znów zaczęła płakać. Mogłaby to robić całymi godzinami. Przytłoczyły ją wszystkie jej cierpienia, zmagania i samotność. Podobnie narzeczonej, czyli jego przeszłość, dopadła Colina, zrujnowała mu wyjątkowy wieczór. Liu Song próbowała pogodzić się z tajemnicą, którą przed nią aż do tego dnia ukrywał, z faktem, że rosła lista zobowiązań, od których uciekł: od ojca, rodzinnego przedsiębiorstwa, roli pierworodnego syna, wreszcie od narzeczonej. To ostatnie było najgorsze. Lecz dziewczyna w czerwonej *cheongsam*, jego narzeczonej, nie była niczemu winna. I wobec tej nieszczęśnicy Colin postępował nieuczciwie. Była jedynie niewinnym świadkiem. Ale teraz Colin stanął u jej boku i wyjeżdżał, wezwany do zawarcia z nią małżeństwa. W takim razie co ze mną? – myślała z wielkim bólem w sercu Liu Song. Znalazłam się sama na dnie głębokiej studni. Tkwiła w mulistym dnie, uświadamiając sobie, że nie tylko Colin wprowadził ją w błąd, lecz i ona sama siebie zdradziła. Szła za głosem serca, za nadziejami, nie pytając go o nic. Teraz trudno stwierdzić, jakie były jej nadzieje. Pamiętała, że w liceum Franklina uczyła się o Grekach i o węźle gordyjskim. Właśnie taki węzeł przypominało jej własne serce: gmatwaninę tęsknoty, obaw, odrzucenia, niedowierzania. Nie było sposobu rozwiązania tyłu pętli. Jedynym wyjściem pozostawało zrobienie tego, co uczynił Aleksander Macedoński: przecięcie tej płataniny, zerwanie wszystkich więzów, oprócz tego, co łączy ją z Williamem.

Powiedział, że do mnie wróci... – myślała z bólem Liu Song. „Jeśli” będzie mógł. Nie „kiedy”. Rzeczywistość po zdjęciu z niej zbroi optymizmu stanowiła nagą prawdę, słabą i bladą.

Liu Song przeklinała siebie samą za to, że potrzebuje drugiego człowieka. Nienawidziła siebie za to, że przedstawiła Williama mężczyźnie, który uciekł od swojej rodziny. Pokładając w nim nadzieje, popełniła bardzo kosztowny emocjonalny błąd. Nie mogła sobie pozwolić na zapłacenie równie wysokiej ceny jeszcze raz.

Z przygnębieniem wyglądała przez okno. We wzburzonej wodzie rzeki Duwamish zamigotało odbicie księżyca, pociąg zaczął zwalniać. Maszynista dzwonił dzwonkiem przy każdym przejeździe, ostrzegał pieszych i kierowców. Liu Song spoglądała dalej w szybę, na migające maszty radiowe, które były chyba wszędzie, na roziskrzone reklamy. W ciągu jej krótkiego życia miasto jakby na nowo się narodziło: latarnie, elektryczność i neony sprawiły, że każdy kwartał jaśniał feerią świateł. Mężczyźni chodzili po ulicach energicznie, mieli wypastowane buty i lakierowane laseczki. Kobiety nosiły równo podcięte włosy i suknie z cekinami, które migotały na różowo, liliowo i lawendowo w świetle gazowych latarni

i sięgających daleko snopach światła reflektorów błyszczących samochodów. Miasto rozrosło się wokół Liu Song; była matką, lecz wciąż czuła się jak zagubiona mała dziewczynka.

Szła z dworca kolejowego do domu, obcasy jej butów stukały po wypolerowanym marmurze. Mijała żony obejmujące mężów, podczas gdy jej towarzyszyła tylko perspektywa samotnego jutra. Jedyne pocieszenie była dla niej świadomość, kto na nią czeka: jej malutki synek. On zawsze będzie na nią czekał i witał ją z otwartymi ramionami, sięgającymi szerzej niż złośliwe osądy i niespełnione oczekiwania. Pomachała na powitanie kierownikowi hotelu Bush. Wydało jej się, że mężczyzna popatrzył na nią jakoś dziwnie. Z zaskoczeniem czy może smutkiem? Przyłożyła dłonie do policzków, na których już dawno wyschły łzy. Och, przecież jej makijaż, smugi tuszu do rzęs na jej twarzy musiały zdradzać, że właśnie złamano jej serce.

Dotarła do drzwi mieszkania i zaczęła szukać w torebce klucza. Mildred otworzyła zamek od środka.

Kiedy otworzyły się drzwi, przyjaciółka Liu Song omal nie podskoczyła ze strachu.

– To ty! – krzyknęła po chińsku. – Wróciłaś wcześniej. Spodziewałam się ciebie dopiero za parę godzin...

– Mówiłam ci, że nie chcę, żebyś sprowadzała tu jakichkolwiek chłopaków, kiedy mnie nie ma – sapnęła ze złością Liu Song, widząc zawstydzenie malujące się na obliczu Mildred. Chodzi nie tylko o Williama. Ten człowiek, który siedzi na dole, zawsze krzywo na mnie patrzy. Nie mogę ryzykować...

– Nie ma tu nikogo oprócz mnie.

– I Williama! – dodała oskarżycielskim tonem Liu Song. Chcę tylko zwinąć się w kłębek z moim malutkim synkiem i spać przez milion lat, myślała. – Nie mam siły się z tobą kłócić. – Popatrzyła w lustro. Jej tusz do rzęs wcale tak bardzo się nie rozmazał.

– Nie... – odpowiedziała Mildred, bawiąc się nerwowo swoim malutkim zegarkiem. – Jestem tu sama. Nie ma Williama. Wpadł z wizytą twój wujek, powiedział, że zabierze Williama na lody. Był ładnie ubrany i wydawał się sympatyczny...

Liu Song upuściła torebkę i pobiegła do sypialni, którą dzieliła z synkiem. Jego łóżeczko było puste, zniknął także wózek. Zakręciło jej się w głowie, musiała się złapać futryny. Nigdy nie mówiła Mildred, kim jest ojciec Williama, poza tym, że to żonaty mężczyzna, z którym nie ma kontaktu i którego miejsca zamieszkania nie zna. Nie wspominała także o tym, jak przebiegło jej rozstanie z ojczymem i macochą.

– Liu Song, tak bardzo cię przepraszam...! – Mildred zbladła i zaczęła zasypywać ją przeprosinami po angielsku i chińsku, jak gdyby chciała w ten sposób podkreślić ich szczerłość i głębię swojego zmartwienia. – Nie widziałam w tym nic złego; powiedział, że zejdzie z nim tylko do sklepu Owl Drug, tam gdzie sprzedają napoje. Tylko że...

Liu Song dostrzegła ścisną przez Mildred mokrą chusteczkę. Jej przyjaciółka musiała się mocno niepokoić...

– Kiedy wyszli? Jak dawno temu?! – Liu Song prawie krzyczała, bliska paniki, starając się jednak opanować.

W oczach Mildred błysnęły łzy, jej usta zadrżały, nie była w stanie mówić. Liu Song złapała ją za zimne, drżące ręce i powoli, jak najspokojniej powtórzyła pytanie:

– Mildred, ten mężczyzna... o której godzinie wyszedł z moim dzieckiem? Jak dawno temu?

– Tak mocno cię przepraszam! – Mildred pokręciła głową. – Minęły cztery godziny. Przepraszam cię, przepraszam! Nie spodziewałam się, że stanie się coś złego. Powiedział, że zaraz wróci, ale nie wracali, więc zbiegłam na dół i zaczęłam szukać ich wszędzie na ulicy. Poszłam też do Owl Drug i spytałam o nich sprzedawcę i tego głęba za ladą z napojami, ale ich

nie widzieli. Nie wiem, dokąd poszli ani dlaczego ten człowiek zabrał twojego synka. Jesteście członkami tej samej rodziny...

Z każdą mijającą godziną świadomość, iż Liu Song zerwała kontakty z wujkiem Leo, musiała ciążyć Mildred coraz bardziej. Napięte relacje rodzinne, nieznanne fakty... Zanim Liu Song wróciła, Mildred musiała już wiedzieć, że stało się coś złego. W bajkach ojczymowie często odgrywają rolę złoczyńców. Liu Song rzadko wspominała o wujku Leo czy cioci Eng. Żałowała teraz, że tego nie robiła, powinna była ostrzec przed nimi Mildred.

– Proszę cię, nie mów mojej mamie... – odezwała się znowu Mildred błagalnym głosem. – Proszę cię...

– Idź, idź i szukaj ich, gdzie tylko się da – poleciała Liu Song. – Jeśli ich znajdziesz, wezwij policję, nie czekając na moje przybycie. Zrozumiałaś? Szukaj tak długo, jak tylko będziesz w stanie. – Mildred przytaknęła przez łzy i wybiegła. Wzrok Liu Song padł na wiszącą na ścianie operową maskę jej matki. Pomalowana pamiątka była lekko przesunięta.

\*

Liu Song zbiegła do holu i ubłagała kierownika hotelu, żeby pozwolił jej skorzystać z telefonu. Poprosiła telefonistkę o połączenie z Leo Engiem, ale nikt nie odbierał. Wypadła więc na dwór i pobięła pośród ciemności w stronę znajdującej się przy ulicy South Jackson pralni Jefferson Laundry, miejsca, które od dwóch lat omijała z daleka. Dwadzieścia lat wcześniej ojciec Leo stracił swoją firmę, kiedy związki zawodowe zrzeszające białych ogłosiły bojkot chińskich pralni. Jakby tego było mało, Knights of Labor – Rycerze Pracy – wygnali z miasta wszystkich innych. Lecz dziesięć lat później Leo powrócił, niczym karaluch. Miał w kieszeni pięćdziesiąt centów i wygrał na loterii dwa tysiące dolarów. Starczyło na ponowne otwarcie pralni. Tym razem nazwał ją imieniem jednego z amerykańskich prezydentów. Dobrze zarabiał na życie praniem pościeli i ręczników z hoteli robotniczych: Northern, Panama, Milwaukee i Ace. Liu Song wiedziała, że pralnia będzie pracować przynajmniej do północy, i postanowiła rozpocząć poszukiwania właśnie tam. Potem zamierzała zaglądać do kolejnych salonów gry, tak długo, aż odnajdzie ojczyma. Wątpiła, że będzie z nim William, jednak odnalezienie wujka Leo pozwoli jej ustalić, gdzie mieszka. Następnie planowała rozmówić się z ciocią Eng, jeśli będzie musiała. Wyobraziła sobie kapiącą na uliczkę krew, ale już bez opadających piór.

Leo był w pralni, palił i rozmawiał z kilkoma pracownikami. Nie był zaskoczony widokiem Liu Song. Na jego twarzy zagościł nawet uśmiešek. Zgasił papierosa, odchrząknął i splunął na ceglany mur; Liu Song aż się skrzywiła. Plwocina powoli spływała po ścianie budynku. Przegonił pracowników, ściągnął biały roboczy czepek i rzucił go do kosza.

– Gdzie jest moje dziecko?! Gdzie William?! Nie miałeś prawa go zabierać!

– Nie ma go tu – odpowiedział wujek Leo, jak gdyby nigdy nic, tonem pokerzysty, który jest już pewien wygranej. – Mam natomiast wszelkie prawa do mojego syna. Dostałem list od niejakiej pani Peterson, więc postanowiłem przekonać się na własne oczy. Widziałem cię ileś miesięcy temu paradującą po ulicy tam i z powrotem z wózkiem. Nie wiedziałem wtedy, że była w nim niespodzianka dla mnie. Początkowo nie wierzyłem, ale potem zobaczyłem chłopca. Taki ładny, krzepki, podobny do twojej matki i do mnie. Poszedłem nawet do urzędu okręgu King, żeby się upewnić. Kiedy zobaczyłem w akcie urodzenia moje nazwisko...

– Czego chcesz? Możesz wziąć wszystko, co mam – oprócz niego. To mój syn. Ja go urodziłam i ja go karmiłam. Nigdy się nie dowie, kim jesteś, nie będzie miał z tobą nic wspólnego, obiecuję ci...

– Nie masz nic, co mogłabyś mi dać, oprócz niego. No, prawie nic. Możesz karmić piersią mojego syna jeszcze przez parę miesięcy. A potem, jestem pewien, zdołamy dojść do

porozumienia, tak żeby każde z nas miało to, czego chce. I wiem jedno: mogę ci go odebrać, kiedy tylko zapragnę. Syn należy do ojca, prawo jest po mojej stronie. Jeśli będziesz się dobrze spisywała, będę pozwalał ci się z nim widywać. Może nawet pozwolę mu z tobą mieszkać.

– Jestem jego matką, on ma dopiero dwa lata...

– Nie, jesteś jego niańką. I jeżeli wyjedziesz z Seattle, pojedę za tobą i ci go zabiorę, a wtedy już nigdy więcej go nie zobaczysz. Masz na to moje słowo.

Liu Song to doznawała ulgi, to przerażenia. Na razie mogę go zatrzymać, myślała. Jej ojczym zapalił kolejnego papierosa i wydmuchnął dym.

– Twoja ciocia Eng odprowadza go właśnie z powrotem do hotelu Bush – oznajmił. – Powinnaś już lecieć. Trzeba będzie zmienić mu pieluchę. – Mówiąc to, odruchowo podrapał się poniżej pasa.

Liu Song szybko odeszła, pocierając ramiona z powodu zimna. Chciała wziąć Williama i uciekać, mimo ostrzeżeń Leo. Tylko że nie miała dokąd uciec.

Wróciła do mieszkania, w którym panowała niepokojąca cisza. Nigdzie nie było widać cioci Eng. Jedyne dowody jej niedawnej obecności był niedopałek pod drzwiami i towarzysząca mu woń.

Liu Song aż zadrżała z ulgi na widok wózka stojącego na środku apartamentu i smacznie śpiącego w nim Williama. Zupełnie się nie poruszał, aż ją to przeraziło; wyjęła synka i przytuliła do piersi. Poczula jego ciepło i oddech. William obudził się; był radosny, zadowolony, spokojny. Uśmiechnął się i dotknął jej twarzy. Potem poczuła resztki odoru tytoniu bijącego od jego włosów i ubranka. Rozebrała go i wykąpała w gorącej wodzie, żeby zmyć ze swojego ukochanego dziecka każdy odcisk palca, każdy zapach, każdy brud, jaki pozostawili na nim wujek Leo i ciocia Eng.

Wytała Williama, a on popatrzył na nią z uśmiechem. Serce Liu Song było przepełnione bólem i gniewem, rozczarowaniem i strachem. Pragnęła wziąć synka i zniknąć z nim, uciekać. Zamiast tego uśmiechnęła się przez łzy i zaśpiewała mu kołysankę. Połaskotała go po brzuszku, udając, że wszystko będzie dobrze.

## Rozstanie

1924

Liu Song obudziła się rano i zapaliła na cześć rodziców starą świecę. Złożyła także z powagą ofiarę z herbaty na rodzinnym ołtarzyku, obok posążka He Xiang, jedynej kobiety spośród Ośmiu Nieśmiertelnych. Liu Song rozumiała taki rodzaj izolacji, taką samotność. Nie była w stanie śpiewać ani grać na scenie czy choćby się uśmiechać. Resztką energii, jaka pozostała jej po bezsennej nocy, starała się utrzymywać dzielną minę, kiedy William się obudził. Wcześniej zatelefonowała z automatu do pana Butterfielda i powiedziała mu, że jest chora i nie da rady zaśpiewać nawet dwóch nut, co nie było dalekie od prawdy. Przyglądała się Williamowi siedzącemu na wysokim krzeselku, jadł marchewkę z bulwami taro, rozgniecione i wymieszane razem. Zastanawiała się, jakie życie może zapewnić synkowi bez emocjonalnej i materialnej pomocy Colina. Odpowiedź na to pytanie przyszła wraz z pukaniem do drzwi.

Wiedziała, że to Colin. Poprzedniego popołudnia od niego uciekła; wprawdzie miała nadzieję, że Colin wyjedzie bez pożegnania, lecz równocześnie marzyła, że do niej wróci i wcale nie wyjedzie.

Nie musiał otwierać ust, żeby odgadła stan jego uczuć, wyraz jego twarzy mówił bardzo wiele. Colin wyglądał, jak gdyby nie spał całą noc, miał na sobie to samo ubranie, co poprzedniego dnia. I nie przyniósł kwiatów. Ścisnął w dłoni jedynie kapelusz.

– Couin! – odezwał się William, otwierając w uśmiechu usta pełne marchewki.

Liu Song zaprosiła Colina do środka, ale zawahał się, odruchowo machając dłonią do Williama.

– Liu Song, przepraszam cię. – Odchrząknął. – Nie miałem pojęcia, co wydarzy się wczorajszego wieczoru. Wiedziałem, że mój ojciec jest chory. Parę miesięcy temu matka przysłała mi telegram, ale moja matka za bardzo się niepokoi. Oboje błagali mnie, żebym wrócił do domu, podawali wszelkie możliwe powody, dla których miałbym porzucić moje marzenia. Ignorowałem ich długo... chyba zbyt długo. Nie wiedziałem, że ojciec jest bliski śmierci; teraz słyszę, że może nawet nie dożyć mojego powrotu. Ale muszę tam jechać.

Liu Song odwróciła głowę, popatrzyła na zegar.

– Wypływamy dziś, za kilka godzin. – Colin najwyraźniej odczytał jej myśli.

William powiedział: „Hallo” i zaśmiał się radośnie, śpiewnym głosem. Colin zrobił krok naprzód, a wtedy Liu Song się cofnęła. Stała między nim a swoim synkiem.

– Gdybyś mnie poprosiła, żebym został... – Colin się zawahał. – Wtedy...

– Nigdy nie poprosiłabym cię o coś takiego – odpowiedziała, choć w myśli krzyknęła: Poprosiła?! – Rodzina jest zbyt ważna. Nie mogłabym narzucać ci...

Colin wyraźnie się uspokoił, jak gdyby zdjęto mu ciężar z ramion; rozluźnił mięśnie całego ciała, twarzy, nawet okolice oczu. Czy ucieszył się dlatego, że nie poprosiła go o pozostanie, czy też dlatego, że rozumie, iż musi wyjechać? – zastanawiała się.

– W takim razie musisz na mnie czekać.

Liu Song patrzyła mu w oczy. Mówił, jak gdyby miała wybór...

– A co z twoją narzeczoną? – zapytała, z wielką niechęcią wypowiadając to słowo. – Wiem, że jestem samotną dziewczyną, bez prawdziwej rodziny, za to z dzieckiem. Nie lokuję się

więc wysoko na czyjejkolwiek liście kandydatek do małżeństwa. Mimo to myślałam, że łączy nas coś wyjątkowego. Że jestem dla ciebie kimś więcej niż tylko pokrewną duszą na scenie czy przed kamerą.

Colin zagryzł usta.

– Przepraszam cię, Liu Song – odpowiedział. – Nie wspominałem o niej, ponieważ nie sądziłem, że kiedykolwiek będę musiał to zrobić. Wyobrażałem sobie, że znalazła sobie kogoś innego i uwolniła mnie od tego zobowiązania. Była tak daleko... Była dla mnie tylko odległym wspomnieniem. Wiesz, że wolałbym być tutaj z tobą, z Williamem. Mówię poważnie. Chcę być z tobą! Lecz mam wrażenie, że trochę wiedziałem, iż zdołam uciekać tylko do pewnego czasu. Mogłem unikać czekających na mnie w rodzinnym domu obowiązków tylko przez pewną liczbę zim i lat. Obawiałem się zdeklarować wobec ciebie, ponieważ wiedziałem, że przeszłość prędzej czy później mnie dopadnie. Miałem nadzieję na pomyślniejsze rzeczy...

Liu Song nie dowierzała własnym uszom. Jej serce chłonęło z radością szczere uczucie Colina, potwierdził słowami to, co zawsze myślała, lecz w co bała się uwierzyć. Lecz Colin i tak wyjeżdżał. Z inną kobietą, dziewczyną całkiem podobną do Liu Song. Żadne z nich nie wiedziało, czy wróci, a jeśli tak, to kiedy.

– Dam radę to wszystko zorganizować – ciągnął Colin. – Tu w Ameryce tak dużo się dzieje, możemy wiele osiągnąć. Ty wiesz, czego chcesz i jak do tego dążyć. Pod każdym względem wrodziłaś się w matkę. Staraj się dalej, beze mnie, śpiewaj, występuj na scenie, chodź na castingi. Nie poddawaj się, nie zaprzepaść swojego daru, masz tak wielki talent, że możesz zostać gwiazdą filmową. Wrócę tak szybko, jak będę mógł. Musisz na mnie poczekać. – Colin sięgnął do portfela i podał Liu Song gruby plik dwudziestodolarówek. Odmówiła, ale położył gotówkę na stole. Nigdy w życiu nie miała tyle pieniędzy.

– To wszystko, co mam – oznajmił. – Kup sobie coś ładnego, coś, dzięki czemu będziesz mnie pamiętać, kup coś Williamowi, resztę zachowaj na czarną godzinę.

Liu Song uśmiechnęła się smutno. Nie wiedziała, że poczucie winy tak drogo kosztuje; a poza tym w Seattle niemal wszystkie godziny były może nie całkiem czarne, ale ciemne. Poza Williamem nie miała nikogo. Zamierzała czekać na Colina tak długo, jak będzie mogła. Nie było nikogo innego, kto byłby wart czekania. A nie miała w planach ułożenia sobie życia z kimkolwiek. Pokiwała głową, a Colin objął ją i przytulił mocno, najmocniej, odkąd się znali. Podniosła dłoń, dotknęła jego ramion, ale później poczuła zapach perfum innej kobiety i się cofnęła. Jeszcze nie potrafiła pogodzić słów Colina z jego zobowiązaniami. Chciał ją pocałować, jednak odwróciła głowę; zobaczyła uśmiechniętego Williama. Zaśmiał się. Chciało jej się płakać, lecz i ona zaśmiała się do synka. Jej życie było jednym wielkim absurdem. zilustrował to kolejny przykład: William potrącił swoją ceramiczną miskę, tak że spadła na podłogę. Nie stłukła się jednak, tylko zachybotała i stanęła.

– Śpiewaj, występuj dalej – powtórzył Colin. – Nigdy nie przestawaj. Dlatego że właśnie dzięki temu cię odnajdę, kiedy będziesz już sławna i przeniesiesz się gdzie indziej.

Liu Song próbowała nie zwracać uwagi na jego komplementy, jednak rozkoszowała się każdym słowem.

– Graj.

– Zawsze. – Całe moje życie jest jedną wielką iluzją, pomyślała.

– Wyślę ci telegram, kiedy tylko będę mógł. Obiecuję ci, że będę pisał. Zajmę się tym wszystkim i wrócę, będzie tak, jakbym nie wyjeżdżał.

Liu Song popatrzyła na synka, potem na Colina. Zebrała się w sobie i powróciła do odgrywania życiowej roli. Przelknęła łzy. Ujęła dłoń Colina, dotknęła jego twarzy, ciepłego, miękkiego policzka. Uśmiechnęła się dzielnie i życzyła mu bezpiecznej podróży oraz

wszystkiego najlepszego, szczęścia, którego ona nigdy nie mogła zaznać.



## Ustalenia

1925

Pod koniec zimy Liu Song zrozumiała, że może czekać przez resztę życia. Obliczała, ile dni powinna Colinowi zająć podróż parowcem do Hongkongu i dalej do Kantonu, a także czas, jaki musiał minąć, zanim dotrze do niej telegram z wiadomością, że Colin bezpiecznie dotarł do domu, oraz kiedy powinna się spodziewać jego powrotu. Co wieczór czekała na posłańca z Western Union, ale nie pukał do jej drzwi i kładła się spać rozczarowana. Wiedziała, że telegramy drogo kosztują, szczególnie te zamorskie, więc oczekiwała najwyżej paru słów, lecz z drugiej strony nie przypuszczała też, że Colin będzie milczał. Tygodnie zamieniały się w miesiące i Liu Song stopniowo zaczęła godzić się z tym, że cisza jest równoznaczna z innego rodzaju wiadomością, która docierała do niej głośno i wyraźnie.

Próbowała zapomnieć o Colinie, oddając się pracy w sklepie muzycznym, lecz nawet to przyjemne zajęcie nie rozpraszało jej smutnych myśli przez bardzo długi czas: mijały miesiące, a jej nie udało się sprzedać ani jednej pianoli, nawet w okresie świątecznym, kiedy śpiewała tylko bożonarodzeniowe piosenki i kolędy, jak *Greensleeves*, *The Twelve Days of Christmas* czy *Cicha noc*.

William uwielbiał ich słuchać. Siedział w sklepie, gdzie było ciepło, i bawił się; patrzył przez okno i machał do Liu Song stojącej na dworze, gdzie niemal bez przerwy padał deszcz. W odpowiedzi uśmiechała się do synka i posyłała mu pocałunki przez zimną szybę.

Uliczne występy Liu Song wciąż przyciągały tłumy słuchaczy, mimo to pan Butterfield z trudem sprzedał zaledwie czwartą część zamówionych nut. Jego sklep wyglądał teraz jak składowisko rupieci. Wszystko było stare, zużyte, niechciane i pokryte kurzem. Ręcznie malowane reklamy nie pomagały w sprzedaży, podobnie jak zniżki.

– *Sheng dan kuai le* – powiedział William i klasnął w ręce. Liu Song popatrzyła na niego i uniosła brwi. – Wesołych Świąt – oznajmił z kolei po angielsku, gdy jego mama weszła do sklepu, żeby odpocząć. Była dumna z angielszczyzny synka, jednak męczyła ją tak dotkliwa samotność w radosnym dla innych okresie. Usiadła naprzeciw pracodawcy.

– Obawiam się, kochana, że już czas kończyć – oznajmił pan Butterfield, który ślęczał nad księgą przychodów i rozchodów. Wlał do kryształowej szklaneczki o pękniętym dnie resztę zawartości piersiówki.

Liu Song spojrzała na zegar, nie mając pewności, co właściciel sklepu ma na myśli. Była dopiero trzynasta, za wcześnie, żeby iść do domu, mimo że o tej porze roku nie było autobusów z turystami. W ostatnich dniach sprzedaż szła gorzej niż zwykle, ale deszcz zawsze niekorzystnie na nią wpływał. A poza tym Liu Song walczyła z przeziębieniem, pociągała nosem przez cały ranek. Sączyła teraz gorącą herbatę jaśminową, żeby rozgrzać gardło i poprawić brzmienie głosu.

– Stajemy się przeżytkiem – stwierdził pan Butterfield, zaklął, po czym zamknął grubą oprawioną księgę i wyrzucił ją do śmieci. Pomachał jeszcze na pożegnanie zapiskom dokumentującym dokonane przez niego transakcje, jak gdyby rozstawał się z długoletnim przyjacielem. Wyjął chusteczkę i osuszył kąciki oczu; oczyścił nos i wyjrzał przez okno.

Liu Song także popatrzyła na przeciwległą stronę ulicy, gdzie przed świętami otworzył podwoje nowy sklep elektroniczny. Właśnie tam przeniosła się dotychczasowa klientela pana

Butterfielda. Panował szal na radia, w promieniu trzech przecznic od sklepu muzycznego funkcjonowały już trzy salony sprzedaży radioodbiorników. Do tego wciąż uruchamiano nowe radiostacje nadające coraz więcej muzyki. Nikt już nie chciał kupować pianoli, zwłaszcza tych drogiej, marki Weltes. Były wielkie i ciężkie, trzeba było je stroić i czyścić, a rolki z piosenkami były kosztowne w porównaniu z darmową muzyką z radia, którą wieczorami można było znaleźć w eterze przez siedem dni w tygodniu. Początkowo Liu Song sądziła, że radio może się okazać tylko chwilową modą, jednak wszędzie można było teraz spotkać odbiorniki lampowe firm RCA czy Crosley. Sprzedawały się jeszcze lepiej niż droższe od nich Zenithy, których pan Butterfield swego czasu obawiał się najbardziej.

– I co teraz? – zapytała Liu Song, której zależało na odpowiedzi.

Pan Butterfield zawahał się, poluzował krawat i odparł:

– Przykro mi, Kochana. Współpraca z tobą sprawiała mi czystą radość, ale obecnie obawiam się, że nie mogę płacić ci prowizji od sprzedaży, która nie idzie. Masz wspaniały głos i do tego talent aktorski, a połowa kobiet w tym mieście byłaby gotowa zabić, żeby tylko mieć takie kości policzkowe jak ty. Lecz i twój wygląd nie podtrzyma już przy życiu tego sklepu. Walczyliśmy dzielnie. Od jutra wyprzedaję wszystko za pół ceny, i tak przez całe święta. Po Nowym Roku wywieszę tabliczkę o zakończeniu działalności. Prawdopodobnie pozbycie się wszystkiego oraz wyrównanie rachunków z bankiem zajmie mi większą część stycznia. Potem zamknę podwoje na dobre. Jeśli potrzebujesz listu z referencjami, z wielką radością go napiszę.

Nowiny docierały do świadomości Liu Song przez dłuższą chwilę. Interesy zawsze szły raz lepiej, raz gorzej, ale wydawało się, że miasto wspaniale się rozwija. Ludzie kupowali Plymouthy czy Pierce-Arrows, kuśnierze mieli tyle pracy, ile nigdy wcześniej. Liu Song myślała, że pan Butterfield będzie umiał dostosować się do zmieniających się czasów. Miała nadzieję, że aktualna sytuacja to tylko cisza przed burzą świątecznych zakupów. Nie zdawała sobie sprawy, że było to ostatnie tchnienie, dzwon żałobny obwieszczający koniec jej etatowej pracy.

Pan Butterfield dał jej dwa dolary drobnymi. Nie był w stanie spojrzeć jej w oczy. Otarł łzę. Te dwa dolary stanowiły cały zarobek Liu Song za ostatni tydzień pracy. Pan Butterfield dołożył jej do tego jeszcze pięciodolarowy banknot.

– Będzie mi cię brakowało, Liu Song – powiedział. – Na zawsze pozostaniesz moją Willow. Za Williamem też będę tęsknił. – Zanim Liu Song zdążyła podziękować, jej pracodawca odwrócił się do niej plecami. – Proszę cię, bądź taka dobra i zamknij sklep, jak będziecie wychodzili. Muszę się jeszcze napić. – Z tymi słowami odszedł. Liu Song spoglądała za nim. Poprawił szelki i zniknął na zapleczu. Nim zdążyła się z nim pożegnać, już go nie było. W sklepie muzycznym zapadła straszna cisza. Wieczny odpoczynek. Liu Song posiedziała jeszcze chwilę, a potem zawołała Williama, który bawił się nakręcanym stepującym tancerzem w pomieszczeniu do naprawy pianin, gdzie nie czekał żaden zepsuty instrument. Liu Song uśmiechnęła się na widok podanej jej przez synka mocno podniszczonej zabawki. Sprężyna dawno pękła od wielokrotnego nakręcania i teraz blaszana figurka ledwie się poruszała, ale William przedstawiał miniaturowego człowieczka z miejsca na miejsce.

Kiedy ruszyli piechotą do domu, Liu Song wypatrywała ogłoszeń o poszukiwanych pracownikach. Wiedziała jednak, że kobietom oferowano niewiele zajęć, i to nieczęsto. Jedyne możliwe miejsce zatrudnienia okazała się firma Jefferson Laundry. Przechodząc koło niej, Liu Song zacisnęła zęby. Wyobrażała sobie, jak wygląda praca dziewczyny przerzucającej rzeczy do prania: cuchnącą bieliznę, poplamioną pościel i przesiąknięte brudem szmaty. Już nie chciało jej się nadkładać drogi, żeby ominąć pralnię wujka Leo. Nie miało to sensu, Leo i tak co tydzień dawał jej znać o swojej obecności.

Wróciła do hotelu Bush. Na progu jej mieszkania leżał schludny węzełek świeżo

wypranych przez jego zakład rzeczy. Wraz z czystą pościelą i pieluchami ojczym przekazywał jej każdego tygodnia niewypowiedziany komunikat: „Obserwuję cię i czekam”.

## Apetyty

1926

– Chce mi się jeść – powiedział William i pokazał na swój wystający spod mocno już przykrótkiej, spłowiałej koszulki pępek. – Jestem głodny, mamoo...

Liu Song chciała mu przypomnieć, że nie jadają śniadań. Od wielu miesięcy nie miała pracy; sądziła, że po tak długim czasie jej synek do tego przywyknie. I przywykł, tylko nie rozumiał, że kończyły im się oszczędności, w tym pieniądze otrzymane od Colina i pana Butterfielda. Odgrzała wczorajszy ryż, dodała do niego jajko i trochę dymki. Myślała o matce, o tym, jak jej *ah-ma* powoli więdła, usychała. Czy teraz to samo dzieje się z nami? – zastanawiała się. Kolejny raz nie zjadła kolacji, tylko patrzyła, jak je William. Ślinka jej ciekła na myśl o resztkach, aż bolał ją brzuch. Położywszy synka do łóżeczka na drzemkę, pochłoneła tę odrobinę, jakiej nie zdołał zjeść, a potem policzyła monety, które pozostały jej w portmonetce. Mogłaby za nie kupić parę używanych ubrań, ale w żaden sposób nie zdołałaby zapłacić czynszu. Ledwie starczało im na jedzenie. Mildred wyjechała z Seattle ze swoim chłopakiem, tym całym Andym. Mówiła, że uciekają do Kalifornii; po drodze zamierzała zarabiać, startując w maratonach tańca. Liu Song wyobraziła sobie przyjaciółkę w bluzce z napisem PIJ SŁODOWĄ OVALITINĘ na plecach, ślaniającą się przez czterdzieści dni na parkiecie, dla triumfu oraz tysiąca dolarów nagrody. Niech ci pójdzie na zdrowie, myślała Liu Song. Gorzej będzie ze mną. Niełatwo jej było znaleźć kogoś zaufanego, kto pilnowałby Williama podczas jej pracy w klubie Wah Mee. Była na przesłuchaniach do kilku ról teatralnych, jednak bez znajomości, jakie miał Colin, nie dostawała angażu. Te nieliczne prace, jakie oferowano kobietom, wydawały się dla niej nieosiągalne: w firmach prowadzonych przez białych sprawiała zbyt azjatyckie wrażenie, a w chińskich wyglądała na przesadnie nowoczesną, zachodnią dziewczynę. Obciążało ją moralnie nieślubne dziecko, zaś rodziny, która mogłaby za nią poręczyć, nie miała. Kiedy poszła do pana Butterfielda poprosić o obiecaną pisemną rekomendację, okazało się, że sklepu już nie ma, a jego właściciel wyjechał z Seattle.

Siedziała na podłodze w pokoju Williama, słuchała jego pochrapywania i czytała lokalną gazetę filmową „Screenland”. Zamieszczała ona repertuar kin, reklamy nowych filmów i wiadomości o tych, które dopiero kręcono. Nie było jednak żadnego, do którego zaangażowałiby aktorkę o chińskich rysach. W desperacji Liu Song obudziła synka, ubrała go ciepło i trzymając senne dziecko za rączkę, poszła z nim do Stacy Mansion.

– Po co tu przyszedliśmy? – zapytał William.

Liu Song wytarła mu nos własnym rękawem i roztarła rączki, policzki i uszy synka, żeby nie przemarzły.

– *Ah-ma* zapyta, czy nie mają tutaj dla niej pracy. Rozumiesz?

William wrzucił ramionami i z otwartą buzią podziwiał okazały budynek. W górze przelatywał akurat nierówny klucz gęsi śnieżnych. Ptaki gęgały i wymachiwały skrzydłami, kierując się w stronę Tacomy, ku miejscom o cieplejszym klimacie na południu.

Liu Song westchnęła głęboko. Czuła się winna, zaprowadziwszy Williama aż do Stacy Mansion, nie chciała jednak zostawiać go samego. Była w bardzo trudnym położeniu, lecz nie zamierzała sprawiać wrażenia osoby zdesperowanej. Z drugiej strony dla swojego dziecka była

gotowa zrobić wszystko. Niegdyś pani Van Buren powiedziała jej w tym miejscu, że Liu Song może wystąpić w Stacy Mansion znowu, kiedy tylko będzie chciała.

Ekskluzywny klub wyglądał tego dnia nieprzyjemnie i zimno: trawa zbrunatniała, drzewa zgubiły liście, pozostały tylko wiecznie zielone krzewy po obu stronach kutej żelaznej bramy, otwartej, żeby mogły przez nią przejeżdżać w obie strony piękne, błyszczące samochody. Ich kierowcy wyglądali na znudzonych, pasażerowie zaś, eleganczy i nie do końca przytomni, byli na ogół podpici. Liu Song patrzyła na damy w białych rękawiczkach i etolach z norek, na mężczyzn w samochodowych płaszczach i aksamitnych kapeluszach, i pomyślała, że ten moment jest tak samo dobry jak inne.

Podeszła do wejścia, czując się niewidzialna. Przestała się tak czuć, kiedy portier rzucił w jej stronę:

– Hej, wejście dla obsługi znajduje się od wschodu. Trzeba wyjść za bramę i okrążyć cały kwartał.

– Nie pracuję tu – odpowiedziała Liu Song.

– Nie? Członkinią klubu też nie jesteś.

– Chciałabym porozmawiać z panem albo panią Van Buren, jeśli któreś z nich jest w środku. Nazywam się... – Trzymając zimną rączkę Williama, wychyliła się ku otwartym drzwiom, od których biło ciepło, a także aromaty czosnku, cebuli i pieczeni wołowej. – Proszę im powiedzieć, że przyszła Willow, Willow Frost. Występowałam tu kiedyś dla klubowiczów.

Portier zlustrował ją od stóp do głów i powiedział, żeby zaczekała, a sam zniknął za drzwiami. Wrócił z panią Van Buren, która chyba jej nie poznała.

– Przepraszam, czy my się znamy? – upewniła się, wkładając do ust koniec cygarniczki.

Portier zapalił jej papierosa zapalniczką i pani Van Buren zaciągnęła się głęboko, po czym wypuściła długi strumień dymu. Wirował w zimnym powietrzu, podczas gdy ona odruchowo dotknęła swojego perłowego naszyjnika.

Liu Song poczuła się niestosownie ubrana, miała na sobie spłowiałą sukienkę i zniszczone buty, które nawet dawniej tylko z trudem można było uznać za eleganckie.

– Jestem Willow. Willow Frost – powiedziała. – Występowałam tu raz...

Pani Van Buren zmrużyła oczy, zauważając Williama. Jej przyjemny uśmiech znikł.

– Była pani z tym Colinem, prawda? Przed rokiem wyjechał nagle do Azji. Tak się składa, że niektórzy członkowie klubu nie dokończyli prowadzonych z nim interesów. Wygląda na to, że i panią zostawił na lodzie. Obawiam się, że jeśli jest pani jego znajomą, w niczym nie możemy pani pomóc... – Pani Van Buren potrząsnęła głową i spojrzała na portiera, który chwycił Willow pod ramię.

– Ale mówiła pani, że mogę tu wystąpić, kiedy tylko zechcę – rzuciła Willow, już odprowadzana wraz z Williamem do bramy. – Potrzebuję pracy, błagam panią. Powiedziała pani...

– Mówię różne rzeczy. A teraz mówię pani do widzenia.

\*

Tej samej nocy Liu Song zwinęła się w kłębek w łóżku, głodna i zmarznięta, bolało ją całe ciało. Wytarta pościel była stara i brudna. Liu Song nie mogła się przemóc, żeby zmienić ją na czystą, przyslaną z pralni wujka Leo. Nie tylko zresztą z poczucia osobistej dumy. Raz spała w pościeli prosto z Jefferson Laundry i śniły jej się straszliwe koszmary. William spał tymczasem spokojnie, z główką na jej ramieniu i rączką na brzuchu swojej *ah-ma*. Jego paluszki poruszały się tak, jakby łapał we śnie motyle czy kijanki. Liu Song patrzyła na buzię chrapiącego synka. Był taki spokojny, bez troski, doskonały...

\*

Rano wykąpała Williama i nakarmiła go resztką ryżu. Wyjęła ją z rodzinnego ołtarzyka, gdzie wcześniej złożyła ten ryż w ofierze. Wciąż czuła się chora i słaba, z głodu i niewyspania, z niepokoju, a może po prostu z samotności i dlatego, że miała złamane serce. Jakiegokolwiek były powody jej niedomagania, wiedziała, że nie da rady wyżywić Williama. Popatrzyła w lustro i rozplakała się. Od lat nie była w stanie płakać, a teraz nie mogła przestać. Łkała, aż bolały ją mięśnie brzucha, poczerwieniał jej nos, a policzki i kołnierzyk zrobiły się mokre. Płakała aż do wyczerpania. Potem usiadła na wytartej kanapie i oddychała, starając się nie myśleć i nie czuć już niczego więcej. Tylko na chwilę poddała się znowu emocjom, kiedy William popatrzył na nią i uśmiechnął się do niej. Podszedł, wyciągając rączki, a ona przyklękła na jedno kolano i przytuliła synka. Kiedy go puściła, przyjrzał się jej łzom, potem ich dotknął i zapytał:

– Au, *ah-ma*? Aua?

Kiedy już zeszła jej opuchlizna nosa i oczu, ubrała się powoli, starannie, jakby szykowała się na własny pogrzeb. William się bawił. Liu Song omiotła wzrokiem swoje mieszkanie i synka, a później wzięła go za rączkę, zeszła z nim ze schodów i powoli wyprowadziła na dwór, gdzie było bardzo zimno. Na ulicy objęła Williama ramieniem. Potrzebowali zimowych ubrań. A także mnóstwa innych rzeczy.

– Gdzie idziemy? – spytał malec, którego oddech zamieniał się w parę.

Liu Song nie odpowiadała, tylko przeprowadziła go na drugą stronę ulicy.

– *Ah-ma*? Piekalni? – Pokazał na piekarnię Mon Hei Bakery.

Liu Song z lubością wciągała w nozdrza istic niebiańską woń świeżych bułeczek z wieprzowiną. Już od wielu miesięcy nie jadła niczego tak pysznego. Prowadziła Williama dalej, nie była w stanie mówić. Obawiała się, że wybuchnąłaby płaczem. Skupiła całą energię na powstrzymaniu opanowującego ją smutku. Przystanąła przy wózku kwiaciarza. Drżącymi palcami podała mężczyźnie ostatnie pieniądze i wskazała wiązanek białych piwonii.

– Współczuję pani – odezwał się sprzedawca kwiatów. – Śmierć to taka straszna rzecz... – Podał jej pogrzebową wiązanek. Liu Song podziękowała mu cicho i odeszła powolnym krokiem. Prowadziła synka ulicą. Minęli sklep muzyczny, z którego wnętrza dolatywała smutna, nieznana jej piosenka. Przeszli przez uliczkę i znaleźli się przed drzwiami Jefferson Laundry.

– Śmieldzi! – oznajmił William, zatykając nosek. – Idę do domu!

Weszli do pralni. Liu Song szybko zadzwoniła stojącym na ladzie dzwonkiem, jak gdyby miało to skrócić jej przykre doznania. Podobnie łyka się łyżkę zjełczałego tranu z wątroby dorsza. Próbowwała się nie cofać, kiedy zza dwuskrzydłowych wahadłowych drzwiczek wyłoniła się krzepka ciocia Eng, cuchnąca detergentem i wczorajszym potem. Parsknęła i zademonstrowała w wymuszonym uśmiechu szary, martwy ząb. Potem wzięła kwiaty i warknęła coś po chińsku, z tak gwarową, wiejską wymową, że nawet Liu Song zupełnie nie zrozumiała jej słów.

Ciotka Eng odwróciła się i zniknęła z powrotem w głębi pralni, po czym Liu Song usłyszała głośną rozmowę, która szybko przeszła w ożywioną kłótnię.

Liu Song popatrzyła na wierzącego się Williama. Wciąż trzymał ją za rękę, ale zerkał w stronę wyjścia i restauracji po przeciwległej stronie ulicy. Jego matka czekała, mając nadzieję, że widoczna w jej oczach desperacja oraz rezygnacja nie były równie zaraźliwe, jak jej przeziębienie. Pociągnęła Williama za rączkę i powiedziała do niego:

– Jestem twoją *ah-ma*. I zawsze będę twoją *ah-ma*. Wierzysz mi?

William przytaknął, zdziwiony. Zapewne zgodziłby się z każdym zdaniem, byle tylko w drodze powrotnej do domu wstąpili do piekarni.

Liu Song podniosła wzrok i zobaczyła, że ciocia Eng wróciła, właśnie odwiązywała fartuch i przeklinała ją po kantońsku. Cisnęła fartuch na podłogę. Potem spojrzała z dołu na Liu Song i napluła jej w twarz. Liu Song cofnęła się i zacisnęła powieki, podczas gdy ciepła, cuchnąca plwocina spływała jej po policzkach i nosie. Ciocia Eng znowu wypadła z pomieszczenia, jednocześnie czyjaś szorstka ręka wepchnęła Liu Song w dłoń miękki ręcznik. Wytarła twarz do czysta, starając się nie dławić. Wciąż czuła ohydny zapach.

Otworzyła oczy i zobaczyła stojącego przy niej wujka Leo. Poprawił dłonią rzadziejące włosy, zaczesał je na bok. Jego oblicze było mokre od potu i pary. Odebrał ręcznik, powąchał go, a potem wytarł sobie czoło i policzki, wreszcie złożył równiutko brudny ręcznik i położył go na stosie wypranych. Nie odzywał się ani słowem. Uśmiechnął się tylko do Liu Song z taką miną, jakby mówił: „Wiedziałem, że tu wrócisz”.

## Śpiewająca utrzymanka

1926

Tydzień później Liu Song stała na piękniej płyty omszałego chodnika przed hotelem Bush i napominała Williama, żeby nie wchodził w błotniste kałuże i przepelnione rynsztoki. Godzinę wcześniej przestał padać rześisty deszcz. Świeciło popołudniowe słońce, lecz z Washington Boulevard wciąż spływała w dół woda, aż do Pioneer's Place. Zmywała nagromadzone przez tydzień śmieci, niedopałki i robaki.

William wrzucił do brudnej wody szyszkę, zaśmiał się i pobiegł za nią, aż w pewnej chwili przejechał ją szmaragdowy samochód.

Liu Song poczuła się, jakby zobaczyła ducha – do krawężnika podjechał stary landaulet w kolorze liści.

– Musimy jechać – powiedziała do Williama i przejrzała się w kieszonkowym lusterku. Wyglądała jak własna matka; oglądała kiedyś jej sepiowe zdjęcie jako młodej kobiety. Oczy Liu Song zdradzały jednak smutek nie mniejszy niż cierpienia jej matki w ostatnich latach życia.

To tylko kolejna rola, którą po prostu gram, mówiła sobie w myśli Liu Song, uśmiechając się odważnie, podczas gdy William podskakiwał z podniecenia.

– Konie? Pojedziemy na koniach? – pytał.

– Nie, będziemy na nie tylko patrzeć – wyjaśniła, kręcąc głową. – Obiecuję ci, że to świetna zabawa. – Spojrzała na nowy garniturek, który miał na sobie jej synek, i na jego nowe dobrze dobrane buty. Nie musiał już wciskać stópek w stare zniszczone kawałki skóry o dziurawych podeszwach.

William skrzywił się i pociągnął za swój krawacik i sztywny, nakrochmalony kołnierzyk.

Samochód zatrąbił, Liu Song szybko otworzyła drzwi i skinęła głową do wujka Leo, jak gdyby na znak zgody. Potem pomogła Williamowi usiąść z tyłu, a sama zajęła miejsce obok byłego ojczyma. Splunął przez okno i burknął:

– Jesteśmy spóźnieni. – Klepnął ją w udo, dodał gazu i ruszył, zanim Liu Song zdążyła zamknąć drzwi.

W rozpędzonym samochodzie, który jechał z chińskiej dzielnicy do Georgetown, czuła się jak w pułapce. Minęli bliski upadku browar Rainier, który butelkował teraz wodę sodową i piwo bezalkoholowe. Potem przejeżdżali obok przytułku i szpitala okręgu King, jego teren obejmował czterdzieści hektarów ziemi uprawnej. Liu Song w jednej chwili poczuła dojmującą samotność: pamiętała, jak jej najbliższych odsyłano już na kamiennych schodach przed wejściem do ceglano-gmachu szpitala. W tamtym okresie cały ten obszar zajmowały poustawiane gęsto namioty. Aż dotknęła nosa na wspomnienie wypełniającej cały teren woni mokrego namiotowego płótna i fekaliów, pośród których leżeli ludzie umierający na grypę. Liu Song tęskniła za rodzicami i braćmi. Po trosze żałowała, że i ona nie oddała ducha w domu razem z nimi. Zresztą jakaś jej część przestała żyć. Z każdym przejechanym kilometrem Liu Song coraz głębiej żałowała podjętej decyzji. Myślała jednak o swoim desperackim położeniu; nie miała wyboru, tak samo jak jej matka. Robiła to dla Williama, który siedział z tyłu pojazdu i śmiał się, jak gdyby był to najlepszy dzień jego dotychczasowego życia. Ze smutkiem przypuszczała, że prawdopodobnie tak jest. Jej synek uśmiechał się przez całą drogę, aż do toru



wyścigów konnych Meadows Race Track.

– Przedstawię cię jako Liu Song, bez nazwiska – odezwał się wujek Leo.

Może być. Wreszcie uwolniłam się od twojego nazwiska, za to znowu stałam się twoją własnością, pomyślała.

– Spotkamy tam różnych mężczyzn: moich kolegów ze stowarzyszenia Chong Wa, właściciela jednego hotelu, kierownika filipińskich robotników; wszystko bardzo ważni ludzie – mówił dalej Leo, a Liu Song kiwała głową. – Będziesz przychodzić do nas na krótko i odchodzić, kiedy ci pozwolę. Może kiedyś zaśpiewasz przed tymi panami, ale teatralne występy zachowasz tylko dla mnie.

Ustalili już wcześniej, że tak będzie, i nawet ciocia Eng to zaakceptowała: Liu Song zgodziła się być *xi sang* wujka Leo. Miała mu towarzyszyć podczas imprez towarzyskich, być ozdobą sali w czasie spotkań w interesach, wreszcie dostarczać rozrywki jego współpracownikom, kiedy będzie miał taką zachciankę. Wiedziała, że to nie wszystko, czego od niej oczekuje. Była chińską „śpiewającą dziewczyną” – należała do niego pod każdym względem.

Główka Williama podskakiwała, drzemał na tylnym siedzeniu. Liu Song westchnęła smutno, starała się panować nad emocjami. Oddała się wujkowi Leo, żeby wykarmić, ubrać Williama i zapewnić mu opiekę. Musiała to zrobić, żeby zatrzymać synka przy sobie. Była jak bohaterka odgrywana przez Margaritę Fischer w *The Sacrifice*: niosła ogromne brzemię, aby chronić członka najbliższej rodziny.

\*

Liu Song była dotąd na torze Meadows tylko raz, jako mała dziewczynka. Przypominała sobie całe pociągi odświętnie ubranych ludzi, którzy wypełniali otwarte bydłące wagony. Zapach trawy i siana, widok błotnistego, długiego na półtora kilometra toru okalającego spokojny staw, poruszane wiatrem pałki wodne. Tamtego dnia na trybunie głównej musiało być z dziesięć tysięcy krzyczących, wiwatujących ludzi. Wszyscy schodzili z niej ogromnie podekscytowani, ale podczas jazdy powrotnej wyglądali na pijanych i przygnębionych.

Liu Song szła pod rękę z Leo. Właśnie miała skierować Williama na wielką trybunę, kiedy nagle Leo rzucił gniewnie:

– Tędy!

Pokazał na wystawny budynek klubu, po czym oczyścił nos, wytarł dłoń w spodnie i poprawił krawat. Usiedli na niższym z dwóch tarasów. Leo wyglądał, jakby znajdował się w nieodpowiednim miejscu, obsługiwany przy wiklinowym stoliku przez kelnerów w smokingach. Przynieśli dzbanki wody z lodem, obrane pomarańcze, plasterki cytryny z miodem. Do Leo i Liu Song dosiedli się dwaj biali mężczyźni i Filipińczyk. Zaczęli rozmawiać o pralni Leo, o związkach zawodowych, kontraktach, obietnicach – wreszcie o oszałamiającej piękności u boku Leo Enga. Liu Song uśmiechała się grzecznie i zerknęła uważnie na Williama. Stał blisko toru, przy kolorowej barierze, i podziwiał paradę koni, mających niebawem ustawić się na linii startu. Liu Song słuchała i oglądała bogatszych gości, którzy mijali ich stolik i zmierniali na taras znajdujący się wyżej. Mężczyźni i kobiety nosili futra, mieli na sobie mnóstwo biżuterii, śmiali się i uśmiechali. Nie zachowywali się wyniośle, tylko po prostu nie zwracali uwagi na mniej zamożnych. Choć więcej niż kilku mężczyzn przystanąło, uśmiechnęło się do Liu Song, pocałowało ją w rękę i zamieniło parę słów z wujkiem Leo, który odpowiadał im uśmiechami i kiwaniem głową. Wtedy Liu Song zrozumiała wartość *xi sang*. Leo był zbyt władczy, żeby oddać ją innym mężczyznom – przynajmniej taką miała nadzieję – nie przeszkadzało mu jednak posługiwanie się nią do przyciągnięcia ich uwagi, dzięki czemu mógł zabiegać o ich względy. Uśmiechnął się szeroko i właśnie miał coś powiedzieć, kiedy oczy

obecnych zwróciły się ku wejściu, gdzie wszyscy przymilali się do pięknej pary, która wkroczyła na teren klubu w prawdziwie teatralnym stylu. Nawet Liu Song rozpoznała tych dwoje. Szli na górę, przystawali, pozowali do zdjęć i rozdawali autografy.

Leo zmarszczył brwi.

– To Molly O’Day i Richard Barthelmess – wyjaśniła Liu Song wujkowi Leo oraz jego partnerom w interesach. – Czytałam, że w Camp Lewis, na południe od Tacomy, kręcą film *The Patent Leather Kid*. – Mężczyźni z uśmiechami na twarzach pokazywali sobie nawzajem parę gwiazdorów, podziwiając ich, a także w pewnym stopniu wiedzę Liu Song. Wyraźnie rozdrażniło to Leo.

Poruszenie dobiegło końca. Trębacz dał sygnał zajęcia miejsc na starcie. Wszyscy jeszcze raz sprawdzili swoje kupony z zakładami i czekali na głos dzwonu oraz początek gonitwy. Wszyscy oprócz Liu Song, która zerkała na Williama, a potem jeszcze na Richarda Barthelmessa. Stał na schodach i obserwował początek wyścigu. Pamiętała przenikliwe spojrzenie Barthelmessa i jego dołczek w brodzie z filmu *Złamana lilia*. Grał w nim Cheng Huana, buddystę, który opiekuje się dziewczyną graną przez Lillian Gish. Jej bohaterka jest niechcianą córką zawodowego boksera, ojciec ją katuje. Liu Song czytała swego czasu, że sceny znęcania się zrobiły tak okropne wrażenie na pewnym dziennikarzu, iż wybiegł z planu i zwymiotował. Liu Song pokręciła smutno głową, przypominając sobie tragiczne zakończenie filmu: dziewczyna zostaje śmiertelnie pobita. Cheng Huan buduje na jej cześć ołtarz, a później odbiera sobie życie.

Przez budynek klubu przeszła fala aplauzu i Liu Song popatrzyła na tor wyścigowy. Widzowie wstawali z miejsc, śledzili finisz. Posiadacze niektórych zakładów wydawali radosne okrzyki, inni klęli i darli swoje kupony na małe kawałeczki, które rzucali w powietrze; spadały niczym konfetti na parady. William stał z wyciągniętymi rączkami, próbował złapać latające wokół niego strzępki papieru. Chwytał całą garstkę i uśmiechnął się do Liu Song.

Klasnęła w dłonie i posłała mu kilka pocałunków.

Po chwili za Williamem pojawił się zwycięski dżokej na koniu pełnej krwi angielskiej; jechał odebrać nagrodę. Drobny mężczyzna miał na sobie strój ze skóry i jedwabiu, trzymał w dłoni bat. Liu Song skrzywiła się na widok śladów razów na zadzie i przedniej nodze wierzchowca. Bardzo współczuła wyczerpanemu koniowi. Jego mięśnie drgały, był spocony i wyraźnie przerażony. Wtem poczuła na swoich pośladkach dłoń Leo. Liu Song natychmiast pozazdrościła koniowi okularów ograniczających mu pole widzenia. Chciałaby mieć coś podobnego, co odciąłoby ją od świata.

## Jaka matka, taka córka

1934

William siedł obok matki, która miała już dość hotelu Bush i związanych z nim wspomnień. Przeszli przez jezdnię, na rogu Jackson Street minęli mężczyznę, który rozdawał ulotki i wołał:

– Rosjanie tego dokonali!

Po przeciwległej stronie skrzyżowania artysta malował na murze scenę z udziałem George'a Washingtona. William i Willow mijali próbujące się ogrzać całe rodziny skulone wokół krtek, z których wydobywała się para. Ludzie ci umykali przed policjantami, zmęczonymi po kolejnej nocy przepędzania włóczęgów.

– Co się stało z Colinem? – zapytał w pewnej chwili William. Nie był pewien, czy chce dowiedzieć się więcej o swoim ojcu, nazywanym przez matkę wujkiem Leo. Całemu jego dzieciństwu towarzyszył niewypowiedziany smutek. Dotąd William przypuszczał – nie, właściwie miał taką nadzieję – że widywanym niegdyś przez niego od czasu do czasu mężczyzną był Colin. Teraz zaświtało mu w głowie, że mężczyzna, którego zapamiętał, musiał być kimś innym. – Czy on kiedykolwiek do nas wrócił? – Do nas... Do ciebie.

Willow przytaknęła.

– Następnego ranka po dniu, w którym przyjechała jego narzeczona, Colin spakował się, a potem przyjechał się ze mną zobaczyć. Był zdruzgotany i przez cały czas przeproszał, tłumaczył się, mówił o wcześniejszych zobowiązaniach. Serce mnie bolało, kiedy na niego patrzyłam; przyjechał się pożegnać. W końcu wyznał wtedy, że jest mną zauroczony, ale za tymi słowami nie poszły czyny, ponieważ tego samego dnia wyjechał. Musiał jechać, nawet ja to rozumiałam. Miał matkę wymagającą opieki, rodzinną firmę, którą trzeba było ratować, wreszcie piękną narzeczoną, z którą mógł dzielić życie. Wszystkie jego amerykańskie ambicje i plany były tylko ucieczką. Reflektor zgasł, opadła kurtyna, grzebiąc jego nadzieje i moje marzenia o naszym wspólnym życiu, o lepszym życiu dla nas obojga. Jednak ja nie porzuciłam aktorstwa.

William słuchał matki, wydawała mu się cieniem kobiety, w jaką wcielała się na ekranie. Potarła chude ramiona, żeby odegnać zimno.

– Czułam się okropnie zraniona i zła na niego, byłam jednak równocześnie zdesperowana i przerażona perspektywą utraty ciebie. – Willow pokręciła głowę. – Colin złamał mi serce swoim wyjazdem. Obiecał jednak, że do mnie wróci. Zostawił mi pieniądze, w każdym razie trochę pieniędzy. Obiecywał wszystko naprawić. Mówił, że znajdzie wspólnika, który obejmie kierownictwo firmy jego ojca, albo że zmusi brata do wejścia w jego rolę. Twierdził, że ta kobieta, która przyjechała z Chin, to problem, który rozwiąże. Że chce, abym radziła sobie jak najlepiej. Że posprząta cały ten bałagan i zacznie od nowa. Błagał mnie o cierpliwość. Napisał do mnie, że jest smokiem, a ja – jego feniksem. I że pewnego dnia znowu będziemy razem, a moje życie się odmieni, że ja sama się zmienię.

– Kiedy wrócił?

William patrzył na matkę przez długi czas, a ona nie odpowiadała. W końcu pokręciła głowę i mówiła dalej:

– Te słowa napisał dopiero po roku, kiedy nie miałam już żadnej nadziei. Później zaczęły

przychodzi listy od niego dosyć często. Pisał, że wróci, kiedy tylko będzie mógł, może za jakieś pół roku, a najpóźniej za rok. – Willow westchnęła powoli. – Jednak miesiące przedłużyły się aż do pięciu lat...

Dokładnie tyle czasu, ile spędziłem w sierocińcu, pomyślał z goryczą William. Po tym jak powiedział, że niedługo wrócisz.

– Kiedy przestał istnieć sklep muzyczny, nie miałam pracy. Byłam samotną matką, tancerką, i żaden mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie chciałby mieć ze mną nic wspólnego. Na dodatek, gdybym wyszła za Chińczyka, straciłabym obywatelstwo i mogłabym być zmuszona wyjechać do Chin, w których nigdy w życiu nie byłam. Nie miałam pojęcia, co oznaczałoby to dla ciebie. Nie mogłam również wyjść za białego mężczyznę, zresztą i tak żaden nie chciał ode mnie niczego więcej niż tylko jednego... Moja reputacja sięgnęła dna. Żyłam w obawie, że stracę cię na zawsze, w najlepszym przypadku na rzecz władz, a najgorszym – wujka Leo. Przez całe miesiące noc w noc kładłam się spać głodna i chora, bałam się, że rozlegnie się pukanie do drzwi. Każdego ranka budziłam się i podbiegałam do twojego łóżeczka, żeby sprawdzić, czy nadal tam leżysz. Minęły twoje trzecie urodziny. W ogóle ich nie obchodziłam.

William zatrzymał matkę, która była tak pochłonięta opowiadaną historią, że o mało nie weszła pod jadące samochody. Kiedy zapaliło się zielone światło, przeprowadził ją za rękę przez jezdnię. Minęli znaną mu uliczkę; William usłyszał muzykę i krzyki dobiegające z klubu Wah Mee. Hazardziści cieszyli się z pomyślnej passy, to znów rozległ się zbiorowy jęk, kiedy czyjś rzut okazał się nieszczęśliwy.

– Pracowałam w dwóch, czasami i trzech miejscach, ale wszystkie te zajęcia były tymczasowe: śpiewałam, tańczyłam, występowałam też trochę jako aktorka, kiedy tylko mogłam, czyli rzadko. Ileś lat wcześniej moja matka zorientowała się, że prace oferowane kobietom nie są dobrze płatne, trudno z nich wyżyć. Tak samo było ze mną. Wróciłam nawet do Stacy Mansion, licząc na to, że zatrudnią mnie jako piosenkarkę, ale nie byłam tam już nowością. Stałam się jak wczorajsze wiadomości. Ledwie mnie pamiętali i nikogo nie obchodziłam. Chwyciłam się ostatniej nadziei i wystąpiłam do pani Peterson o zasiłek dla samotnej matki. Pozwoliłam nawet jakiemuś księdzu oblać ci główkę wodą, żebyś się kwalifikował. Bardzo się starałam poprawić moją angielszczyznę, żebyś mówił jak Amerykanin. Pani Peterson odrzuciła jednak moją prośbę. Powiedziała, że jestem za młoda, żeby otrzymać zasiłek, a poza tym, że jeżeli cię kocham, to powinnam cię oddać. Wyszłam i już do niej nie wróciłam. Miałam wtedy jeszcze odłożone ostatnie, bardzo małe pieniądze. Pozwoliły nam żyć przez krótki czas. Staralam się wytrwać jak najdłużej.

William zastanawiał się, dokąd tak idą. W ciemności jego *ah-ma* bardziej przypominała ducha niż człowieka, raczej cień niż ciało, i nie tyle matkę, co wspomnienie. Dotknęła wiszącego na ceglany murze starego plakatu filmowego. Podarty papier oblaził, brakowało fragmentów. Powietrze wydało się Williamowi świeższe, a odgłosy samochodów i muzyka klubowa – bardziej znane. Chadzał przed laty z mamą King Street. I to często.

– Byłam jeszcze młodą dziewczyną – odezwała się znowu Willow, po której policzkach spływały łzy. – Ale jak zawsze podkreślał Colin, wrodziłam się w matkę i miałam talent aktorski. W każdej sytuacji potrafiłam grać. Zdecydowałam się więc na kolejną rolę, *xi sang*. Leo zawsze chciał mieć „śpiewającą dziewczynę”, piękną młodą kobietę u boku, którą mógłby się chwalić. A ja pragnęłam mieć ciebie. Oddałam więc w zastaw moją godność, za tyle, ile mi za nią zaoferowano. – Zrobiła pauzę, jakby czekała na reakcję syna, na jego gniew czy odsunięcie się. William nie wiedział, co czuje ani co mógłby powiedzieć, milczał więc i szedł dalej.

– Jeździłam na narady w interesach i spotkania towarzyskie, śpiewałam i odgrywałam sceny z chińskiej opery dla Leo i jego klientów. Byłam jego... damą do towarzystwa. Leo płacił

za to za wynajem naszego hotelowego apartamentu i pozwalał, żebyś mieszkał ze mną. Zgadzał się nawet, żebyś czasami jeździł z nami. – Willow patrzyła w ciemność. – Wydobywałam z najgorszych rzeczy to, co najlepsze. Funkcjonowałam. Grałam tę rolę przez trzy długie lata, nieustannie myśląc, że się z tego wyrwę, że znikniemy we dwoje, ty i ja. Nigdy jednak nie zdołałam zaoszczędzić dość pieniędzy, żeby mieć pewność, że nam się uda. A obawiałam się, że kiedy uciekniemy i zostaniemy złapani, stracę cię na zawsze. Później zaś świat się zawalił.

– Kryzys? – upewnił się William, rozglądając się. Widział zabite deskami okna budynków i śpiącego na ławce w parku mężczyznę, który tulił do siebie na wpół opróżnioną butelkę wina, tak jak matka przytula dziecko. Wszędzie wokół wałęsali się sezonowi robotnicy, którzy pracowali latem, a przez całą zimę pili, przenosząc się z jednego przytułku do drugiego.

Willow przystanęła na moment, a później ruszyła dalej.

– Także kryzys – przytaknęła.

## Pozłacana

1929

Liu Song rozchyliła poły cienkiego jedwabnego szlafroka, który dał jej wujek Leo, i stanęła bokiem do lustra. Przesunęła palcami po brzuchu, który dwa miesiące wcześniej był gładki, płaski i miękki. Teraz był nabrzmiały jak chińska dynia. Wystawał, jak gdyby Liu Song pochłonęła właśnie obiad z ośmiu dań i jeszcze deser. Przez całe lata zachowywała ostrożność i zabezpieczała się, jak tylko mogła. Przeżywała katusze, kiedy wydawało się, że być może już się to stało, piła herbatę z gorzkiego korzenia przepisaną jej przez starego siwobrodego Chińczyka ze sklepu zielarskiego Hen Sen. Wreszcie jej najgorszy koszmar się powtórzył. Jeszcze nie wyglądała na ciężarną, ale z całą pewnością tak się czuła. Odczuwane przez nią mdłości nie były aż tak silne, jak podczas ciąży z Williamem. Piła ciemne piwo imbirowe i paliła goździkowe papierosy, jedno i drugie zmniejszało jej apetyt. Czuła się jednak chora, bolało ją całe ciało. Płakała nieraz godzinami z byle powodu albo i bez powodu – choć oczywiście miała do wyboru wiele rzeczy, które mogła opłakiwać. Najmniej bolesną z nich było to, kto spłodził jej drugie dziecko. Liu Song pomyślała o tym, zadrżała i potarła ramiona, na których wystąpiła gęsia skórka.

Na szczęście od kilku tygodni nie widziała się z Leo. Kryzys gospodarczy dotarł do Seattle dopiero po paru miesiącach, ale kiedy już się to stało, odczuli go wszyscy, także jej były ojczym. Stali klienci pralni wypowiadali kolejno umowy, Leo zwolnił wszystkich długoletnich pracowników. Zastąpił ich tańszą siłą roboczą, co w chińskiej dzielnicy mówiło samo za siebie. Liu Song widziała, jak niektórzy spośród tych robotników wyprowadzają się z hoteli Bush, American czy Northern i przenoszą do tanich noclegowni. Zastanawiała się, kiedy i ona znajdzie się na ulicy. Czy Leo zmusi nas, żebyśmy się do niego wprowadzili? – pytała samą siebie. A może zamiast towarzyszyć mu w wypadach na wyścigi konne i odwiedzinach w klubie Wah Mee w sobotnie noce, będę zarabiała na życie składaniem pościeli? O ile w ogóle będę miała tyle szczęścia... Ciągle nie znoszono prohibicji, ale nawet gdyby przestała obowiązywać, cały gin i whisky świata nie wystarczyłyby, aby Liu Song zapomniała o cenie, jaką płaciła za podłe życie, które sobie urządziła.

Próbowała czytać gazety. Nie wiedziała wiele o giełdzie papierów wartościowych, spekulowaniu, kupowaniu akcji na kredyt i tak dalej. Ostatnio nagłówki na pierwszej stronie „The Seattle Star” były pełne tego rodzaju skomplikowanych terminów. Dobrze za to znała powolne umieranie. Wszyscy walczyli teraz o przetrwanie, dzielnice stopniowo ubożały, w miarę jak kolejne banki zamykały podwoje. Ludzie rzucili się na banki, na tyle dosłownie, że aż jeden z nich, People’s North End, zainstalował u wejścia dysze do rozpylania gazu łzawiącego. Tartaki zaczęły tysiącami zwalniać robotników, więc świat pracujących fizycznie mężczyzn runął niczym ścięte drzewo. Liu Song próbowała się cieszyć ze swojej pozłacanej klatki, lecz gdziekolwiek spojrzeła, widziała tylko kraty.

– Wychodzę do szkoły – oznajmił z kuchni William. Był już starszy, nieco wyższy i bardziej odważny. Gotowy iść do szkoły.

Liu Song owinęła się z powrotem szlafrokiem i zawiązała pasek. Ruszyła do drzwi wejściowych, przy których czekał jej synek. Miał rozpocząć kolejny tydzień nauki jako

pierwszoklasista w Pacific School na rogu Twelfth Avenue i Jefferson Street.

– Nie zapomnij, że dzisiaj masz chińską szkółkę – odezwała się Liu Song. Podała synowi drewnianą tabliczkę do pisania z wrytymi na ramce kantońskimi znakami. William się skrzywił, a ona uniosła brwi i powiedziała: – Tak, musisz tam iść. Wiem, że to oznacza chodzenie do dwóch szkół i dwa razy tyle pracy, ale dzięki temu będziesz dwa razy bogatszy. Nie spóźnij się ani do jednej, ani do drugiej szkoły.

William uczył się miejskiej odmiany kantońskiego w nowym budynku Chong Wa, wołał jednak angielski niż chiński. Miał siedem lat, a mówił po angielsku prawie tak dobrze, jak Liu Song.

– Czy w ten weekend masz randkę? – zapytał.

– Raczej nie – skłamała. Ukrywała przed Williamem większość randek z wujkiem Leo, w tym tę, która miała się odbyć w najbliższy weekend. Nie była pewna, jak długo zdoła utrzymywać wszystko w tajemnicy przed synem. Od czasu do czasu zabierała Williama na spotkania z Leo, na przykład do restauracji Jun-bo Seafood, do Sunken Garden w Lakewood czy na piknik górniczy. William był już starszy, więc wujek Leo i ona zachowywali się dyskretniej. Leo już od lat nie był w jej mieszkaniu, a kiedy odwiedził ją po raz ostatni, okropnie się pokłócili; Liu Song miała mu za złe, że przyszedł bez zapowiedzi.

Jej wstyd i poświęcenie nie mogły być wiecznie ukrywane. I może nawet nie będzie musiała się już z niczym kryć...

Liu Song spojrzała na zegar i ruszyła do sypialni, podekscytowana jak dziecko przed obchodami księżycowego Nowego Roku. Zajrzała pod łóżko i odnalazła walizkę matki, rodzinną skrzynię ze skarbami, ze wszystkim, co pozostało po osobie, jaką niegdyś była i jaką mogła się na powrót stać.

Otworzyła walizkę i popatrzyła na żółtą karteczkę leżącą na jej pamiątkach. Dotknęła telegramu, który przyszedł tydzień wcześniej. Istniał naprawdę. Westchnęła z ulgą. Nie śniła. Wiadomość, przysłana jej za pośrednictwem Western Union, nie znikła w nocy razem z jej nadziejami. Liu Song jeszcze raz przeczytała telegram. Był niezwykle długi. Za jedno słowo trzeba było zapłacić dwadzieścia pięć centów, więc wysłanie go musiało kosztować małą fortunę. Liu Song pożerała wzrokiem każdą literę i każdy znak przestankowy. Nadawca nigdy nie był człowiekiem oszczędnym. Nawet w trudnych czasach. Napisał od serca, przeprasząc przy tym za tak długą nieobecność.

Liu Song położyła się na podłodze i przytuliła wiadomość do piersi. Nadszedł ten dzień. Dziś Colin miał do niej wrócić.

## Sekundy

1929

Liu Song stała przy pirsie numer 36, w pewnym oddaleniu od tłumu oczekujących. Słyszała krzyki morskich ptaków, mętna zielona woda uderzała o pale pokryte grubą warstwą pąkli, tu i ówdzie było widać tłuste purpurowe rozgwiazdy. Liu Song zmarszczyła nos. Nabrzeże pachniało najlepiej podczas przypływu. Z jego wonią łączyły się, co prawda, zapachy spalin z silników Diesla i starych, cuchnących sieci pełnych krabów. Liu Song popatrzyła na południe, w stronę pogrążonej w złowrogiej ciszy stoczni Skinner & Eddy. Zwróciła uwagę na bezdomnych, którzy rozbili namioty i pobudowali prowizoryczne domki z dykty. Wylewali do wód zatoki Puget wiadra nagromadzonych przez noc nieczystości. Poczła skurcz żołądka na widok nurkujących prosto w nie mew. Wystraszyła je na chwilę syrena statku.

Liu Song przyglądała się, jak wzdłuż pirsu powolutku posuwał się z pomocą holownika parowiec „Tantalus”. Wysokie jak wieże niebieskie kominy statku wyrzucały gęste kłęby białej pary, która wirowała w powietrzu i unosiła się, dołączając do zakrywających niebo chmur. Liu Song pamiętała, że jej rodzice wspominali o linii żeglujowej Blue Funnel Line i z przyjemnością mówili o China Mutual Steamship Company. Taka sama nostalgia ogarniała Liu Song, kiedy wpatrywała się w schodzących po trapie pasażerów, których bilety kasowali na górze stewardzi.

Liu Song ledwie poznała Colina, nawet kiedy pomachał i uśmiechnął się do niej. Nabrał ciała, szczególnie w okolicach pasa. Poza tym miał na sobie ciemny garnitur, w którym wyglądał poważniej, niż go zapamiętała. Spodziewała się, że Colin ją przytuli, obejmie za szyję czy pocałuje w usta, tak jak robili inni podróżni. On jednak tylko uściśnął jej dłoń, choć najwyraźniej nie chciał jej puścić.

– Wyglądasz dokładnie tak samo, jak cię zapamiętałem – odezwał się po chińsku, z bardziej regionalnym akcentem niż dawniej. Trochę zapomniał angielski przez lata nieobecności.

– A ty wyglądasz... lepiej – odpowiedziała kokieteryjnie Liu Song.

Zjedli obiad w eleganckiej restauracji King Fur Café, choć Liu Song ledwie była w stanie cokolwiek przełknąć. Colin szybko zaczął narzekać na jedzenie i obsługę.

– W Hongkongu kelnerzy są o wiele lepsi, znacznie sprawniejsi – mówił. – Lepiej ubrani. Potrafią równocześnie nalewać klientowi zupę i zapalać mu papierosa.

Kiedy Colin zapłacił rachunek, Liu Song podziękowała mu i powiedziała:

– Musisz być zmęczony. Nadal mieszkam tam, gdzie dawniej. Przyjdź do nas odpocząć. Będziesz mógł zdjąć buty... – Liu Song ugryzła się w język. Nie chciała zachować się obcesowo ani sprawić wrażenia zdesperowanej.

Colin ruszył z nią piechotą do hotelu Bush, oboje zachowywali się swobodnie. Liu Song poczuła się na nowo zauroczona, niezależnie od tego, że bagaże Colina zabrano do Sorrento, eleganckiego hotelu, który знаła tylko z zewnątrz. Nie miało to znaczenia. Ich miastem była chińska dzielnica, to tutaj byli u siebie. Liu Song żałowała tylko tego, że tak długo czekała.

Colin usiadł na jej nowej kanapie, a ona zrobiła mu herbaty ulung i podała na talerzyku świeże ciasteczka z migdałami.

– Musi ci się dobrze wieść, mimo trudnych czasów – zauważył Colin, choć wypowiedział



te słowa raczej pytającym tonem. – Masz tu sporo ładnych rzeczy. Nowa kanapa, widzę, że nowe dywany...

Liu Song opowiedziała mu o zamknięciu sklepu muzycznego i o tym, że podejmowała się różnych prac, dzięki którym starczało jej na rachunki. Pogryzała przypalone ciasteczko, walcząc z falą mdłości. Starła się przy tym siedzieć w taki sposób, żeby nie było widać wypukłości jej brzucha. W paru ostatnich listach Colin wspominał, że bank jego ojca walczy o przetrwanie, tak samo jak przedsiębiorstwa całego świata, wydawało mu się jednak, że najgorsze już minęło. Colin znalazł nowych inwestorów, którzy kupowali sprzęt do obróbki drewna i wysyłali go do Chin. Przyjechał podpisać z nimi umowę, a przede wszystkim chciał się spotkać z Liu Song.

Liu Song nie miała ochoty zadawać tego pytania, ale i tak unosiło się ono w powietrzu niczym duch.

– A jak się miewa twoja... żona?

Liu Song także wysłała Colinowi kilka listów, w żadnym nie zapytała jednak o jego narzeczoną. On sam również nie wspominał o innej kobiecie. Liu Song doszła do wniosku, że sprawa została załatwiona i nie warto do niej wracać.

Colin odrobinę poluzował krawat. Spojrzał na Liu Song, a na jego twarzy zagościł ni to uśmiech, ni to grymas.

– Dobra chińska żona. Zrobiła ze mnie miłego, pulchnego typa. – Poglądził się po brzuchu. – Dała mi dwoje dzieci, zdrowych i silnych. Córeczce dałem na imię Willow, na twoją cześć.

Liu Song poczuła straszliwe rozczarowanie, nie chciała uwierzyć w to, co usłyszała. Wciąż jednak była w stanie się uśmiechać. Nie wierzyła, że Colin rzeczywiście dał córce na imię Willow.

– Czy ona o mnie wie? – zapytała Liu Song. Tak naprawdę chodziło jej o co innego: Czy nadal cokolwiek dla ciebie znaczę i czy twoja żona powinna się niepokoić? Czy może to ja powinnam? – myślała. – Czy twoja żona wie, że w tej chwili tu ze mną siedzisz? – sprecyzowała. Wypytywanie Colina o jego zamiary wydawało jej się hipokryzją, ponieważ ona sama była *xi sang* wujka Leo. Odpowiedzi były jednak dla niej zbyt ważne, musiała je poznać.

– Wyznałem jej wszystko. – Colin zawahał się, poprawił na kanapie, po czym spojrzał Liu Song w oczy i dodał: – Oznajmiłem jej nawet, że chcę się z tobą ożenić.

Liu Song omal nie upuściła filiżanki.

– Przyjechałem tu w interesach – kontynuował Colin. – Mam jednak również inną sprawę do załatwienia: jestem tutaj, żeby ci się oświadczyć, Liu Song. Nie zniżyłbym się do oświadczeń pisemnych. Nic nie wiem o twoim obecnym życiu, być może nie mam prawa prosić cię o rękę. Musiałem cię jednak zobaczyć, ciebie i to, jak sobie radzisz; zobaczyć, czy nadal starasz się zrealizować marzenie, które ja byłem zmuszony porzucić. Musiałem cię także zapytać, czy za mnie wyjdiesz.

Serce Liu Song zabiło gwałtownie, a równocześnie poczuła nieprzyjemny skurcz w żołądku.

– Ja... Sama nie wiem, co powiedzieć – zająknęła się. – Przez te wszystkie lata niemal nie pozwalałam sobie o tym marzyć. – Zakręciło jej się w głowie. – Co z twoją żoną? Zostawisz ją? Czy porzucisz swoje dzieci? – Myśli te budziły w niej odrazę, wszak sama robiła najgorsze rzeczy, żeby tylko nie stracić Williama. Nie wyobrażała sobie, by mogła go oddać, i nawet gdyby Colin ofiarowywał jej cały świat w zamian za przeniesienie się do Chin, nie brałaby tego pod uwagę, jeśli miałyby tam popłynąć bez swojego synka.

– Chyba nie rozumiesz... – Colin nie dokończył zdania, tylko oparł się wygodnie i pocierał czoło.

– Nie – zgodziła się Liu Song, która rzeczywiście czuła się mocno zdezorientowana, choć propozycja Colina jej schlebiała. – Co powinnam zrozumieć? Czego jeszcze mi nie powiedziałeś? – Może tego, że mnie kochasz? – dodała w myśli.

– Kocham nas – wyznał Colin, dotykając jej dłoni. – Ocaliłem ojcowskie przedsiębiorstwo. Jestem zamożnym człowiekiem. Chciałbym dzielić czas pomiędzy Kantonem a Seattle. Stać mnie na utrzymywanie obydwu rodzin. Pogrzebałem marzenia, ale nie oznacza to, że muszę się pogodzić z utratą ciebie.

Liu Song zacisnęła powieki, powstrzymując płacz. Nie w ten sposób, nie kolejny raz! Starła się pojąć słowa Colina. Otworzyła oczy i popatrzyła na jego zboląłą, poważną twarz. W końcu zrozumiała, o co mu chodziło.

– Chciałbyś, żebym została twoją drugą żoną?

Colin niemal się skurczył. Wyglądał na zranionego usłyszanym oskarżeniem, choć przecież było prawdziwe.

– Ja... już mam drugą żonę; właśnie w ten sposób zawsze o niej myślałem, Liu Song. Jako o jednym z moich zobowiązań, obietnicy, której musiałem dotrzymać. Daję jej z siebie to, co najlepsze. Ale pragnę ciebie, chciałbym, żebyś była moją pierwszą żoną. Właśnie z tego powodu przebyłem tak daleką drogę, żeby poprosić cię o to osobiście.

Liu Song spoglądała na Colina z niedowierzaniem, rozczarowaniem. Kochała go i chciała z nim być, nie tylko przez wzgląd na Williama, ale i dla zrealizowania wszystkich swoich niespełnionych pragnień. Lecz Colin nie był już tym samym mężczyzną, który przed laty wyjechał. Aktor przemienił się w stepującego tancerza. Kiczowatego Thomasa „Daddy’ego” Rice’a w butach z metalowymi nakładkami na noskach.

– Mnóstwo ludzi interesu tak robi. – Tańczył dalej... – To ma sens, Liu Song. Mógłbym zapewnić ci byt materialny, a ty mogłabyś się skupić na swojej karierze aktorskiej, piosenkarskiej, robić wszystko, czego twoja dusza zapagnie. Mogę się także zaopiekować Williamem.

Życie Liu Song było obecnie żałosne, w porównaniu z nim propozycja Colina brzmiała rozsądnie. Ich małżeństwo nie byłoby uznawane w Stanach Zjednoczonych, Liu Song nie musiałaby więc ich opuszczać razem z Colinem. Mildred z radością skorzystałaby z takiej szansy. Lecz Liu Song wciąż czułaby się taką samą osobą jak teraz: stroną kolejnej kompromitującej umowy, z kolejnym mężczyzną. Wrodziłaś się w matkę... Prześladowało ją to zdanie.

I znów poczuła skurcz w żołądku, bolesny; tym razem nie chodziło o mdłości. Wstrzymała oddech i liczyła, aż ból minął. W jej głowie nie przestawały się jednak kotłować myśli. W tej samej chwili odezwały się lekkie kroczki i otworzyły się drzwi. Liu Song całkiem zapomniała, która to godzina. Do mieszkania wszedł uśmiechnięty William.

– Cześć – odezwał się i odstawił tornister, po czym spytał matkę, czy może zjeść ciasteczko. Oddała mu swoje.

– To musi być William! – wykrzyknął Colin. – Ależ ty wyrosłeś, patrzcie no!

– Williamie, przywitaj się z panem Kwanem.

– Pamiętasz mnie, prawda? – upewnił się Colin.

William skinął głową i uśmiechnął się grzecznie, choć w jego spojrzeniu widać było, że nie wie zbyt dobrze, o kogo chodzi. Colin nie zwracał na to uwagi, tylko dalej obsypywał go komplementami.

Liu Song poszła do łazienki, nie była pewna, czy zaraz nie zwymiotuje. Bolał ją brzuch, a na blade czoło wystąpił pot. Obmyła twarz wodą i oddychała powoli i głęboko, aż ból minął.

Wróciwszy do pokoju, poprosiła synka, żeby odrabiał lekcje, a sama zeszła z Colinem na

parter. Na schodach i w holu rozmawiali o Williamie. Kiedy znaleźli się na ulicy, Liu Song pomyślała, że jej dzielnica stała się naprawdę uboga, ciężko dotknięta kryzysem i beznadzieją. Nie sposób było tego nie dostrzec. Głodujący imigranci przybyli całe lata wcześniej z gospodarstw o jałowej ziemi, żeby pracować w fabrykach konserw, obsiadali teraz chodniki i uderzali pałeczkami w puste miski na ryż. W oddali, od strony Hooverville, bił w niebo gęsty, czarny dym. Liu Song zastanawiała się, czy znowu weszło tam wojsko i wszystko spaliło. Mimo wszelkich trudności cieszyła się, że urodziła się tutaj. Równocześnie musiała jednak realistycznie spojrzeć na swoje ciężkie, surowe życie i porównać je z tym, jakie proponował jej Colin. Czekwała na niego pięć lat, spodziewała się, że raczej nie wróci... Wydawało jej się, że tak jest lepiej. Wieczna tęsknota była lepsza niż nieskończone rozczarowanie.

– Czy mogę zaprosić cię na kolację? Razem z...

– Williamem. – Już zapomniałeś jego imię, pomyślała.

– Hm, razem z prezesem tartaku Blanchard Lumber i być może kilkoma innymi ludźmi.

Liu Song zaniemówiła na chwilę.

– Chcesz, żebym wzięła udział w twoim spotkaniu w interesach?

– Ach, powiedziałaś to takim tonem, jakby chodziło o egzekucję o świcie. Obiecuję ci, że nie będzie tak źle. Po spotkaniu możemy się wymknąć i porozmawiać o naszej przyszłości.

Chcę być kimś więcej niż tylko „śpiewającą dziewczyną”, myślała Liu Song.

– Nnie... nie sądzę, żebyśmy mieli przyszłość. – Nie mogła uwierzyć, że powiedziała coś takiego.

Jej słowa sprawiły Colina w wyraźne osłupienie, chyba nigdy nie przyszło mu do głowy, że Liu Song może odrzucić jego propozycję. Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale zamknął je z powrotem.

Popatrzyła na niego i po raz pierwszy w życiu zrobiło jej się go żal. Nie umniejszało to odczuwanych przez nią emocji, jednak głowa mówiła jej co innego niż serce. Colin niezłomnie pragnął zrobić karierę jako aktor, potem uparcie ratował ojcowski bank, był nieustępliwy we wszystkim, do czego dążył. Miał łagodny charakter i pochodził z zamożnej rodziny. Wciąż był bardzo przystojny. Lecz był ojcem innych dzieci i mężem innej kobiety. Liu Song poświęciła wszystko dla Williama, wszystko! A Colin dla niej nie poświęcił niczego.

Patrzyła na niego, podczas gdy jej stanowcze oświadczenie docierało do Colina. Pokazał na starego jednorękiego człowieka, który sprzedawał na chodniku poobijane jabłka.

– Rozejrzyj się wokół – powiedział. – Nie masz nic. Mogę dać ci wszystko. Będiesz mogła się starać realizować swoje marzenia. Dlaczego odmawiasz sobie tego, na co zasługujesz?

Na co ja zasługuję? – zastanawiała się poważnie Liu Song, spoglądając na ulicę i pełnych desperacji ludzi. Myślała także o deprawacji właściciela położonej nieco dalej pralni. Spojrzała na Colina, już nie grając. Była prawdziwą sobą, córką swojej matki. Bardzo dawno nie było prawdziwej Liu Song; cieszyła się z jej powrotu.

– Właśnie zdałam sobie sprawę, że doskonale do ciebie pasuję – oznajmiła. Colin obrócił się do niej i uśmiechnął z ulgą. – Tak się jednak składa, że ty nie pasujesz do mnie.

\*

Nie tłumaczyła Williamowi, gdzie się podział Colin, a jej synek na szczęście o to nie pytał. Słuchał w radiu *Let's Pretend*, cyklicznego programu dla dzieci, podczas gdy ona podgrzewała zawartość puszki tofu z papryką i szczypiorkiem. Jedząc, Liu Song zastanawiała się, ile pieniędzy zaoszczędziła i czy starczyłoby na przeprowadzkę daleko od wujka Leo.

– Czy chciałbyś wyjechać do Kalifornii? – zapytała. – Zamieszkać tam.

– Po co? – odpowiedział pytaniem na pytanie William. – Czy tu jest niedobrze?

– Mówię poważnie. Podobno w Kalifornii przez cały czas świeci słońce. Co krok są piaszczyste plaże. W Los Angeles jest chińska dzielnica dwa razy większa od naszej. Więcej tam pracy dla aktorek i w ogóle można robić więcej rzeczy.

Liu Song przyglądała się synkowi, który jadł dalej, oblizując końce pałeczek. Być może nie uwierzył, że *ah-ma* zadała mu poważne pytanie. Zastanawiała się, na ile trudno by mu było pożegnać się ze szkołą, kolegami, ze wszystkim, co zna.

– Dobrze – zgodził się.

– Co dobrze?

William wzruszył ramionami i jadł dalej.

– Możemy wyjechać – wyjaśnił.

– Nie tęskniłbyś za kolegami, za domem?

William uśmiechnął się do niej, odrobinę zdumiony, jak gdyby zadała mu najdziwaczniejsze w świecie pytanie.

– Przecież moja szkoła nie jest domem – odpowiedział. – Dom jest tam, gdzie ty jesteś.

Liu Song uśmiechnęła się i oddała mu swoją miseczkę. Nie mogła jeść. Nadal bolał ją brzuch. Za to jej serce do nikogo nie tęskniło. Zdała sobie sprawę, że dotąd czekała ciągle w tym samym miejscu na Colina i z chwilą, kiedy przestało ją to wiązać, już nic jej tu nie trzyma. Czuła się smutna, wolna i gotowa zaryzykować ucieczkę z Seattle, choć mogła w ten sposób ściągnąć na siebie kłopoty.

Najpierw musiała jednak jakoś przetrwać noc, ponieważ wciąż czuła tak silne klucie w brzuchu, jak gdyby ktoś wbijał od środka igły. Dotknęła go, zastanawiając się, dlaczego właśnie dzieje się coś takiego. Czy to z powodu Colina? Czy też może jej ciało postanowiło odrzucić wujka Leo, wszystko, co po nim zostało, co pozostało z jej dotychczasowego zdruzgotanego życia? Zdecydowało się wcześniej niż jej serce i umysł?

Przypomniała jej się opowieść jej matki o tym, jak raz straciła dziecko. Liu Song próbowała zachować spokój. Rozebrała się powoli, spięła wysoko włosy złamaną pałeczką i weszła do wanny. Ciepła woda otuliła ją, złagodziła ból, który chwycił ją falami, niczym spowolnione, potężne bicie serca. Woda zaczęła różowieć, potem czerwienieć, Liu Song czuła gorąco i zawroty głowy, to znów zimno tak dotkliwe, że aż szczykała zębami. Jej policzki były zimne, płynęły po nich rzęsiste, gorące łzy, które skapywały z jej brody do wanny.

Zamknęła oczy i zobaczyła swoich rodziców. A także swoją przyszłość, daleko od hotelu Bush, w świetle reflektorów, przed kamerami i naprzeciw rozentuzjasmowanych wielbicieli. Słyszała muzykę do piosenek, których nigdy dotąd nie miała odwagi zaśpiewać. Próbowwała otworzyć oczy, ale ogarnęła ją senność. Kiedy w końcu udało jej się podnieść powieki, jej pole widzenia było niewyraźne, zamazane, miała wrażenie, że patrzy przez tunel czy może raczej zamykającą się bramę. Próbowwała wołać o pomoc, krzyknąć do Williama, wezwać kogokolwiek, lecz jej oczy nie chciały się otworzyć. W końcu ból ustąpił, ogarnęło ją ciepło i Liu Song całkiem się poddała pochłaniającej ją ciemności.

## Szpital

1929

Liu Song obudził odgłos twardych skórzanych butów stąpających po wypastowanej drewnianej podłodze. Otworzyła oczy, lecz zobaczyła tylko biel. Biały sufit i ściany, białą pościel oraz białą skórę. Bolały ją oczy, miała spierzchnięte usta. Jej skóra była podrażniona i szorstka, łuszczyła się płatami. Trawiła ją gorączka.

Oczy Liu Song powoli przyzwyczajały się do światła. Skrzywiła się – ponura pielęgniarka właśnie wsunęła jej w usta coś zimnego, metalicznego. Spojrzała na ścienny zegar. Liu Song nie dostrzegła, która godzina, nadal widziała wszystko niewyraźnie. Pielęgniarka gwałtownie wyciągnęła jej z ust termometr, szybko odczytała wskazanie, strząsnęła termometr i przeszła do sąsiedniego łóżka, gdzie włożyła go w usta kolejnej pacjentki.

Liu Song powoli obróciła głowę i spróbowała policzyć łóżka. Wyglądało na to, że leży w sali wraz z sześcioma innymi kobietami: jedną czarnoskórą, jedną Indianką i czterema białymi, w tym jedną upośledzoną umysłowo. Wszystkie były młode i wydawały się zdrowsze niż Liu Song.

Czarnoskóra uśmiechnęła się i pomachała do niej. Liu Song także próbowała pomachać, ale zorientowała się, że jej ręce i nogi krępują grube skórzane pasy. Przeraziła się, ale starała się nie wpaść w panikę. Było jej duszno, bolało ją i swędziało całe ciało, jak gdyby coś pełzało po jej skórze. Spróbowała uciec w jedyne dostępne miejsce – w najciemniejszy, najbezpieczniejszy kąt własnego umysłu. Miejsce, którego wujek Leo nie był w stanie odkryć.

– Mówisz po angielsku? – zapytała pielęgniarka.

Liu Song przypominała sobie niejasno, gdzie się znalazła. Przytaknęła.

– Tak.

– W takim razie wyjaśnię ci, że to dla twojego dobra, kochana. – Stojąca dwa łóżka dalej pielęgniarka pokazała na przytrzymujące Liu Song pasy. Chodziła dalej po sali z termometrem. – Dzięki nim nie powyrywasz sobie szwów, kręcąc się we śnie.

Liu Song próbowała się poruszyć, była jednak zbyt słaba, a poza tym kręciło jej się w głowie. Ciało nie reagowało na jej polecenia, jak gdyby nie należało do niej. Popatrzyła w dół i spostrzegła na swojej koszuli plamy po wymiocinach. Ktoś ją oczyścił, jednak wciąż cuchnęła kwasem żołądkowym z odrobiną cebuli. Chciała zobaczyć swój brzuch, ale zasłaniała go kołdra. W każdym razie, kiedy próbowała ułożyć się trochę inaczej albo poruszyć biodrami, czuła ostry ból w okolicach pępka.

– Tylko spokojnie, byłaś operowana – odezwała się znowu pielęgniarka.

Liu Song zamrugnęła powiekami, zaskoczona.

– Operowana? – Rozejrzała się jeszcze raz. Powoli docierało do jej świadomości, że znajduje się w jakimś szpitalu, chyba w sali pooperacyjnej.

– Wysterylizowano cię.

Tego słowa Liu Song nie zrozumiała.

– Gdzie jest mój synek? – zapytała.

– Straciłaś swoje maleństwo, kochana – odpowiedziała pielęgniarka, nie podnosząc wzroku. Notowała coś na drewnianej tabliczce, a potem powiesiła ją na ścianie. – Może Pan Bóg

chciał w ten sposób powiedzieć, że nie jesteś stworzona do macierzyństwa? – Kobieta w najmniejszym stopniu nie wyglądała na zmartwioną. – Boli cię jeszcze?

Liu Song przypomniała sobie o Williamie. Pokręciła głową, choć po jej policzkach zaczęły płynąć gorące łzy. Przygryzła język, próbując opanować emocje.

Pielęgniarka na chwilę zniknęła jej z oczu, a potem wróciła z gąbką i butelką czegoś, czego zapach kojarzył się Liu Song ze snem. Pokręciła głową, ale pielęgniarka skropiła gąbkę i włożyła ją do maski, a później umocowała tę maskę tasiemkami na jej twarzy. Liu Song nie chciała oddychać. Obawiała się, że chcą ją zabić, że ją zatrują, że nigdy więcej się nie obudzi. Rozejrzała się w panice i zobaczyła, że czarnoskóra pacjentka podciągnęła szpitalną koszulę i dotyka blizny widniejącej powyżej jej pępka.

Liu Song znowu zamknęła oczy, jej ostatnie świadome myśli dotyczyły Williama.

\*

Kiedy obudziła się ponownie, był ranek. Miała wrażenie, że minęła jej gorączka. Jedyne ciepło, jakie czuła, pochodziło od promieni słońca wpadających przez zakratowane okno. Zaburczało jej w brzuchu, co przypomniało jej, że nie jadła. Rozejrzała się i zobaczyła przy swoim łóżku miskę rosółu z cienkim kożuchem na powierzchni. Machinalnie nasunęła jej się myśl, że gdyby była przy niej matka, zrobiłaby jej *gai jow* z suszonymi uszakami i pąkami lilii. Niegdyś matka utrzymywała, że uratowała ją przed grypą zupą z kurczaka na winie. Szkoda tylko, że ta mikstura nie uratowała ojca i braci Liu Song...

Dwie spośród pozostałych pacjentek wstały, pielęgniarka pomagała im wyjść na korytarz. Liu Song wywnioskowała z tego, że jej udręka wkrótce się skończy. Wtem do sali weszła znajoma kobieta. Popatrzyła na nią z góry, marszcząc czoło i wydymając usta, jak gdyby Liu Song była jakimś zadaniem do rozwiązania, społecznym równaniem o empirycznym wyniku.

– Pani Peterson... – odezwała się Liu Song. Nie czuła się spokojnie w towarzystwie tej osoby.

– Rozpoznaje mnie pani. Mniemam, że to dobrze. Oznacza to, że może mi pani zaufać i posłuchać tego, co mam do powiedzenia.

Liu Song znowu zaczął boleć brzuch, czy to z głodu, czy z nerwów, czy też z powodu niedawnej operacji. Sięgnęła po stojącą na stoliku obok łóżka szklankę z wodą i wypiła całą jej zawartość dwoma wielkimi łykami.

– Kiedy wyjdę do domu? – zapytała. – Gdzie jest mój syn?

Pani Peterson zajrzała do trzymanej na kolanach teczki.

– Będzie pani mogła wyjść do domu, kiedy zdecydujemy, co zrobić z pani synem.

Liu Song starała się nie panikować, nie opowiadać sobie samej historii o nieszczęśliwych zakończeniach. Musiała zachować spokój i zdolność do racjonalnego myślenia. Być dobrą matką.

– W tej chwili planujemy skontaktować się z ojcem pani syna i skłonić go do odebrania pani Williama na stałe. Nigdy nie wyszła pani za mąż, znowu zaszła w ciążę, znaleziono panią w wannie, w okropnym stanie, robiącą godne potępienia rzeczy...

Liu Song nie rozumiała pani Peterson, która mówiła za szybko.

– Żałuję tylko jednego: że nie odebrano pani syna natychmiast po jego urodzeniu. Któż wie, jakie szkody mu pani wyrządziła? Lepiej mu będzie z ojcem. Jeszcze nie jest za późno...

– Jego ojciec go nie chce. Proszę... – Liu Song wiedziała, że nie mówi prawdy. Leo mógł nie chcieć ciężaru w postaci syna do wychowywania, za to powszechne było adoptowanie czy wprost kupowanie dzieci przez bezdzietne pary. Tego rodzaju układy nie wiązały się z miłością czy jakimikolwiek uczuciami. Były czysto praktyczne. Jeśli chińska rodzina adoptowała dziecko i dawała mu poważane nazwisko, wiązała się z nim odpowiedzialność sprawowania opieki nad

nowymi rodzicami, kiedy się zestarzeją. Był to rodzaj społecznego długu, którego spłacenia oczekiwano. W końcu dziecko zawdzięczało wszystko rodzicom. Najpierw Leo mógł z zadowoleniem korzystać z darmowej pary rąk do pracy w pralni. Albo ciocia Eng miałaby w osobie Williama służącego. Liu Song pokręciła głową.

Pani Peterson zerknęła na pozostałe pacjentki obecne w sali.

– Cóż, biorąc pod uwagę pani relacje z panem Engiem, myślę, że możemy zrobić wyjątek. Proszę uznać to za akt miłosierdzia czy też łaski. Pani syna mogą wziąć do siebie zakonnice z sierocińca pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa. Proszę jednak mieć świadomość, że zabiorą go na stałe. Odda go pani do adopcji, przy czym istnieje duże prawdopodobieństwo, że nikt go nie będzie chciał. Będzie miał jednak przynajmniej zapewnione wychowanie w środowisku o odpowiednim poziomie moralności, a także towarzystwo całego mnóstwa dzieci w swoim wieku. Może się nawet z niektórymi z nich zaprzyjaźni.

Liu Song rozpaczliwie pragnęła zobaczyć synka, przytulić Williama i uciec z nim.

– Czy nie mam innych możliwości do wyboru? – zapytała, powstrzymując płacz.

– Proszę oddać syna panu Engowi albo zaryzykować przekazanie go do sierocińca. Mogę się zgodzić na jedno lub drugie.

Liu Song wpatrywała się we własne dłonie, wydawało jej się, że mijają całe godziny. Znów była przerażona i osamotniona, serce waliło jej jak młotem. Jej nadzieje i marzenia właśnie miały lec w gruzach. Nie jestem w stanie dać Williamowi niczego, nawet mojego nazwiska, myślała Liu Song. Ale nigdy nie oddam go Leo. Podniosła wzrok i szepnęła do pani Peterson:

– Sierociniec. Gdzie mam podpisać?

Przeczytała i podpisała papiery, czując się jak we mgle; nie wierzyła w to, co się dzieje, jak gdyby nie miała z tym związku. Potem przez godzinę opowiadała pani Peterson o tym, co William najbardziej lubi jeść, jaka jest jego ulubiona zabawka, ulubiona historia do słuchania przed snem i tak dalej. W końcu poddała się zmęczeniu i niezgłębionej studni smutku. Nie pytała, czy jej syn będzie mógł trzymać jej zdjęcie albo czy w ogóle będzie wiedział, z jakiej rodziny pochodzi. Bała się usłyszeć odpowiedzi. Płakała tak rzęsiстыми łzami, że ledwie była w stanie oddychać.

– Mogłaby mi pani przynajmniej podziękować – odezwała się na odchodnym pani Peterson, szykując się do wyjścia. – Zrobiłam pani i pani synowi olbrzymią przysługę.

Stanęła w drzwiach i stała tak przez całą minutę, którą odmierzył ścienny zegar. W końcu zastukała butem w podłogę.

– Dziękuję pani – szepnęła Liu Song, płacząc cicho.

Rozległy się kroki i pani Peterson wyszła. Potem otworzyły się i zamknęły drzwi na końcu długiego korytarza. Liu Song siedziała bez ruchu, nie zważając na sanitariusza, który przychodził i wychodził. Pomagał kolejnym pacjentkom usiąść na wózku, a potem je zabierał. Wreszcie pozostała tylko Liu Song i jej czarnoskóra sąsiadka. Liu Song wzięła głęboki oddech i wrzasnęła. Krzyczała długo i mocno, aż w końcu zerwała sobie szwy i na pościeli wykwitły czerwone plamki. Potem kopała obnażonymi nogami i rwała włosy z głowy, nie przestając krzyczeć. Do sali wpadło kilka pielęgniarek i sanitariusze. Rzucili się na nią, przewrócili ją na bok, potem czyjaś mięsista dłoń przygwoździła jej głowę do poduszki. Liu Song wyła dalej. Wreszcie poczuła ukłucie w udo i wszystko się uspokoiło, tylko z jej oczu wciąż płynęły łzy.

## Córka smoka

1934

William nie zrozumiał w pełni smutnych losów swojej matki, pojął jednak, że robiła wszystko dla jego dobra. Poczul się kochany. Równocześnie dokuczało mu poczucie winy. Colina i wujka Leo przypominał sobie niewyraźnie, nigdy natomiast nie zapomniał smutku swojej *ah-ma*. Naprawdę dobrze czuła się chyba tylko podczas obchodów chińskiego Nowego Roku. Ubierali się wtedy na czerwono i oglądali paradę idącą Seventh Avenue, czekając, aż zobaczą *liu bei*. Aktorzy przebrani za czarno-złotego lwa kroczyli naprzód, podskakiwali, falowali na boki i skakali do przodu do wtóru bębnow, gongów i cymbałów. Niektórzy świętujący zapalali całe szeregi petard, które wybuchały, wypełniając powietrze dymem, podczas gdy ich odgłosy odbijały się echem od ceglanych budynków. *Ah-ma* podawała Williamowi czerwoną kopertę owiniętą w liść sałaty, żeby nakarmił nią lwa w celu udobruchania go. Zapobiegało to pożarciu Williama przez potwora, który darowywał mu kolejny rok życia.

Wracali do mieszkania i czyścili je z brudu i kurzu, który nagromadził się poprzedniego dnia. *Ah-ma* odpoczywała dopiero po wysprzątaniu każdego kąta, kompletnie wyczerpana. Chodziło o symboliczne usunięcie śladów przeszłości, pajęczyn, pajaków i starych spraw w jej myślach.

William szedł za matką Second Avenue, kierowali się w stronę śródmieścia. Popatrzył w górę na Smith Tower, wieżowiec był zamknięty. Świeciła się tylko piramida na samym czubku, jak latarnia morska wznosząca się wysoko ponad zaśmiecone ulice.

– Prowadzisz mnie do Fotela Życzeń?

Willow nie uśmiechnęła się nawet, tylko pokręciła głową.

– Chcę ci coś pokazać. Chciałabym, żebyś zobaczył, kim jestem. – Wskazała niewielki budynek Florence Theatre, którego nowy neon reklamował filmy dźwiękowe. William nigdy nie był w tym kinie, w którym pokazywano starsze filmy. Aktualnie wyświetlano *Córkę Smoka*.

Słyszał o książkach Saxa Rohmera i filmach przedstawiających nikczemnego doktora Fu Manchu, które nieodmiennie spotykały się z dezaprobatą siostry Briganti. Nie powstrzymywało to jednak jego kolegów przed malowaniem sobie cieniutkich wąsików i pociąganiem kącików oczu do tyłu, starali się w ten sposób wyglądać groźnie i tajemniczo.

William stanął w kolejce, a jego *ah-ma* kupiła dwa bilety. Usiedli razem w samym środku sali. Rozmawiali szeptem podczas kroniki i kreskówki.

– Czy to dlatego mnie oddałaś? – zapytał w końcu William. – Żeby utrzymać mnie z daleka od wujka Leo? Jeżeli tak, to nie twoja wina, rozumiem. – Postaci z kreskówki odbijały się w oczach matki.

– Spoglądając wstecz, uważam, że powinnam była cię zabrać i uciec przy najbliższej okazji. Byłam jednak słaba. Nie rozumiesz, Williamie. Nigdy nie chciałam cię porzucić. Jak mogłabym zrobić coś takiego? Wybrałam po prostu mniejsze zło: oddałam cię, żeby uchronić cię przed Leo. Przez to wszystko równocześnie się poddałam. Myślałam, że nigdy nie wyjdę ze szpitala Cabrini. Nie chciałam z niego wyjść. Tkwiłam tam i pisywałam do ciebie. Wiem, że nie wolno mi było do ciebie pisać, ale wiedziałam, gdzie się znajdujesz. Miałam nadzieję, że przeczytasz moje listy i że mnie zrozumiesz.



William pomyślał o skarbie w postaci pocztówek i listów, które przez te wszystkie lata ukrywała przed nim siostra Briganti. Pokręcił głową, podczas gdy organy grały skoczną melodię. Zrobiło mu się niedobrze. Melodia stopniowo ucichła, przygaszono mocniej światło i zaczął się seans. Tym razem odezwała się bardziej złowieszczą muzyka.

Najpierw przesuwali się napisy. William rozpoznał nazwiska Sessue Hayakawy, Anny May Wong i Warnera Olanda w roli złego doktora Fu Manchu. Przypomnił sobie siebie i swoją młodą *ah-ma* w towarzystwie znacznie starszego od niej mężczyzny. Tak, chyba nazywała go wujkiem.

Pamiętał także widok matki w wannie...

– Wujek Leo nie chciałby mieć nic wspólnego z ciężarną kobietą. Zaś jeśli chodzi o dziecko... Niepokoiłam się, że jeśli tym razem urodziłabym dziewczynkę, Leo i ciocia Eng zmusiliby mnie do sprzedania jej albo czegoś jeszcze gorszego. A gdybym urodziła chłopca, mogliby mi go zabrać i uznać za własne dziecko. Albo i odebrać was obu, porzucając mnie w końcu na pastwę losu.

William słuchał spowiedzi własnej matki. Towarzyszyło jej większe cierpienie niż którejkolwiek spośród jego osobistych spowiedzi, przez jakie przebrnął w towarzystwie księdza Bartholomew. Popatrzył na ekran, na Sessue Hayakawę.

„Oto największa ironia losu: jedyna osoba, którą kiedykolwiek mocno kochałem, narodziła się ze znenawidzonej przeze mnie krwi” – wypowiedział swoją kwestię aktor.

Oto ja, pomyślał William.

– Nie chcieli wypuścić mnie ze szpitala, dopóki cię nie oddam Leo albo do sierocińca. Prosiłam, błagałam ich o ciebie. Oświadczyli jednak, że zostałeś zabrany do tymczasowego domu i że to dla ciebie najlepsze. Ze smutkiem zdałam sobie sprawę, że w pewnym sensie to prawda. Nie byłam w stanie opiekować się ani tobą, ani sobą. Ze względu na sytuację, w jakiej mnie znaleziono, miałam zostać wyrzucona z mieszkania. Nie miałam jak się tobą zaopiekować. Podpisałam więc dokument, że oddaję cię na zawsze. Była to jedyna gwarancja, że wujek Leo nigdy cię nie znajdzie. Straciłam cię, lecz nigdy nie zgodziłabym się na utracenie ciebie na rzecz Leo.

William zwrócił uwagę na ekran, na którym pojawiła się znajoma twarz. To była jego *ah-ma*, Willow. Grała służącą Anny May, ta zaś – złą córkę Fu Manchu.

– Jak w takim razie trafiłaś tutaj? – zapytał William, pokazując na ekran.

– Któż mógł przypuszczać, że *Oczy totemu* zapoczątkują wielki przełom w moim życiu? Tamten film pokazano dopiero dwa lata po nakręceniu, kiedy już nikt nie chciał oglądać filmów niemych, publiczność domagała się dźwiękowych. H.C. Weaver zbankrutował, a dwa lata później jego studio doszczętnie spłonęło. Tymczasem film obejrzał, w kinie takim jak to, Asa Berger. Oglądając go, był na wpół pijany. Sam także spędził sporo czasu w szpitalu psychiatrycznym. Wydaje mi się, że zobaczywszy moje łzy, smutek, cierpienie, które były prawdziwe, zrozumiał mój ból. Nigdy nie musiałam grać płaczu, Williamie. Nie należę do aktorek, które wcierają sobie w tym celu sól albo glicerynę w oczy. Wystarczyło, że pomyślałam o tobie, i już płakałam.

William spojrział na matkę. Płakała, mówiąc do niego.

– Asa znalazł producenta, który odnalazł mnie i za mnie poręczył. Nakręcono ze mną próbne zdjęcia w studiu. Wszyscy szukali nowej Niny Mae McKinney; mieli już czarnoskórą Gretę Garbo, a chcieli jeszcze mieć Azjatkę. Podpisano ze mną umowę. Przestałam być Liu Song, stałam się Willow Frost. Wytwórnia filmowa zapłaciła nawet za oficjalną zmianę mojego nazwiska. Dali mi miesięczną pensję. Zapłacili za usunięcie tylnych zębów, żeby mój uśmiech wyglądał lepiej. Skorygowali mi krzywy nos. Moja wielka chwila nadeszła wraz z rolą napisaną

dla Anny May Wong. Miała alergię na śnieg z płatków kukurydzianych, którym posługiwali się w studiu, więc zagrałam zamiast niej. Ale nigdy cię nie zapomniałam, Williamie. Co roku w twoje urodziny prosiłam pana Butterfielda, żeby zapytał o ciebie w sierocińcu i sprawdził, gdzie mieszka wujek Leo. Miałam nadzieję, modliłam się o to, żebym w jakiś sposób mogła znowu zostać twoją *ah-ma*, gdyby Leo coś się stało, gdyby umarł. Niemądre były to nadzieje. Powoli się rozwiały, kiedy zrozumiałam, że wytwórnia filmowa nigdy nie zaakceptuje skandali z mojej przeszłości, szczególnie w sytuacji, kiedy kręcili ze mną po trzy filmy w roku i byłam przez cały czas zajęta. Poza tym, podpisując w obecności pani Peterson te jej dokumenty, w świetle prawa przestałam być twoją matką.

William patrzył na swoją *ah-ma*. Przełknęła, oddychała z wysiłkiem.

– Potem, kiedy w studiu odkryto, że umiem śpiewać, wytwórnia wysłała mnie w trasę koncertową. Była to dla mnie ulga. Występy sceniczne są przyjemniejsze niż stanie przez cały dzień przed kamerą i granie w filmie, a poza tym na scenie czuję się bezpieczniej.

– Dlaczego? – spytał William, oglądając swoją mamę na scenie. Wyglądała wspaniale, w sukni z drogimi kamieniami i skrzęcej się tiarze stroiku, która wyglądała jak rekwizyt z *Ziegfeld Follies*.

– Dlatego, że po każdym filmie, wśród pocztówek i listów od wielbicieli, zawsze znajdowałam telegram od wujka Leo.

William zamarł, widząc, jak Sessue Hayakawa strzela do niej.

– I dlatego, że we wszystkich moich filmach umieram. W każdym po kolei, Williamie.

Na ekranie matka Williama padła na ziemię. Jej aktorski głos był bardziej ochryply i niższy niż w rzeczywistości. Bardziej dramatyczny... czysta iluzja. Muzyka zaczęła grać głośniejsz. Filmowa Willow zamknęła zapłakane oczy, jej ramiona opadły i umilkła, pozbawiona życia.

William chciał coś powiedzieć, ale kiedy obrócił się w stronę matki, zobaczył, że zniknęła. Jej fotel był pusty.

## Stara pralnia

1934

William wiedział, że matka nie wróci. Nie miał nadziei na zobaczenie, jak idzie, niosąc wiaderko prażonej kukurydzy albo garść cukierków Tootsie Rolls, czy nawet prażone pestki arbuza i suszone mątwy, jakie pogryzali, kiedy był mniejszy. Zaprowadziła go na ten film, żeby się przed nim wypowiedzieć i pożegnać. William rozumiał, że miała nadzieję na uzyskanie w ten dziwny sposób przebaczenia z jego strony. Nie zaczekała na nie jednak. Dla niej, podobnie jak dla Williama, odrzucenie nie było czymś, co należało znieść, tylko czymś, czego trzeba było unikać.

William poprawił się w fotelu i popatrzył na scenę. Malutki kinoteatr gościł niegdyś wodewilowych komików. Hol zawieszony był plakatami podpisanymi przez Fay Tincher, Bustera Keatona i Charliego Chaplina z czasów, kiedy byli oni jeszcze wędrownymi artystami. William poznał odpowiedzi na całe mnóstwo pytań, ale i tak odczuwał pustkę, jak gdyby to on musiał udzielić odpowiedzi. Żałował, że nie może zobaczyć na scenie dziadków ani że ich nie poznał, zanim ich czasy minęły i nastąpiła era niemych filmów, a potem dźwiękowych, które królowały aktualnie.

Sam nie wiedział, dlaczego tkwił w fotelu aż do końca filmu. Przecież postać grana przez jego matkę już została zabita, więc nie miał nadziei na zobaczenie jej znowu choć przez moment. Jedynej prawdziwej krewnej, jaką kiedykolwiek znał. Być może po prostu siedział tam dlatego, że nie pozostało mu nic poza jednym żetonem na tramwaj i nie miał dokąd pojechać ani pójść. Nie wstawał więc, gdy na widowni odezwały się brawa, jeszcze w ciemności. Ani kiedy organista zagrał radosnego walca, a widzowie ruszyli do wyjść. William opuścił kino jako ostatni, kiedy jeden z pracowników zaczął już sprzątać salę.

Owiało go lodowate zimno, wyraźnie się ochłodziło. William postawił kołnierz i zastanawiał się, dokąd mógłby iść o tak późnej porze. Wiedział, że otwarty i ciepły będzie dworzec kolejowy. Lecz już z odległości jednej przecznicy od budynku dworca zobaczył policjantów, którzy usuwali bezdomnych. Wyrzucali ich na ulicę razem z dobytkiem. Funkcjonariusze krzyczeli i pokazywali w stronę Hooverville. William zastanawiał się, czy nie pójść razem z tymi nieszczęśnikami na południe. Ale nagle ogarnęła go ciekawość – w niewielkim oddaleniu znajdowała się pralnia Jefferson Laundry.

Nie potrafił odwrócić od niej wzroku. Zmarznięte stopy same go ku niej poniosły. Omijał ulicznych grajków i sprzedawców owoców, którzy pakowali swoje towary. Podszedł do okna pralni, zobaczył w nim oprawiony w złocistą ramkę spłowiwały portret Zhonga Kui, pogromcy smoków. William rozpoznał go na podstawie opowieści z dzieciństwa. Dla niego były to bajki, ale jego ojciec, wujek Leo, święcie wierzył w te przesady. William zajrzał do wnętrza. Zobaczył starą kobietę o masywnej budowie; odbierała węzłki pościeli do prania i wydawała kwity. Ciocia Eng... Nie była prawdziwą ciotką Williama. Nie była dla niego nikim ważnym. Trudno byłoby mu nazwać ją swoją krewną. Sunny jest mi bliższy niż ta starucha, myślał.

Wtem zobaczył obcą, a jednak znajomą twarz surowego z wyglądu mężczyzny, który wyszedł z zaplecza. Miał mniej włosów, niż kiedy William widział go po raz ostatni. Ale chyba wciąż ubierał się w te same rzeczy, tylko że teraz były starsze i bardziej niemodne. Przytył, co

dziwiło Williama, jako że bardzo wielu mieszkańców miasta głodowało. Musiał być o dwadzieścia czy nawet trzydzieści lat starszy od Willow. William aż zgrzytnął zębami.

To, co zrobiłaś, *ah-ma*, zrobiłaś dla mnie, myślał. Rozumiał, dlaczego Willow aż do tej pory nie wracała do Seattle. Czuła się tu bezradna, osaczona przez zbyt wiele złych wspomnień. Zastanawiał się, kiedy wujek Leo znowu ją zobaczył, na fotografii w gazecie, na ekranie kina, a może usłyszał jej znajomy głos z radia. Czy natychmiast ją rozpoznał? Czy Willow interesowała go teraz jeszcze bardziej? Willow czy też Liu Song. Czy rościł sobie do niej jakieś prawa? William zdał sobie sprawę, że jeżeli tak, to jedynym środkiem pozwalającym Leo odzyskać ten domniemany dług, był on, William.

Mężczyzna podniósł wzrok i spojrzał mu prosto w oczy. Zerknął na zegarek, wyszedł zza lady, odwiązał brudny fartuch, rzucił go do kosza i otworzył drzwi. W nozdrza Williama uderzył silny zapach detergentu. Owiały go gorąco i wilgoć, która w zimnym powietrzu zamieniała się w parę.

– Nie mam dzisiaj pracy – rzucił po kantońsku mężczyzna. – Przyjdź w przyszłym tygodniu.

William wpatrywał się w niego.

– Czy my się znamy? – spytał Leo.

William patrzył dalej, oglądał jego twarz, nos, mocno cofniętą linię włosów. Powoli pokręcił głową. Nie, pomyślał. I nigdy mnie nie poznasz.

## Syn marnotrawny

1934

William miał skłonność do marzeń, nie był jednak postacią z powieści Horatia Algera. Nie spodziewał się dojść do zamożności drogą od pucybuta do milionera, niczym Szmaciarz Dick czy Bagażowy Ben. Nie wyobrażał sobie także, żeby ocalał go przed życiem na ulicy komiksowy Daddy Warbucks, zabrał i przewiózł do posiadłości na Capitol Hill, gdzie William spędziłby resztę swojego dzieciństwa w towarzystwie kamerdynerów w smokingach oraz zaniedbanego psa.

O rany, pomyślał ze smutkiem. Porzucił nierealistyczne marzenia i zaakceptował rzeczywistość, której zasięg wyznaczał żeton na tramwaj. Pozbierał okruchy swojego dzieciństwa i wziął je ze sobą, jadąc z powrotem do sierocińca pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Minął bramę, wszedł do głównego budynku i ruszył prosto do gabinetu siostry Briganti. Była tam, paliła papierosy, piła czarną kawę i przeglądała jakąś grubą księgę.

– Wróciłem – oznajmił William. Był w stanie powiedzieć tylko tyle.

– Witaj w domu, Williamie – odpowiedziała zakonnica, ledwie podnosząc wzrok. Nie dodała: „Mówiłam!” ani w ogóle nic więcej. Odwróciła następną kartkę. William też się nie odezwał.

Wrócił do sali sypialnej, którą dzielił z kolegami. Wydali chóralny okrzyk radości, jakby William był Pinokiem, który wyprawił się na Wyspę Przyjemności i powrócił z niej jako prawdziwy chłopiec. Lecz William nie czuł się chłopcem. Wciąż był sierotą, jednak już nie żałował tego, co utracił. Obecnie tęsknił do tego, co nigdy nie miało mu być dane.

– Nie chciałem cię znowu zobaczyć – odezwał się Sunny. – Ale bardzo się cieszę, że wróciłeś.

William rozumiał, o co chodzi jego przyjacielowi. Sieroty nie uważały siebie nawzajem za członków rodziny, absolutnie nie były w stanie tak mocno się zbliżyć, łączyły je jednak cierpienie i samotność. Pocieszała odrobinę świadomość istnienia ludzi, którzy je rozumieli.

– Ocaliłem coś dla ciebie – oznajmił Sunny. – Na wszelki wypadek. – Wyciągnął spod materaca gazetę, rozłożył ją i podał Williamowi ostatnią stronę. William spojrział na przegląd śmietanki towarzyskiej Seattle.

– Po co mi to pokazujesz?

– Przyjrzyj się dokładnie. – Sunny wykonał gest brodą w kierunku gazety.

Na stronie znajdowało się kilkadziesiąt portretowych zdjęć prezentujących się jak najatrakcyjniej miejscowych światowych kobiet. Miały na sobie letnie satynowe sukienki albo kwieciste stroje. Wyglądało to jarmarcznie na tle widocznego na ulicach Seattle ubóstwa. W prawym dolnym rogu strony widniała mała fotografia, najmniejsza ze wszystkich, mniej więcej rozmiarów czubka palca Williama. Zdjęcie przedstawiało jego mamę. Podpis głosił:

„Płacząca Willow Frost powraca do Seattle. Czy to najświeższa uczestniczka hollywoodzkich spotkań przy robótkach ręcznych?”

– Chinka na stronie kroniki towarzyskiej, wyobrażasz sobie?! – skomentował Sunny.

Sam już nie wiem, co sobie wyobrażać, pomyślał William. Chyba tylko to, że przeżyję tu

jeszcze kilka lat, a potem powiększę grono ulicznych włóczęgów.

– Dziękuję ci – powiedział.

Kolacja smakowała tak samo jak zwykle – kromka czerstwego chleba, dziurawa w miejscach, z których powykrawano pleśń, i rzodkiewka. Nieciekawy smak potrawy działał jednak na Williama uspokajająco. Wokół rozlegały się te same co zazwyczaj głosy. Padały znane Williamowi żarty. Nic się nie zmieniło. Znikło tylko ciepłe miejsce w jego sercu, które wcześniej wypełniało uczucie do Charlotte. Zastąpiła je wielka pustka. Nie było już Charlotte, no i dalej nie było Willow, jego *ah-ma*. William starał się nie skupiać na tym smutnych faktach. Próbował, jak umiał.

Po kolacji chłopcy zabrali się do nauki albo biegali wokół i żartowali lub grali w okręty. Dziewczęta robiły na drutach albo jeździły na dworze na wrotkach. William natomiast wyciągnął starą, pogniecioną fotografię matki, tę, którą nosił przy sobie niczym relikwię. Wziął ów cuchnący, ponaddzierany kawałek spłowiałego papieru, a także otrzymaną w prezencie od Sunny'ego gazetę i wyszedł w ciemność. Sierp księżycy pomógł mu odnaleźć drogę na cmentarz, na miejsce, gdzie spoczywała Charlotte. William oczyścił z sosnowych igieł deskę z napisem i wykopał gołymi rękami niewielki dołek tuż obok grobu przyjaciółki. Ziemia była zimna i mokra, pachniała gnijącymi liśćmi. Kiedy już dołek był odpowiednio szeroki i głęboki, William delikatnie położył na jego dnie obydwie zdjęcia matki. W milczeniu popatrzył przez chwilę na jej hollywoodzki uśmiech, a potem przykrył jej piękną, pogniecioną, pełną tęsknoty twarz pełnymi garściami ziemi. Po krótkim czasie dołek był zasypany. William żałował, że nie może w podobny sposób zapłacić pustki w swoim sercu. Wygładził ziemię na powierzchni prowizorycznego grobu matki.

– Przebaczam ci – oznajmił.

A potem wrócił do sali sypialnej, wpełzł pod kołdrę, nie myjąc ubłoconych rąk ani nie rozbierając się do snu, i schował głowę pod poduszkę.

## Aktorka

1934

Willow nie cierpiała samolotów. Nie bała się latania ani nie przeszkadzał jej hałas. Nienawidziła natomiast towarzyszącej podróżom lotniczym monotonii. Jej ostatni lot z Los Angeles do Nowego Jorku trwał w sumie pięćdziesiąt sześć godzin, nie licząc przedłużonego postoju w Kansas City. Mimo wszystko samoloty, ów cud nowoczesności, były względnie wygodne: pociągi były jeszcze gorsze. Nawet najszybsze pociągi pasażerskie wiozły mnóstwo bagażu – walizy, towary i wspomnienia. Liu Song dorastała w pobliżu dworca kolejowego i dlatego przyjazdy i odjazdy pociągów przypominały jej o osobie, jaką była dawniej.

Ostatnie cztery miesiące spędziła w trasie; przybywała do kolejnych miast i w każdym witał ją tłum reporterów, dziennikarzy prowadzących rubryki teatralne i filmowe, kamerzystów, a nawet wielbicieli żądnych autografów. Miała prawdziwych wielbicieli! Za każdym razem ją to zaskakiwało. Większość ich stanowili biali, starsi od niej mężczyźni. Znacznie starsi. Przynosili jej kwiaty i upominki, zawsze mniej skromne, niż sama by sobie wybrała. Nie witali jej natomiast Chińczycy, i to jej nie dziwiło. Niewiele się zmienili: wciąż pozostawała dla nich występującą przed ludźmi niezamężną kobietą. Czyli osobą o złej reputacji, której nie poprawiał fakt, że Willow grała w filmach. Raczej potwierdzał jej bezwstydną postępowanie, gdyż mogli ją zobaczyć wszyscy. Większość zachodnich kinomanów widziała w niej elegancką azjatycką piękność, lecz jej dawni sąsiedzi z chińskiej dzielnicy postrzegali ją jako zepsutą kobietę, którą mają i jedni, i drudzy. W każdym razie ludzie tłumnie przychodzili ją zobaczyć i okazywali jej szczerą uwielbienie. Pewien mężczyzna podarował jej nawet w dobrej wierze kosz pełen owoców granatu. Poczul się urażony, kiedy odmówiła przyjęcia prezentu. Nie miała siły wyjaśniać temu człowiekowi, że jego dar symbolizował urodzenie wielu dzieci. Dla Willow słodko-kwaśne owoce granatu miały nieodmiennie gorzki smak.

Najtrudniejszymi chwilami podróży były dla niej odjazdy pociągu. Różniły się od przyjazdów. Przybycie na spotkanie kolejnych tłumów było rozgłaszanym wszem wobec wydarzeniem. Wyjazd kojarzył jej się z wczorajszymi wiadomościami: nikogo nie obchodził. Czy właśnie w taki sposób wszyscy zakończymy kariery? – zastanawiała się. Nie podobała jej się najbardziej prawdopodobna odpowiedź na to pytanie. Nawet Stepin i Asa czuli ów rozdźwięk: pustkę wzniesienia się na tak wysokiej fali, że kiedy następuje odpływ, zasysa ona wszystko, co wartościowe. Najpierw wpatrują się w człowieka oczy tysięcy wielbicieli, a potem można przyciągnąć najwyżej pełne zakłopotania spojrzenia garstki osób.

Willow trzymała się reszty artystów, którzy mieli jej towarzyszyć w podróży koleją Empire Builder do Spokane. Następnie mieli pojechać do Minneapolis, a stamtąd do Chicago. Kolejne miasto, kolejny teatr, kolejny występ marionetek. Tyle że sznurki, za które pociągano, były dla Willow połączanymi kajdanami.

– To był twój synek, prawda? – zapytał Stepin. Tylko on się tego domyślił. Asa też mógł coś podejrzewać, ale był w Seattle tak pijany, że ledwie pamiętał, jaki aktualnie jest dzień. Podczas tej części trasy już dwukrotnie spóźnił się na pociąg.

Stepin objął Willow ramieniem i powiedział:

– Wszystko, co robimy, przez co uważają nas za tak bardzo czarnych, pozostawia

w naszych sercach smutek. – Zanucił smętną melodię.

Willow nie miała siły rozmawiać o swoim dziecku, które znów opuściła. Przytaknęła jedynie i odwróciła wzrok, żeby się nie rozplakać. Często wypytywano ją o jej przydomek „płacząca”. Niektórzy twierdzili, że Willow tak często płacze, bo jest kobietą, że wyćwiczyła tę charakterystyczną dla siebie umiejętność, aby przydać swojej postaci dramaturgii, że wciąż powtarza tę jedyną sztuczkę, żeby miękły serca upartych mężczyzn. Prawda zaś była taka, że Willow płakała, bo musiała. Gdyby nie płakała, w jej wnętrzu coś by pękło.

Odnalazła bilet, widząc pociąg wjeżdżający z głośnym sapaniem na dworzec. Cofnęła się i patrzyła, jak stewardzi i bagażowi ładują do wagonu bagaże członków jej zespołu. Jedyne, co stale wozila ze sobą, to walizka matki. Willow odeszła od Stepina i Asy, znalazła pustą ławkę i usiadła ze starą walizką na kolanach. Zaczęła oglądać swoje dłonie. Widoczne na nich linie kojarzyły jej się zawsze z mapą, która prowadziła jej myśli, a potem ciało w dal. Willow podążała tą samotną ścieżką, ponieważ utraciła rodzinę, wszystkich najbliższych, i poza tym nie miała dokąd się udać. Lecz jej droga zaprowadziła ją właśnie do punktu wyjścia. Miała kogoś bliskiego. Miała go od zawsze.

– To nasz pociąg, Frosty – ponaglił ją Stepin, poprawiając kapelusz. Dał autograf głównemu stewardowi pociągu i ścisnął dłonie innych pasażerów czekających w kolejce do drzwi.

Willow nie odpowiadała.

– Może złapiesz następny? – Stepin nie nalegał. Obsługa techniczna, wózki z kostiumami, instrumenty muzyczne i wszystkie pozostałe rzeczy wędrownego trupy, której członkinią była ostatnio Willow, i tak miały pojechać późniejszymi pociągami. Kręcenie filmów było dla Willow przyjemną, niezbyt absorbującą pracą. Życie w trasie, występy na żywo, sukcesy i porażki już ją uodporniły.

Patrzyła, jak znikają we wnętrzu wagonu Stepin, Asa, kolejne artystki z Ingénues. Konduktor dziurkował ich bilety i zatykał je w oparciach foteli. Stewardzi układali na półkach futerały z instrumentami. Większość członków zespołu Willow i obsługi nie zwracała na nią uwagi. Tylko Stepin wiedział. Uchylił kapelusza i pomachał jej na pożegnanie. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedykolwiek w życiu go zobaczy. Może na ekranie w jakimś kinie z nowościami.

Siedziała dalej. Rozległ się ostatni dzwonek i pociąg ruszył. Odjechał. Willow czuła się samotna jak nigdy, choć przechodziły obok niej setki ludzi. Nikt jej nie rozpoznawał i zaczęła uważać swoją anonimowość za cenny dar. Bez wątplenia nie czuła się nikim szczególnym. A już z pewnością nie kimś wyjątkowym. Siedziała na ławce i rozmyślała o rodzicach, którzy korzystali z tych samych pociągów. I o tych wszystkich latach, podczas których chciała zabrać Williama i uciec. Wtedy była bardzo młoda i przerażona. Teraz zaś jest starsza i znów przerażona. Jak mogła na to pozwolić? Wrodziła się w matkę: zgodziła się w życiu na zbyt daleko idące kompromisy, tonęła w przemożnym smutku, równocześnie wykazując odwagę na scenie. Cała matka. Postanowiła jednak spróbować być kimś innym. Matką swojego syna.

Wyszła z dworca, nie mając pewności, czy jej powrót do Williama poprawi, czy też pogorszy sytuację. Była gotowa oddać wszystko, żeby tylko spędzić życie z synem. I stawić czoło wszelkiemu wywołanemu tym zainteresowaniu otoczenia czy środków masowego przekazu, pozytywnemu i negatywnemu. Wciąż aktualna pozostawała możliwość, że Leo spadnie nagle jak sęp i zabierze Williama. Niech spróbuje, pomyślała Willow. Zamierzała rzucić mu pod nogi *kai ching*, odwrócić jego uwagę diabelskimi pieniędzmi. Tym razem nie miała zamiaru tak łatwo się poddawać, opowiadać sobie bajek – tylko walczyć, jeśli będzie musiała. I żadnych kompromisów. Dłużej nie mogła ich zawierać.

Pięć lat wcześniej zrzekła się praw do swojego syna, pięknego chłopca. Dziś nie



wiedziała, czy adoptowanie dziecka przez Willow Frost będzie w ogóle możliwe, lecz zrobi wszystko, żeby się tego dowiedzieć. W tym celu wysiadła z tramwaju w Laurelhurst i weszła przez zimną żelazną bramę na teren sierocińca pod wezwaniem Najświętszego Serca Pana Jezusa.

Rozglądała się po pomieszczeniach, widząc nauczycielki, kucharki, dozorców i zakonnice – osoby, którym powierzyła opiekę nad swoim synkiem. Nie sprawiali wrażenia złych ludzi, choć nie kojarzyli się także z rodziną. Za to dzieci wyglądały jak członkowie rodziny... Szukając Williama, pomyślała, że musi się wyróżniać wśród wychowanków sierocińca, nie dlatego, że jego matka jest chińską gwiazdą filmową, ale że w ogóle ma żywego rodzica. Sieroty wpatrywały się w Willow, jak gdyby była dziwną zjawą ze świata marzeń. Szeptaly pomiędzy sobą i rozglądały się wokoło; i one szukały.

Willow obróciła się i poszła za zapachem gotowanej kapusty i mleka w proszku. Zobaczyła pełną dzieci jadalnię, a także siostrę kierowniczkę. Widać było, że ta zakonnica rządzi pozostałymi, ponieważ inni dorośli spoglądali na nią z szacunkiem. A poza tym sieroty rozstępowały się, kiedy przechodziła obok nich z linijką w ręku. Jej spojrzenie spotkało się ze wzrokiem Willow i obie popatrzyły na siebie z przestraczem i świadomością rozmaitych spraw. Siostra skłoniła głowę i pokazała za okno, na dziedziniec, gdzie Willow zobaczyła dziesiątki podekscytowanych dzieci i otoczoną przez nie otwartą z jednej strony ciężarówkę. Ciężarówka miała w środku regały pełne książek.

Willow wyszła na dwór. Poczula woń spalin dieslowskiego silnika i usłyszała gwar uszczęśliwionych dzieci, które odbiegały kolejno z książkami w rękach. Nie widziała chłopca, którego szukała, ale kilkoro starszych dzieci zwróciło na nią uwagę.

– Pani musi być Willow – odezwał się do niej obojętnym tonem jeden z chłopców.

– A ty kim jesteś? – zainteresowała się.

– Przyjacielem Williama. Mam na imię Sunny. – Wskazał kępę sosen na pagórku. – Jeżeli szuka pani Williama, znajdzie go pani tam.

Podziękowała chłopcu i pomachała do dzieci, które już wszystkie spoglądały na nią z ciekawością. Potem odwróciła się i ruszyła pod górę. Minąwszy drzewa, zobaczyła polankę ze starymi kamiennymi słupkami... To był cmentarz. Zwróciła uwagę na powykuwane w granicie i namalowane daty, obliczała, jak długo żyły pochowane tutaj dzieci. Niektóre były starszymi nastolatkami, ale równie wiele sierot umarło w wieku trzech, czterech lat; większość – przed ukończeniem dziesięciu.

Poszukała wzrokiem syna i z ulgą zobaczyła Williama siedzącego w trawie koło drewnianej tablicy nagrobnej. Przyniósł ze sobą filiżankę herbaty, pomarańczę, jabłko i dwa kładzielka. Nad tą prowizoryczną ofiarą pogrzebową unosił się fantazyjnie poskręcany dym z agarowego drewna. William siedział plecami do Liu Song, czytał na głos książkę zatytułowaną *Cast upon the Breakers – Rzucona na fale*. Przerywał lekturę i rozmawiał z dziewczynką o imieniu Charlotte. Willow obserwowała tę scenę, aż jej syn umilkł, wyczuwając jej obecność, a może po prostu zapach jej perfum. Zamknął książkę, wstał i obrócił się do niej.

– Williamie... – Liu Song ledwie była w stanie wymówić jego imię.

– *Ah-ma?* – upewnił się, wpatrując się w nią z wielkim zdumieniem.

Przytaknęła i westchnęła głęboko.

– Ktoś, kto cię tutaj bardzo dobrze zna, powiedział mi, gdzie cię znajde.

William spojrzął na złożoną przez siebie ofiarę i przetarł oczy, w które szczypał go dym.

– Charlotte?! – zapytał zdumiony.

– Nie. – Liu Song pokręciła głową. – Jeden z chłopców tam na dole. Twój przyjaciel.

– Masz na myśli Sunny'ego?

Willow skinęła głową po raz drugi.

William ruszył w stronę swojej *ah-ma*. Przystanął i patrzył na nią z wahaniem, jak gdyby nie był pewien, czy rzeczywiście przed nim stoi, a potem rzucił się prosto w jej otwarte, czekające na niego ramiona. Później popatrzył w stronę położonych niżej zabudowań sierocińca, a następnie w dal.

– Mój przyjaciel ma na imię Sunny – powtórzył, po czym dodał z uśmiechem: – Sunny-Marzenia-Się-Spełniają.

Willow tuliła syna. Dotknęła jego zziębniętego policzka, przesunęła dłonią po włosach i poczuła ogarniające ją szczęście, a także napływające do oczu łzy.

– „Cokolwiek będzie ci się śniło, wyśnij i mnie” – wyszeptała, cytując piosenkę, którą często śpiewała.

## Od autora

Moja kariera jako autora zaczęła się od napisania przeze mnie mów pogrzebowych na cześć moich rodziców. Od lat aspirowałem już wtedy do bycia pisarzem, tworzyłem niezdatną beletrystykę, czyli fikcję. Zbyt często nie miałem o czym pisać. Żadnych ważnych tematów. Dopiero po odpowiedniej liczbie porażek odnalazłem tło, na którym zacząłem malować kolejne opowiadane przeze mnie historie, jak tę o Willow Frost.

Willow to nie tyle wytwór mojej wyobraźni, co zlepek różnych postaci. Piękna istota, ożywiona przez cierpienie i poświęcenie różnych osób: mojej matki, która miała burzliwe życie naznaczone zarówno radością, jak i poczuciem opuszczenia; mojej chińskiej babci, samicy alfa z czasów, kiedy większość kobiet wolała nie płacić ceny za ten rodzaj niezależności. Poczynilem wreszcie ukłon w stronę słynnej aktorki Anny May Wong, która odniosła sukces w Hollywood, ale nigdy nie była w stanie znaleźć romantycznej miłości.

Historia Williama nie jest za to wyjątkowa. Jej tworzenie zacząłem od analizy relacji międzyludzkich w latach Wielkiego Kryzysu. Tysiące dzieci umieszczano wówczas w placówkach podobnych do sierocińca pod wezwaniem Najświętszego Serca w Seattle. Te rzekome sieroty – między innymi znany pisarz Wallace Stegner – były porzucane przez rodziców, którzy nie mieli środków do życia i obiecywali dzieciom swój powrót. Czasami wracali. Lecz niektóre obietnice są trudniejsze do dotrzymania niż inne.

Pośród tego ponurego krajobrazu z dykty i papy świeciło w ciemności – dosłownie – światelko: nowo powstały przemysł filmowy, który wtedy nie skupił się jeszcze w Hollywood.

W tamtych latach, kiedy stanowiąca ucieczkę od rzeczywistości rozrywka ewoluowała niemal z miesiąca na miesiąc, gdy pianole zaczęły sprzedawać się lepiej niż pianina, a później jedne i drugie zostały wyparte z rynku przez radia, filmy dźwiękowe zastąpiły nieme, które stały się czymś na podobieństwo niechcianych przez nikogo sierot. Jak grzyby po deszczu powstawały wytwórnie filmowe, wszędzie – w Minnesocie, Idaho, a nawet w Tacomie w stanie Waszyngton, gdzie dawno temu zapomniany H.C. Weaver zbudował trzecie pod względem wielkości studio w Stanach Zjednoczonych i wyprodukował trzy filmy, których kopie zaginęły.

Opowieść o Williamie i Willow to także refleksja na temat początków amerykańskich chińskich dzielnic. Matek zaliczających się do mniejszości rasowych nie przyjmowano wtedy do szpitali „dla białych”. Nieżyjąca już Ruby Chow, jedna ze znanych aktywistek politycznych i restauratorek z Seattle – która kiedyś zatrudniła chudego studenta Bruce’a Lee – urodziła się przy pomocy akuszerki w dokach Seattle, w miejscu gdzie wyladowywano ryby.

Oto rzeczy, których już nie pamiętamy. Są jednak i takie, o których wolelibyśmy zapomnieć: na przykład o klubie Wah Mee, w którym w 1983 roku zastrzelono trzynaście osób i raniono czternastą. Masakra ta była nie tylko ciosem dla rodzin ofiar, lecz i dla gospodarki chińskiej dzielnicy Seattle. Ów słynny klub był jednak swego czasu ośrodkiem lokalnej kultury, w którym pewnej deszczowej nocy młody przystojny krupier poznał szatniarkę o idealnym uśmiechu. Potem złożyli sobie nawzajem przysięgę małżeńską, a jeszcze później obchodzili sześćdziesięciolecie swojego ślubu. Dobrze o tym wiem, bo jestem ich wnukiem.

Wszystkie te historie nie zmieniają jednak faktu, iż niniejsza powieść to fikcja literacka.

To przypadkiem, to znów świadomie zabawiałem się w Boga, pisząc o konkretnych datach, miejscach i osobach. Z drugiej strony treść mojej książki jest zanurzona w historii całych pokoleń ludzi, w ich nadziejach i zgrzyotach. Postaci Williama, Willow i Charlotte zostały przeze mnie skonstruowane, mam jednak nadzieję, że czytelnicy uznają moje intencje za szczerze.

## Podziękowania

Zaciągnąłem karmiczny dług, otrzymując wsparcie materialne i duchowe od wymienionych niżej osób, które w widoczny lub niewidoczny sposób pomogły mi opowiedzieć niniejszą historię.

I dlatego posyłam na dobranoc pocałunki Julie Ziegler, Kari Dasher, Andrew Wahlowi oraz pracownikom i wolontariuszom organizacji Humanities Washington, którzy zaprosili mnie na Bedtime Stories – swoją doroczną imprezę charytatywną, gdzie pozwolili mi przeczytać coś nowego. Nie wiedzieliśmy wtedy, że dwanaście napisanych w pośpiechu stron, jakie tamtego wieczoru odczytałem, przemieni się w książkę, którą w tej chwili trzymacie.

Gorącą owację na stojąco ślę pod adresem pracowników Wing Luke Museum w Seattle, dziękując za przyjęcie oraz zachętę, wreszcie za pozwolenie, żebym założył te fajne białe rękawiczki i zszedł do piwnicy, gdzie znajdują się archiwa. Czułem się jak Howard Carter wchodzący do komnaty skarbów Tutenchamona ze świecą w jednym, a dżutem w drugim ręku. Zamiast złotych rzeźb zobaczyłem jednak dziesiątki srebrnych skrzyń i kufrów pełnych kostiumów i scenariuszy będących niegdyś własnością Pinga Chowa, gwiazdora opery kantońskiej.

Przyciskam nos do okna Muzeum Historii i Przemysłu MOHAI i macham do was. To ja jestem tym dzieckiem, a wy – sklepem ze słodyczami.

Wykrzykuję także podziękowania pod adresem Biblioteki Publicznej miasta Tacoma (o ile wolno krzyczeć w bibliotece), której kolekcja zdjęć autorstwa scenografa Lance'a Gastona jest jedyną materialną pozostałością po filmach *Hearts & Fists*, *The Eyes of the Totem* i *Heart of the Yukon*. Nie zachowała się żadna kopia tych niemych filmów, podobnie jak rozwiały się marzenia i nadzieje H.C. Weavera i ludzi z jego wytwórni filmowej, o której od dawna nikt nie pamięta.

Wznoszę toast za pamięć nieżyjącego już Billa Cumminga, jednego z najlepszych malarzy i najbardziej czarujących gawędziarzy północnego zachodu Stanów Zjednoczonych, który należał również do grona moich ulubionych profesorów, w czasach gdy studiowałem na akademii sztuk pięknych, a moja wiedza była zerowa. Pamiątnik Billa zatytułowany *Sketchbook* (Szkicownik) to niemalże wehikuł czasu.

Salutuję profesorowi Jamesowi Gregory'emu z Uniwersytetu Stanu Waszyngton prowadzącemu zajęcia pod nazwą *Pacific Northwest Labor and Civil Rights Projects*. Naprzód, psy zaprzęgowe!

Wręczam także bilet w pierwszym rządzie zmarłemu w 1963 roku J. Willsowi Sayre'owi, postaci o zagadkowym charakterze, która poświęciła życie dokumentowaniu historii teatrów działających w Seattle. Jego kolekcja fotografii, programów teatralnych i tym podobnych pamiątek ma zdumiewające rozmiary i świadczy o prawdziwej obsesji.

Przydzielam także nagrody za całokształt pracy artystycznej nieśmiertelnym Annie May Wong, Sessue Hayakawie i Lincolnowi Perry'emu, dzielnym aktorom rekrutującym się spośród mniejszości rasowych, którzy utorowali drogę następnemu pokoleniu, mimo że ich znaczenie bywało później marginalizowane, a dokonania często wyśmiewane.

Są wreszcie książki, które pomogły mi w pracy i które muszę w końcu zwrócić bibliotece publicznej: *Orphan Trains* Stephena O'Connora, *Silent Film Stars on the Stages of Seattle* Erica L. Floma, *Hollywood Asian Hye* Seung Chung, *The Silent Screen & My Talking Heart* Nell Shipman, *Stepin Fetchit: The Life and Times of Lincoln Perry* Mela Watkinsa, *Anna May Wong: From Laundryman's Daughter to Hollywood Legend* Grahama Russella Gao Hodgesa, oraz *The G-String Murders* Gypsy Rose Lee (tytuł autentyczny).

W świetle reflektora musi się oczywiście znaleźć także moja naczelna agentka Kristin Nelson. Ktoś mi kiedyś powiedział, że jeśli jest się sympatycznym człowiekiem, potrzebuje się agenta drania, a jeżeli draniem – to miłego agenta, który posprząta zrobiony przez podopiecznego bałagan. Kristin jest wyjątkiem od tej reguły – chyba że nie zdaję sobie sprawy, iż jestem draniem...

Dziękuję moim współpracownikom z Ballantine Books: Libby McGuire, Kim Hovey, Jennifer Hershey, Theresie Zoro, Kristin Fassler, Quinne Rogers, Susan Corcoran, Scottowi Shannonowi, Mattowi Schwartzowi, Toby'emu Ernstowi, Jayme'emu (ładne imię) Boucherowi, Kelle Ruden, wreszcie niezwyklej specjalistce zajmującej się promocją mojej osoby, Lisie Barnes, która sprawia, że wydaję się inteligentniejszy, wyższy, przystojniejszy i bardziej czarujący niż w rzeczywistości. Któregoś dnia wejdę i zaśpiewam wam wszystkim serenadę w postaci piosenki *Wind Beneath My Wings* w wersji karaoke. Będę rozdawał zatyczki do uszu i piwo marki Asahi. Będziecie szczęśliwi... kiedy przestanę śpiewać.

Dziękuję mojej wydawczyni Jane von Mehren, świętej kobiecie, która od samego początku była przekonana do Willow i Williama i od czasu do czasu walecznie starała się uratować mnie przede mną samym. Jane, praca zakończona.

Lecz, jak zawsze, osobą, której zawdzięczam najwięcej, jest moja żona Leesha partnerująca mi w niekończącym się *pas de deux*. Dziękuję jej za to, że pozwoliła mi spędzić przedłużający się czas w miejscu, które nauczyliśmy się z sympatią nazywać Storyland. Mając to na uwadze, muszę skłonić głowę w podziwie dla moich dzielnych nastoletnich dzieci, które rozumieją, że kiedy tata jest w Storyland, muszą prosić kogo innego o podwiezienie do centrum handlowego, na trening siatkówki, lekcje gry na bębnach czy na ostry dyżur... (trzydzieści dziewięć i pół stopnia to nie gorączka, prawda?).

## O autorze

Jamie Ford jest praprawnukiem Mina Chunga, pioniera, który pracował jako górnik w Nevadzie. W 1865 roku wyemigrował on z Kaiping w Chinach do San Francisco, gdzie przybrał zachodnie nazwisko Ford, które przez następne pokolenia było przyczyną wielu nieporozumień. Jamie Ford ukończył z wyróżnieniem warsztaty Squaw Valley Community of Writers w dziedzinie pisania opowiadań oraz warsztaty Orson Scott Card's Literary Boot Camp. Dorastał w Seattle, w pobliżu chińskiej dzielnicy. Obecnie mieszka z żoną i dziećmi w Montanie.